

PRZEMYSŁAW  
ŻARSKI

KAŻDA ZBRODNIA ZOSTAWIA

ŚLAD



**ŠLAD**

PRZEMYSŁAW  
ŻARSKI

ŚLAD



Copyright © Przemysław Żarski, 2020  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk  
Redakcja: Agnieszka Szmatoła / Słowne Babki  
Korekta: Ewdokia Cydejko, Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki  
Projekt typograficzny, skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski  
Projekt okładki i stron tytułowych: PiK Studio  
Fotografie na okładce: Johannes Plenio / StockSnap  
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66517-21-9

#### CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
redakcja@czwartastrona.pl  
www.czwartastrona.pl



*Rodzicom i Bratu,  
Za to, że pozwoliliście mi być sobą i nie zwątpiliście,  
że to dokądś prowadzi.*

## PROLOG

Odliczał czas zaklęty w płatkach śniegu. Śledził je, gdy wdzierały się za kołnierz płaszcza, rozpływały pod wpływem ciepła skóry i niosły przyjemne uczucie chłodu. Ich istnienie zamykało się w nawiasie kilku sekund. Topniały do cna, wnikając resztką wilgoci w skórę i ubranie, nie zostawiając śladu na otaczającej rzeczywistości.

„Ludzkie życie nie jest nawet tyle warte”, pomyślał.

Wpatrywał się w przestrzeń przykrytą śnieżnobiałym kocem. Oswajał ją.

Świat kręci się wokół rytuałów. Wystarczy wsiąść na karuzelę, wrzucić do środka monetę i dać im się ponieść. Z czasem się dostosował. Wybierał ławkę z widokiem na ogródek jordanowski, a w zasadzie na coś, co w zamyśle urbanistów miało go przypominać.

W letnie popołudnia dobiegał stąd gwar zabaw. Zimą plac pustoszał. Miejsce dzieci zajmowały hordy ptaków, poszukujące tu resztek pokarmu.

Proces osvajania wymaga powtarzalności. Skórzaną teczkę układał na kolanach i sięgał po papierową torbę, owiniętą dla pewności podwójną warstwą folii. Wyjmował skórki, jedna po drugiej, i kładł je obok kosza na śmieci. Czekał.

Pierwszy gawron potrzebował kilku podejść, by odważyć się sięgnąć po ofiarowany mu pokarm. Szybko przekonał swych upierzonych braci do udziału w uczcie. Odtąd ptasie zastępy rozsiadały się na oparciach ławek i zerkały z wiszących nisko gałęzi.

Najpierw czujnie sprawdzały, czy nie grozi im ze strony mężczyzny żadne niebezpieczeństwo. Z czasem skracały dzielący ich dystans. Skradały się po liźniętej jęzorem mrozu trawie i wpatrywały w człowieka, usiłując odczytać coś z rozrysowanych na twarzy

nieznajomego bruzd. Badały go.

Jeden z ptaków podszedł do niego. Ostrożnie, balansując ciałem niczym pięściarz, trzymał wysoko gardę i pochylał się na wiotkich nogach, gotów w każdej chwili zerwać się do lotu. Pierwsza próba nie była udana. Skóra z nieprzyjemnym plaśnięciem upadła na ziemię. Ptak podniósł ją i wzbił się w powietrze. Usiadł na krawędzi fontanny i zaczął się z nią szarpać. Odrywał tłuste kęsy, rzucał mięso na betonową płytę i próbował je zmiękczyć, podrzucając głową i uderzając dziobem w zmarzniętą ziemię.

Wreszcie wypracował metodę. Z sąsiednich drzew zerwały się ptaki i zaczęły toczyć bitwy o pokarm, dzieląc skrawki mięsa między sobą niczym łup, który z trofeum stał się zwykłym posiłkiem.

Zdumiało go, jak szybko się uczą.

Jeśli stanie się to nawykiem, przekażą go kolejnym pokoleniom.

Zupełnie odwrotnie niż ludzie. Oni nigdy nie uczą się na błędach. Nigdy...

Istnieją różne formy polowań, nęcenia ofiar, różne strategie prowadzące do zaspokojenia głodu. Najtrudniejszy do ukojenia i najbardziej odrażający jest ten, który wzbierał w nim od lat i coraz śmielej domagał się spełnienia.

Głód śmierci.

Zgniółł papierową torbę w kulkę i wrzucił ją do kosza. Poprawił kołnierz płaszcza, zacisnął posiniałe palce na rączce skórzanej teczki i odszedł w stronę zaparkowanego pod wiaduktem samochodu.

Ostatnia lekcja właśnie dobiegła końca.



## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Michał Hajduk nie wierzył w duchy. Wiedział za to, że ludzie są zbyt bojaźliwi, żeby w nie zważyć. To podejście pozwoliło mu rozwinąć dobrze prosperujący biznes, ubić kilka niezłych interesów i wypchać portfel na uprzedzeniach i nieuzasadnionym strachu.

Opowieści o nawiedzonych domach i duszach, które nie chcą ich opuścić, uprzykrzając życie lokatorom, są stare jak świat i rozpalają wyobraźnię od pokoleń. Odwiedził dziesiątki takich miejsc; owianych złą legendą, zbudowanych na grząskim gruncie urojeń, wybujałej wyobraźni i strachu. I zrozumiał – na tej zbiorowej halucynacji można porządnie zarobić.

Od lat skwapliwie z tej wiedzy korzystał.

– Zanim zagonisz mnie do roboty, muszę coś zjeść. Ssie mnie w żołądku. Wziąć ci coś? – zapytał młody chłopak, który siedział z nim przy stoliku.

– Nie. Zamów mi tylko dużą kawę. Bez mleka, ostatnio mi nie służy.

– Jak chcesz. Ale ta szopka z nietolerancją laktozy to kit, wiesz o tym?

Hajduk nie odrywał wzroku od ekranu laptopa, schodząc kursorem w dół tablicy ogłoszeń. Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy rozkręcał firmę, praca w nieruchomościach była orką. Bieganie ze spotkania na spotkanie, odręczne rysunki i fotografie z polaroidu, na których trudno było odróżnić jedno mieszkanie od drugiego. Identyczne umeblowanie też nie ułatwiało zadania. Żmudny proces wykupu ogłoszeń w prasie lokalnej, kłopot z drukiem ulotek i obsługą biur w centrum miasta, oklejonego dziesiątkami ofert. Wreszcie telefon na kablu i brak kontaktu z klientem. Koszmar.

Odkąd internet zmienił relacje międzyludzkie, to klienci odwalali

większość pracy. Wrzucali do sieci oferty sprzedaży, najmu i zamiany nieruchomości. Rola Hajduka ograniczała się do odsiania ziaren od plew. Przeglądał zdjęcia, szacował wartość i wybierał lokale, które dawały gwarancję łatwego zysku.

– Rzygam już tą jajecznicą na maśle – głos Figasa ściągnął go na ziemię – ale boję się zamówić coś z wkładką, czuję się jak wykręcona szmata.

Przytulna knajpka, a dokładniej kilka stolików w części gastronomicznej centrum handlowego, od miesiąca robiła za biuro nieruchomości. Oficjalnie do czasu zakończenia remontu i przeniesienia się do nowej siedziby.

– Aż tak ostro zabalowałeś?

– Nawet nie. Pękła flaszka, dwie, a łeb mi chce rozsadzić. Nie widziałem się z bratem dwa lata, ten szkocki bimber ewidentnie mi nie wchodzi. Wolę nie wiedzieć, na czym oni tam pędzą te szczyry. – Dla potwierdzenia tych słów wypił pół szklanki wody.

Hajduk uśpił laptop i uśmiechnął się do kelnerki, która postawiła na stoliku dwie duże kawy i jajecznicę. Wsypał do filiżanki torebkę trzcinowego cukru i odczytał tekst na opakowaniu saszetki – „To twój dzień”. „Taaa”, pomyślał i wypił łyk. Przeprowadził przez szparę w zębach drobinki słabo zmielonej arabiki.

– Fajna laska, nie?

– Co?

– Mówię, że fajna dupa z tej małej. – Figas odprowadził kelnerkę wzrokiem aż na zaplecze. – Nie ściemniaj, że nie zwróciłeś na nią uwagi.

– Przecież ona mogłaby być moją córką – odparł przytomnie Hajduk.

– Ale nie jest. – Nałożył jajecznicę na bułkę, ugryzł kęs i zmienił temat: – À propos. Byłem wczoraj u klientki, którą mi naraiłeś. Wiesz, o kim mówię?

Hajduk skinął głową. Artur Figas poczuł się zobligowany pociągnąć wątek.

– Wyobraź sobie, że babka mieszka w chacie za kilka melonów, jeździ wyrąbaną w kosmos furą, ma dzianego gacha, a gdy się u niej zjawiałem, odstawiła się jak na wybieg. Wierz mi, jaja same składały

mi się do oklasków.

– Prowizja ze sprzedaży wynagrodzi ci uciążliwe warunki pracy – uspokoił go.

– Żebyś wiedział. Żal się będzie z nią rozstać. Znaczący, nie żeby do czegoś doszło, wiesz, jak jest, po prostu miło nacieszyć oczy – usprawiedliwiał się.

Hajduk przyglądał mu się, popijając kawę. Figas miał dwadzieścia osiem lat, ogoloną czaszkę i ciuchy ściągnięte z wieszaka najdroższych stylistów. Pół dnia nawijał o imprezach i laskach, które zaliczył lub planował zaliczyć, wlewał w siebie alkohol bez opamiętania i pracował na pół gwizdka. Dopóki przynosił firmie zyski, Hajduk nie zamierzał go na siłę ucłowieczać.

– Dociśnij ją, niech zejdzie z ceny.

– Znasz mnie, docisnąłbym ją z przyjemnością. – Znów ten wkurzający rechot. Zaczynał mu działać na nerwy. Hajduk spotykał się z młodymi kobietami, nie lubił, gdy ktoś je traktuje w ten sposób.

– A mówiąc serio, powoli odpuszcza. Dwa, trzy tygodnie i spuści z tonu. Albo ja z krzyża.

Hajduk wyczuł wibrację w kieszeni i zerknął na wyświetlacz telefonu. Nieznany numer, na pewno nowy klient. Rozmowa trwała dwie i pół minuty. Zapisał dane i adres nieruchomości na chusteczce i się rozłączył. Schował ją do kieszeni. Na szczegółowy wywiad przyjdzie czas na miejscu. Nigdy nie wystawiał oferty w ciemno, bez wstępnej weryfikacji. Trzymał się tego.

Figas dokończył śniadanie i wytarł usta. Z profilu przypominał węża, który zaczyna trawić własny ogon. Hajduk zachował to przemile skojarzenie dla siebie.

– Nowe zlecenie?

– Dom w Kazimierzu Górniczym, gdzieś pod lasem. Gość chce to opchnąć i przenieść się w kieleckie, bliżej rodziny. Nie dziwię mu się. Wbiję adres w nawigację i pojedę tam, gdy wrócę z Sobieskiego. – Wypił stygnącą kawę.

– Zapomniałem, że to dzisiaj. Przeglądałeś papiery, które ci podesłałem?

– Tak. Właściciel zaśpiewał za tę ruderę dwieście osiemdziesiąt kafli,

wyobrażasz sobie?

– Nic tak nie ożywia rynku nieruchomości jak trup. Udaje, że nie wie, do czego tam doszło, albo próbuje to przed nami ukryć – mówił Figas, przeżuwając.

Hajduk sięgnął do portfela, schował laptop i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Oni nigdy nie wiedzą. Zdzwoń się z Uchem, niech przekopie archiwum. Może znajdzie coś, co pozwoli nam zbić cenę tego domu pod lasem. Adres wyślę ci esemesem. – Popatrzył na niego z góry, czekając, aż skończy jeść.

Chłopak nie wyglądał na zadowolonego. Wciąż walczył z niewyspaniem.

– Wiesz, jak on reaguje na spontaniczne akcje. Zjedzie mnie po całości.

– Niech się weźmie do pracy. Nie robi tego za darmo.

– Jemu to powiedz – bronił się. Nie zamierzał robić za piorunochron.

Hajduk puścił tę uwagę mimo uszu. Uregulowali rachunek i obaj ruszyli w swoją stronę. W tej branży w weekend jest najwięcej pracy, zdążył do tego przywyknąć.



Zaparkował przy Sobieskiego i przeszedł na początek ulicy. Mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze kamienicy połatanej plombami farby. Dla wzmocnienia efektu ktoś ozdobił drzwi do klatki skorupą spreju. Na rogu kamienicy działał jeden z ostatnich w mieście zakładów tapicerskich. O innym Hajduk nie słyszał.

Spojrzał w górę. Nad głową wisiał balkon, uginający się pod ciężarem wielobarwnych doniczek z kwiatami. Hajduk uznał, że lepiej będzie nie kusić losu.

Wdrapał się na ostatnie piętro i zadzwonił do drzwi. Otworzył mu szczupły, wysoki mężczyzna i bez zbędnych uprzejmości zaprosił agenta nieruchomości do środka.

– Proszę wybaczyć, że tyle to trwało. Wie pan, to moje kalectwo... –

Zrobił pauzę, przełożył kulę do drugiej ręki i podparł się na niej, kontynuując: – ...ma też dobre strony. Zanim dokuśtykam do drzwi, większość tych natrętnych domokrażców szuka szczęścia w kamienicy obok. – Zaśmiał się i zamknął za nim drzwi.

Hajduk odwzajemnił uśmiech, chociaż go nie słuchał, koncentrując się na oględzinach mieszkania. Pierwsze, na co zwrócił uwagę, to uszkodzony zamek. Właściciel deklarował, że lokal jest po remoncie i nawet jeśli ograniczył się do wyburzenia ścianki dzielącej kuchnię i jadalnię, a wystrój nie uległ zmianom, to mieszkanie wydawało się większe od tego z przygotowanej przez Figasa oferty. Od sporządzenia szkicu i wykonania niewyraźnych zdjęć upłynęło dwadzieścia lat. W nieruchomościach to szmat czasu.

Na stoliku pod ścianą stał magnetowid na kasety VHS. Zabawne, że ktoś jeszcze ich używał w dwudziestym pierwszym wieku.

– Ile metrów ma mieszkanie?

– Osiemdziesiąt z groszami. Nie pamiętam dokładnie, musiałbym zajrzeć do papierów. Na co dzień nie zwraca się na to uwagi.

– Nie trzeba, akt własności będzie mi potrzebny dopiero u notariusza. Jeśli uda mi się znaleźć kupca, konieczne będzie zaświadczenie ze spółdzielni o niezaleganiu z opłatami i wymeldowanie wszystkich lokatorów w urzędzie – uprzedził właściciela.

– Oczywiście, dostarczę, co trzeba. Mieszkam tu sam.

Właściciel oprowadził go po mieszkaniu, pokazując kolejne pomieszczenia. W żadnym nie zostali dłużej. Hajduk naoglądał się takich jałowych wnętrz. Umeblowanie przypominało twórczy chaos, rozłożony na lata niczym kiepska pożyczka. Stare sprzęty zastąpiono nowymi, niepasującymi do reszty.

Obserwował mężczyznę kątem oka. To zamieszanie kosztowało go dużo wysiłku. Właściciel zasugerował, żeby usiedli w salonie i porozmawiali o konkretach.

Gospodarz sięgnął po stojącą na stole karafkę i rozlał wodę do szklanek. Hajduk wypił łyk, przejrzał się w mętnym odbiciu i przeszedł do meritum.

– Ile chciałby pan dostać za to mieszkanie?

Mężczyzna poprawił się w fotelu i odstawił kule pod ścianę. Nie wyglądał na kogoś skrępowanego, przeciwnie, z jego oczu biła pewność siebie.

– Rozmawialiśmy o tym przez telefon. Mówiłem o dwustu osiemdziesięciu, ostatecznie dwustu siedemdziesięciu tysiącach złotych – powiedział stanowczo.

– Pamiętam. Przygotuję ofertę i sprawdzimy, czy znajdą się chętni. Chociaż będę z panem szczerzy. Średnia cena metra kwadratowego w tej okolicy i w tym standardzie to niespełna trzy tysiące złotych. Mieszkanie jest po remoncie, w niezłym stanie, może uda się dobić do dwustu dwudziestu tysięcy – rachował na głos. – O ile nie posiada żadnych ukrytych wad.

Obliczenia nie zrobiły na właścicielu wrażenia.

– Nie ma. – Głos mu nie zadrżał. Poprawił się w fotelu i szybko opadł z sił. – To znaczy jest jedna rzecz, świeża sprawa. Gdyby był pan tak uprzejmy i pomógł mi odsłonić zasłonę, o tutaj... – Wskazał palcem na grubą szarą zasłonę w kącie pokoju.

Hajduk podszedł do okna i chwilę mocował się z rozplątaniem supła. Na ścianie w rogu zauważył spory zaciek wilgoci, przypominający plamę oleju.

– Grzyb. Zgłaszałem to w spółdzielni. Przyszli nawet fachowca z administracji. Wszedł na dach i stwierdził, że to załatają. Kiedyś znajdowała się w tym miejscu antena zbiorcza. – Gospodarz wsparł się o krawędź fotela i sięgnął po leżącą obok kulę. Próbował się podnieść, jednak odwrócił się tak niezdarnie, że zawadził biodrem o stolik, a stojąca na nim szklanka się rozbiła. – Przepraszam, później to pobieram. Przyniosę panu nową... – powiedział przejęty, usiłując się podnieść.

– Nie trzeba, naprawdę. – Hajduk schylił się i zebrał spod stóp co większe kawałki szkła. – Ma pan może jakąś zmiotkę? Spróbuję to zgarnąć.

– Nie. Poradzę sobie – usłyszał w odpowiedzi. I poczuł silny uścisk wokół nadgarstka. Zdziwiająco silny.

Mężczyzna brzmiał tak zdecydowanie, że agent wolał się nie narzucać. Wiedział, że osoby niepełnosprawne bywają wyczulone na

tym punkcie i muszą niemal na każdym kroku udowodniać, że nie potrzebują niańki. Skoro tak, odłożył szkło na stół.

– Wróćmy do konkretów. Skoro cena jest za wysoka, co pan proponuje?

Hajduk mógł wreszcie przejść do przeciwicznego scenariusza. Sięgnął po tekturową teczkę ze zdjęciami i przedrukami. Rozłożył na stole ksero artykułu sprzed kilkunastu lat. Dziennikarz sklecił kilka zdań, podparł je cytatem z oficera prasowego policji i komentarzem sąiadki człowieka, który udusił w tym miejscu żonę, po czym podciął sobie żyły.

Tasował w dłoniach wykonane przez policyjnych techników i wygrzebane z archiwum zdjęcia z miejsca zbrodni. Najlepiej przemawiały do wyobraźni.

– Moja oferta jest następująca – zaczął. – Odkupię od pana to mieszkanie za sto osiemdziesiąt tysięcy. Nikt się nie dowie, do czego tu doszło. Oszczędzi pan sobie wstydu, rozmów z klientami i ich dociekliwych pytań. A proszę mi wierzyć, potrafią być upierdliwi. Przyzna pan, że to uczciwa propozycja?

– A jeśli nie przystanę na taką ofertę? – odparł po chwili namysłu.

– To będzie miał pan kłopot, żeby pozbyć się tego mieszkania. Nikt nie chce ani trupów w szafie, ani wytykania palcem przez upierdliwych sąsiadów.

Spoglądał mężczyźnie w oczy i szukał w nich oznak niezdecydowania. Nie znalazł.

– Rynek nieruchomości to zamknięte środowisko – dodał, wierząc, że przemówi mu do rozsądku. – Takie wieści odstraszą nabywców. Niestety.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał zetrzeć z niej ślady zdenerwowania. Hajduk śledził mowę jego ciała. Spodziewał się innej reakcji, nie widział żadnych nerwowych gestów. Słyszał równy, regularny oddech.

– Potrzebuję czasu do namysłu. Zaskoczył mnie pan i chcę się przespać z tą propozycją. – Jego głos był mechaniczny. Zimny.

Hajduk nie miał wyrzutów sumienia. Uznał, że powinien coś powiedzieć:



– Wie pan...

– A teraz proszę się wynosić. Natychmiast – nie pozwolił mu dojść do słowa.

Zrobił to. Upłynie trochę czasu, aż ciśnienie opadnie. Ludzie w takich sytuacjach reagują różnie. Jedni udają zaskoczonych, że ktoś dokopał się do ponurej historii ich rodzin, domu, ich samych. Inni wpadają w szal i grożą mu pozwem. Przyzwyczał się do tego. Koniec końców jedni i drudzy przystają na ofertę. Dużo łatwiej przełknąć stratę niż upokorzenie.



Wyszedł na zewnątrz i spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta. Wbił w nawigację adres klienta, który dzwonił rano, i płynnie się włączył do ruchu. Objechał centrum i za siedzibą sądu rejonowego, wzniesioną na początku minionego stulecia przez Schoenów, jedną z najznamienitszych rodzin w historii miasta, skręcił w prawo, po czym stanął przed orientalną restauracją.

Kurczak jalfrezi.

Gdy dotarł na miejsce, przeciągnął palcami mapę i powiększył obraz w komórce. Dom, w którym umówił się z klientem, znajdował się przy ulicy Nowej. Od krawędzi lasu dzieliła go z jednej strony ścieżka, z drugiej pas nieużytków, mimo to istniało większe ryzyko, że spotka tu dzika niż wścibskiego sąsiada. Wydawało mu się, że kojarzy to miejsce, choć podobne przeczucia miewał w przypadku wielu domów, które odwiedził. Tłumaczył to sobie specyfiką pracy. Pracował w nieruchomościach odwiec wieku. Ich liczba przestała lawinowo rosnać, powierzchnia miasta też nie była z gumy.

Oddzwonił pod ostatni numer. Telefon milczał. Odbiorca był poza zasięgiem, co nie mogło dziwić, znajdował się prawie w środku lasu. Figas też nie odbierał.

Zaczął się niecierpliwić. Wokół zrobiło się ciemno. Nie zamierzał tu kwitnąć w nieskończoność, licząc, że w końcu złapie zasięg.

Ponowił połączenie. Cisza. Niech to szlag! Poradzi sobie w inny

sposób.

Rozejrzył się. Budynek przypominał dom z dziecięcych obrazków: nudną, kwadratową kostkę z płaskim dachem, obrzuconą chropowatym tynkiem. Ale tu ktoś wymazał okno na parterze i w jego miejsce wstawił prowadzące na taras, przeszklone drzwi, które nijak nie pasowały do całości.

Ruda blizna brukowej kostki przecinała plac przed domem na dwie części. Palety z drugą partią kostki, która miała posłużyć do wybrukowania placu, piętrzyły się z tyłu. Płot od strony ulicy obsadzono żywopłotem.

Chwycił za klamkę od furtki. Otwarte.

Szedł wolno i spoglądał pod nogi. Stał przed drzwiami, szukał przycisku dzwonka. Nie zadziałał. Zapukał do drzwi. Najpierw raz, potem drugi. Nic.

Nasłuchiwał, jednak nikt nie otwierał. Cofnął się parę kroków. W jednym z pomieszczeń na dole tliło się światło, uznał, że ktoś musi być w środku.

Drzwi nie były zamknięte. W korytarzu uderzył go słodko-mdlący zapach.

– Halo, jest tu ktoś?! – rzucił w pustkę. Zabrnął za daleko, by się wycofać.

Z pokoju w końcu korytarza dobiegł dziwny dźwięk, przypominający ni to szmer, ni to szum, jakby ktoś lub coś czaiło się za ścianą. Na oklejonych tapetą ścianach podskakiwały cienie; grały w berka, pojawiały się lub znikwały pod drewnianą posadzką.

– Czy ktoś... – urwał w pół zdania, czując wibrację telefonu. – Kurwa mać!

*Zadzwoń teraz. Użytkownik zakończył rozmowę telefoniczną. Możesz do niego zadzwonić.*

„Przynajmniej jest zasięg”, stwierdził z ulgą i powtórzył ostatnie połączenie.

Wysłuchiwał się w szum po drugiej stronie. Dźwięk dochodził z sąsiedniego pokoju? Zajrzył. Nic. Goła żarówka wisiała na kablu, oświetlając kwadratową kuchnię żółtawym światłem. Wyglądało to tak, jakby w domu trwał remont. Podłogi, lodówkę i meble obłożono

folią. Ktoś okleił taśmą malarską ramy drzwi i okien. Wzdłuż ścian piętrzyły się elementy lakierowanych mebli. Wymiana starych paneli na imitujące drewno płytki była na półmetku. Wszędzie unosił się zapach świeżej farby.

Zadzwoił. Nikt nie odbierał.

– To jakieś żarty... – burknął pod nosem, zniesmaczony całą sytuacją.

Na stole leżał plik wydruków, głównie rachunków, i kartka pocztowa. Wziął ją do ręki i odczytał parę zdań pisanych niewyraźnym dziecięcym pismem:

*Nauczyłem się jeździć na nartach! Mama śle Ci całusy, ja nie, bo to obrzydliwe. Wracamy przed świętami, o szkołę się nie martw. Nadrobię. Kuba.*

Odłożył kartkę. Za oknem sypał śnieg. Puszysty i lepki jak cukrowa wata. Podjazd tonął w ciemności, a stojąca przed domem latarnia okryła naleciałości świeżego puchu ciepłą kołdrą światła. Kuchenna żarówka odbijała się w przedniej szybie stojącego przed domem samochodu. Aż raziała w oczy.

Ostatni raz wybrał to przekłęte połączenie. Cisza. Znowu brak zasięgu.

– Niech to szlag!

Gotów był przysiąc, że wychwycił jakiś urwany dźwięk i coś poruszyło się w korytarzu na piętrze. Może to złudzenie? Poszedł tam. Kiedy przykładał komórkę do ucha, dźwięk nasilał się. Czuł, że z każdym krokiem znajduje się bliżej źródła i stąpa po niewidzialnym dywanie utkanym z niepewności. Prócz żarówki w kuchni i odprysków światła latarni, wpadającego przez okno, wszędzie panowała ciemność. Zaciągnięte zasłony odcinały dopływ światła. Las wokół domu zawzięcie strzegł swoich tajemnic.

Hajduk przejechał dłonią po drewnianej poręczy. Odruchowo, jakby chciał odczytać wydrążone w niej historie. Stopień po stopniu wspinał się w górę.

Sygnal telefonu gęstniał pod sufitem. Stał się lepki, zawiesisty i ranił słuch.

Pod drzwiami jednego z pokoi ujrzał smugę światła. Pociągnął za

klamkę.

Minał próg i poczuł się tak, jakby ktoś wpuścił mu do gardła żyłkę z haczykiem i szarpał za nią, rozlewając treść żołądka na podłogę. Przełknął ślinę.

Widok był tak absurdalny, że podświadomość w pierwszym odruchu chciała zrobić z nim to, co przeciwiczył żołądek. Ciało młodej kobiety unosiło się kilkanaście centymetrów nad ziemią. Jej szeroko rozstawione ramiona ktoś oplótł zwiniętą w rulon zasłoną, a brzegi przywiązał do wwierconych w sufit haków. Hajduk zastanawiał się, w jaki sposób ta misterna konstrukcja utrzymywała ciało.

Dziewczyna miała przecięte nadgarstki.

Krew rozlała się po wewnętrznej stronie dłoni i spłynęła w dół.

Przypominała umazanego krwią anioła zawieszzonego nad ziemią.



Pod stopami, na wyłożonej przezroczystą folią posadzce, plamy krwi mieszały się ze strzępami złuszczonej farby, układając się w upiorną mozaikę.

*Gdyby był pan tak uprzejmy i pomógł mi odstąpić zasłonę, o tutaj...*

Słowa mężczyzny powróciły do niego i odbiły się od ścian żołądka.

O co w tym wszystkim chodzi?

Zasłona. Dotarło do niego, ile śladów zostawił na tym kawałku materiału. Oddech przyspieszał, a nogi zrobiły się miękkie jak z waty. Odwrócił się i podszedł do komody. Na blacie zamrugął wyświetlacz komórki. Zawahał się.

Wreszcie podniósł ją i odblokował. Na ekranie mignęło zdjęcie kobiety – tej samej, którą miał przed sobą. I lista nieodebranych połączeń. Z jego numeru.

– Co teraz? Skup się – upominał się na głos, wydeptując dziury w cienkiej folii.

Z oczu kobiety wyzierała pustka. Przypominały szklane kule wypełnione barwnikiem. Przeglądał się w tym mętym płynie. Wsiąkał w niego coraz głębiej i głębiej.

Znał ją. Spędził z nią poprzednią noc, jej ciało mogło o tym zaświadczyć. Usiłował przypomnieć sobie, ile razy się spotkali. Pięć, sześć? Nieistotne. O ostatni raz za dużo. Starał się opanować drżenie rąk, uspokoić je na tyle, by móc się skupić na czymś pożytecznym. W domu nikogo nie było, musiał zrobić teraz wszystko, by tak zostało. Zbiegł na parter i zaryglował drzwi.

„Co teraz...”

Wrócił na górę i rozejrzał się po pokoju. Wyniesiono stąd wszystko oprócz lampy i drewnianej komody. Zaczął grzebać w szufladach, szukając wskazówek, jednak nic w nich nie znalazł. Malarska folia szeleściła na podłodze.

Zamknął oczy, chciał odwlec to, co nieuniknione. W końcu się jej przyjrzał.

Była naga i blada niczym płótno. Zwinięta w rulon zasłona, która oplatała jej ramiona, zachłannie spijała z nich krew pozostawioną na materiale. Znalazł się w potrzasku, niczym zapędzone w sidła zwierzę. Biologiczne ślady, będące świadectwem ich bliskości, mogły go pograżyć i posłać na lata za kratki. Wiedział, że zostało mu mało czasu. Musiał zaryzykować.

Wokół siniejących stóp, luźno wiszących nad podłogą, ktoś rozsypał garść potłuczonego szkła. Wbity w skórę kawałek stanowił coś w rodzaju przesłania i precyzyjnie trafił do adresata. Wiedział, kto był nadawcą, choć nie znał powodu, dla którego ten zadał sobie aż tyle trudu, by go odszukać i ukarać.

Jego numer wciąż wyświetlał się na komórce. Za każdym razem, gdy się z nią umawiał, korzystał z niezarejestrowanej karty. Tak było bezpieczniej. To nie był numer, na który zwykle dzwonił, więc pewnie robiła podobnie.

Usunął połączenie. Uderzał palcami w obudowę aparatu, jakby w podzespołach tej plastikowej zabawki spodziewał się znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytania. Wczytał listę kontaktów. Nie znalazł nikogo, kto mógłby mu pomóc. Pozostało liczyć wyłącznie na siebie. W tym był akurat dobry.

Handlował śmiercią od lat, ale wciąż nie potrafił przywyknąć do jej widoku.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Obudził go posmak papieru ściernego w gardle i światło wpadające do sypialni przez szczelinę między oknem i źle dopasowaną roletą. Leżał z zamkniętymi oczami i wsłuchiwał się w odgłos gałęzi stukających o szybę. Wygrywały na niej jakąś żalobną pieśń. Usiłował zrozumieć, gdzie się właściwie znajduje, choć dobrze wiedział, że nigdy nie powinien tu być.

Błażej Uryga żałował, że nie ma wyrzutów sumienia. Zanim zaczął pracę w policji, wierzył, że są niczym automat, który w sytuacji zagrożenia zapala czerwoną lampkę i animuje ludzkie odruchy. To nieprawda. Przekonał się o tym boleśnie.

Otworzył oczy. Pragnął wymazać spod powiek to, co zostawiła noc i dołożyła wyobraźnia. Chłonał zapach kobiecej skóry, czuł na języku słodko-gorzki smak spędzonej z Natalią nocy. To było silniejsze od niego, uzależniające.

Podniósł się i natychmiast tego pożałował. Ból przeszył czaszkę, odebrał chęć do działania. Odszukał telefon w stercie ubrań rozrzuconych na podłodze i spojrzał na wyświetlacz. Lampka groziła wyczerpaniem baterii.

– Kurwa! – zaklął, usiłując wydostać się z pomiętej pościeli.

Prawą ręką zbierał ciuchy, w lewej ścisnął komórkę. Pięć nieodebranych połączeń. Wydawało mu się, że słyszał sygnał, lecz we śnie słyszy się tyle dziwnych rzeczy, z których niewiele okazuje się po przebudzeniu prawdą.

A już na pewno nie dwie opróżnione butelki po martini i piękna kobieta w łóżku. A tak się szczęśliwie złożyło, że ten widok miał teraz przed oczami.

Mieli się zdrzemnąć. Odpocząć i nabrać sił po nieprzespanej nocy.

A teraz skakał jak kretyn na jednej nodze, usiłując trafić stopą w nogawkę spodni.

– Coś się stało? – zapytała Natalia, wyraźnie rozbawiona całą sytuacją.

Błażej zganił ją wzrokiem. Opierała się plecami o wezłowie łóżka, w tle rzeźił telewizor, a on nie umiał oderwać wzroku od jej kształtnych piersi. Chciał coś powiedzieć, zrazić ją do siebie i wrócić, skąd przyszedł, z podkulonym ogonem, jednak jakiś impuls wciąż go pchał w jej ramiona.

Poznali się dwa miesiące temu na jednej z konferencji prasowych. Zwrócił na nią uwagę wcześniej, ale dotąd nie było okazji zamienić słowa na osobności. Sama nawiązała kontakt, pytając o jakiś drobiazg związany ze śledztwem, nie pamiętał już o co. Nie był upoważniony do odpowiedzi, ale po dwóch randkach wylądowali w łóżku. Miesiąc później wyprowadził się od żony i dziecka i zamieszkali razem w jej dwupokojowym mieszkaniu na największym osiedlu w Sosnowcu.

– Sprawdź godzinę, a potem pytaj, czy coś się stało. – Usiadł na brzegu łóżka, włożył skarpetki i zawiązał wysokie buty. – Kreft mnie zabije. Zabije! Urwie mi jaja przy samej dupie i zrobi z nich brelok do kluczy, nie żartuję.

– Myślałam, że masz wolne. Jest niedziela. Zresztą to nie trwało długo...

– Co nie trwało długo? Spaliśmy trzy godziny. W środku pieprzonego dnia!

Za to w nocy nie spali w ogóle. Nie tracili czasu na tak przyziemne sprawy. Kochali się, oglądali głupawe filmiki w necie, resztę nocy po prostu przegadali. O wszystkim i o niczym. Wciąż mieli sobie tyle do opowiedzenia.

– I co z tego? – Wzruszyła ramionami. Przejechała dłonią wzdłuż jego uda. Prosty, przyjemny gest. Nie reagował. Dotarło do niego, że relacja zabrnęła za daleko. Kłopot w tym, że nie umiał jej skończyć. – Zdrzemnęliśmy się. Wielka mi rzecz. – Poklepała poduszkę, zapraszając go do łóżka. – No chodź.

Ubrał się, włożył kurtkę i wyszedł bez słowa na zewnątrz. Walnął



drzwiami od samochodu tak mocno, jakby wierzył, że echo wybije mu ją z głowy.



Kwadrans później wysiadł przed kamienicą na Starym Sosnowcu, wciągnął powietrze, a w zasadzie rakotwórczą mieszankę dostarczaną do płuc ze spalanych w piecach śmieci, i ruszył w stronę bramy. Sprawdził adres, wyłącznie po to, by zająć czymś myśli. Policyjne koguty wywijały na jezdni zgrabne hołubce, zapraszając do tańca wirujące nad głową płatki śniegu.

Minął skinieniem opatrzone, policyjne twarze, burknął coś na przywitanie i wbiegł na ostatnie piętro kamienicy. Zmachał się, jakby przebiegł maraton.

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?

Nie spodziewał się werbli na powitanie, lecz nie miał w rękawie ciętej riposty. Daniel Zieliński wyraził tylko to, co reszta miała wypisane na twarzach.

„Nie pozwól się sprowokować”, powtarzał sobie w myślach niczym mantrę.

– Nie twój zasrany interes – nie wytrzymał i odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Co ty powiesz? Jak ty się opierdalasz, ktoś musi zrobić za ciebie robotę.

– Zejdź ze mnie. Skoro masz tyle pracy, to się nią zajmij – ustąpił i odszedł.

Nigdy za sobą nie przepadali, jednak ostatnio wciąż skakali sobie do gardeł. Zieliński był niższy o głowę, ale dobrze zbudowany i silny, a braki fizyczne nadrabiał sprytem i inteligencją. Był egoistą, myślał wyłącznie o sobie, dlatego nie umieli się dogadać i wciąż między nimi iskrzyło.

W mieszkaniu pracowali technicy. Każdy ślad, każdy drobiazg, który mógł mieć związek ze sprawą, należało zabezpieczyć i sfotografować. Procedura przebiegała zgodnie z przyjętym scenariuszem, choć

miejsce zdarzenia różniło się od tych, które dotąd odwiedził, jednym istotnym szczegółem.

Zwykle w centrum tego bałaganu znajdowały się czyjeś zwłoki. Nie tym razem.

Uryga stanął z boku i przyglądał się pracy ekipy technicznej.

– Wyglądasz, jakbyś założył twarz na lewą stronę. Wszystko w porządku? – Nie zauważył, kiedy podszedł do niego komisarz Robert Kreft. Przełożony nie dał mu czasu na reakcję. – Idź do kuchni i napij się kawy.

Nawet jeśli nie było to polecenie służbowe, wolał się nie sprzeciwiać. Pracowali razem od kilku lat. Kreft nigdy nie tworzył sztucznego dystansu, nie wykorzystywał pozycji do gnojenia ludzi; Uryga czasem miał wręcz wrażenie, że szef czerpał satysfakcję z naginania zardzewiałych policyjnych procedur.

Ostatnia noc dała mu w kość, uznał więc, że to nie jest wcale zły pomysł.

Kuchnia znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Była urządzona klasycznie, o ile za wyznacznik klasy przyjąć imitującą drewno sklejkę i tapetę w kratę, z każdym myciem śmieiej odchodzącą od ściany. Przelewowy ekspres na stoliku pod oknem zacharczał, opróżnił żołądek i wypluł smolistą ciecz do podajnika. Już sam zapach pobudzał do pracy szare komórki.

– Weź sobie szklankę. Jest nad zlewem. – Młodsza z dwóch policjantek, na które natknął się w kuchni, wskazała mu szafkę i wróciła do rozmowy z koleżanką. Starał się im nie przysłuchiwać. Nawijały o swoich sprawach.

Wszyscy sprawiali wrażenie dziwnie odprężonych. Z jakiegoś powodu zeszło z nich ciśnienie, które jest na trwałe wpisane w charakter tej pracy, a w wydziale kryminalnym niemal tężeje na twarzach. Uznał to za zły znak.

Wlał sobie kawy, podszedł do okna i wpatrując się w swoje odbicie w szybie, spróbował zrozumieć, kiedy tak spektakularnie spieprzył sobie życie.



Robert Kreft stał w drzwiach pokoju i nic nie mówił. Podwinął rękawy czarnej koszuli i zagryzł dolną wargę, przesuając palcami po ostrym, kilkudniowym zaroście. Czuł, że sporo go ominęło. Salon był przestronny, w razie potrzeby mógł pomieścić dwadzieścia osób. Teraz wydawał się klaustrofobicznie wręcz ciasny. Policyjni technicy skończyli pracę i obwieścili to bezradnym rozłożeniem rąk i skąpym komunikatem, że nic tu po nich, po czym udali się tłumnie w stronę wyjścia. Nie miał im tego za złe. Zrobiłby podobnie.

Stary odtwarzacz wideo na stoliku pod ścianą ciągle miał kasetę VHS.

– Muszę zabrać taśmę. – Ostatni z techników robił, co mógł, by zabrzmieć profesjonalnie.

– A ja muszę mieć ją rano na biurku. Możesz to przegrać, skręcić ten film od nowa, naprawdę, nie interesuje mnie to.

– Osobiście przyniosę ci ją w zębach, zadowolony? – odparł i wyjął taśmę z odtwarzacza. Przeklinał komisarza w duchu, choć wiedział, że ten miał rację.

– Nie oczekuję aż takiego poświęcenia. Z góry dziękuję. – Uśmiechnął się, rozładowując niepotrzebne napięcie, i przepuścił go w drzwiach do pokoju.

Robił wszystko, by pobudzić się do myślenia. Nic się tu nie zgadzało. Nie było zwłok ani śladów wskazujących, że doszło do zbrodni. Oprócz taśmy. Z tyłu głowy wyświetlała się zapisana na niej scena; młoda skrepowana kobieta i zabójca w kominiarce bez wahania podcinający jej gardło. Rodzaj nośnika i kiepska jakość nagrania wskazywały na to, że taśma miała przynajmniej kilkanaście lat. A na pewno na taką wyglądała. Gdzie się podziewała przez cały ten czas?

Usłyszał za plecami głos Błażeja i odwrócił się w jego stronę.

– Zjawi się łaskawie ktoś z prokuratury?

– Po co ci prokurator, widzisz tu jakieś zwłoki? – wszedł mu w słowo Zieliński. Siedział na krześle z wyciągniętymi nogami i bawił się

smartfonem.

Uryga wolał nie wdawać się w niepotrzebne pyskówki. Cała trójka stała w ciszy, jakby schodziło z nich powietrze. Atmosfera wymagała przewietrzenia.

– Dowiedziałeś się, czyje to mieszkanie? – powiedział Kreft do Zielińskiego, uprzedzając w ten sposób zbliżającą się wymianę uprzejmości.

– Tak. Zaraz dostanę namiary na właściciela. Sąsiedzi nic nie widzieli. To znaczy na klatce kręcili się jacyś ludzie, ale kto dziś zwraca na to uwagę?

– W takim razie kto wezwał policję?

– Kurier. Twierdzi, że drzwi od mieszkania były otwarte. Nie wchodził do środka. Wsunął awizo za próg, domknął je i zadzwonił. O niczym nie wie.

– Zaczynicie od sprawdzenia terenu, pogadajcie z ludźmi. Obaj – uściślił i wskazał palcem na Błażeja. – Śpiąca królewna musi się dotlenić.

– Przyznaję, dałem ciała. Długo zamierzacie mi o tym przypominać?

– Wygląda na to, że zabawa się dopiero rozkręca. Wolałbym, żebyś był w formie – powiedział spokojnie Kreft i poklepał go po ramieniu.

Uryga nie wyglądał na zachwyconego, jednak przełknął tę gorzką pigułkę.

– Daliście już sobie po razie? – wtrącił się Zieliński, zapinając kurtkę. – Miło z waszej strony. Zanim skoczę do właściciela, chciałem podjechać na chwilę na chatę i trochę mi się spieszy, więc wybaczenie. Bury, zbieraj dupę!

– Możecie jechać, będziemy w kontakcie. Tu i tak niczego nie znajdziemy.

Kreft usiadł w fotelu. Jeśli istnieje coś tak ulotnego jak intuicja, szósty zmysł, przeczucie, zwał jak zwał, to był dobry czas, by złapać to coś za fraki i zaprząć do roboty. Wdepnęli w bagno. Czuł to.

Czekał, aż pokój opustoszeje. Z doświadczenia wiedział, że tłok nie sprzyja przepływowi myśli. Zbliżał się wieczór, kamienica zaczynała tętnić życiem. Zaczął doceniać ten czas, zawieszony w pół drogi między spokojem nocy a gorączką kończącego się dnia.

Zastanawiał się, po co ktoś odkurzył starą taśmę i ściągnął ich tu, by im ją pokazać? Kim był sprawca, co łączyło go z ofiarą i czemu ją zabił?

Na tym etapie pytania i wątpliwości są czymś naturalnym. Stał w oknie i spoglądał w dół. Księżyc ostrożnie rozsuwał pomarszczoną kotarę chmur.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Dwadzieścia jeden gramów. Tyle, przynajmniej według Duncana MacDougala, waży ludzka dusza. Amerykański uczynek układał konających pacjentów na wadze i notował ich ciężar przed i tuż po tym, jak wyzionęli ducha. Różnica pomiarów wynosiła dwadzieścia jeden gramów.

Bez względu na to, jak wiarygodne były te badania, Michał Hajduk żałował, że nikt nie wpadł na pomysł, by postąpić podobnie z wyrzutami sumienia. Nie potrzebował wagi, żeby stwierdzić, że ciężar zwłok włożonych do bagażnika kilkuletniego outlandera nie zmienił się od chwili ich ściągnięcia na podłogę i przetransportowania do auta. Gotów był nawet przysiąc, że taszcząc ofiarę na plecach, stracił na wadze więcej niż dwadzieścia jeden gramów.

Z duszą czy bez, zwłoki kobiety ważyły, plus minus, pięćdziesiąt kilogramów, a droga do zaparkowanego pod domem auta miała niewiele mniej metrów. W teorii plan był dziecinnie prosty: musiał się tylko upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, otworzyć pilotem bagażnik i przenieść zawinięte w koc ciało z punktu A do punktu B. W teorii. Cała operacja zabrała mu godzinę i nie dawała gwarancji, że plan nie wyłoży się już na pierwszym wirażu.

Hajduk miewał w życiu zakręty, jednak tym razem znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Bez rozsądnej alternatywy. Opadł ciężko na fotel, dał odpocząć zmęczonym nogom. Las zacisnął wokół domu silne ramiona i sposobił się do snu. Wiatr ucichł, zachłysnął się hipnotyzującą ciszą i upajał jej smakiem. Śnieg opadał na spuchniętą ziemię. Lekko i bezrefleksyjnie.

Uruchomił silnik. Ledwie zaciągnął się oparami paliwa, zgasił go i wypadł na zewnątrz. Zmazał podeszwą odbite w śniegu ślady i zaklął

głośno, wiedząc, że z bieżnikiem opon nie pójdzie tak łatwo. Padający śnieg zrobi to za niego. W samochodzie było zimno. Oddech unosił się nisko i osiadał na szybach tłustą warstwą pary. Czuł się jak przed wyprawą w nieznane – powtarzał w myślach listę spraw do załatwienia, rzeczy do spakowania. Zastanawiał się, czy usunął ślady, które łączyły go z tym zabójstwem.

Wytarł wymiociny papierowym ręcznikiem i dla pewności spuścił go w kiblu. Szmata, którą polerował klamki, blat i poręcz, leżała zwinięta w kłębek na tylnej kanapie samochodu. Ślady obuwia. Bieżnik. „Co jeszcze...? Myśl...”

Ściągnął folię z podłogi i zabrał zasłonę, w którą zawinięte było ciało. Umył podłogę. Starał się niczego nie dotykać. Nawet światło zostawił włączone.

Wibracja komórki uświadomiła mu, że o czymś zapomniał. Poczul dreszcz.

Spojrzał na telefon. Najpierw na swój, później na ten znaleziony na górze. Nie wierzył w to, co zobaczył. Ściągnął obudowę i zajrzał do środka. Spod obudowy wystawała karteczka z wiadomością. „To niemożliwe”, upominał się w myślach, przecierając dłonią zaparowaną szybę. Na krawędzi lasu zaśnił niewyraźny świetlik. „To się nie dzieje naprawdę...”

Zajrzał do schowka i znalazł latarkę. Woził w aucie różne graty, nigdy nie wiadomo, kiedy się mogły przydać. Sprawdził, czy baterie działają, i pobiegł w stronę lasu, oświetlając sobie drogę snopem żółtego światła.

Cisza, niczym zdolny dyrygent, stopniowała napięcie i rozsadzała czaszkę. Słyszał przyspieszony oddech i śnieg strzelający pod podeszwami butów. Omiótł las wiązką światła. Zgarbione konary drzew nisko się pochylały, a suche gałęzie kładły mu na plecach kościste łapska. Mimo to brnął głębiej.

Wiedział, że ta gonitwa nie skończy się dobrze. Z jakiegoś powodu parł jednak do przodu, wbrew rozsądkowi, wiedziony instynktem. Smuga światła rozpraszała mrok, prowadziła go niczym zwierzę gonione w sidła przez myśliwego. Wyczuwał, że ktoś go obserwuje, czerpie siłę z jego strachu.



Osaczały go cienie. Rozbiegły się po lesie, chowały za drzewami i czekały, aż je odnajdzie. Paraliżował go strach. Przełknął ślinę i wszedł głębiej w mrok. Odwrócił głowę, usiłując dostrzec za plecami ścieżkę prowadzącą w głąb lasu. Czuł, że ciemność wyciska z niej całą ostrość. Zwolnił i zawrócił.

Wypluł pajęczynę, która przykleiła mu się do ust, gdy wpadł w jakieś krzaki, i strzepnął resztki tego, co dostało się za kaptur i boleśnie drapało w plecy.

Odwrócił się. Promień światła zniknął za kolumną drzew. Na ściskanej w dłoni kartce krzywo narysowana emotka szczerzyła się w uśmiechu.



Podążał na północ skąpaną w mroku drogą. Zostawiał za sobą wypłowiałe budynki, schowane za ścianą mgły. Jadący z przeciwka chevrolet obrzucił go śnieżną breją i zmusił do uruchomienia wycieraczek. Droga to wznosiła się, to opadała, jak taśma rozciągnięta na potężnych barkach lasu.

Sprawca wybrał dziewczynę nieprzypadkowo. Wysłał do Hajduka wiadomość, której ten nie umiał rozszyfrować. Wiedział, że nie może jej zostawić. Nie chodziło o nią, zbyt wiele śladów prowadziło do niego. Uznał, że spędzi noc w motelu przy trasie. W razie czego skłamał, że spotkanie biznesowe przeciągnęło się do późna i nie opłacało się wracać do domu. Ćwiczył ten manewr wiele razy, spotykając się z kobietami w hotelu, i jak na razie ta taktyka nigdy go nie zawiodła.

Spiker ostrzegał, że temperatura spadnie nocą do minus dziesięciu stopni. „Nic tak nie konserwuje zwłok jak mróz”, pomyślał mimowolnie i zawstydził się tego. Prześpi się, zresetuje umysł i znajdzie rozwiązanie.

O ile bezpieczne wyjście z tej sytuacji w ogóle istniało.

Dźwięk przychodzącej wiadomości o mało nie zniweczył tych planów. Sięgnął do kurtki i zahaczył łokciem o kierownicę. Koła

straciły przyczepność i ściągnęły tył auta do krawędzi drogi. Odruchowo odbił w drugą stronę, wbił hamulec i stanął w poprzek. Na szczęście nikt nie nadjeżdżał z naprzeciwka.

– Kurwa! – Złapał się za głowę, próbując przywrócić krążenie w zmarzniętych dłoniach. Oddychał tak szybko, że niemal czuł, jak tętno rozrywa mu skórę.

Nie mógł ryzykować. Zjechał na pobocze i odczytał wiadomość od Figasa:

*Sprawdziłem chatę, o której rozmawialiśmy rano. Zabawne, opchnąłeś ją w 93. Samobój. Niezłe jaja, co?*

*Znajdź mi wszystko na ten temat* – odpisał bez namysłu i wyłączył telefon.

Intuicja go nie zawiodła. Musiał sprawdzić, komu sprzedał dom. Zmienił plan, zawrócił i ruszył w stronę centrum. Pot oblał mu twarz, ręce drżały jak na niezłym rauszu. Księżyc uparcie rozsuwał zasłonę nieba i kłuł go boleśnie w oczy. Bał się je zamknąć nawet na ułamek sekundy.

Minął dworzec w centrum Sosnowca, ubrany w świąteczne iluminacje, i zwolnił na światłach przed wiaduktem. Zielona strzałka prowadziła w kierunku ronda, wystarczyło wybrać drugi zjazd i zwolnić przed kamienicą na Sobieskiego, w której wszystko się zaczęło.

Wyjechał spod wiaduktu, spojrzął w lewo i poczuł ukłucie w sercu.

Wyłączył migacz i pojechał prosto. Zostawił za plecami tańczące na jezdni światła policyjnych kogutów. Wokół kręcili się ludzie. Ulica była zamknięta.

Wycieraczki z trudem zbierały świeży śnieg, odchyłały się w lewo i w prawo i tylko dzięki irytującemu dźwiękowi, który wydawały, wciąż czuł, że żyje. W tej sytuacji szczerze tego żałował.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Postać w roboczym kombinezonie i kominiarce stała odwrócona tyłem do kamery. Sylwetka niewiele zdradzała. Szeroki kostium zniekształcał ciało i utrudniał identyfikację. Sposób poruszania się, postura, wzrost, a przede wszystkim statystyka wskazywały jednak, że mieli do czynienia z mężczyzną.

Napastnik ścisnął w ręce nóż z szerokim ostrzem. Stał spokojnie i czekał.

W lewym górnym rogu ekranu komisarz Kreft zauważył sylwetkę młodej kobiety.

Siedziała na krześle. Światło w kolorze uryny sączyło się z żarówki nad jej głową i oświetlało ją jak lampa teatralną scenę. Wokół panował półmrok, a spod jego szponów wynurzały się tylko niewyraźne kontury przedmiotów.

„Albo cienie dusz, które utknęły tu na wieki”, dopowiedział w myślach Kreft.

Jakość nagrania była fatalna. Szukał wskazówek między klatkami, jednak ustalenie miejsca wydawało się niemożliwe. Całość skrywała ciemność, resztę robiły niedociągnięcia techniki.

Film trwał dwie minuty czterdzieści sekund. Obraz śnieżył, ale na taśmie nie było zarysowań. Kreft przyglądał się dziewczynie. Nie wyglądała na wychudzoną ani brudną, uznał, że przebywała w tym miejscu najwyżej kilka dni. Sprawca milczał, nakręcał się oczekiwaniem na emocjonujący finał.

W połowie nagrania podszedł do dziewczyny i zaczął gładzić jej jasne włosy. Schodził dłonią w dół, dotykał policzków i ocierał łzy, jakby pragnął ją przekonać, że wszystko dobrze się skończy. Czerpał z jej słabości siłę? Żywił się jej strachem?

Szarpała się, usiłowała uwolnić dłonie i stopy. Po kilku próbach odpuściła. Była związana od pasa w dół, ręce miała splecione za oparciem krzesła. Na jej twarzy Kreft nie dostrzegł emocji, wyglądała na pogodzoną z tym, co zaraz miało nastąpić. Przygotował ją na to? Ściągnął zawiązaną wokół oczu dziewczyny chustę i jednym precyzyjnym cięciem poderżnął jej gardło...

Po wszystkim wrócił do ustawionej na statywie kamery i wyłączył nagrywanie. Przedstawienie dobiegło końca.



– Możesz zatrzymać to na sekundę? – zwrócił się Kreft do siedzącego obok informatyka, a ten zastopował film.

Znajdowali się w jednym z pomieszczeń komendy miejskiej w Sosnowcu. Po wyniesieniu stąd pudeł z przestarzałym sprzętem komputerowym i całą masą niepotrzebnych rupieci wreszcie dało się tu normalnie oddychać.

– Jesteś w stanie to trochę powiększyć? – zapytał komisarz.

– Mówisz o jej twarzy?

– Na przykład.

Informatyk wstukał coś w klawiaturę, przejechał kursorem wzdłuż ekranu i zbliżył obraz, który z każdą ingerencją stawał się coraz bardziej rozmazany i niewyraźny.

– Tyle. Więcej z tego nie dam rady wycisnąć.

„Dobre i to”, pomyślał Kreft i skoncentrował się na twarzy kobiety w chwili, gdy sprawca ściągał jej opaskę z oczu. To był ostatni moment, w którym mógł ją zidentyfikować. Kilka wyświetleń później poprosił o zrobienie screena.

– Zachowuje się tak, jakby chciał wzbudzić w niej lęk i zmusić ją do uległości – myślał na głos. – Dlaczego zasłonił jej oczy, skoro i tak zamierzał ją zabić? Może go znała?

Długowłose informatyk w fotelu przed ekranem spojrzał na niego z ukosa.

– Jeśli mnie pytasz, to nie znam się na tym. To nie moja bajka.

– Sorry, mówiłem do siebie. Zboczenie zawodowe.

Obraz na monitorze się zacinał. Ofiara nie wyglądała ani na zaskoczoną, ani na pobudzoną. Kreft po wielokroć wracał do tej sceny i utwierdzał się w przekonaniu, że to, co widział w jej źrenicach, przypominało raczej rezygnację.

– I co o tym wszystkim sądzisz? – zwrócił się do siedzącej obok kobiety.

Pierwszy raz mieli okazję współpracować tak blisko, chociaż zdarzało się, że była częścią zespołu przy trudniejszych sprawach, zwłaszcza tych wymagających czasochłonnych badań. W każdym razie nie znali się od wczoraj. Dopiero gdy o to zapytał, uświadomił sobie, jak wiele osób pracuje na ten wspólny sukces. Albo porażkę, bo tego też nie mógł na tym etapie wykluczyć.

Przyglądał się jej. Martyna Hirsz była niewiele od niego starsza, zbliżała się do czterdziestki. Z pozoru wyglądała na kogoś, kto nie wyściubia nosa z segregatora pełnego faktur, rachunków i zestawień piętrzących się na biurku. Wbrew tej mylącej powierzchowności ta krótko obcięta, drobna szatynka w grubych oprawkach na nosie wolała rozwiązywać równania śmierci.

– Ciężko cokolwiek powiedzieć, gdy nie mam przed sobą ciała – burknęła.

Wolał nie licytować się z nią na to, czego on potrzebuje do rozwiązania sprawy. Milczał, pozwalając jej zebrać myśli.

– Skoro nalegasz, powróźmy z tych fusów – zaczęła ostrożnie, zerkając w monitor. – Ofiara jest młoda. Ma nie więcej niż osiemnaście do dwudziestu pięciu lat. Na ciele trudno dopatrzeć się śladów przemocy. Sama śmierć, będąca, jak sądzę, efektem rozległej rany w okolicy tętnicy szyjnej, nastąpiła w ciągu kilkudziesięciu sekund. Nic więcej nie widać... – Pochyliła się i przesunęła palcem po ekranie. – Na pewno nastąpiła duża utrata krwi, to naturalne w takich przypadkach.

– To wszystko?

– Wszystko. Nie umiem ci pomóc. Chyba że uściślisz pytania, puścisz mi ciąg dalszy tej historii, a najlepiej dostarczysz jej ciało – droczyła się z nim. Nie doszukiwał się w tym złośliwości, cenił żart

sytuacyjny. – Za to chętnie obejrzę film jeszcze raz. Już na spokojnie. U siebie.

Odpuścił. Mimo to wciąż nie odrywał od niej wzroku.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? – Pytanie zawisło w próżni. – Że nie trafiła na mój stół? Nie, nie przypominam sobie. Zresztą, jeżeli zdarzyło się to dwadzieścia lat temu, na co wiele wskazuje, byłam wtedy w liceum lub zaczynałam studia. Gdy dostałam to zdjęcie, porozmawiałam ze znajomymi, lecz nie słyszałam, by trafiła do kogoś innego. A wierz mi, wiedziałabym o tym. Takie sprawy zapadają w pamięć.

– Jakość taśmy o niczym nie świadczy. Mogła zginąć kilka dni temu.

– Właśnie o tym mówię. Zrobiłam rozeznanie, nikt z kolegów jej nie pamięta.

– I nic cię w tej zbrodni nie dziwi? – prowokował ją i ciągnął za język.

– Wiesz, że to pytanie nie do mnie. Nawet laik zauważy nieścisłości.

– Złapała przynętę. – Po co nagrywa wszystko, skoro w kluczowym momencie i tak nic nie widać, bo zasłania kamerę plecami? – spytała przytomnie. – No po co?

– Może zrobił to nieświadomie lub zabrakło mu doświadczenia, bo zabił po raz pierwszy? Albo to zabójstwo na zlecenie, a nagranie jest dowodem na wykonanie zadania – myślał na głos, zmuszając ją do odbicia piłeczki.

– Sam widzisz. Nic tu po mnie.

Spasował. Poprosił informatyka, żeby przerzucił film na dysk zewnętrzny. Gdy Martyna Hirsz wyszła z pokoju, nawet się nie odezwał. Zamiast tego składał dalej rozsypane puzzle w całość.

– Dobra, co ty powiesz o tym nagraniu? – zwrócił się do informatyka.

– Nie znam się na VHS-ach, to prehistoria. Mogę poszukać urządzenia, na którym skrecono film, przerobić go na inny format, takie tam techniczne duperele. Albo skontaktować cię z gościem, który w tym siedział. Nie powiem ci, kto to zrobił. Ani gdzie to się odbyło. Sorry.

– Biorę, co masz. Długo ci to zajmie?

– Nie. Mam znajomego na mieście, lata siedział w tym sprzęcie. Jak tylko coś z niego wyciągnę, podeślę ci raport na biurko. Jestem ci do czegoś jeszcze potrzebny? Mam masę roboty w serwerowni... – Zbierał się do wyjścia.

– Idź. Przejrzę to raz czy dwa i też spadam. Klucz zostawię ci na recepcji.

– Jasne, nie musisz się spieszyć. Później i tak chcę wyskoczyć coś zjeść.

Ślęczał nad filmem godzinę, żyłował go na zwolnionych obrotach, przewijał i puszczał od nowa. Uważnie, ujęcie po ujęciu, jakby wertował ściskany w ręce plik pożółkłych fotografii i uczył się na pamięć kolejnych sekwencji.

Zabójca był szczupłym facetem, raczej żyłastym niż osiłkiem. Wydawać się mogło, że działa, jakby każdy jego ruch był zamierzony, ale w jego zachowaniu komisarz dostrzegł coś nienaturalnego. Nie cofnął ręki, nie zawahał się, a mimo to cięcie, które wyprowadził, wyglądało na wyćwiczone; nie było w nim pasji, gniewu, emocji. Po wszystkim wytarł nóż i wyłączył nagranie. Kurtyna opadła.

Kreft zrozumiał, że stawką w tej grze jest coś więcej. Zabójca zadał sobie trud, aby odcisnąć sens śmierci na taśmie. Krew wsiąknęła w nią, wypełniła treścią, ale przekaz był ukryty głębiej. Zamierzał się do niego dokopać.

Czas wypuścić powietrze, przetrzeć lustro palcami i przejrzeć się w nim.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk siedział przy drewnianej ławie na tarasie i usiłował przypomnieć sobie, czy zdarzyło mu się kiedyś, by śniadanie w przydrożnym motelu nie zajeżdżało ścierą do podłóg, a do jajecznicy wbito świeże jaja zamiast chemicznej papki, po której człowiek miał ochotę wypluć żołądek razem z zawartością.

Nie pamiętał jednak niczego takiego. Nawet jeśli ów smak podkreślała wizja więziennego wiktu, na którym, jeśli powinie mu się noga, miał się stołować przez najbliższe lata, to dopieszczone kubki smakowe odsuwały na później te niestrawne wizje.

Wrócił do bufetu. Nałożył sobie na talerz łyżkę sałatki jarzynowej, kostkę masła i kilka plastrów wędliny, dołożył do tego dwie kromki pełnoziarnistego chleba. Za białym nie przepadał, podwyższony cholesterol od dawna przypominał, żeby wyłączył go z diety. Jediną rzeczą, do jakiej mógł się przyczepić, była lurowata kawa, którą wlał do filiżanki. Za arabikę musiał dopłacić, a wolał nie korzystać z karty debetowej, nie chciał zostawiać po sobie śladów.

– Smakuje panu? – usłyszał kobiecy głos dochodzący z kuchni.

– Słucham?

– Pytam, czy smakuje panu jajecznicą? Jeśli nie, za chwilę będą sadzone.

– Dziękuję. Jedzenie jest pyszne. Planuję wpadać częściej – zaśmiał się.

– Cieszę się. Proszę spróbować naszych wędlin. Zamawiamy je u zaprzyjaźnionego producenta i goście bardzo je sobie chwalą.

Gdyby w zaparkowanym przed motelem samochodzie nie znajdowały się zwłoki dziewczyny, pewnie uznałby, że jest śliczna. Ale wolał nie wdawać się w zbędne dyskusje i odwzajemnił uśmiech.



– Targi, mam rację? – nie dawała za wygraną.

– Zgadza się – uciał temat. Od kilku lat na granicy z Dąbrową Górniczą działało centrum targowo-konferencyjne, pewnie stąd te przypuszczenia. Uznał, że bezpiecznie będzie trzymać się tej wersji. – Dziś muszę wracać.

– Zawsze jak są targi, mamy komplet gości. Na pewno spotka pan u nas paru znajomych – zaśmiała się serdecznie, uzupełniając talerze.

– Na pewno.

Wolał nikogo takiego nie spotkać, ale postanowił nie ciągnąć tego wątku. Skinął głową i wrócił na taras. Wciąż nie wiedział, co zrobić, a nieprzespana noc niczego nie ułatwiła. Bał się, że zostawił ślady, i przestał się łudzić, że wplątał się w to przypadkowo. Nie umiał przypomnieć sobie właściciela mieszkania. Nie miał pamięci do twarzy, nie przyglądał mu się. Zapamiętał tylko, że był osobą niepełnosprawną, chociaż i to nie było wcale pewne.

Wiedział za to, że nie może wrócić do domu. Gdyby się okazało, że coś na niego znaleźli, zwłoki w bagażniku pogrzebią każdą linię obrony.

Osiem godzin temu zatrzymał się przed zajazdem schowanym za dźwiękochłonnymi ekranami przy trasie na Kraków i wziął pokój na drugim piętrze. Wcześniej pozbył się folii i zasłon. Spalił je i przysypał resztki liśćmi.

Wszedł na górę, rzucił torbę na łóżko pod oknem i zasunął rolety. Wyjął z kieszeni telefon i powiesił kurtkę na wieszaku. Próbował ściągnąć obudowę komórki i podważył kartę paznokciem. Za nic nie chciała się wysunąć.

Uderzył telefonem o kant stołu. Pomogło. Trzymał kartę w ręce i wahał się, co zrobić. Wszedł do łazienki, złamał ją, po czym wrzucił do kibla. Spuścił wodę.

Powtórzył manewr z kartą SIM ofiary. Wiedział, że to jedyne rozwiązanie.

Stał w progu łazienki i się rozglądał. Pokój za plecami miał najwyżej osiem metrów kwadratowych. Wykładzina na podłodze cuchnęła tak, jakby wytarzało się w niej pół schroniska. Pod oknem stał drewniany

stolik, w rogu – wąskie łóżko. Zacieki brudu i tłuszczu na płytkach w łazience kleiły się do butów.

Opłukał twarz lodowatą wodą. Niewiele pomogło.

Figas. Gdyby nie wyrzucił karty do kibla, mógłby się z nim skontaktować. Z tym, że znów, jeśli coś na niego mają, dotrą po nitce do kłębka. Wolał nie kusić losu. Z telefonu się wytłumaczy; powie, że go zgubił, ktoś mu ukradł, i trudno będzie złapać go na kłamstwie. Musiał pozbyć się ciała. Tylko jak...

Łudził się, że kilka godzin snu pozwoli mu zebrać myśli.

I całą noc nie zmrużył oka.



Zjadł jajecznicę, podziękował dziewczynie za śniadanie i wrócił do pokoju.

Czuł się, jakby ktoś przepuścił go przez maszynkę do mięsa. Leżał na łóżku bez ruchu co najmniej godzinę i analizował ewentualne scenariusze. Powinien skontaktować się z żoną, zadzwonić do firmy. Zdarzało się, że znikał na noc, nikt nie robił z tego powodu sensacji, jednak zawsze miał przy sobie telefon, a w zanadrzu solidne alibi. Teraz ktoś na serio zacznie się niepokoić, a nie wierzył, żeby skończyło się na otarciach naskórka.

Zszedł na dół, zapłacił za pokój i poprosił o możliwość skorzystania z telefonu w recepcji. Z żoną poszło gładko. Wmówił jej, że wyjeżdża w interesach i wróci za kilka dni. Nie drażyła tematu. Zresztą od dawna sądził, że jest jej zwyczajnie obojętny. Z wzajemnością. Poprosił, by zadzwoniła do firmy i odwołała umówione na ten tydzień spotkania, co posłusznie uczyniła. Bynajmniej nie z grzeczności, raczej po to, by nie truć jej więcej głowy.

Puszczał ją kantem od lat. Musiała to wiedzieć, mimo to trwała w toksycznym związku. Z wygody, dla pieniędzy, z braku alternatywy. Nie kochał jej nigdy, z czasem przestała mu się nawet podobać, szukał tego, co utraciła, u młodych kobiet. Nie wierzył, że przyjdzie mu za to zapłacić tak wysoką cenę.

Ubrał się i wyszedł na parking przed motelem. Wypalił papierosa.

Zima udekorowała okolicę pudrową posypką i kreśliła pazurem mrozu mozaiki na szybach śpiących aut. Otworzył samochód i zacisnął ręce na kierownicy z taką siłą, że zbieleły mu knykcie. Musiał odreagować...

Wsunął klucz do stacyjki i włączył radio. Szukał czegoś, co zagłuszy hałas kotłujących się pod czaszką myśli. I tak nie był w stanie ich przekrzyczeć.

Zastanawiał się, czego najbardziej się boi; czy tego, że powinie mu się noga i trafi do więzienia za coś, czego nie zrobił? Chyba nie. Trudniej przełknąć porażkę, poniżenie i żyć ze świadomością, że dał się złapać w pułapkę.

Zamknął oczy. Nie robił tego od lat, ale modlił się, żeby to był sen. Zły sen.

I w jakimś sensie opatrność wysłuchiwała tych modłów. Ktoś na górze pstryknął palcami i zdarzył się cud. Przekartkował w głowie wszelkie możliwe sposoby na pozbycie się zwłok, z rozczłonkowaniem i kąpielą w kwasie włącznie. Otworzył bagażnik i zajrzał do środka. Ciało kobiety, które przywiózł nocą, zniknęło. Nie było po nim śladu.

Zamiast niego znalazł ciało kogoś innego.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Zegar leniwie wybił dziesiątą. Otuleni w puchowe kurtki ludzie snuli się ulicami i chowali przed chłodem w świecie anonimowych myśli. Ci bardziej przezorni spoglądali co pewien czas pod nogi, by nie wdepnąć w błoto na chodniku. Zima, niczym kapryśna panna, wciąż nie mogła podjąć ostatecznej decyzji. Opuścić szturm czy uderzyć ze zdwojoną siłą?

Światła snujących się aut rozgrzewały pogrążone w letargu miasto.

Robert Kreft stał w oknie pokoju i zerkał na dół. Zamieszał herbatę z cytryną i upił łyk. Słyszał, że nie powinno się dodawać cytryny do gorącej herbaty, lecz czym byłoby życie bez szczypty szaleństwa? „Ofiara była jedną z nich”, myślał. Chodziła tymi samymi ulicami, oddychała tym samym brudnym powietrzem, a mimo to z jakichś względów zabójca wybrał właśnie ją.

Znał statystyki. Każdego roku znika bez wieści kilkanaście tysięcy osób. W ostatniej dekadzie wskaźnik ten utrzymywał się na niemal stałym poziomie, lecz ostatnio zaczął niepokojąco rosnać, zwłaszcza w przypadku dzieci. Powody zaginięć są różne: od wieku i chorób utrudniających kojarzenie faktów przez zaburzenia psychiczne i brak właściwej opieki po świadomą decyzję o odebraniu sobie życia. Policja w pierwszej kolejności zajmuje się zgłoszeniami zagrażającymi życiu.

Część z nich kończy się odnalezieniem zwłok, choć niektórych tajemnic nigdy nie udaje się rozwiązać. Ofiary zabierają je do grobu, gdziekolwiek on jest. Jednak ten przypadek odwracał schemat. Tu śmierć stanowiła punkt wyjścia.

Kreft znał ten wzorzec na wrywkę, przerabiał go bez powodzenia, odkąd zaczął pracę w policji, a i wcześniej analizował na tysiące sposobów. Jego matka nie zaginęła, nie łudził się, że wciąż żyje, był

przy tym, gdy to życie sobie odebrała, skacząc z balkonu. Miał wtedy dziesięć lat, stał w drzwiach pokoju, w którym to się stało. Wciąż czuł na skórze wiatr wpadający do środka przez uchylone okno. Widział jej twarz w tym ułamku sekundy, kiedy przed skokiem, spłoszona, odwróciła się do niego. Wyrzucał sobie tę bezsilność.

Nic jednak nie mógł zrobić.

Podobnie jak bliscy osób, które zniknęły bez śladu, nie poznał nigdy odpowiedzi, nie dowiedział się, dlaczego do tego doszło. Upłynęło wiele lat, stał się innym człowiekiem, a niepewność wciąż zżerała go od środka, tkwiła głęboko pod skórą i przypominała o sobie w najmniej spodziewanych momentach. Spędził w archiwach dziesiątki godzin, przewertował dostępne dokumenty, choć nie było ich wiele. Nie wierzył, że go zostawiła. Znalezienie prawdy stało się jego obsesją.

Wieczorem nie mógł zasnąć, pół nocy spędził na grzebaniu w bazie danych. Może to stres obniżał zapotrzebowanie na sen? W ostatnim czasie nikt nie zgłaszał zaginięcia osoby, która przypominałaby dziewczynę z filmu, i nikt nie znalazł ciała. Przywykł do nurzania łap po łokcie w bagnie. Bąbelki tlenu wędrowały ku górze, rozbijały lustro wody i wypływały na wierzch. Zawsze.

Nieuchronny znak, że coś gnije na dnie.

Wypił herbatę, odstawił szklankę na biurko i udał się do sali odpraw. Mimo wczesnej pory zespół wydawał się solidnie przetrzebiony. Wydział kryminalny komendy miejskiej znajdował się na trzecim piętrze. Zespół pracował w kilku niewielkich pokojach, nieróżniących się od zwykłych pomieszczeń biurowych. Tworzyli go głównie młodzi śledczy.

Kreft dostał wolną rękę w budowaniu zespołu i umiejętnie z niej skorzystał, dobierając ludzi pod względem charakteru i predyspozycji. Znalazł miejsce zarówno dla doświadczonych śledczych, jak i tych nieopierzonych, jednak wyróżniających się przenikliwością, ambicją albo, jak w przypadku Zielińskiego, bezczelnością i sprytem, jakże niezbędnymi w tym niewdzięcznym fachu.

– Proszę o uwagę, halo!

Część posłała w jego stronę kilka zdawkowych skinieć, pozostali bez

słowa zasiedli przy swoich biurkach, nie odrywając wzroku od monitorów. Wyczyścił tablicę z zalegających na niej śmieci. Pod grafikiem wpiął zdjęcie ofiary, a w zasadzie to, co dało się wyciąć z nieostrego kadru. Nic więcej. Plik kopii położył na biurku.

– Szukamy informacji na temat tej kobiety – powiedział. Postukał palcem w niewyraźne zdjęcie. – Jak się nazywa, kiedy urwał się z nią kontakt i czy ktoś zgłaszał jej zaginięcie. Albo przeciwnie, dlaczego tego nie zrobił.

Na kilku twarzach spostrzegł zakłopotanie i uznał, że pora na wtajemniczenie.

– W kamienicy na Sobieskiego znaleźliśmy kasetę wideo z nagraniem zabójstwa tej dziewczyny. – Uniósł zdjęcie. – Co ciekawe, w środku nie było ani ciała, ani śladów świadczących o tym, że popełniono zbrodnię. Wkrótce dostanę raport techników, dlatego liczę na wasze zaangażowanie.

Żaden z policjantów nie odważył się mu przerwać, więc kontynuował:

– Marta – zwrócił się do policjantki siedzącej najbliżej. Pracowała w wydziale kryminalnym od dwóch lat i miejsce w pierwszym szeregu otrzymała z automatu. Była jedną z dwóch kobiet pracujących w zespole. – Sprawdź bazy zaginięć, przedzwoń i roześlij zdjęcia, może ktoś zgłosił jej zaginięcie? Ostatni miesiąc odpuść, już to zrobiłem. Możliwe, że trzeba rozszerzyć zakres poszukiwań do miesięcy i lat. To sporo roboty, wiem, jednak znaleźliśmy się pod ścianą. Wkrótce dostanę rekonstrukcję twarzy kobiety, grafik właśnie nad nią pracuje.

– Skąd wiemy, że u nas zginęła? To mogło się zdarzyć wszędzie – padło przytomne pytanie z sali. Mariusz Leks nie krył dumy z własnej przenikliwości. Pracował w wydziale kryminalnym najdłużej, jeszcze zanim trafił do niego Kreft. Większość tego czasu spędził za biurkiem, wypełniając stosy dokumentów i unikając otwartych przestrzeni, które sprawiały, że tracił orientację i gubił się w gąszczu nieznanymi osobami i faktami, uparcie szukając drogi ucieczki. Znacznie lepiej odnajdywał się w gąszczu skostniałych procedur.

– Gdzieś musimy zacząć. W pierwszej kolejności trzeba sprawdzić szpitale, schroniska i noclegownie. Jeżeli się zakopiesz, weź sobie

kogoś do pomocy.

Nie wyglądała na zachwyconą, choć bez słowa przyjęła to do wiadomości. Z tego, co zaobserwował, była skrupulatna i pracowita, mimo że nie na tyle przebojowa, by zrobić karierę w policji. Do tego wcale nie trzeba mieć żadnej z tych cech, wystarczy kręcić się przy odpowiednich ludziach i przyklaskiwać ich pomysłom, nawet jeśli się wykluczają. Co bywa, niestety, regułą.

– Ktoś musi uderzyć do fundacji zajmujących się zaginionymi, a jest ich trochę. W sieci dostępne są formularze i biogramy osób, które przepadły bez wieści. Ze zdjęciami też nie powinno być problemu. Ci ludzie siedzą w tym na co dzień, może ktoś skojarzy dziewczynę z fotografii. Jacyś ochotnicy?

– Zajmę się tym – zgłosił się Leks. Nie przepadał za odmrażaniem tyłka na mrozie, wolał poszperać w necie i nie ruszać czterech liter zza biurka.

Kreft skinął głową i przez moment milczał, jakby zgubił po drodze wątek.

– W razie czego media biorę na siebie. Rzecznik wie, że ma ich ślać do mnie. Nie sądzę, by coś zwęszyli. Jeśli coś wypłynie, będziemy reagować na bieżąco. Teraz skupmy się na tym, co mamy. À propos – przypomniał sobie o czymś. – Zielu, udało ci się pogadać z właścicielem mieszkania?

– Tak. Ale gównu wie. Panna, która wynajmowała od niego chatę, studiuje farmację – odparł Zieliński. I dodał po chwili: – Ma przerwę świąteczną, wróciła do domu. Dostała zdjęcie, ale nie zna zamordowanej dziewczyny. Uryga zdzwonił się z nią i laska twierdzi, że doszło do włamania. Co w pewnym sensie tłumaczyłoby rozwalony zamek w drzwiach.

Część ekipy zaniósł się śmiechem.

– W takim razie trzeba się temu przyjrzeć. A co z Urygą?

– Mnie się pytasz? Leci w chuja i tyle.

Parasol ochronny, który rozciągnął nad nim Kreft, zaczął przeciekać w kilku miejscach. Część dziur dało się wytłumaczyć traumą, jaką przeżył, gdy urodziła mu się córka. Trzy miesiące spędzili z żoną w szpitalu, pilnując, by jej drobne serce zaczęło samodzielnie

pracować, by w ogóle przeżyła. Dziś rozwijała się normalnie. Ta sytuacja solidnie go sponiewierała, choć nie uzasadniała jego zachowania. I Kreft nie miał na myśli nieprzespanych nocy, pomylnych autobusów ani spadku koncentracji, co bywa częste u młodych ojców, lecz mocniejsze zarzuty, z nadużywaniem alkoholu i służbowych uprawnień na czele. Jakby tego było mało, stres związany z walką o życie córki sprawił, że oddalili się z żoną od siebie, i w końcu Uryga wyprowadził się z domu. A przynajmniej taka wersja krążyła po korytarzach.

To nie był czas na wywlekanie prywatnych brudów. Kreft zmienił temat.

– Pogadaj z sąsiadami. Na pewno coś widzieli, warto jeszcze raz sprawdzić.

Zieliński skinął posłusznie głową. Komisarz miał ochotę przyłożyć mu kubkiem z kawą, lecz się powstrzymał i odstawił go na biurko. Przeklął w myślach Urygę. To przez niego mu się oberwało. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Temperatura spadła do ośmiu stopni poniżej zera i najwyraźniej nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Świetnie.



Po dwóch godzinach, które Zieliński spędził na klatce schodowej, było mu wszystko jedno. Nie zastał połowy lokatorów, co wzięwszy pod uwagę dzielnicę i standard lokali komunalnych, przydzielanych przez gminę, nie mogło dziwić.

Klatka schodowa cuchnęła szczykami, tylko na górze było ciut lepiej. Odświeżacz, kwiaty w doniczkach, lepszy świat lokali na wynajem.

Drzwi obok tych zaplombowanych policyjną taśmą otworzyła młoda kobieta.

Daniel Zieliński się przedstawił i machnął jej pod nosem policyjną szmatą.

– Możemy pomówić? – zapytał, nie dając jej w zasadzie szans na reakcję.



– Chyba tak. Zaprosiłabym pana do środka, ale...

– Nie trzeba – wybawił ją z opresji i podał złożone w kostkę zdjęcie. – Jestem z policji. Chciałbym się dowiedzieć, czy rozpoznaje pani tę kobietę?

Spojrzała na fotografię bez przekonania, po czym wzruszyła ramionami.

– Nie. – Dla pewności obejrzała zdjęcie drugi raz. Znow kiwnęła głową.

– W porządku. Widziała pani kogoś nieznanego, kto kręcił się wczoraj na klatce albo wchodził do mieszkania sąsiadów? – Wskazał na nie ręką.

– Wróciłam późno do domu. Najpierw praca, później zakupy, rozumie pan. Zdziwiłam się, że policja przeszukuje mieszkanie. Mąż był w delegacji i nie mógł niczego widzieć. Powiedziałam mu o wszystkim przez telefon. – Zawstydziała się, uświadamiając sobie, że nie zabrzmiało to wiarygodnie.

– Czy któryś z sąsiadów mógł być wtedy u siebie?

Uśmiechnęła się kpiąco, przez co poczuł się odrobinę niezręcznie.

– Nie liczyłabym na to. Są za starzy lub zbyt pijani, by cokolwiek zobaczyć.

– Rozumiem. Długo pani tu mieszka? – Zieliński zmienił temat.

– Ponad rok. Wynajmujemy mieszkanie z mężem. Wiosną przenosimy się do własnego, na strzeżonym osiedlu.

Wyraźnie zaakcentowała drugą część zdania, jakby ta miała znaczenie.

– Wie pani, kto mieszka za ścianą?

– Tak. – Zaczęła się irytować. Może nie była szczęśliwa z tego powodu? – Mieszkania na tym piętrze są wynajmowane, w przeciwieństwie do reszty. – Zamilkła, dając wybrzmieć wymownej ciszy. – Znam tę dziewczynę tylko z widzenia. Coś się stało?

– Nie, nic się nie stało. – Pograżał się. Wczoraj wieczorem policyjny walec sprasował mieszkanie na miazgę, a on wmawiał sobie i jej, że nie ma powodu do obaw. – To znaczy prowadzimy dochodzenie. Ta sprawa nie ma związku ani z nią, ani z państwem. Proszę się nie obawiać – uspokoił ją.

Nie pomogło. Sytuacja zrobiła się niezręczna, dlatego podziękował i przeprosił za najście. Zostały mu dwa ostatnie mieszkania na parterze, potem wsiąknie w archiwum do świąt. Taką miał przynajmniej nadzieję.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

„To się nie dzieje naprawdę”, Hajduk upomniał się po raz wtóry w myślach i zamknął bagażnik, jakby zamierzał przewinać taśmę i wrócić do ostatniej zapamiętanej sceny.

Wypuścił powietrze i wziął głęboki oddech. Powtórzył ten układ kilkukrotnie i znów podniósł klapę bagażnika. Ciało młodej dziewczyny, dwudziestoletniej, może nieco starszej, wciąż znajdowało się w środku. O co tu chodzi?

Nie przypominała kobiety znalezionej w domu pod lasem. Spotkał się z nią kilka razy, zrobił, co miał zrobić, wciągnął gacie na tyłek i wrócił do nudnego, rodzinnego życia. Zamiast jasnych, sięgających ramion włosów nosiła długi ciemny warkocz, zapleciony ciasno za uszami. Różniły się budową ciała, wzrostem. W zasadzie wszystkim oprócz płci i wieku.

Zakręciło mu się w głowie. Zamknął bagażnik. Jajecznicą, jedną z lepszych, jaką jadł, uparcie szukała drogi odwrotu i tylko siłą woli zatrzymał ją w żołądku. Próbował złapać oddech, ten jednak wymykał mu się i bawił z nim w berka. Wystraszył się, że straci przytomność, zanim zdoła uspokoić puls.

Oddychaj.

Dłonie zmarzły mu niemal do kości. Pocierał jedną o drugą i ogrzewał je oddechem. Znalazł się w pułapce. Czas wziąć się w garść i zacząć działać.

Wiedział, że nie może zwracać na siebie uwagi, musiał zachowywać się w miarę naturalnie i nie wzbudzać podejrzeń. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Rozejrzał się. Zajazd mieścił się w sąsiedztwie domków jednorodzinnych. Mieszkańcy chronili swą prywatność, a osiedle

oddzielał od parkingu motelu sztywny, betonowy parkan. Z tej strony nic mu nie zagrażało.

Ktoś go śledził. To pierwszy wniosek, jaki przychodził mu teraz do głowy.

Spojrzał w górę. W motelu otwarto kilka okien, w pozostałych szczelnie zaciągnięto rolety. Zastanawiał się, ile uda się stamtąd zobaczyć. Okna jego pokoju wychodziły na drugą stronę ulicy i nie zdoła tego sprawdzić.

Monitoring. Jeśli wszystko rejestrowały czujniki kamer, to spędzi w pierdlu resztę życia. Z drugiej strony, dostanie szansę udowodnienia, że ktoś zamienił ciała. Sytuacja była absurdalna, czuł się niczym w ukrytej kamerze.

Przypomniał sobie twarz dziewczyny. „Może ma przy sobie dowód, coś osobistego”, pomyślał. Złapał za klamkę bagażnika i w porę się powstrzymał. Przecież i tak nikt nie uwierzy w jego wersję zdarzeń. Dopóki na ciele kobiety nie było jego śladów, niczego mu nie udowodnią, łudził się.

Jedno pytanie nie dawało mu spokoju. Gdzie jest pierwsza ofiara?



Wrócił do recepcji.

Mężczyzna w eleganckim garniturze meldował się i płacił za pokój. Gdy skończył, pociągnął za sobą walizkę na kółkach i usiadł na skórzanej sofie przed kominkiem. Suche polana strzelały niczym iskry w reklamie leku na potencję. Towarzyszyły mu dwie atrakcyjne kobiety, pewnie hostessy, którym tłumaczył, na czym polega praca na stoisku firmy. Robił to z tak poważną miną, jakby potrzebowały do tego przynajmniej dwóch fakultetów.

Hajduk zaczekał, aż cała trójka zajmie się rozmową, i podszedł do recepcji.

– Chciałbym wiedzieć, czy parking przed motelem jest monitorowany?

– Czy coś się stało?

Liczył na odpowiedź zamiast pytania. Nie mógł dać tego po sobie poznać.

– Nic. Wydaje mi się, że zgubiłem... – „na litość boską, myśl!”, upominał się – ...laptop. Może nie wziętem go z pokoju albo źle przeszukałem bagażnik?

– Od strony parkingu nie ma kamer. Monitorujemy wyłącznie teren przed wejściem. Brama jest zamykana na noc, nigdy się nie zdarzyło, żeby coś zginęło. Proszę sprawdzić w pokoju. – Odwróciła się i wręczyła mu klucz. – Oczywiście jeśli laptop zginął, spisujemy protokół i wezwiemy policję.

Nie słuchał jej. Skoro brama jest zamykana na noc, w jaki sposób ktoś podmienił ciała? Zresztą nie pamiętał, by ktoś mu w nocy specjalnie otwierał bramę, więc śpiewka z jej zamknięciem wydawała się naciągana.

– Słyszysz mnie pan? – wyrwała go z zamyślenia.

– Nie trzeba, na pewno się znajdzie – uspokoił ją Hajduk.

Wrócił na górę i położył się w łóżku, aby uwiarygodnić całe zamieszanie. Kwadrans później zszedł na dół i oddał klucz.

– Przepraszam za kłopot, zadzwoniłem do wspólnika i laptop jest w firmie. Byłem przekonany, że wziętem go ze sobą. – Śmiał się, udając wpadkę, i od razu wpakował się w kolejną. Jakim cudem dzwonił do Figasa, skoro korzystał z aparatu w recepcji, twierdząc, że jego się zepsuł? Mógł zadzwonić z pokoju, ale był za bardzo spięty, by na to wpaść.

– Nic nie szkodzi. Najważniejsze, że się znalazł. Udanych targów – rzuciła, kiedy mijał próg motelu. Wolał się łudzić, że ściska wszystkie karty w dłoni.

Idąc do auta, uświadomił sobie, że powinien skupić się na pozytywach, choć głupio to brzmiało w obecnej sytuacji. Nie miał nic wspólnego ze śmiercią kobiety z bagażnika, na jej ciele nie było odcisków ani niczego, co dało się z nim powiązać. Ciała, na którym było ich w nadmiarze, nie znalazł.

Musiał kupić kartę i zadzwonić się z Figasem, to po pierwsze. Może Arturowi uda się naprowadzić go na człowieka, który wpuścił go w ten kanał?

Czas włókł się niemiłosiernie. Hajduk usiadł za kółkiem i włączył radio. Spiker nawijał coś o wypadku i korkach na ekspresówce, poślizgu z wydatkowaniem unijnych pieniędzy i przedświątecznym zakupowym szaleństwie. Przez to całe zamieszanie zapomniał o świątecznej gorączce. To jak z bólem zęba, jeśli chcesz, żeby przestał cię boleć, uderz się z całej siły w żołądek. Zawsze pomaga.

Świat zwolnił. Włączył wycieraczki i zgarnął świeżą warstwę puchu. Zastanawiał się, jaki to wszystko ma sens. Ludzie ciągle gdzieś pędzą; ścigają się ze sobą, z urojonymi pragnieniami i napompowanymi do granic absurdu oczekiwaniami. W szybach uśpionych aut odbiło się słońce, utrudniając wgląd w prywatność tych, którzy wybrali anonimowość w przydrożnym motelu. Głos w radiu zapewniał, że mróz nie odpuści i najbliższej nocy przypuści kolejny szturm, schodząc miejscami do piętnastu stopni poniżej zera.

Skoro szukał pozytywów, traktował ten znak niczym uśmiech opatrności.

Zamknął oczy. Jej twarz zastygła pod powiekami. Miała przed sobą całe życie i wyglądała tak niewinnie, jakby przed chwilą zasnęła. Jej młode rysy nie zdążą nabrać charakteru, osobowość nie ukształtuje się wskutek popełnionych błędów i niewykorzystanych szans. Nie obwiniał się za to, choć podświadomie czuł, że w pewnym sensie ją tego pozbawił. Bezpowrotnie.

## Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku

Gdy był dzieckiem, Janusz Bursa wierzył, że śnieg ma szczególną moc. Rozprasza mrok, odbija goi, jak w zabawie w berka, przekazuje dalej. Ta noc, w odróżnieniu od poprzednich, była zadziwiająco jasna. Puszyste koc śniegu i sączące się światła pochylonych nad drogą latarni tworzyły sielankową scenerię.

– Pozbierałeś już wszystko? – spytał, siedząc za kółkiem. Uchylił nieznacznie szybę opla astry i wypuścił na zewnątrz obłok tytoniowego dymu.

– Jeszcze statyw, nie dam rady zabrać się ze wszystkim za jednym razem.

„Co mnie to obchodzi”, myślał Janusz Bursa, gdy tamten zniknął w drzwiach restauracji schowanej za pierzeją działkowych ogródków.

Dochodziła druga nad ranem, a przed lokalem ustawiły się grupki młodych ludzi, przebierając nogami z zimna. Kilka dziewcząt w za szerokich marynarkach narzuconych na nieosłonięte ramiona oddalało się od lokalu, w którym kończyła się studniówka. Ich koledzy w zapoconych garniakach niewiele sobie robili z mrozu, a może grzało ich tanie wino, którym raczyli się prosto z butelek?

Sławomir Szulc wrzucił statyw do bagażnika i usiadł obok kierowcy, energicznie chuchając w zziębnięte palce. Mróz zbliżał się do piętnastej kreski.

– Ale piździ! – dodał i naciągnął czapkę na uszy. – Sorry, że ściągałem cię w środku nocy. Ten jebany rzęch za nic nie chce odpalić. Akumulator padł.

Pracowali ze sobą od kilku miesięcy. Poznali się w technikum, później ich drogi rozeszły się na lata. Wpadli na siebie na imprezie u znajomych i tak, od słowa do słowa, zakiełkował pomysł na

wspólną firmę. Bursa wpakował w nią dorobek życia. Kupił kamerę Panasonic, ponoć najlepszą na rynku, od gościa, który przywoził sprzęt prosto z Reichu, i zajęli się filmowaniem.

Interes kręcił się przyzwoicie. Najlepiej wychodzili na weselach. Niewielki wkład własny, schematyczna robota i dużo zleceń, głównie z polecenia. W sezonie letnim trafiały się po dwa w jeden weekend. Zimą nie było różowo. Panny młode nie rwały się do odmrażania zgrabnych czterech liter, a w styczniu i w lutym nie było „r” w nazwie miesiąca, co ponoć nie wróżyło małżeństwu najlepiej. Rosnąca liczba rozwodów potwierdzała ten trend.

Żona Bursy była nauczycielką w jednym z liceów, dzięki niej trafiły się pierwsze studniówki. Maturzyści nie wybrzydali. Ich oczekiwania były bardzo przyziemne. Marzyli, aby spać się po korek, zaliczyć jakąś pannę i po powrocie do domu nie obudzić starych. Wszystko.

– Żaden kłopot. Całą noc montowałem film z wesela – wykręcił się Bursa.

– To luz. Muszę podjechać tu rano z kablami i rozruszać tego trupa. Całe szczęście, że właściciel pozwolił mi zostawić ten szmelc przed lokalem, inaczej musiałbym ściągać lawetę.

Janusz dopalił papierosa, wyrzucił niedopałek za okno i uruchomił silnik. W opłu zaczęło się robić chłodno, zakręcił korbką uchyloną szybę.

– A jak impreza? – zapytał, wyjeżdżając z szutrowej drogi. O tej porze nie musiał nawet wbijać migacza. Droga była pusta, pod kołami strzelał tylko suchy śnieg. Służby komunalne tradycyjnie zaspaly z odśnieżaniem ulic.

– Obleci – uciał Szulc i sięgnął do plecaka. Otworzył puszkę i napił się piwa. – To lepsze od wesel. Nie narobisz się, gówniarze nie wydziwiają, kasa podobna. A jak nie nagrasz oczepin, nikt ci nie złoł tyłka – zażartował.

– No. Za rok trzeba pomyśleć o ulotkach, rozpuścić wici. – Bursa snuł ambitne plany. – Żona ma znajomości wśród nauczycieli, zrobi nam reklamę.

– Taa. Jakiś synek wniósł na imprezę domowy bimber i łeb chce mi teraz rozpieprzyć – zaśmiał się Szulc, dopijając piwo. – Cholerstwo



miało kopa, mówię ci.

– Pij dalej w robocie, to chuj nam wyjdzie z tego interesu! – zdenerwował się Bursa. – Do tego z małolatami. Powaliło cię do reszty, człowieku?

– Zejdź ze mnie, o co ci chodzi?

– O to, że masz w dupie, co do ciebie mówię – zaczął się nakręcać. – Nikt nam nie zleci żadnej roboty, jeśli będziesz robił ogrywki narąbany – syknął.

– Nie nawaliłem się. I nie bój nic, nie narobię twojej żonce wstydu.

– Jej w to nie mieszaj – ostrzegł go. – Dopiero zaczęliśmy łapać zlecenia, więc nie spieprz tego, bo zostaniemy na lodzie. Włożyłem w ten cyrk kupę forsy, w przeciwieństwie do ciebie. I nie zamierzam pójść z torbami – uciał.

– Będziesz mi to wypominał do usranej śmierci?

– Bo to prawda.

– Dobra, przyjąłem. Kurwa!

Przejechali najwyżej pół kilometra, gdy snop przednich świateł omiół dziewczynę w podwiniętej do kolan sukni. Szła poboczem drogi w stronę przystanku autobusowego, brnąc w zwałach nieodgarniętego śniegu. W ostatnim tygodniu sporo go napadało.

– Ej, zatrzymaj się! – Szulc złapał go za ramię. Opel zwolnił przy krawędzi jezdni. Mężczyzna opuścił szybę i zawołał: – Jesteś sama? Wskakuj, podrzucimy cię.

– Dzięki, dam sobie radę.

– Nie wygłupiaj się, jest z minus dziesięć. Wsiadaj! – nie dawał za wygraną.

Zawahała się. Kręciło jej się w głowie i przemarzła do kości, więc może to nie był zły pomysł? Pilnowała się, by nie wsiadać do auta z nieznanymi, lecz to była wyjątkowa sytuacja. Nie czuła palców u stóp i знаła człowieka, który proponował podwózkę. „Znała” to za duże słowo, kojarzyła z widzenia. Kręcił studniówkę, zamienili dwa zdania w ogonku do toalety. Nie wierzyła, by groziło jej z jego strony niebezpieczeństwo. Wydawał się dość miły.

Usiadła z tyłu.

– Nie zimno ci w samej kiece? – Odwrócił się do niej i zaśmiał,

dopijając piwo. Znudzony zgniótł puszkę i wyrzucił ją przez okno. Stłumił beknęcie.

– Nie. Wracalam z chłopakiem i się pokłóciliśmy. Zostawiłam wszystko w aucie jego ojca. Kurtkę, buty na zmianę. To kretyn, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. – Ugryzła się w język. „Nie wdawaj się w niepotrzebne dyskusje”.

– Nawalił się, co? – Szulc drażył temat, wyraźnie rozbawiony.

– Zawieziecie mnie do domu? – nie dała się podejść, unikając odpowiedzi.

Spojrzeni po sobie. Janusz Bursa widział w oczach współnika coś niepokojącego.

– Jasne, że tak – odparł Szulc. – Jeśli powiesz gdzie. – Znowu ten rehot.

– Na Ostrogórską. Wsiądę w centrum, dalej pójde piechotą, to niedaleko.

Skłamała. Nie musiała tłumaczyć się z tego, gdzie zamierza spędzić noc.

– Odstawimy cię pod drzwi. Słowo harcerza! Tylko zawieziemy sprzęt do firmy. To rzut beretem stąd, bez sensu wozic go po całym mieście – wyjaśnił.

Bursa zmierzył go wzrokiem. Firma, o której wspominał Szulc, miała siedzibę w garażu domu, który właśnie wykańczał, i oprócz sprzętu do montażu i tony kurzu nie było tam nic więcej. Spojrzał na zegarek. Wpół do trzeciej.

– Możemy zostawić wszystko u ciebie, to akurat po drodze – zasugerował, zwalniając na skrzyżowaniu. Pomarańczowe światło mrugało nad ich głowami, jakby nie mogło się zdecydować, po czyjej stronie się opowiedzieć.

– Spokojnie, zdążymy – odparł Szulc i zacisnął palce na ramieniu kierowcy. Zabolało. – Zdążymy.

Bursa czuł, że drętwieje mu ręka, i nie zaprotestował. Pamiętał, że Szulc nie toleruje sprzeciwu, wiedział to już w technikum. Niewiele się zmienił od tego czasu. Był silnym facetem, już wtedy przerastał wszystkich o głowę. Po latach do blisko dwóch metrów wzrostu dokleił imponującą muskulaturę.

– Jak chcesz – odpowiedział cicho i poczuł, że uścisk zelżał.

– No. To jedziemy do firmy, a później odwieziemy cię do domu. Pasuje ci?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Najwidoczniej było jej wszystko jedno.

Ulice opustoszały, co nie dziwi w niedzielę nad ranem. Od czasu do czasu minął ich jakiś pojazd. Ciemność w oddali przecinały światła jadącego z przeciwka ciągnika przerobionego na pług do odśnieżania. Wycieraczki zgarnęły puch z szyb i zrzuciły go na maskę. Szyby zaparowały od środka.

Milczeli. Bursa zwolnił na przejeździe kolejowym, tuż przed bramą kopalni Kazimierz-Juliusz. Ulicą Główną dotarł do skrzyżowania przy poczcie, tam odbił w lewo. Dwieście metrów dalej ponownie przeciął szyny kolejowe i pojechał wzdłuż drogi, biegnącej równoległe do popularnego „Ośrodka”. Niedaleko stąd znajdowała się mała hala, w której mecze rozgrywał Kazimierz Płomień Sosnowiec. Bursa nie przepadał za siatkówką, chociaż był na kilku meczach w dusznej szkolnej sali gimnastycznej i musiał przyznać, że chłopcy zaczynali się rozkręcać.

– Stań na chwilę, muszę się odlać – powiedział Szulc i spojrzał mu w oczy.

– Zaraz będziemy na miejscu...

– Stań, kurwa, nie rozumiesz?! Nie wytrzymam. Piwo ciśnie mi na pęcherz.

Zrobił, co wspólnik kazał. Objechał parking i ustawił samochód tuż przed linią drzew. Ten fragment parku był nieuczęszczany, przypominał zapuszczony las. Bursa milczał. Miał złe przeczucia. W zasięgu wzroku nikogo nie było.

Szulc wyszedł z auta i rozejrzał się. Zamiast udać się do lasu i zrobić, co trzeba, wyrwał klucz, uniósł bagażnik i zaczął szperać w podróźnej torbie, z którą się nie rozstawał. Otworzył drzwi i pociągnął dziewczynę za rękę.

W lusterku nad głową kierowcy załśniło ostrze noża. Bursa wypadł na zewnątrz, wystraszony tym, co zobaczył. Zaczął nerwowo machać rękami.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?

– Zamknij się! A ty chodź. – Wsunął głowę do środka i ponaglił dziewczynę.

– Czy tobie do reszty odjechało, człowieku? – Bursa nie potrafił nad sobą zapanować. W stojących wzdłuż pustej ulicy domach nie paliło się światło.

Dziewczyna wydawała się zaskoczona. Posłusznie, jak zahipnotyzowana, wydostała się z samochodu. Szulc złapał ją za włosy i ściągnął na kolana.

– Włóż do środka i zgaś te jebane światła! – Machnął Bursie przed nosem nożem. Rozpiął spodnie. – A ty rób, co trzeba. I spróbuj pisnąć słowo.

Usiłowała się wyrwać. Nie zwolnił uścisku, przyciągał jej głowę do siebie.

– Głucha jesteś?

Bursę zamurowało. Nie umiał podejmować szybkich decyzji, co według niego świadczyło o wysokiej inteligencji i co bez powodzenia ćwiczył w sobie od lat. Widział, że po twarzy dziewczyny płyną łzy, mimo to nie zrobił nic, żeby jej pomóc. Drżały mu dłonie, a słowa grzęzły w gardle. Co teraz?

Zamknął oczy. Chciał uspokoić oddech i odciąć się od wszystkiego, a kiedy je otworzył, Szulc leżał na ziemi. Zwijał się z bólu i trzymał za krocze.

– Na co, kurwa, czekasz, goń ją! Jebana suka! Zabiję!

Rozważał w głowie argumenty za i przeciw, jednak wszystko działo się tak szybko, że zadziałał instynktownie i pobiegł za dziewczyną. Odciał jej możliwość ucieczki w stronę cmentarza i wskazał ostatnią z opcji. Przez las.

Zyskała kilkanaście metrów przewagi, choć panujący mrok ograniczał widoczność. Kątem oka zobaczył, że przebija się przez chaszczę, kaleczy o gałęzie i biegnie na oślep, ściskając w ręce podciągniętą sukienkę.

Przed oczami stanął mu dziwny obraz. Siedział w diabelskim młynie, w huśtawce przypominającej łódkę, i wznosił się wysoko do nieba. Dziś tego miejsca nie było, plac zarosły chaszczę, ukrywając

ślady po dawnej atrakcji.

Zostało dwieście, góra trzysta metrów. Wypadnie na ulicę po drugiej stronie. Nie wie o tym, inaczej odbiłaby w lewo i znalazła się przy cmentarzu. Tam, przy odrobinie szczęścia, spotka kogoś, kto opatrzy jej rany i zawiezie na posterunek. Wolał się nie zastanawiać, jakie będą konsekwencje.

Przyspieszył. Przeskoczył nad wystającymi ze śniegu kikutami połamanych gałęzi i konarami powalonych przez wiatr drzew. Czuł, że lodowate podmuchy szatkują płuca i w powietrzu niesie się głos Szulca. Zaczęła słabnąć. Widział, że dziewczyna ściąga buty, rzuca je za siebie i biegnie w rajstopach po zmarzniętej ziemi. Dotknął jej ręki, jednak zdołała się wyrwać i skręciła w biegu stopę, wyjąc z bólu. Potknęła się. Przewrócił się na nią, lądując w zaspie śniegu.

– Zostaw mnie! – płakała, usiłując wydobyć się spod niego i bijąc na oślep.

Nie zwolnił uścisku. Nie przestawała krzyczeć, więc docisnął dłoń do jej ust. Zdążył wyszeptać jedno słowo – przepraszam – a gdy poczuł na karku uścisk Szulca, wiedział, że jego rola dobiegła końca. Ulżyło mu.

Opadł na śnieg i ciężko dyszał. Gdzieś w prześwitach świadomości zobaczył, jak Szulc siada jej na klatce piersiowej, bierze w dłoń drobną twarz i coś krzyczy. Siedział dwa metry dalej i nic nie słyszał, a może nie chciał słyszeć? Nie trwało to długo. Szulc złapał ją za gardło i potrząsał jak dziecięcą grzechotką. Minutę, dwie, Bursa stracił rachubę. Przestała oddychać?

Wtedy Szulc splunął jej w twarz i podniósł się z ziemi.

– Cholerna dziwka.

Otrzepał spodnie ze śniegu i błota. Wyjął paczkę papierosów i machnął mu nią przed nosem, ale Bursa nie zareagował. Wciąż znajdował się w innej czasoprzestrzeni. A przynajmniej bardzo pragnął się tam znaleźć.

– Zapalisz?

– Pierdol się – wysyczał.

Czuł, że po policzku płynie mu strużka ciepłej krwi.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft siedział w aucie i pił kawę z tekturowego kubka. Obserwował wróbla. Ptak pojawiał się i znikał, nurkując pod maską samochodu. Samotny, złękniiony, wyprany z barw i energii. Kiedyś widywał je częściej. Przylatywały w większych grupach i obsiadały wszystko. Robiły przy tym tyle hałasu, że nie sposób było je przeoczyć. Dodawały życia szaroburym osiedlom, takim jak to na sosnowieckim Zagórzu.

Z klatki bloku z wielkiej płyty wyszedł młody mężczyzna w naciągniętym na głowę kapturze. Podeszedł do auta, zajrzał do środka i usiadł obok kierowcy.

– To dla mnie? – Sięgnął po kubek z kawą z podajnika pod deską rozdzielczą i przesunął fotel maksymalnie do tyłu, by rozprostować nogi.

– Często się. Kupiłem po sąsiedzku, w żabce. Ale znośna.

– Ostatnio wstawili nowy ekspres. Stary robił straszną lurę. Kiedy wracasz późno, taka kawa może ci uratować życie, uwierz mi.

Błażej zdjął plastikowe wieczko i upił kilka łyków. Jeszcze gorąca.

– Dzięki. To gdzie jedziemy? – zapytał.

– Na giełdę do Mysłowic, umówiłem się tam z jednym gościem.

Obaj milczeli. Było to milczenie zwiastujące nadchodzącą wymianę razów.

Kreft przebijał się przez osiedlowe uliczki, tak ciasne, że z trudem manewrował między ustawionymi wzdłuż nich autami i zwałami zgarniętego z chodnika śniegu. Jechał wolno, by nie urwać koła na jednej ze schowanych pod śniegiem dziur.

– Wytłumaczysz mi, co tu robisz? – zapytał, siląc się na obojętność.

– Znudził ci się przytulny bliźniak pod miastem i zmienianie pieluch

córcie?

– Naprawdę myślisz, że dam się wciągnąć w twoje psychologiczne gierki?

– Chcę pogadać. Tak po prostu, bez oceniania i prawienia ci morałów.

– Jasne. To w twoim stylu – zakpił Uryga. – Zawsze masz gotową tezę i choćbym stawał na rżęsach, i tak mi wmówisz, że popełniam błąd.

Kreft mimowolnie pomyślał o ojcu i dziesiątkach podobnych scen i rozmów, które przeprowadzili przez te wszystkie lata. Z tym, że to on posądzał ojca o brak elastyczności i trzymanie się swoich racji. Z wiekiem zaczynał go przypominać, nawet jeśli starał się postępować odwrotnie. Uśmiechnął się, uświadamiając to sobie.

Wyjechali z osiedla. Na rondzie za placem papieskim wybrali trzeci zjazd. Na przystanku autobusowym zmęczeni ludzie przebierali nogami z zimna.

– Myślałem, że pozbierałeś się do kupy, otrzepałeś i najgorsze za wami.

Milczał. W tle leciał kawałek *Fell on Black Days* z ulubionej płyty komisarza, *Superunknown* Soundgarden. Uryga czuł, że i w jego życiu nastąpiły czarne dni.

– Niewiele zabrakło, a straciłbym córkę. Naprawdę chcesz to wywlekać?

– Nie. I nie osądzam cię. Zastanów się jedynie, czego oczekujesz od życia.

– Nie wiem czego – burknął kwaśno. – I to mój problem. Robisz coś, poddajesz się temu i nie kontrolujesz, gdzie cię to zaprowadzi. Odpuść.

Gdyby chciał się odgryźć, nawiązałby do chwili, w której Kreft stracił matkę. Nie zniżał się do tego poziomu. Dziesięcioletni chłopiec nie ma wpływu na decyzje rodziców. Wiedział, że szef nie odpuści, nie pogodzi się z tym, co stało się ćwierć wieku temu. Takie zdarzenia zostawiają ślad na psychice.

Spojrzał na wyświetlacz. Temperatura ustabilizowała się na sporym minusie. Od dawna nie padało, nawierzchnia była sucha

i przejezdna.

Uryga ugniatał tekturowy kubek. Nie szedł na wymianę ciosów. Zbliźali się do ronda Gierka, w tle majaczyły fasady odrapanych kamienic. Miasto zamarło w przedświątecznym letargu, odsłaniając swoje prawdziwe oblicze.

– Powiesz mi, kim jest facet, do którego jedziemy? – Błażej wolał zmienić temat.

– Taśmy VHS były popularne w latach dziewięćdziesiątych. Ten człowiek handlował wszystkim z wyjątkiem swoich organów, a i tego nie jestem pewien. Sporo widział, sporo wie, nie zaszkodzi podpytać – wyjaśnił Kreft.

– Zamierzasz puścić mu to nagranie?

Komisarz uśmiechnął się pod nosem. Minęli park Harcerski, zmierzając w kierunku giełdy samochodowej w Mysłowicach.

– Spłynie to po nim. Równie dobrze możesz mu puścić film z pierwszej komunii.

– Ty tu rządzisz, nie mieszam się.

Wolał nie rozszerzać katalogu zastrzeżeń o aspekty prawne, etyczne i całą paletę obostrzeń i procedur związanych z prowadzonym śledztwem, a w zasadzie rozpoznaniem, bo póki co działali na własny rachunek, jeszcze bez udziału prokuratury. Kreft przestrzegał ich równie gorliwie jak instrukcji BHP, wiszącej na korkowej tablicy w pokoju operacyjnym wydziału.



Ireneusz Mroczek sprzedawał samochody od piętnastu lat, a na myśłowickiej giełdzie robił interesy od początku. Handlował, czym popadnie. Od zwożonej z hal pod Łodzią na pokładzie poloneza caro białizny po płynące kontenerami podróbki markowych ciuchów i garnki, którym po dwóch użyciach łuszczyła się imitacja teflonu. Powtarzał, że to stresująca robota. Ciągłe reklamacje, groźby karalne i wcielone w życie, w końcu rzucił to w diabły i zajął się sprowadzaniem używanych aut z Niemiec.



Na początku stawiał je na powietrzu, obok wozów wszelkiej maści i gabarytów, na które mieszkańcy pobliskich miast i miasteczek wymienili wysłużone fiaty i trabanty. Gdy powstały potężne hangary, koczowniczy tryb życia znudził mu się na tyle, że wynajął część hali i ulokował w niej biznes.

Dorobił się nawet biura, a w zasadzie oszklonej pakamery z biurkiem oraz składanymi krzesłami z plastiku. Wskazał je policjantom i zasugerował, by usiedli. Czekali, aż skończy nawijać przez telefon, co trwało wieczność.

– Robert, widzieliśmy się lata temu. Wyrosłeś, zmężniałeś, głupio tarmosić cię za policzek, jak dawniej – zaśmiał się i wyciągnął grubą dłoń, ściskając prawice gości siedzących karnie pod ścianą. – Co cię do mnie przygnało?

– Zmartwię cię. Nie przyjechałem kupić beemki. Ale dobrze cię widzieć.

Mroczek zaśmiał się szczerze, wprawiając w drgania zbędne fałdy na tłustym ciele.

– Zawiodłeś mnie. Jeśli szukasz czegoś z klasą, to mam na składzie lekko bite audi. Bite w trakcie lawetowania z jakiejś dziury pod Dreznem. Słowo honoru! – Uniósł prawą dłoń, jakby składał ślubowanie. – Igła, przysięgam.

– Domyślam się. Niemiec płakał, jak sprzedawał.

– No, jakbyś przy tym był – zarechotał rubasznie.

Kreft przyjrzał mu się. Ireneusz Mroczek zaokrąglił się, posiwiał na skroniach, mimo to wciąż wydawał się być w niezłej formie.

– Jak biznes, kręci się? Nie wyglądasz na kogoś, kto dokłada do interesu.

– Nie narzekam. Klienci są, auta coraz lepsze, przyzwoite prowizje. Czego chcieć więcej? Żona ode mnie odeszła, bo nie ma mnie w domu, ale to też raczej zysk niż strata. Sam rozumiesz. – Dobry humor go nie opuszczał.

– Bajka. Niech zgadnę, wszystko pierwszy właściciel i prawdziwy przebieg. – Komisarz droczył się z nim odrobinę, choć szanował go za smykałkę do interesów.

– I tu cię zaskoczę. Ludzie chcą wierzyć, że dwadzieścia tysięcy na

blacie to prawdziwy przebieg pięcioletniego wozu. Serio. Stawiam auto niemieckiego emeryta, którym jeździł na wieś, a w tygodniu używał do kręcenia kółek wokół domu i jakimś cudem nabił pięćdziesiąt kafli, to wezmą je za pieprzony szrot. Chcą być oszukiwani, a my spełniamy ich oczekiwania.

– To wspaniałomyślne z twojej strony. I nikt nie sprawdza tego w serwisie?

– Oczywiście, że sprawdzają. Jeśli wpada zziązany gość i pyta, czy auto ma książkę serwisową, docieka, ilu miało właścicieli, i jęczy, że chce to na papierze, to dyskretnie zmieniasz obiekt zainteresowania delikwenta na wóz, który w trakcie wizyty na diagnostyce nie robi ci kuku. Musisz wyczuć, z kim masz do czynienia. Psychologia, mówi ci to coś? – śmiał się.

Do pakamery zajrzał niski, łysiejący facet w okularach zasłaniających pół twarzy. Mroczek skinął dłonią, żeby dał im jeszcze trochę czasu.

– Miło się gawędzi, ale interesy wzywają. Sami wiecie, czas to pieniądz.

Kreft rozsunał plecak i wyjął taśmę VHS. Celowo nie wziął ze sobą wersji zgranej na pena.

– Handlowałeś tym kiedyś. Rzucisz okiem i odpowiesz mi na parę pytań?

– O, to było lata temu. Skąd ci wezmę odtwarzacz do tego cholerstwa...? – Zamyślił się i zamilkł, lecz po chwili dodał: – W sumie, czekaj chwilę, coś mi chodzi po głowie.

Wybrał numer i przystawił telefon do ucha. Kreft słyszał tylko, jak tłumaczy zawilość sytuacji, przytakuje i zadowolony umawia się na spotkanie.

– Rzeczy niemożliwe załatwiam od ręki – skwitował rozbawiony. – Wezmę tylko kurtkę, trzeba się kawałek przejść. Zapomniałem, że na targu jest gość, który handluje starociami, sprzętem dla amatorów tego szajsu i innymi duperelami. Macie szczęście, odtwarzacz też się znajdzie. Podepnijmy kasetę do tego kombajnu i powinno załapać. – Włożył kurtkę, zawinał szalik wokół szyi, a na głowę wcisnął ciasny kaszkiet.



Ta część targowiska różniła się od giełdy samochodowej. Czas zatrzymał się tu w latach dziewięćdziesiątych. Metalowe, zardzewiałe szczęki i boksy z szemraną zawartością pozwalały przenieść się na chwilę w przeszłość.

W jednej z metalowych bud rezydował niski, chudy typ ze szczerotkowym wąsem, pieścotliwie nazywany przez wszystkich Stasińkiem.

Stasieniek podłączył odtwarzacz marki Otake, pod telewizor Funai i czekał z kiepem w ustach, jakiego pornoła odpali na nim Mroczek. Zamiast tego przyszło mu wcisnąć się w kufajkę i spędzić kwadrans w budzie kolegi handlującego pirackimi płytami. Na zamówienie. Wyłącznie spod lady.

– Co o tym sądzisz? – Kreft zagadnął Mroczka w połowie trzeciego seansu. Ten wydawał się niewzruszony, jakby oglądał reklamę pasty do zębów, a nie scenę brutalnego zabójstwa. Skończył oglądać i odparł niezrażony:

– Te taśmy robiły furorę w latach dziewięćdziesiątych. Kupowałem je w pudłach po dziesięć sztuk w Chorzowie. Na Kościuszki? Zabij mnie, nie pamiętam. Nieważne. Sprzedawałem czyste, zafoliowane, do prywatnego użytku. Nie bawiłem się w ten cyrk, który odstawiali tu inni. Ludzie zgrywali na nie filmy, zwykle akcji, pornole, bajki, programy telewizyjne i wymieniali się nimi. Niektórzy nagrywali każdy odcinek *Czaru par* czy *Telefoniady*, pamiętacie ten chłam? Skąd, jesteście przecież za młodzi – poprawił się.

Kreft wiedział, o czym mówi. Nie wymieniał kaset, choć przypominał sobie, że oglądał zdobyte w ten sposób filmy. Prawa autorskie mieściły się wówczas w szeroko pojętym nurcie science-fiction. Ojciec przynosił do domu nagrane na VHS kreskówki i puszczał mu je. Ich jakość była kiepska, ale nie przeszkadzało mu to wałkować ich na okrągło, aż zajechał taśmę i rozpętało się piekło.

Błażej Uryga był młodszy i załapał się na schyłek świetności kaset

wideo.

– Zawsze się dziwiłem, jak oni tłumaczyli te filmy? – spytał Uryga, odchodząc od tematu. – Mało kto znał wtedy angielski, nie było napisów ani komputerów.

– I tu byś się zdziwił, młody człowieku. Dubbingowano nawet niemieckie pornole. *Ja, ja, das ist gut, Hans.* To są kultowe teksty, musicie mi wierzyć.

Nie byli fanami niemieckich filmów o miłości z długowłosymi blond amantami i panienkami z pancernym biustem, ale jak wszyscy, którzy dorastali w latach rozkwitu dzikiej kinematografii, zetknęli się z tą formą twórczości.

– Polak wszystko załatwi – ciągnął Mroczek, nie czekając na odpowiedź. – Z czasem powstały firmy, które zajmowały się podkładaniem głosu pod te produkcje. Słałeś taki film, dajmy na to, do Zielonej Góry, a oni używając miksera, podkładali dźwięk pod to cudo. Dasz wiarę? Potem ślecząłeś nad tym gniotem, przegrywałeś to z taśmy na taśmę, pakowałeś na tył wartburga i wiozłeś na giełdę. Piękne czasy. To se ne vrati, jak mawia klasyk.

– Też żałuję – uciął Robert Kreft. – Kiedy to mogło zostać nagrane?

– Na ekranie nie wyświetla się data, nikt jej nie ustawił. Wydaje mi się, że nie da się jej określić. To pierwsza wersja nagrania, najwyżej druga, następne kopie byłyby gorszej jakości. Pytasz, kiedy została nagrana? Stawiam na pierwszą połowę lat dziewięćdziesiątych. Taśma jest nowa, nie ma zarysowań. Widać, że przechowywano ją w odpowiednich warunkach. Zresztą dam sobie łapę uciąć, że VHS-y przetrwają dłużej niż te tandetne plastikowe płyty, są po prostu trwalsze. À propos trwałości. Trzydzieści lat temu w kasecie z komunii córki zaległy mi się mrówki. Mówię serio. Skurczybyki złożyły tam jaja, wyobrażasz to sobie? Dziecko płacze, żona wyzywa, taśmę musiałem wywalić na śmietnik. Na szczęście zrobiłem kopię.

W tle tej uroczej opowieści leciał film, który Mroczek oglądał kątem oka. W trakcie piątego lub szóstego zapętlenia wzdrygnął się i szukał przycisku na odtwarzaczu, by zatrzymać obraz. Wzdłuż ekranu przebiegała gruba, podrygująca linia. Zabójca wracał właśnie do ustawionej na statywie kamery.

– Obstawiam w ciemno początek lat dziewięćdziesiątych. Spójrzcie na jego rękę. – Wskazał na nadgarstek mężczyzny. – Nie będę się zakładał, bo głównie tu widać, jednak dam sobie łapę uciąć przy samym łokciu, że to Tissot. Srebrna koperta, skórzany konkretny pasek i srebrne wykończenia. Sam ścigałem z Reichu podobne sikory i wierzcie mi, szły jak woda. Dziś takich cacek nie znajdziecie na żadnym allegro czy chińskim alibabie.

Uryga gapił się w ekran jak zahipnotyzowany. Zegarek mignął mu przed oczami. Trudno było go zauważyć, nie mówiąc o rozpoznaniu. Był pod wrażeniem. Model niewiele mu mówił. Z tego okresu pamiętał zegarki z kalkulatorem i melodyjkami. Każdy w klasie chciał je dostać na komunię. Sam otrzymał od chrzestnego złoty łańcuszek z medalikiem i cisnął nim w kąt, gdy wujek wyszedł.

– Jesteś w stanie powiedzieć konkretnie, jaki to model? – zapytał Kreft.

– Nie wiem, spróbujmy. – Mroczek wyciągnął telefon i uruchomił przeglądarkę. Po serii podejść znalazł model produkowany w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku. – To chyba ten. Drogi sprzęt, na targu chodziły wówczas jego tanie podróbki. Nie było łatwo dostać takie cacko, a na pewno nie u nas.

– Facet mógł założyć zegarek po to, żeby nas zmylić – zauważył przytomnie policjant, wciąż gapiąc się jak zahipnotyzowany w ekran telewizora. Nic tam nie widział.

– To nie takie proste. To stary model, w googlach znajdziesz góra trzy linki, zresztą sprawdźcie sami. – Wcisnął im pod nos komórkę. – Mógł wyciągnąć go z szuflady ojca, kupić na aukcji, ale nawet ja, oglądający wyłącznie *Ojca Mateusza*, wiem, że gdyby chciał was wprowadzić w błąd, zrobiłby to bardziej nachalnie. Zegarek jest praktycznie niewidoczny, trudno go poznać, a pasek wygląda na oryginalny i nieużywany. Dziś go nie dokupisz. Musiałby kurzyć się w szufladzie ze dwadzieścia lat.

– Masz rację. To konkretny trop i warto mu się przyjrzeć. Dzięki za pomoc.

– Wpadniesz z flaszką po zamknięciu sprawy i będziemy kwita. – Wyszczrzył się. – I nie zapomnij pozdrowić ojca, z nim też się nie

widziałem... – chciał dokończyć, że od czasu śmierci żony, ale ugryzł się w język – ...od dawna.

Robert Kreft odwzajemnił uśmiech. Wiedział, że nie skorzysta z propozycji. Nie pamiętał nazwisk, zapominał o świętach, rocznicach i rok w rok dobijał się do sklepu w Matki Boskiej Zielnej, jednak wspomnienie imienin z dzieciństwa, kiedy jednego wieczoru pękało kilka butelek wódki, a ojciec spędził pół nocy w toalecie, wzbudzając najpierw irytację, a na drugi dzień kpiące docinki matki, przypominało, z kim pić nie powinien. Ireneusz Mroczek znajdował się na czele tej listy. Miał głowę nie tylko do interesów.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Musiał się spieszyć. Ciągłe roztrząsanie sytuacji, w której się znalazł, i szacowanie szans na wybrnięcie z niej bez szwanku zaczynały go męczyć. Bez zadrapań się nie obejdzie. Pozbycie się ciała było ryzykowne, to fakt, ale żaden mniej inwazyjny sposób nie przychodził mu aktualnie do głowy.

Wahał się, czy zawiadomić policję. Sprawy zabrnęły za daleko. Nie zwróci życia kobietom, a historia była tak niewiarygodna, że lepiej nie ryzykować, uznał. Ktoś wplątał go w te zbrodnie, zaaranżował je w najdrobniejszych szczegółach i trudno uwierzyć, żeby zdążył wystrzelać się z całej amunicji.

Potrzebował odpoczynku. Najgorsze, co mógł zrobić, to dać się ponieść emocjom. Do zmierzchu zostało niewiele czasu, nie chciał pozbywać się zwłok za dnia, wtedy ryzyko było większe. Krążył więc po mieście, wreszcie podjechał na parking pod centrum handlowym M1 w Czeladzi. Na wszelki wypadek sprawdził, czy bagażnik jest zamknięty. Z auta obok wysiadła atrakcyjna kobieta, otulona w ciepły komin i białą pikowaną kurtkę.

Uśmiechnęła się. Hajduk był zbyt spięty, by zareagować. Wszedł do środka i rozplątał się w bezosobowej masie wylewającej się z alejek i sklepów.

Wybrał kawiarnię naprzeciw wejścia. Często umawiał się tu z klientami.

Wszedł na górę. Zwykle było tu pusto i planował w ciszy przejrzeć pocztę.

Włączył laptop. Chwilę trwało, nim ten się uruchomił, Hajduk dawno planował wymienić go na coś nowszego. Wpiął modem i poczekał, aż złapie zasięg. Na schodach zamajaczyła sylwetka

młodej dziewczyny w firmowym fartuchu.

– Mogę przyjąć zamówienie? – spytała uprzejmie, podchodząc do stolika.

– Tak. Poproszę zieloną herbatę, do tego jakieś ciasto. Co pani poleca? – Wiedział, że zabawi tu trochę dłużej. Warto zadbać o pozory.

– Mamy szarlotkę z lodami, brownie i sernik z rosą na kruchym spodzie.

– W takim razie wezmę sernik.

– Oczywiście. To wszystko?

– Na razie tak. Dziękuję.

Wbił PIN, połączył się z siecią i wczytał pocztę. Nie korzystał z bezpłatnego łącza kawiarni. Nigdy tego nie robił, w obawie przed utratą danych. Tyle się o tym trąbi. W gąszczu reklam znalazł mail od Figasa. Artur zdążył przekopać firmowe segregatory i znaleźć informację, że Hajduk sprzedał ten dom w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Budynek był w stanie surowym i rodzina po śmierci ojca nie miała środków, żeby dokończyć budowę i wykończyć wnętrza. Wdowa zgodziła się go sprzedać za dwie trzecie wartości.

Figas dołączył do maila skan umowy i zdjęcia domu z działką. Michał wbił adres w Google Maps i zrozumiał, dlaczego nie poznał nieruchomości. Zmieniła się w całkiem przytulne miejsce i nie przypominała rudery sprzed lat.

Dom znajdował się w północno-wschodniej części Sosnowca, niedaleko granicy z Dąbrową Górniczą. Osiedle domów jednorodzinnych było z trzech stron zalane morzem zieleni i sąsiadowało z nieużytkami. Wybrał idealne miejsce, stwierdził, wbijając adres w wyszukiwarkę Google'a. Nikt nie prowadził tam działalności gospodarczej, adres nie istniał w sieci, toteż ustalenie danych osobowych właściciela było niełatwe. Oczywiście drogą oficjalną, bo Hajduk dysponował na mieście odpowiednią liczbą kontaktów, żeby zdobyć komplet informacji. W ten sposób naraziłby się jednak na podejrzenia.

Zresztą nie miał pewności, czy zabójcą obu kobiet jest właściciel domu.



Skończył herbatę i zerknął na zegarek. Na zewnątrz zrobiło się szaro. Kręcił się po galerii, odsuwając w czasie to, co nieuchronne. Przeglądał prasę i kartkował książki w empiku, snuł się bez celu po sklepach z ciuchami i wystrojem wnętrz. Upływający czas się z nim droczył. Gdy zrobiło się ciemno, Hajduk wsiadł do samochodu i zacisnął palce na kierownicy. Nie było już odwrotu.

Wolał nie myśleć o konsekwencjach. Nie zmieniał raz podjętych decyzji.

Z nieba sypał śnieg z deszczem. Mokra papka przyklejała się do szyb i układała pod podeszwą butów, tworząc śliską, galaretowatą breję.

Wyjechał z parkingu, odbił w prawo i zjechał na zapchaną S-86. Sznur aut snuł się ospale, kierowcy toczyli nierówną walkę z kapryсами pogody i niskim ciśnieniem. Ten scenariusz powtarzał się od lat, gdy jesień przechodziła w coś, co na dobre zastąpiło zimę, jaką pamiętał z dzieciństwa i którą można było oglądać tylko w katalogach narciarskich kurortów. Ludzie tracili głowy i zapominali, jak prowadzi się te kupione na kredyt, wypasione fury.

Zastanawiał się, czy jechać przez Kresową, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nawet zimą późnym popołudniem można tam spotkać ludzi, którzy spacerują obok Stadionu Ludowego, pchają dziecięcy wózek lub chodzą z psem. Ktoś zapamięta numery rejestracyjne, skojarzy markę samochodu.

Pojechał prosto i odbił w Sobieskiego. Odruchowo spojrzął w okna na ostatnim piętrze kamienicy. Były zamknięte, podobnie jak pozostałe na piętrze. Wciąż szukał odpowiedzi na pytanie, co wydarzyło się w tym mieszkaniu.

Sprawdził serwisy informacyjne, strony lokalne i fora w sieci. Nic. Nikt nie zająknął się słowem na ten temat. To nie były policyjne manewry, śledczy nie trafili tam przez przypadek. Czy któraś z kobiet zginęła w tym miejscu?

Od chwili, gdy opuścił mieszkanie, do przejazdu na Kazimierz minęła godzina, wliczając przerwę na hot doga na stacji. To rozegrało się wcześniej, morderca nie zdążył przetransportować zwłok, zainscenizować zbrodni. Na Sobieskiego mogła zginąć druga z kobiet,

której ciało Hajduk wioził właśnie w bagażniku samochodu.

Wiedział, że nie powinien zwlekać z pozbyciem się zwłok, dbał o pozory. Zadzwoił do operatora i poprosił o blokadę konta, podobny wniosek złożył w banku. Kolejnym przystankiem była komenda policji, gdzie zamierzał zgłosić kradzież telefonu. Uznał, że uda się tam rano, to zbyt ekscentryczne, nawet dla niego, by jechać na policyjny parking z trupem w bagażniku. Umówił się z Figasem na spotkanie w centrum miasta, tłumacząc absencję kłopotami ze zdrowiem. Zbył jego pytania i się rozłączył.

Jechał ulicą Sobieskiego w stronę Szopienic. Po kilkuset metrach zwarty ciąg kamienic zastąpiły rozrzucone luźno betonowe kostki; szyny tramwajowe wiły się wzdłuż nich jak naciągnięta szarfa. Skręcił w prawo, przejechał przez parking i sforsował krawężnik, omijając w ten sposób słupki. Zignorował zakaz wjazdu i ruszył wzdłuż ścieżki rowerowej.

Zatrzymał się nad brzegiem Stawików od strony wjazdu do niewielkiego lasu i nawrócił, stając tyłem do zbiornika. W tym miejscu rozciągała się zupełna ciemność.

Telefon wyłączył w kawiarni. Nie zamierzał kusić losu.

Stawiki przylegały do parku Kruczkowskiego, często można tu było spotkać biegaczy i ludzi spacerujących z psami, ale o tej porze alejki opustoszały. Było zbyt ciemno, by ktoś go zauważył. Mimo to musiał zachować czujność. Drobnym błędem mógł go słono kosztować.

Zgasił światła i nasłuchiwał. Cicho. Gdzieś w pobliżu dostrzegł refleksy światła z pobliskiego osiedla, na tyle niewyraźne i mgliste, że nieszkodliwe.

Hajduk zszedł w dół skarpy, idąc w stronę tafli wody na drżących nogach. Jeśli pogoda spłata mu figła, plan runie jak konstrukcja z klocków. Nie przejmował się tym, na co nie miał wpływu. Taką naukę wpoilo mu życie.

Otworzył drzwi samochodu i wyciągnął z przegródki opakowanie lateksowych rękawiczek, zakupionych w centrum handlowym. Włożył je, choć to bez sensu, skoro zamierzał pozbyć się ciała. Dziewczyna była cięższa od tej, której zwłoki wrzucił niedawno do bagażnika. Wiedział, że trzeba dociążyć ciało, by przez jakiś czas pozostało na

dnie. Oglądał sporo seriali kryminalnych i jeśli było w nich ziarno prawdy, to procesy zachodzące pod wodą utrudnią pracę śledczym. Nikt nie uwierzy w to, że wpadła do wody sama, to oczywiste, jednak trudniej będzie go z tym powiązać.

Sprawdził butem grubość pokrywy lodowej. Przy brzegu wodę ścięła delikatna mgiełka; kruszyła się, gdy dociskał ją stopą. Im dalej w stronę środka jeziora, tym solidniejsza była tafla, nie na tyle jednak, by bez obaw przejść na drugi brzeg. Zapowiadany mróz powinien dopełnić formalności.

Wyciągnął ciało z bagażnika, złapał je pod pachami i pociągnął w dół skarpy. Stał przy brzegu, rozglądając się i wsłuchując w zalegającą wokół ciszę. W oddali usłyszał dźwięk przypominający zawodzenie. Nie umiał go nazwać ani zlokalizować. Granica tego, co prawdziwe, zacierała mu się w głowie.

Największy z kamieni wcisnął pod bluzkę, mniejsze upychał w kieszeniach kurtki. Nie wiedział, czy to wystarczy. Nie co dzień wrzucał ciało do stawu.

Zwłoki z dodatkowym balastem okazały się jeszcze cięższe i miał kłopot z dostarczeniem ich w jednym kawałku na brzeg. Oddychał głośno, wyczuwał każdy krąg nadwyręzonego kręgosłupa, ale wiedział, że musi iść dalej.

Do uszu dotarł głośny dźwięk. Wzdrygnął się i ciało wysunęło mu się z rąk, szorując nogami o zmarzniętą glebę. Nie zastanawiał się; resztką sił złapał je w pół i zaczął ciągnąć po trawie i ziemi. Od krawędzi stawu dzieliły go najwyżej dwa metry, może trochę więcej. Nie mógł odpuścić, poddać się.

Wszedł do wody po kostki, przeszło go przenikliwe zimno, niemal odłączając nogi. Stał po ściętej tafli, ta łuszczyła się i strzelała na wysokości kostek i łydek niczym spękany kozuch na stygnącym mleku.

Stał po kolana w wodzie i wypuścił ciało z rąk. Nie opadło na dno. Odepchnął je od siebie niczym zły sen majaczący pod powiekami. Włosy rozlały się pod taflą i zasłoniły czarnym kirem drobną twarz kobiety. Odplynęła.

Nie oglądał się za siebie i pobiegł do auta. Przekręcił kluczyk

i poczuł ulgę. Chłód sparaliżował mu ciało, a zęby uderzały o siebie z taką siłą, że omal nie przygryzł sobie języka i się nim nie udławił. Wiedział, że okupi to przeziębieniem, choć to i tak najniższy wymiar kary za to, w co się wpakował.

Włączył światła i ostatni raz obrzucił wzrokiem przestrzeń wokół Stawików.

A potem szybko je zgasił. Zaklął, że sam się wystawia na pieprzonej tacy.

Odetchnął. Jechał słabo oświetloną aleją, układając w głowie zapis ostatnich dni, na wypadek gdyby musiał się tłumaczyć.

Wyjeżdżając z parkingu, wbił migacz i włączył się do ruchu. Odruchowo skręcił w lewo i nie zauważył pojazdu jadącego w stronę centrum. Wcisnął hamulec do podłogi. Nie zdążył wyhamować. Uderzył w samochód od strony kierowcy.

Zaklął i walnął pięścią w kierownicę. „Zachowaj zimną krew”, upominał się.

Otworzył oczy. Samochód stał w poprzek drogi, wokół nie było innych aut.

„Co teraz?”, głowił się, spoglądając w lusterko.

Mężczyzna wyszedł z auta i zaczął szacować rozmiar zniszczeń. Oprócz wgniecenia nadkola i roztrzaskanej przedniej lampy nie odniósł większych szkód. Całe szczęście jechał z dozwoloną prędkością. Właściciel pojazdu skinął, żeby zjechali na pobocze.

Hajduk wbił wsteczny i stanął wzdłuż drogi. Włączył awaryjne. Wiedział, że nie może tu zostać. W jego stronę szedł młody facet w jeansach i koszulce polo, na którą narzucił skórzaną kurtkę. Nawijał coś pod wąsem. Wypluwał z siebie słowa, które do niego nie docierały, ginąc gdzieś w szumie miasta.

Kątem oka Hajduk zarejestrował, że mężczyzna sięga po telefon i przystawia go do ucha.

– Hej, niech pan zaczeka!

Facet zmierzył go wzrokiem i odsunął komórkę, wciąż idąc w jego stronę.

– Na co mam czekać? Wzywam policję. Szkoda czasu.

– Po co? Przyznaję się do spowodowania kolizji i zapłacę za szkody.

Kolejne nieufne spojrzenie. Chwila wahania, szybki bilans zysków i strat.

– Nie masz polisy czy zebrałeś za dużo punktów karnych? – zadrwił tamten.

Hajduk zdziwił się, że tak szybko przyszła mu do głowy gotowa wymówka.

– To firmowy wóz, nie chciałbym podpaść szefowi. Ile mam ci zapłacić?

– No, będę musiał wyklepać pół przodu. – Wskazał na samochód i wzruszył ramionami, dodając sobie animuszu. – To będzie sporo kosztować, może...

– Daję trzy tysiące od ręki i zapominamy o sprawie?

– Cztery.

Pierwszy raz w życiu zabrakło mu argumentów, żeby się targować.

– Zgoda. Nie mam ze sobą forsy. Muszę podjechać na stację wypłacić...

– Nie bądź śmieszny – przerwał. – Nie jestem naiwny, by się na to nabrać.

Zastanawiał się, czy nie zrobić przelewu z komórki, ale uznał, że nie warto uszczęśliwiać gościa danymi osobowymi. Taka wskazówka może przysporzyć mu problemów. „Jeśli facet zgarnie kasę, zapomni o całej sprawie”, łudził się.

– W porządku. W takim razie podjedziemy tam razem – zaproponował.

– Jedź przodem, tylko żadnych numerów.

Wsiedli do aut. Hajduk włączył światła, a w zasadzie światło, bo prawy reflektor nie działał i trzymał się na słowo honoru. Podjechali na shella. Skinął, że idzie do bankomatu. Widział, że facet nie spuszcza z niego wzroku.

Wbił PIN i wypłacił cztery tysiące, zgodnie z umową. Szczęśliwie nie ograniczał go limit na karcie. Wyciągnął ją i zaczekał, aż maszyna wypłuje plik banknotów, po czym spojrzął w górę. Bankomat pracował pod czujnym okiem kamer. Wokół stacji kręciło się sporo ludzi. Na parkingu pod McDonalodem auta walczyły o wolne miejsce, a kolejka do okienka zżerała własny ogon.

Nie miał gwarancji, że gość nie puści pary z ust. Ale musiał zaryzykować.

– Twoja forsa. Rozumiem, że jesteście kwita i zapominamy o sprawie? – zapytał, podchodząc do uchylonej szyby i wręczając mu plik banknotów.

Facet nawet na niego nie spojrzał, przeliczał zawzięcie zwitek stułotówek.

– Wolałbym nie mieć tej kasy i nie bawić się w klepanie wozu. Ale jesteście kwita – odparł.

Michał Hajduk odszedł i usłyszał na odchodne:

– Coś ty w ogóle robił na tym zadupiu, człowieku? O tej porze?

– Lubię się trochę dotlenić – odparł, nie odwracając się. Wskazał wiszącą nad nimi kamerę, na wypadek, gdyby przyszło mu coś głupiego do głowy.

– Słyszałem o jednym gościu, który chodził po wodzie. Obaj wiemy, jak skończył – zaśmiał się mężczyzna.

Hajduk spojrzał na siebie. Zapomniał o przemoczonych nogawkach.

Kwadrans później dotarł do domu. Światła były pogaszone. Nie wjechał do garażu, wolał zaparkować wzdłuż drogi. Po cichu, nie budząc żony, wszedł do salonu na parterze. Wziął szybki prysznic, przebrał się i walnął na kanapie przed telewizorem. I tak nie spodziewał się zmrużyć oka tej nocy.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft wiercił się w fotelu i szukał wygodnej pozycji. Przeklinał pomysł, który wpadł mu do głowy przed wyjściem, by wcisnąć się w nieużywaną marynarkę. Czuł się skrępowany, nie potrafił unieść rąk, nie ciągnąc pod szyję sztywnej konstrukcji. Błędnie założył, że skoro przystał na propozycję wyjścia z Iga, musi wyglądać jak dandys. Oglądali kabaret. Większość osób na widowni przyszła w jeansach i koszulach z krótkim rękawem, a ich brała za starych ramoli. A na pewno jego, bo Iga wyglądała zjawiskowo.

Nudził się okrutnie. Muza nie przypominała miejsca, w którym spędził w młodości tyle pamiętnych chwil. Kino w centrum miasta zamknięto lata temu, został po nim tylko szyld. Niszczący budynek zmienił się w salę widowiskowo-koncertową z prawdziwego zdarzenia. Wydawało mu się, że wciąż ma przed oczami wystrój starego kina, jego zapach i specyficzny klimat. Oglądał tu wszystkie polskie klasyki i mnóstwo kultowych horrorów.

Uwielbiał komiksy i stylistykę grozy, nasiąknął nimi w młodości i wciąż z sentymentem wracał do nieśmiertelnych klasyków, które nie straszyły jak dawniej, wręcz przeciwnie, momentami wywoływały uśmiech politowania, mimo to wiedział, że w jakimś stopniu go ukształtowały. Uodporniły na zło.

Z zewnątrz budynek przypominał stary radioodbiornik, w środku prezentował się nieźle. Wzrok komisarza przykuły drewniane elementy sufitu wraz z oświetleniem, nawiązującym do starej Muzy. Sztukateria na suficie przed wejściem wydawała mu się znajoma. Cała reszta zmieniła się na korzyść.

– I co, podoba ci się? – wyrwał go z zamyślenia głos Igi.

– Tak, goście są zabawni – kłamał. Tylko ten tekst przyszedł mu do

głowy. Nie przepadał za kabaretami, dziwił się, że dał się namówić. „Nie zachowuj się jak dziecko”, upomniął się. Pewność siebie ulotniła się w jej obecności.

– Nie sądziłam, że na żywo są tacy naturalni. W telewizji wypadają gorzej.

– Mhm – wydusił, siląc się na uśmiech, i wrócił do grania na czas. Zamiast na wystroju Muzy skupił się na niej.

Przypominała mu matkę; ten sam uśmiech, zadziorny błysk w oku, gdy była czymś przejęta albo podekscytowana. Bał się, że podświadomie szuka kobiety, która będzie do niej podobna. Wiedział, że to droga donikąd. Wszystkie związki, mniej lub bardziej udane, potwierdzały to i kończyły się fiaskiem. Nie mógł wypuścić Igi z rąk. W jej obecności był sobą, nawet gdy trzęsły mu się dłonie i zmuszał się do takich wyjść jak to.

Grupa przebierańców robiła na scenie wszystko, by rozbawić publiczność. Trzeba przyznać, że mieli w repertuarze szeroki wachlarz scenicznych sztuczek, od popularnych barowych żartów i oklepanych skeczy po aluzje społeczno-polityczne i nawiązania do najbardziej palących wydarzeń.

– Rozchmurz się trochę. – Iga uszczypnęła go lekko w ramię. – Nie traktuj tego tak śmiertelnie serio, to pastisz, ironia. Nawet jeśli nietrafiona, to tylko żart.

– Nie o to chodzi. Jakoś lepiej się czuję w kameralnym gronie. No i myślami jestem w pracy, wybacz. – Wciąż musieli się o sobie sporo nauczyć.

Z tyłu głowy dźwięczały mu słowa jednej z piosenek Billiego Joe Armstronga.

*Czy masz czas słuchać mojego jęczenia*

*o wszystkim i o niczym,*

*bo jestem jednym z tych melodramatycznych dupków...*

– Nie wygłupiaj się. Jest tu tylko dwieście osób – śmiała się. – Żaden tłum.

– Uspokoiłś mnie. – Odwzajemnił uśmiech, choć czuł się jak kompletny dureń.

Złapała go za rękę jak dwulatka, którego trzeba przeprowadzić przez



ulicę. Wciąż dziwiła się, ile w nim skrajności. Sprawiał wrażenie wrażliwego faceta, nieprzystosowanego do życia wśród ludzi. Zawodowo rozwiązywał najtrudniejsze sprawy kryminalne, narażał życie i odpowiadał za życie innych.

Musiał tłamsić emocje w sobie. Albo to one tłamsiły jego, stwierdziła.

– Idziemy coś zjeść? – zaproponował, gdy czekali w kolejce do szatni.

– Znam miejsce, gdzie serwują niezłe burgery.

– Już późno, muszę być jutro wcześniej w firmie – zgasiła jego zapał.

– Może wpadniesz do mnie na herbatę albo lampkę wina. Co ty na to?

Nie protestował. Iga mieszkała na przytulnym osiedlu za dworcem PKP. Zastanawiał się kiedyś, czy nie kupić tu dwupoziomowego mieszkania, jednak uznał, że miesięczny czynsz przerasta jego możliwości finansowe, a bliskość ludzi i życie w centrum wybiły mu ten pomysł z głowy. Życie bywa przewrotne. Nie sądził, że przestanie mu to kiedyś przeszkadzać.

Zeszli do podziemnego pasażu pod dworcem. Minęli młodych ludzi wychodzących z pijalni wódki, pobudzonych alkoholem krążącym w ich żyłach. Wulgaryzmy wypowiedane w miejsce przecinka w każdym zdaniu i napompowane mięśnie, wylewające się spod ciasnych ubrań, to jedyne, znane im sposoby zaimponowania niewiastom. Niestety skuteczne.

Nie zauważył, kiedy znaleźli się w przedpokoju. Zawahał się, przez myśl przeszło mu, że gdzieś w pobliżu może czekać jej syn, a mimo to pozwolił prowadzić się dalej. Już w korytarzu pozbyła się szpilek, rzuciła je za siebie i zaczęła rozpinać mu koszulę, przesuwając się w stronę sypialni. Gdy tam dotarli, pchnął ją bez słów na łóżko i dał się na nie wciągnąć. Prześcieradło pachniało jej smakiem. Zdjął jej sukienkę przez głowę i chwilę mocował się z zapięciem stanika, co sprawiło, że roześmiała się w głos.

Uwielbiał dołeczki, które tworzyły się wtedy w jej policzkach. W końcu uwolniła go ze spodni i wprowadziła w siebie. Światło, wpadające do skąpanej w ciemności sypialni przez szczeliny między roletami, tańczyło na jej skórze i wyznaczało ścieżki na mapie ciała. Pieścił jej miękkie piersi; chłonał emocje, zapach i rosnące z każdym

pchnięciem podniecenie. Tuż przed końcem ugryzła go delikatnie w ucho, szeptała i śmiała się kusząco.

– Zostań – zaproponowała, gdy było po wszystkim. Nie umiał jej odmówić.

– Wspominałaś coś o tym, że musisz się wyspać?

– Muszę odpocząć. A to co innego.

Wtulił twarz w jej szyję, chłonał zapach wilgotnej skóry. Modlił się, żeby ta noc nie była jednorazową przygodą. Wschód słońca nie nastał i nie wróciły demony, które trawiły go jak wycieńczająca organizm gorączka.

Po wszystkim leżeli wtuleni w siebie, oddychając ciężko. Wędrowała palcami po nagiej skórze ramion i pleców, czytając rozpisaną w niej historię.

– Czy one coś znaczą? – zapytała, obsypując pocałunkami jego pokryte tatuażami ciało. Gdzieś pod czarnego tuszu wyzierały wypukłe blizny i rany. Odlane na skórze obrazy i wpadające przez okno cienie układały się w czarno-biały spektakl.

Tatuaże zakrywały niemal całą górną połowę jego ciała. Plecy, ręce, tors.

– Wszystko coś znaczy – odparł chłodno.

Nie lubił o tym rozmawiać. Nie zrobił ich po to, żeby mu o czymś przypominały. Wręcz przeciwnie.

– Jestem dziewczyną z dobrego domu. Tatuaże nigdy nie były w nim mile widziane – mówiła, kładąc głowę na jego piersi. – Podobnie jak rozwody. Teraz już wiesz, dlaczego tak rzadko bywam u rodziców – zaśmiała się.

– Nie mogę się doczekać, żeby ich poznać. Pokochają mnie.

Wtuliła się mocniej. A on nie zmrużył oka. Usiadł na brzegu łóżka i przyglądał jej się. Szybko usnęła. Wsłuchiwał się w jej oddech. Bagaż traum i błędów zaczynał ciążyć, a strach zagościł pod powiekami. Nauczył się żyć z poczuciem straty. Perfidny los znów podbijał stawkę i wciągał go do gry.



Gmach komendy miejskiej w Sosnowcu był w złej kondycji i nie zmieniały tego ciągnące się od lat doraźne remonty; to klatek na piętrach, to pokoi służbowych, w których gnieździło się po dwóch, trzech funkcjonariuszy. Wszyscy twierdzili zgodnie, że komfort pracy poprawiłoby zburzenie go i postawienie od nowa, bądź, w oszczędnej wersji, zamurowanie nieszczelnych okien. Wiało przez nie tak, że wykręcało kości na lewą stronę.

Kreft nie zwracał na to uwagi, lubił chłód. Przeklinał za to akustyczność ścian, dźwięk odbijał się od nich niczym kauczuk i wracał ze zdwojoną siłą. Czasem człowiek miał wrażenie, że słyszy nawet niewypowiedziane myśli.

Uryga wyciągnął przed siebie chude nogi i zaplótł ręce za głowę. W sali odpraw sznur smętnych twarzy wpatrywał się w rozpisane notatki.

– Wytypowałam trzynaście zaginięć z tego okresu. Żadnej z dziewczyn nie udało się odnaleźć. – Marta Rybicka robiła wszystko, by nie wyglądać na onieśmieloną i choć na pozór jej się udawało, to drżący głos zdradzał niepewność. – Oczywiście jest ich więcej, lecz u pozostałych nie zgadzają się wiek i inne okoliczności. Wybrałam tylko te pasujące do opisu.

– W porządku. Jeśli te tropy zawiodą, będziemy kopać głębiej – uspokoił ją Kreft. – Zauważyłaś jakieś podobieństwo, przeglądając zdjęcia z akt?

Policjantka sięgnęła do teczki i położyła przed nim trzy fotografie. Jedna z nich od razu przykuła uwagę komisarza. Podobieństwo było uderzające.

– Według mnie od niej powinniśmy zacząć. – Postukała w fotografię leżącą na środku. – Zdjęcie z filmu jest niewyraźne, trudno stwierdzić, jakiego koloru miała włosy i oczy. Znaków szczególnych też nie wskażę – dodała. – Nie zaszkodzi sprawdzić całej trzynastki, jeżeli te typy będą nietrafione.

– Obyśmy nie musieli. Udało ci się coś ustalić? – zwrócił się do Leksa.

– Wysłałem maile do fundacji od zaginionych. Z tego, co wiem,

Marta obdzwoiła szpitale i schroniska, na wypadek gdyby ofiara zaginęła w ostatnim czasie. – Spojrzał na nią, czekając na potwierdzenie. Przytaknęła. – Na razie cisza. Z bazy wyciągnąłem kilka spraw. Zielu tam pojedzie.

Zieliński nawet nie drgnął. Uniósł lewą rękę i pokazał mu środkowy palec.

– A co z właścicielem mieszkania i sąsiadami?

– Studentka, która wynajmuje mieszkanie, twierdzi, że gdy wyjeżdżała, zamek był sprawny. Właściciel zgłosił włamanie, sprawa jest w toku. Nic nie wiedzą o żadnej kasecie wideo. Co do sąsiadów...

– Zieliński wzruszył ramionami. – Nikt nic nie widział. Ci w miarę ogarnięci byli w pracy, cała reszta w innej rzeczywistości, jeśli wiesz, o czym mówię. Nic konkretnego z nich nie wyciągniesz. Szkoda zachodu.

– Właściciel ma alibi?

– Tak, jest kryty. On tu nawet nie mieszka, robi jakieś interesy w Krakowie.

– Sprawdź zaginięcia od Leksa, pogadaj z rodzinami, znajomymi. Aha, potrzebuję nazwisk i adresów kobiet, które wytypowałaś – zwrócił się do Marty Rybickiej i wskazał na tekturową teczkę. – Wezmę ją. Dostałem namiar na kogoś, kto zajmował się zaginięciami w latach dziewięćdziesiątych.

– Co z taśmą i śladami zabezpieczonymi na miejscu? – wtrącił Pliński tylko po to, by zaznaczyć swą obecność. Uznał to za objaw zaangażowania. Miał czterdzieści osiem lat, dwoje dorosłych dzieci i kredyt, który przyspawał go do biurka tak skutecznie, że wychodził z pokoju tylko za potrzebą.

Robert Kreft rozłożył bezradnie ręce.

– Umówiłem się z jednym gościem, od lat w tym siedzi. Nie wiem, czy powie nam coś więcej niż Mroczek, ale warto podpytać – wtrącił Uryga. Bujał się na krześle, jakby grawitacja pozostawała w sferze pobożnych życzeń.

– Zapomniałem o czymś – wtrącił Zieliński. – Studentka nie ma na chacie odtwarzacza wideo, więc ten porąbaniec musiał przytaszczyć go ze sobą.

– Nie było na nim żadnych śladów. – Kreft ostudził jego zapał i spojrzał wymownie na zegarek. – Dobra, to chyba tyle. Wiemy, co mamy robić?

Nie doczekał się odpowiedzi. Po trzydziestu sekundach sala opustoszała.

Kreft minął pokój operacyjny i stanął w aneksie kuchennym. Aneks powstał pół roku temu i był podziękowaniem dla zespołu za rozwiązanie sprawy zabójstwa lokalnego biznesmena. Śmiali się, że przypomina wiszący nad łóżkiem dyplom za zajęcie piątego miejsca w przeciąganiu liny. Mimo wszystko ułatwiał życie. Wcześniej myli kubki po kawie w toalecie na końcu korytarza. Nic dziwnego, że kupili ten pomysł nawet kosztem wycięcia aneksu z części korytarza wydziału.

Ekipa remontowa uwinęła się w trzy tygodnie. Aluminiowe stelaże, płyty z karton-gipsu, trochę szpachli, farby i kuchnia była jak malowana. Kolejne dwa tygodnie zajęły przyłącza. Komendant w ramach wdzięczności wręczyła im też ekspres do kawy i aż dziw, że obyło się bez kropidła biskupa.

Zmywarki jak na razie nie udało się wymodlić.

Kreft nie lubił zmian i chętnie mył kubek w stylu klasycznym. Nad zlewem.

– O, właśnie miałem do ciebie zajrzeć – rzucił przez ramię, oglądając w lustrze zarośniętą twarz Romana Hadyny. Ustąpił mu miejsca przy zlewie.

– Sorry, jestem ostatnio zarobiony. Poślę ci namiar na tego gościa mailem.

– Nic się nie stało. Powiedz mi, pracowałeś z nim przy tych zaginięciach?

– Nie, byłem w innym wydziale. Wciąż pamiętam, co się wtedy działo, w jakich warunkach musieli zapieprzać, a efektów żadnych. Niektórych nigdy się nie da odnaleźć, to żadne odkrycie, po prostu statystyka. – Oparł się plecami o szafkę i ciągnął watek. – Presja była większa niż teraz, ale chłopcy nie mieli waszych narzędzi. Zresztą Andrzej ci o wszystkim opowie.

Kreft nie mógł tego pamiętać. Zmarszczki na czole Hadyny zdawały

się głębsze, jakby rozumiał więcej i nie potrzebował pytać. Wyglądał jak żywy trup; blada skóra, przerzedzone włosy i wysuszone ciało, prawie bez grama tłuszczu. Na pewno nie z powodu zdrowego stylu życia.

– Dobrze go znasz?

– A co to w ogóle znaczy? To trudny facet. – Ugryzł w język. Komisarz domyślił się, że chce wtrącić „jak ty”, ale się powstrzymał. – Stary milicjant. Nie donosił, jeśli cię to interesuje. W połowie lat dziewięćdziesiątych przeszedł na emeryturę, a może rentę? Zabij mnie, nie pamiętam. Odezwały się problemy ze zdrowiem. Kto ich nie ma w tej parszywej robocie?

– Nie obchodzi mnie, co robił za komuny. Chcę wiedzieć, czy nie spuści mnie na drzewo.

– To był dobry glina, dobry nos. Nie gwarantuję, że poda ci zabójcę na tacy, ale warto zasięgnąć języka. – Zatrzymał się i szukał czegoś przy pasku spodni. – Cholera, zostawiłem komórkę u siebie, bo już bym ci...

– Spokojnie. Podeślij mi numer, gdy wrócisz do pokoju. I dzięki. – Kreft wziął kubek i poszedł do siebie, zostawiając starego Hadynę sam na sam z myślami.

Po tylu latach trudno rozpoznać w plątaniu bruzd własną twarz, stwierdził kwaśno, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze nad blatem. Życie.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Czarny asfalt ciągnął się przed oczami jak pogrzebowa wstęga i pożerał łapczywie każdy płatek śniegu, który musnął jego powierzchnię. Hajduk musiał się spieszyć. Z każdą upływającą godziną temperatura będzie rosła i w nocy, o ile prognozy się sprawdzą, przekroczy barierę zera stopni.

Skoro nie zdążył wymyślić scenariusza, postanowił wpisać się w gotowy.

„Zachowuj się naturalnie”, pomyślał. To nie był dobry czas na improwizację.

Zatrzymał się przed komisariatem na Dobrzańskiego. Zanim się tam udał, wstąpił do sklepu, w którym przez lata działała jedyna w dzielnicy księgarnia, i kupił kartę do telefonu. Tanią komórkę nabył w lombardzie po drodze.

Komisariat przypominał klocek wciśnięty w wyrwę między zgliszczami zlikwidowanej już kopalni Porąbka-Klimontów a osiedlem fińskich domków.

Za szybą, w ciasnej dyżurce, nieogolony policjant bawił się smartfonem.

– Słucham pana – powiedział bez przesadnego zaangażowania w głosie.

– Chciałbym zgłosić kradzież telefonu.

Funkcjonariusz zmierzył go wzrokiem, jakby usiłował wybadać, z kim ma do czynienia.

– Jest pan pewien, że chodzi o kradzież? Może pan go po prostu zgubił?

– To niemożliwe. Telefon to moje narzędzie pracy. Nie rozstaję się z nim.

Dyżurny otaksował go i uznał, że Hajduk nie wygląda na człowieka, w którego życiu karty rozdaje przypadek. Potwierdzały to sposób poruszania się, mówienia i spójny wizerunek, o który mężczyzna zadbał. Koszula z logo Ralpa Laurena idealnie współgrała z dopasowaną marynarką. Zrobił zakupy, przebrał się, a stare ciuchy wrzucił do bagażnika. Czuł się jak nowo narodzony.

– Niech pan zaczeka, poproszę kogoś o przyjęcie zgłoszenia. – Policjant podniósł słuchawkę. Nikt nie odebrał. Wklepał coś w klawiaturę i upił łyk coli. – Co to za telefon? – spytał i schylił się po to, co wypluła drukarka.

– Samsung. To pełna nazwa modelu. – Wręczył mu kartkę z niezbędnymi informacjami. – Nie zależy mi na telefonie. Potrzebuję zaświadczenia, że został skradziony, by zastrzec numer u operatora i nie płacić za kogoś rachunków.

– Zablokował pan już IMEI?

– Co to znaczy? – Udawanie idioty szło mu nieźle. Wiedział, że zlokalizowanie komórki będzie możliwe w przypadku posiadania aktywnego numeru IMEI, nawet gdy dzwonił z innej karty. Zadbał o to, by tak się nie stało.

– To numer przypisany do każdego telefonu. Jeżeli nikt go nie zablokował, jest szansa namierzyć zgubę – tłumaczył cierpliwie policjant. – Ma go pan ze sobą?

– Spisałem wszystkie numery, które znalazłem w pudełku albo otrzymałem przy konfiguracji systemu w salonie. – Wskazał na kartkę.

– Słusznie. Numer jest też na baterii i po wpisaniu kodu na klawiaturze. Z wiadomych względów nie jest pan w stanie go sprawdzić. – Podał mu wydruk. – Proszę wypełnić papiery, ja to podbiję i uda się pan do operatora.

– Dziękuję.

Protokół zawierał szereg drobiazgowych pytań dotyczących zgłaszanej kradzieży, od danych osobowych i informacji o modelu oraz przybliżonej wartości telefonu po opis przebiegu zdarzenia i wskazanie ewentualnych świadków. Hajduk wypełnił go skrupulatnie, starając się nie wychodzić z roli.



– Nie sądziłem, że jest szansa odzyskać telefon. Jak to wygląda w praktyce? – zapytał, podając dyżurnemu wypełniony druk.

– Każdy z naszych ludzi, a nie jest nas wielu, prowadzi po kilkadziesiąt takich spraw. Zwykle to drobnica, gonią nas terminy, jest sporo raportowania i papierkowej roboty. Co będę panu tłumaczył. Ludzie się wkurzają, że sprawa się wlecze, a jeśli wartość skradzionej rzeczy przekracza pięć stów, szukamy jej jak fury za pół bańki, bo jest przestępstwem – rozgadał się. – Dlatego zapytałem, czy mógł pan zgubić komórkę i jaka jest jej wartość.

– Oczywiście, rozumiem.

Policjant przyjął wniosek i wydał potwierdzenie zgłoszenia kradzieży. Hajduk podziękował. Minął próg komendy, wsunął kartę do telefonu i wybrał numer Figasa. Kwadrans później rozmawiali w kawiarni w centrum miasta. Obaj mieli nadzieję, że remont szybko się skończy, bo wydali na kawę i żarcie na mieście majątek.

– No wreszcie – usłyszał ulgę w głosie chłopaka. Figas siedział przy stoliku pod oknem, skąd miał widok na kościół kolejowy przy dworcu. Kościół powstał ponoć z inicjatywy samych kolejarzy chwilę po zbudowaniu gmachu dworca w Sosnowcu. – Co się z tobą dzieje, człowieku? W kulki lecisz?

– Nie twój interes – odparł i skinął na kelnerkę. Zamówił podwójne espresso. – Ukradli mi telefon. Póki nie odzyskam numeru, dzwoń na ten ostatni.

– Zarabiali ci telefon? No, to ładne balety odstawiasz – śmiał się Figas. – Wiesz, nie moja broszka, gdzie i z kim się szlajasz, po prostu mnie informuj, okej? Pół dnia odwołuję spotkania i wciskam ludziom jakiś pierdolony kit. Uwierz mi, zabawne to nie jest.

Kelnerka postawiła mu pod nosem filiżankę z kawą i dwie saszetki cukru.

– Tak wyszło. Obawiam się, że będę wyjęty do końca tygodnia, więc odwołaj resztę. Pilne rzeczy weź na siebie. – Wsypał saszetkę cukru i zamieszał.

Figas upił łyk kawy i sięgnął po papierosa. Miał gdzieś, że nie wolno palić.

– Nie wyrobię się. Tylko dziś oglądam trzy mieszkania, a po

południu mam ustawionego notariusza i podpisuję umowę zamiany. W pizdu formalności.

– Przejrzyj mój grafik na laptopie i obskocz, ile dasz radę. Resztę przerzuć na kolejny tydzień i po temacie – powiedział Hajduk, nie okazując zniecierpliwienia.

Nie doczekał się odpowiedzi. W górę wędrowały kółka tytoniowego dymu.

– Aha, muszę pilnie spotkać się z Uchem. Mam do niego interes – wtrącił.

Figas spojrział na niego wymownie, jakby chciał wybadać, czy mówi serio. W końcu parsknął śmiechem.

– Nie za dużo wymagań na jedno popołudnie? Wiesz, na co się umawialiśmy. Facet organizuje nam fanty, to prawda, jednak już na początku zastrzegł, że kontakty osobiste nie wchodzą w grę. Nie dziwię mu się – uciał.

– Wiem. To jednorazowy strzał, muszę z nim porozmawiać w cztery oczy.

Artur Figas wzruszył tylko ramionami i uniósł się jak zraniony nastolatek.

– Spytam go, ale nie gwarantuję, że się zgodzi. Ostatnio trudno z nim o kontakt. Zaczyna się opierdzielać albo dobrali mu się do tyłka. Cha-gie-wu.

– Mam to gdzieś. Dopóki jest z niego pożytek, musimy korzystać. Zajmij się tym, co jest na tapecie. Nowe zlecenia delikatnie spuszczaaj, a resztę przełoż na następny tydzień – powtórzył, jakby się obawiał, że chłopak nie spamięta.

– Ty tu rządzisz – skwitował gorzko i przyglądał się, jak mężczyzna znika za szybą kawiarni, zmierzając w stronę stojącego po drugiej stronie ulicy samochodu.

Uśmiechnął się do kelnerki za ladą i gapił się na numer telefonu w ściskanej w dłoni serwecie. Tym razem mu się poszczęściło. Ciągłe miał to coś.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Zaparkował na niewielkim wzniesieniu przy alei Paderewskiego. Latem, nawet po skromnych opadach, rozjeżdżony trawnik zamieniał się w usianą kamieniami kałużę błota i próba manewrów w tym bagnie kończyła się wizytą u mechanika. Zimą, wbrew pozorom, wcale nie było lepiej. Mróz ścinał koleiny wydrążone w trakcie tych błotnych zapasów i trzeba było się nieźle nagimnastykować, żeby nie urwać przy tym zawieszenia.

Zaczekał, aż wybrzmiały ostatnie dźwięki debiutanckiego singla Royal Blood, i zgasił silnik. Dawno nie słyszał tak dobrej muzyki i wciąż nie mógł się nadziwić, jak dwóch niepozornych gości może narobić takiego hałasu.

Płatki śniegu, niczym strzępy waty cukrowej, kręciły w powietrzu niezdarne piruety. Osiadały na przedniej szybie i kreśliły wzór przypominający papierową wycinankę. Kreft naciągnął kaptur kurtki, zbiegł ze skarpy i podszedł do bramy prowadzącej na teren rodzinnych ogródków działkowych.

Zgodnie z tym, co ustalili przez telefon z Biernatem, furтка była otwarta.

Nikt nie odśnieżył alejek. Wnioskując po śladach zostawionych na śniegu, przeszło dziś tędy raptem kilka osób. Wiatr przerzucał tumany puchu z jednej działki na drugą, zawodząc przy tym upiornie. Wyludnione o tej porze roku altanki schowały się pod grubym kocem śniegu.

Wybrał drugą alejkę, uchylił skrzypiącą furtkę i szedł wolno, śledząc numery mijanych działek. Nie musiał tego robić. Tylko w jednej paliło się światło.

Nikogo nie zastał na zewnątrz. Wszedł po schodach na ganek

i słuchał.

– A, to pan. Zaraz zejść, proszę poczekać! – usłyszał nad głową zachrypnięty głos gospodarza i wtórujący mu trzepot gołębich skrzydeł.

Ich dźwięku nie da się zapomnieć, uznał nostalgicznie. To było lata temu, a wciąż pamiętał, jak wspinał się po starej drabinie do gołębnika dziadka, z kieszeniami wypchanymi ziarnem, które częściej lądowało na ziemi niż w dziobach ptaków. Po latach obraz się zamazał, ale dźwięk, który wydają, to charakterystyczne gruchanie, utkwiło mu mocno w pamięci.

Nie zauważył, kiedy gospodarz stanął przed nim. Miał dwa metry wzrostu i tors wielkości wygniecionej sofy. Budził respekt, milcząc, a gdy otworzył usta, spotęgował efekt niskim, gardłowym głosem. Nosił długie białe włosy i brodę w stylu Billiego Gibbonsa z ZZ Top.

Chociaż gdyby złapał za gryf, pewnie zniknąłby mu w dłoni.

– Jak nie dostaną żarcia, robią się cholernie upierdliwe – rzucił, sięgając po butelkę z wodą i umył ręce. – Andrzej Biernat, dobrze cię w końcu poznać.

Kreft odwzajemnił uścisk i rozejrzał się, jakby szukał miejsca, gdzie można by przycupnąć. Pomieszczenie miało najwyżej dziesięć metrów kwadratowych i sporą część zajmowały dobudowane drewniane schody prowadzące do gołębnika oraz postawiony samodzielnie kominek, pamiętający czasy słusznie minionego ustroju. Odpuścił. Nic się nie stanie, jeśli postoi.

– Często pan tu bywa w taki ziąb? – zaczął bez pomysłu na ciąg dalszy.

– Często? Jestem tu każdego dnia, świątek piątek. Niech mi pan wierzy, te bestie nie znają się na zegarku. Starczy, że spóźnię się godzinę, a dają mi popalić – zaśmiał się. – Napije się pan czegoś? Mam wodę i... – rozejrzał się po altance – ...wodę.

– Nie trzeba. Możemy nie mówić do siebie na pan? Wiem, że nie powinienem wychodzić z tą propozycją pierwszy, jednak to trochę krępujące.

Biernat usiadł na wersalce pod ścianą i wręczył gościowi składane krzesło.

– Jak chcesz. Powiedz mi, co cię sprowadza? – zapytał obojętnym tonem.

– W jednym z mieszkań natknęliśmy się na taśmę, na której ktoś nagrał zabójstwo młodej kobiety. Sądzę, że doszło do niego w latach dziewięćdziesiątych. Zasięgnąłem języka tu i tam. Wskazali mi ciebie.

– W jaki sposób miałbym ci pomóc?

Kreft sięgnął do kieszeni i wyciągnął zdjęcia trzech młodych dziewczyn.

– Pamiętasz którąś z nich?

– Jestem stary, to fakt, ale z pamięcią nie jest najgorzej. Siedziałem w tym gównie wystarczająco długo, żeby zabrać twarze tych osób do grobu. Tego się nie da ot tak wymazać. Pamiętam je wszystkie... – uciał.

– Obejrzałem film wiele razy i jestem pewien, że na taśmie jest ta dziewczyna. – Wskazał na leżącą na stole fotografię Sylwii Nowickiej. – Czytałem również akta. Wy tłumacz mi, jak to możliwe, że spuściliście ten temat?

Biernat popatrzył mu w oczy. Chciał się przekonać, czy Kreft wytrzyma spojrzenie.

– Z najbardziej oczywistego powodu. Nic nie znaleźliśmy. Zapadła się pod ziemię, wyszła z imprezy i ślad po niej zaginął – odrzekł bez zająknięcia.

– Widziałem zeznania. Matka dziewczyny tłumaczyła, że gdyby ktoś jej posłuchał i zgłosił zaginięcie od razu, nie doszłoby do tragedii.

Mężczyzna milczał. Wyjął z kieszeni wojskowy scyzoryk – miał więcej funkcji niż niezłej jakości smartfon – i zaczął nim ostrzyć drewniany trzonek łopaty. Metalową końcówkę ścisnął między udami. Skończył i odparł spokojnie:

– Od kiedy robisz w policji?

– Już ponad dziesięć lat.

– To nic nie wiesz o tamtych realiach – podsumował kwaśno. – Pracując z wami, czułbym się jak dzieciak w sklepie z cukierkami. Nie mieliśmy nawet namiastki tego, czym dysponujecie: bazy danych, sprzęt za unijną forszę, laboratoria wypchane bajerami. Nie mam żalu. Jeśli tłumaczę ci, że panna przepadła, to tak właśnie było. Rozpłynęła

się i już, amen. Ci, którzy mogli mieć związek z tą sprawą, okazali się czyści jak łza. Nie mieliśmy nic poza stęchłym oddechem prokuratora na karku. A uwierz mi, ten był większym skurwielem niż Andrzej Smuga – dodał z przekonaniem.

– Mieliście list – przytomnie podsunął Kreft.

– List napisała Sylwia, co do tego nikt nie miał wątpliwości. No, może poza matką. Nie było podstaw go kwestionować. Żadnych – odparł stanowczo.

– Zostawmy to. Wydaje się, że została zamordowana, a szopka z wyjazdem do Niemiec sprytnie zaaranżowana.

– Czego ode mnie oczekujesz? Że zacznę się bić w pierś, jak dałem dupy?

– Nie po to przyszedłem. Rozmawiałem z ludźmi. Znali cię, pracowali z tobą lata. Po prostu nie wierzę, że odpuściłeś. To do ciebie niepodobne.

Biernat upił kilka łyków wody mineralnej, przeciągnął palcami po brodzie i wzruszył ramionami, jakby znajdował się myślami w innym miejscu.

– Kilkanaście miesięcy później przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Miałem dość tego szamba. Gdybym stawał okoniem, na lata utknąłbym za biurkiem. Nie zgodzę się, że odpuściliśmy sprawę, równie dobrze dziewczyna mogła wyjechać do Niemiec. Wiesz, ile osób tak zrobiło? Nie chcę się wybielać, pieprzyć ci o wątpliwościach czy podchodach, w które graliśmy z prokuraturą. Czasu nie cofnę. Życia jej nie zwrócę.

– Czytałem papiery, zeznania, ale nie byłem tam, nie rozmawiałem z tymi ludźmi. Lektura zeznań i dokumentów nie zastąpi mi twoich obserwacji.

– Minęło ponad dwadzieścia lat, wymazałem to z pamięci. Wiedziałem, że chłopak nie ma z tym nic wspólnego. Był wystraszony, w czasie przesłuchania miał kłopot z utrzymaniem moczu. Puściłem go do domu po kilku rundach. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby moczył się do łóżka. – Nawet teraz, kiedy o tym wspominał, kpiący uśmieszek nie schodził mu z twarzy.

– A jego kumple? Nie wracał sam tej nocy.

– Suszyliśmy ich kilka dni. Sprawa nie ruszyła od razu. Matka zaczęła jej szukać dopiero wieczorem, cała machina musiała się rozkręcić. Jeździłem z nimi na miejsce, gdzie zostawili Sylwię, w sumie ze trzy razy. Cały czas jej szukali i siłą ściągałem ich z powrotem do wozu, bo zamarzliby na kość na mrozie. Nie wierzyli, że wycięła im taki numer. – Biernat brzmiał przekonująco.

– Skąd więc te wątpliwości?

– Taka już nasza natura. Wyważamy otwarte drzwi, myślę się, komisarzu?

Trudno nie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Coś nie dawało mu jednak spokoju.

– Jak to się stało, że prokurator przystał na wersję z jej wyjazdem?

– Nie wiem, czy przystał. Może też w nią nie wierzył? Musiał się wykazać, był na cenzurowanym. Jeśli sądzisz, że statystyki są ważne tylko teraz, to jesteś w błędzie. Nie znaleźliśmy ciała, kontakty z niemiecką policją dopiero raczkowały, tygodniami czekaliśmy na informacje, a i tak nic z nich nie wynikało. Zapał powoli wygasł. Zaczęło się szukanie winnych. Po omacku.

– Wszystkim było na rękę zamknięcie sprawy – zauważył Kreft.

– Oficjalnie nie było żadnej sprawy – odparł kwaśno Biernat. – I ty to powiedziałeś.

Opadła kurtyna. Komisarz czuł, że są rany, których nie warto rozdrapywać.

– Jak zginęła? – Biernat nie wytrzymał. Dla niepoznaki cały czas dłubał w drewnie, jakby to zajęcie pomagało mu odpędzić demony przeszłości.

– Przecież wiesz. Masz swoje wtyki w firmie.

– Ech, coraz mniej. Stara gwardia szybko się kruszy. Zresztą sam mówiłeś, że nic nie zastąpi relacji z pierwszej ręki – rzucił konfrontacyjnie.

– Sprawca podciął jej gardło. Nie wiem, dlaczego to nagrał i gdzie przez te wszystkie lata znajdowała się cholerna taśma, którą nam teraz podrzucił.

– Skoro nie wypłynęła, to komuś musiało na tym zależeć. To oczywiste.

– Niby tak. Istnieje jeszcze szara strefa takiej rozrywki.

Biernat zaśmiał się pod nosem. Nie odrywał wzroku od trzonka. Wygładził zaostrzoną końcówkę papierem do drewna i przymierzył zaczep. Pasował.

– Dobiłem do siódmego krzyżyka, coraz gorzej widzę, ale nawet ja wiem, że takie rzeczy przeniosły się do sieci. W szalonych latach dziewięćdziesiątych nikt się nie bawił w te klocki. Przynajmniej nie na moim podwórku.

– Szantaż? – rzucił Kreft, zbity z tropu pewnością siebie Biernata.

– Ciepłej. Jak masz takiego haka, każdy będzie jadł ci z ręki. Szambo wylało po latach, więc musiały ustać okoliczności blokujące ujawnienie taśmy. Zaczynaj tam, gdzie się wszystko zaczęło, a po sznurku dotrzesz do kłębka.

– Chciałbym, żebyś zobaczył tę taśmę.

– To nic nie da. – Spuścił nisko głowę. Milczał.

Kreft podziękował za rozmowę i wrócił do samochodu. Już pierwszy rzut oka na zdjęcia i ich porównanie z zapisem wideo nie pozostawiały złudzeń. Mimo złej jakości nagrania podobieństwo było uderzające. Dalsze kroki mogły prowadzić tylko w jedną stronę.



## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Siedział na ławce między alejkami w galerii handlowej i zerkał jak głupi to w jedną, to w drugą stronę, wyglądając, czy przypadkiem nie spotka tu Oli.

W dłuższej perspektywie nie był w stanie tak funkcjonować. Niespecjalnie z tym walczył, w końcu sam się o to prosił, grając na dwa fronty. Przestało mu się układać z żoną i wyprowadził się z domu, ale powinien był się określić, a nie odkładać decyzję na później, pomieszkując kątem u innej kobiety.

Bez względu na zawirowania w życiu małżeńskim i romans, którego macki wciągały go w otchłań bez dna, Uryga nie potrafił zrozumieć, ani teraz, ani w trakcie kilkuletniego związku, który tak widowiskowo kładł na łopatki, jak można dwie i pół godziny wybierać buty.

– Wyglądasz, jakbyś miał znieść jajo – rzuciła Natalia, przekraczając próg sklepu. Jej uśmiech powstrzymał lawinę przekleństw, które cisnęły mu się na usta. – Nie martw się, po torebkę pojedę już sama – droczyła się z nim.

Kręcił z niedowierzaniem głową, wolał się nie wdawać w jałowe dyskusje.

– Wy, faceci, tego nie zrozumiecie. Chodźmy lepiej coś zjeść – podsunęła, kręcąc biodrami. Snuł się za nią niczym kukła na rozwleczonym sznurku.

Pragnął Natalii, odkąd zobaczył ją na jednej z konferencji prasowych, i miał to nieszczęście, że wcielił fantazje w życie. Zwykle kończy się na wizualizacjach, w bezpiecznej odległości od ustabilizowanego życia. Tu od słowa do słowa, od taniej nawijki, którą tak wiele razy testował na poznanych pannach, zabrnął wprost do jej łóżka. Nie umiał jej odmówić, nie znalazł w sobie tyle determinacji.

Kochali się w tanim pokoju hotelowym, w jej mieszkaniu, gdzie przeniósł się po wyprowadzce z domu; wszędzie i wciąż było mu mało. Wmawiał sobie, że zauroczenie w końcu minie, jednak samooszukiwanie się nie było jego najmocniejszą stroną. Podobnie jak wierność.

Wiedział, że Olka coś podejrzewa. Kobiety są świetnymi obserwatorami, potrafią wypatrzeć oznaki zdrady w zagłębieniach między zmarszczkami i czytają w nich niczym w szklanej kuli. W końcu wymusiła przyznanie się.

Zatrzymali się przed orientalną knajpką przy wyjściu z galerii handlowej.

– Mam ochotę na sajgonki. Zjesz ze mną?

Szczerze mówiąc, było mu wszystko jedno, nie był specjalnie głodny. Zamówił kurczaka po tajsku, do picia wziął wiśniową colę. Usiedli przy stoliku.

– Coś cię gryzie czy zamierzasz być taki zmierzły przez resztę wieczoru?

– Nie przeszkadza ci to, że mam żonę i córkę? – odparł bezrefleksyjnie. Nie silił się na zbędne wprowadzenia. Wyrzucił to, co mu leżało na wątrobie.

– Nie. Rozmawialiśmy o tym. Jest mi dobrze, nie chcę wałkować tematu w nieskończoność. Ani rozwalać ci rodziny, więc odpuść. Nie jestem głupią pindą, która wierzy, że zostawisz dla niej żonę, a potem kupimy dom z białym płotkiem i będziemy żyć słodko aż do wyrzygania. To nie moja bajka. Wybacz.

Polał kurczaka słodko-kwaśnym sosem. Jakiś facet przyglądał im się znad miski zupy pho. Błażej wpatrywał się w niego tak długo, aż ten się speszył i uciekł wzrokiem w przeciwną stronę. Od początku grała z nim w otwarte karty.

– Bo twierdzisz, że to mój problem.

– Tak, to jest twój problem i musisz go rozwiązać. – Nie zadrżała jej nawet powieka. Spokojnie jadła sajgonkę i przepijała colą. Potrafiła być zimna i wyrachowana, mimo to imponował mu jej spokój.

– Mówisz tak, jakby ci nie zależało – odbił piłeczkę i czekał na jej reakcję.

– A ty jęczysz jak baba. Wiem, jak kończą się takie historie. Nie nakręcą się, to przynosi odwrotny skutek. Jest nam dobrze, musimy to koniecznie spieprzyć?

Miała rację. Większość facetów wzięłaby taki układ w ciemno. Seks bez zobowiązań z fantastyczną kobietą, żadnych fochów i pompowania balonika oczekiwań. Czego chcesz więcej od związku?

– Idę się odlać – uciął temat i odniósł talerze.

Wkurzało go to, że tak łatwo zbija jego argumenty. W kiblu jakiś tłusty facet stał przy pisuarze i rozglądał się nerwowo na boki, upuszczając po kropelce moczu. Uryga stanął obok, zrobił, co należało zrobić, i wyszedł, nie zwracając uwagi na rozbiegane oczka grubasa.

Opłukał twarz i dłonie zimną wodą i spojrzał w lustro nad umywalką. Wyglądał przyzwoicie: opalony, w miarę wypoczęty, co nie zdarzało się ostatnio często. Nawet lekko zarysowane zmarszczki na czole dodawały mu charakteru. Brakowało tylko jaj, jednak ich nie da się uwypuklić kremem.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się dźwięk komórki. Sięgnął do kieszeni.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – uprzedził pretensje komisarza. Wyszedł na zewnątrz i usiadł na ławce naprzeciw empiku. Wokół kręciło się wielu ludzi, z niedużego placu zabaw dobiegał hałas dowodzących dzieci.

– Co w takim razie stanęło ci na przeszkodzie? – usłyszał w słuchawce.

– Chcesz posłuchać czy zamierzasz drążyć mi tunel w czterech literach?

Wymowna cisza.

– Jeśli chodzi o właściciela lokalu na Sobieskiego, to nie ma sensu w tym grzebać. Znalazłem za to ciekawą wzmiankę dotyczącą mieszkania – powiedział, ukrywając przed Kreftem cel, w jakim dotarł do tej informacji.

– Możesz się streszczać?

– W dziewięćdziesiątym siódmym doszło tam do rozszerzonego samobójstwa. Facet zamordował żonę, a potem podciął sobie żyły.

Matka znalazła ich w fazie zaawansowanego rozkładu, gdy wróciła z wakacji w Darłówku.

– Jest jakiś związek między tymi wydarzeniami?

– Nie sędzę, żeby były powiązane. Dwa lata później mieszkanie trafiło do obecnego właściciela, który je wyremontował i puścił w wynajem. Rozmawiałem z nim i twierdzi, że nie jest w stanie zliczyć, ile osób mieszkało tam od tego czasu. Zwykle studenci i robotnicy. Nikt tam nie zagrzał za długo miejsca.

– Udało ci się znaleźć coś na temat tego zabójstwa? – Kreft zaczął się niecierpliwić. Odgłosy w tle wskazywały na to, że siedział teraz za kółkiem.

– W papierach nic nie znalazłem. Żonaty, dwadzieścia osiem lat, pracował w straży pożarnej. Matka mieszka niedaleko. Mogę podjechać i z nią pogadać... – podsunął, licząc na to, że dostanie więcej czasu. Przeliczył się.

– Rozumiem, że jesteś już w drodze?

– Tak – skłamał. Rozłączył się i rzucił na głos: – Właśnie, kurwa, jadę!

Kiedy wrócił, Natalia siedziała przy stoliku, wpatrzona w ekran telefonu.

– Dostałem cynk, że muszę wracać do pracy – poinformował rzeczowo.

– Chyba żartujesz?

– Nie, nie żartuję. Jeśli chcesz, mogę podrzucić cię po drodze do domu.

Wyraz jej twarzy wystarczył za komentarz.

– Poradzę sobie. Miałam umówiony wywiad, ale odwołałam spotkanie, bo mieliśmy gdzieś razem wyskoczyć. Spróbuję to odkręcić. Zdzwonimy się.

– Co to znaczy? – spytał zakłopotany. Nigdy nie wiedział, co Natalia ma na myśli.

– Nic. Że zadzwonię.

Odprowadził ją wzrokiem do wyjścia. Zrobił pięć głębokich wdechów, tyle zapamiętał z kursu kontrolowania emocji, na który wysłali go po zamknięciu ostatniej sprawy. Jeszcze pięć wdechów

i zrobi komuś krzywdę.

Zerknął na zegarek. Siedemnasta dwadzieścia, zostało więc trochę czasu.

W empiku stał przed regałem z prasą i przeglądał rockowe magazyny. Nie miał wielkiego wyboru, dwa liczące się tytuły i kilka reklamowych szmatławców. Czuł się w tym sklepie jak chomik w labiryncie z tekturowych rur; zawsze wędrował wydeptaną ścieżką, od regału z prasą do półek z fantastyką i horrorami. Stephen King widocznie zrobił sobie wolne tej zimy, lecz inni nie próżnowali. Wiedział już, na co polować w sklepach internetowych.

Kwadrans później zjechał windą na podziemny parking i szukał tabliczki z literą C. Ciemny outlander zamrugał jednym światłem. Skinął, że go widzi.

Drzwi były uchylone. Usiadł z tyłu. W środku panowała ciemność, starał się ocenić, z kim ma do czynienia. Modna koszula wsunięta w dopasowane spodnie i okulary przeciwsłoneczne na podziemnym parkingu, w miejscu, gdzie nie dociera światło. Hajduk musiał mieć jakiś powód, by chronić prywatność.

– Dziękuję, że pan przyszedł – zaczął, nie odwracając się w stronę policjanta.

Uryga nie zareagował, dając mu do zrozumienia, że czas się streszczać.

– Wiem, na co się umawialiśmy, i jestem zadowolony z efektów naszej... nazwijmy to... współpracy. To spotkanie nie ma związku z informacjami, które pan dla mnie... – urwał, jakby szukał właściwego słowa – ...pozyskuje.

– No właśnie. Wy tłumacz mi, po co wam były te kwity na Sobieskiego?

– Po to, co zawsze. – Mężczyzna mówił spokojnie, panując nad emocjami. – Chcę kupić to mieszkanie i na nim zarobić. Na razie nie mam kiedy tam podjechać.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze tam nie byłeś? – prowokował go Uryga. Sprawdzał, czy wie coś o taśmie. Mowa jego ciała wskazywała, że nie blefuje.

– Jest tyle zaległej roboty, że nie wykopię się z niej do świąt. –

Hajduk skłamał i wrócił do meritum. Brzmiał przekonująco. – Mam nietypową prośbę i chciałbym, by ta rozmowa została między nami. Możemy się tak umówić?

Zrobił pauzę. Słowa, jakie planował wypowiedzieć, nie przechodziły mu przez gardło. Przełknął ślinę i dokończył, a Uryga złapał za klamkę i chciał wyjść z samochodu. Wtedy poczuł na ramieniu zaciśniętą dłoń kierowcy.

– Zaczekaj i pozwól mi skończyć!

– Czy ciebie pojebało do reszty, człowieku? W co ty pogrywasz? Nie tak się umawialiśmy! Kwity dotyczące mieszkań, w których ktoś kopnął w kalendarz, to jedno, a ta sprawa... Radzę zapomnieć o tej rozmowie – uciał policjant.

– To jednorazowa przysługa. Więcej się nie powtórzy – zaklinał się Hajduk.

– Nie. Ma. Takiej. Opcji. – Przeciągnął każde słowo i strącił z siebie jego dłoń.

– Zastanów się. Wszystko biorę na siebie i płacę, ile chcesz. Każdą cenę.

– Pierdol się! – Uryga wypadł na zewnątrz i trzasnął drzwiami z furją.

Dwie godziny później wrócił od matki strażaka, który narobił tyle brudu na Sobieskiego, i rozcieńczył wątpliwości w alkoholu, co zdarzało mu się ostatnio regularnie. Do mieszkania Natalii dotarł taksówką w środku nocy. Nie pamiętał, gdzie się podziewał cały wieczór. Wiedział za to, że następnego dnia ból głowy będzie próbował rozsadzić mu czaszkę. Na wylot.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Smak papierosa rozsiadł się wygodnie na podniebieniu i przyjemnie drapał w gardło. Hajduk śledził, jak obłoki tytoniowego dymu wylatują za szybę, mieszają się z zimnym powietrzem i wędrują dostojnie ku niebu. Chwilę krążył, nim znalazł miejsce poza czujnym okiem kamer strzegących parkingu.

Cierpliwość była ostatnią z cnót, o jaką się podejrzewał. Zdziwił się, że decyzja policjanta nie zrobiła na nim wrażenia. Spokojnie raczył się zbawiennym wpływem nikotyny. Gotów był się założyć, że zakapturzony gówniarz, którego plecy znikają właśnie za szklanymi drzwiami, prowadzącymi na najniższy poziom galerii handlowej, ochłonie, prześpi się z propozycją i na nią przystanie. Stawka była wysoka. Nie mógł postawić na złego konia.

Skończył palić i wyrzucił niedopałek za szybę. Uznał, że pora wypić piwo, którego sobie nawarzył, nawet jeśli miało mu się później odbijać czkawką.

Włączył silnik i wyjechał z parkingu. Wolno, nie wzbudzając zainteresowania. Spiker w radiu częstował czerstwymi żartami, a przedświąteczny szal rozlał się na ulicach, dekorując je masą ozdób, girland i kolorowych witryn.

W grudniu świat zawsze przyspieszał, jakby przespał jedenaście miesięcy i pędził na złamanie karku, usiłując je nadrobić. Świąteczny ekspres wyhamowywał po Nowym Roku na stacji Debet. Ot, magia świąt.

Droga do domu zabrała mu dziesięć minut więcej niż zwykle. Nie spieszył się. Uchylił pilotem bramę od garażu i sturlał samochód w dół niewielkiego wzniesienia. Czuł lodowaty dotyk schodzący w dół kręgosłupa, czoło kleiło się od potu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio

złapał przeziębienie lub grypę, tym razem coś czyhało za progiem. Zamknął garaż i podszedł w stronę frontowych drzwi. Wsunął klucz i otworzył je cicho. Nie zamierzał obudzić żony.

Czekała w progu. Wszystko potoczyło się błyskawicznie, nie widział nawet wyrazu jej twarzy. Zauważył tylko cierpienie, które ściągało skórę i żłobiło w niej mapę niepowodzeń i traum. Zrobiła krok do przodu i uderzyła go w twarz. Ból, niczym zimny kompres, przyniósł mu ulgę.

Zmrużył oczy. Widział, że wyciąga coś zza pleców, ciska tym w niego, a jej usta układają się w krzyk w niezrozumiałym języku. Kilka kolorowych zdjęć odbiło mu się od klatki piersiowej i spadło pod nogi.

Spodziewał się innej reakcji, ćwiczonej przez lata życia razem. Zwykle zalewała się łzami i biegła na piętro wypłakać się w poduszkę. Miał czas, by przemyśleć linię obrony i jakoś ją ugłaskać. W tym przypadku mechanizm nie zadziałał. Znalazła w sobie pokłady siły, odwróciła się i poszła w stronę kuchni. Ospale, niczym lunatyk, który wie, że śni koszmar na jawie.

Odruchowo pozbierał zdjęcia z podłogi i obejrzał pierwsze z brzegu. Jeżeli łudził się, że zdoła zatrzeć ślady łączące go z kobietą znaną w domu pod lasem, to ktoś udowodnił mu, że się mylił. Morderca nie wybrał tej kobiety przypadkowo. Wiedział, że się spotykali. I to nie ona była celem.

Złapał żonę za rękę. Odtrąciła ją z wściekłością, o jaką jej nie podejrzewał.

Zraniona i zła.

Siadła przy stole w jadalni i schowała twarz w dłoniach. Musiała ochłonać.

– Wiem, że zabrzmiało to idiotycznie, jednak pozwól mi wszystko wyjaśnić. – Usiłował się do niej zbliżyć. Bezskutecznie. Odwróciła się w drugą stronę. – Proszę cię...

– Co chcesz mi wyjaśnić? Że to klientka, której pokazywałeś mieszkanie?

Zgrany fortel. Nie raz wyszedł dzięki niemu z opresji bez zadrapań, lecz w tej sytuacji nie miał szans z niego skorzystać. Musiał się



bardziej postarać.

Niewinny skok w bok był teraz najmniejszym z jego zmartwień.

– No mów, czekam – ponagliła go, łudząc się, że mąż znajdzie wytłumaczenie.

Długo zbierał się w sobie, jakby układał w myślach zgrabną regułkę.

– To nie jest...

– ...tak, jak ci się wydaje – przerwała mu. – To chcesz powiedzieć? Na tyle cię stać? Nie nabiorę się na twoje sztuczki. Odwiedzili mnie dziś dwaj czarujący goście. W zasadzie to odwiedzili ciebie i ciesz się, że cię nie zastali.

Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie dał tego po sobie poznać.

– Jacy goście? Znasz ich?

– Czy ja ich znam? O co ty mnie w ogóle pytasz?

Michał Hajduk ściągnął kurtkę i powiesił ją na krześle. Pot oblał mu twarz, skóra piekła i swędziała. Nie umiał się na niczym skupić. Wstał i wyjął z apteczki nad zlewem proszek na przeziębienie. Zalał go wodą z czajnika i wypił duszkiem. Najwyższa pora na rachunek sumienia.

– Spotykałem się z nią, nie będę cię okłamywał. Muszę wiedzieć, czego ci dwaj chcieli, inaczej to będzie najmniejszy z naszych kłopotów. Zaufaj mi.

Syknęła pogardliwie i pokręciła głową, co w tej sytuacji było zrozumiałe.

– Naszych? Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś żałosny.

Hajduk wiedział, że jest mądrą kobietą i w końcu grymas na jej twarzy ustąpi miejsca zdrowemu rozsądkowi. Przełknęła gorzką pigułkę i powiedziała spokojnie:

– Podobno masz coś, co do nich należy. I dwadzieścia cztery godziny, by im to zwrócić. W nienaruszonym stanie.

Czuł, że skóra pali go żywym ogniem i nie miało to związku z solidną dawką paracetamolu, którą sobie właśnie zaaplikował. Czas zebrać się do kupy.

– To wszystko?

– Wyobraź sobie, że nie byli specjalnie rozmowni, a ja, naiwna, nie

drażyłam tematu. Wystarczą mi urocze zdjęcia i zapewnienie, że jest ich więcej – odparła zrezygnowana, gapiąc się w jakiś punkt na przeciwległej ścianie.

Nie pierwszy raz zdradził ją z młodszą kobietą. Swoją drogą, nie odmawiał też starszym. Gdyby musiał ograniczyć się wyłącznie do poznanych w tym roku, wypełniłby ich zdjęciami kalendarz na kilka lat do przodu i nagłowiłby się nad wyborem. Musiała o tym wiedzieć. W pewnym wieku przymyka się oko na takie wysoki w zamian za spokojny sen i poziom życia, z którego trudno zrezygnować. Wiedział to, dlatego jej reakcja go zaskoczyła.

– Mają więcej zdjęć z tą kobietą. – Nie wiedział, czemu to powiedział.

– Jedna dziwka zamiast podstarzałej żony to szarmancki gest, naprawdę.

– Nie mów tak. Gdybym chciał z nią być, rozegrałbym to inaczej. To tylko seks, po co doszukujesz się drugiego dna? Zresztą to zamknięty rozdział.

– Ty w ogóle słyszysz, co ty bredzisz?

– Wolisz, żebym kłamał i szedł w zaparte?

Wzruszyła ramionami. Widocznie łatwiej byłoby wyprowadzić celny atak.

– Skończyłem z nią. – Dotarło do niego, jak dwuznaczne były to słowa. – Pewne decyzje ciągną się za mną i nie chciałbym, żeby się odbiły na twoim życiu. Rozumiesz mnie? Nie proszę cię o wybaczenie, tylko o cierpliwość.

– Zabiłeś ją i mam ci pomóc zakopać ją w ogródku? – prychnęła.

Wcale nie było mu do śmiechu. Mimo to brnął dalej, nie widząc innego wyjścia.

– To nie jest zabawne. Zapomnij na chwilę o tej kobiecie i powiedz mi, jak wyglądali ci mężczyźni. Obiecuję, że wrócimy do tematu, gdy uporam się z tym wszystkim. Zrobisz to dla mnie? – zaproponował nieśmiało.

Zawahała się. Umiała bezbłędnie ocenić sytuację, w której się znalazła, i wycisnąć z niej maksimum korzyści lub przynajmniej zminimalizować straty. Podziwiał w niej to. Mimo bólu, jaki jej zadał, potrafiła odsunąć na bok zbędne emocje i racjonalnie podejść do

sytuacji, w którą ich wpakował.

– Klasyczne karki. Umieśnieni, łysi, ze wzrokiem tęskniącym za rozumem.

Normalnie wzięłby to za żart, dziś nie zadrżał mu żaden mięsień twarzy.

– Przypomnij sobie, czy mówili coś więcej.

– Nie. Nie byli specjalnie rozmowni, a ja nie chciałam ciągnąć tematu.

– Wspominali, w jaki sposób mam się z nimi skontaktować?

Pokręciła głową.

Chciał ją wziąć w ramiona i pozwolić, by się wypłakała. Nie wiedział, czemu z taką łatwością przychodziło mu oszukiwanie jej. Potrafił to już w dniu, gdy została jego żoną, i przywykł, że zawsze dostawał to, czego chciał. A jeśli było to niemożliwe, po prostu to sobie zabierał. Nie miał wyrzutów sumienia. Ani wtedy, ani dziś.

Włożył kurtkę i wyszedł. Z tyłu głowy chór demonów nucił Stonesów:

*You can't always get what you want.*

Sam dośpiewał sobie resztę.

*But if you try sometimes, well, you might find,*

*You get what you need.*

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Czuł na twarzy lodowaty oddech wiatru. Wciąż nosił jego smak na skórze.

Śledził, jak szczupłe dłonie matki odrywają się od barierki, ciało spada w dół, bez szans w starciu z grawitacją. Nim skoczyła, odwróciła się – spojrzał wtedy w jej przepełnione smutkiem oczy. Zobaczył w nich pustkę.

Wyrzucał sobie, że może gdyby przyszedł wcześniej, odwiódłby ją od tego pomysłu i nie popełniłaby samobójstwa. Obwinił się, nie potrafił zrozumieć, co skłoniło ją do tego dramatycznego kroku. Czas stanął w miejscu, a drobne ciało matki zawisło w powietrzu, niczym zatrzymane w kadrze. Wydawało mu się, że odwraca głowę w jego stronę i się uśmiecha, zapewniając go, że wszystko będzie dobrze, że wszystko się ułoży. Nie wierzył w to.

Na jej twarzy rysował się nienaturalny spokój, a skóra się wygładziła, jakby matka chciała go przekonać, że tam, po drugiej stronie, znalazła upragnioną ulgę. Wreszcie świat zadrżał, obraz się rozmazał i runęła w dół, zmierzając prosto w nieprzebraną otchłań, która pochłaniała każdy fragment jej istnienia.

Drugi wstrząs. Silniejszy. Kreft obudził się zlany potem, z trudem łapał oddech.

Ktoś uderzał w drzwi. Wskoczył z łóżka i półnagi ruszył w stronę korytarza.

Spojrzał w wizjer. Na ganku majaczyły sylwetki dwóch osób. Było ciemno, nie zdołał ich rozpoznać. Wyższy z mężczyzn miał na sobie szlafrok frotté, przypominał kogoś, kto wraca z hotelowego basenu i dobija się do pokoju sąsiada. Niemal przykleił się do drzwi i uderzał w nie coraz donośniej.

Kreft przekręcił zamek i uchylił je. Nad gankiem rozbłysło światło, sprawiając, że mężczyzna w szlafroku zmrużył oczy. Obrzucił go nieprzyjemnym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na przykrywających ciało komisarza tatuażach i bliznach. Jego mina świadczyła o tym, że już wyrobił sobie o nim zdanie.

– Jest trzecia w nocy, a ten człowiek kręci się pod moimi oknami i zakłóca spokój. Byłbym wdzięczny, gdyby pan coś z tym zrobił – wycodził przez zęby. Wskazał palcem na stojącego w rogu mężczyznę i z trudem stłumił gniew.

– Przepraszam, to się więcej nie powtórzy – odparł Kreft, widząc grymas na twarzy sąsiada, i dodał: – Dziękuję, że przyszedł pan z tym do mnie.

– Następnym razem dzwonię na... – Zreflektował się, że to ślepa uliczka.

Owinał się szczelniej szlafrokiem, jakby uświadomił sobie, że grudzień nie jest najlepszą porą na paradowanie w nim po osiedlu. Machnął zrezygnowany dłonią, udając nieudolnie, że nic się nie stało, po czym odszedł i zostawił ich sam na sam.

Ojciec stał z boku, wpatrzony w ciemny punkt na horyzoncie nocy, jakby nie docierało do niego, co się właśnie wydarzyło.

Kreft podszedł bliżej, objął go i wprowadził do środka, prosząc, żeby usiadł w kuchni. W międzyczasie włożył koszulkę i nastawił wodę na herbatę, przyglądając się dyskretnie, czy ojciec nie zmarł w czasie nocnej eskapady. Wydawał się niewyspany, ale nic nie wskazywało na to, aby coś mu dolegało.

– Co się stało, tato? Co tu robisz w środku nocy?

– Nie wiem, coś mi się poplątało. – Wydawał się zagubiony, zdeprymowany i bezsilny. Kiwał nerwowo głową.

– W porządku. Nie zadręczaj się tym. – Położył mu dłoń na ramieniu i przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem, wieszał się na nim i podciągał, z tym że biceps ojca był wówczas dwukrotnie większy. – Napijesz się herbaty?

Ojciec skinął głową. Dopiero teraz Kreft zauważył, że ojciec szczęka zębami. Nie wyglądał na przeziębionego. Kreft zdawał sobie sprawę, że każda wzmianka o tym, by pojechali na pogotowie lub choćby

zmierzył temperaturę, skończy się karczemną awanturą i zamiast mu pomóc, tylko pogorszy sprawę.

Zaniki pamięci się nasilały, jednak ojciec nie przyznawał się do tego, wmawiając wszystkim, że nigdy nie czuł się lepiej. Źle sypiał, zapominał o wizytach u lekarza, opłacaniu rachunków i umówionych spotkaniach, nawet w klubie brydżowym, ale duma nie pozwalała mu pogodzić się ze słabością.

Kreft zdawał sobie sprawę, że granica została przekroczona, mimo że ojciec bagatelizował ten fakt. Wiedział, że to nie jest najlepszy czas na rozmowę. Uznał, że pozwoli mu odpocząć i wróci do sprawy przy innej okazji.

– Dobrze się czujesz? Nie chcesz jakichś proszków, tabletki na ból głowy?

Marian Kreft upił kilka łyków ciepłej herbaty i odparł z charakterystycznym dla siebie sarkazmem. Dobry znak. Widocznie powoli dochodził do siebie.

– Na tyle dobrze, żebyś nie faszerował mnie chemią. Wiedziałem, że to nie twój dom, po prostu w nocy źle widzę i się pomyliłem – tłumaczył nieudolnie, usiłując przekonać ich obu do naciąganej historii. – Jest ciemno, chciałem się wydostać i nie znalazłem bramki, więc kręciłem się pod domem tego człowieka. Jego dumny pies zaczął ujadać i nie zdążyłem uciec.

– Wiem, tato. Nie przejmuj się. Sąsiad jest w porządku, nie będzie do tego wracał – skłamał. Odkąd tu zamieszkał, zamienili ze sobą najwyżej kilka zdań. Mężczyzna nawet nie starał się ukryć, że nie był zachwycony sąsiedztwem komisarza wydziału kryminalnego. W sumie niespecjalnie mu się dziwił. – Zastanawiam się jedynie, dlaczego wyszedłeś z domu w środku nocy?

– Chciałem się przewietrzyć. Wiesz, że nie lubię być zamknięty w czterech ścianach. Nie umiałem zasnąć. Musiałem się przejść, inaczej bym oszalał.

„Znakomita pora na spacer”, pomyślał Kreft, ale zachował tę uwagę dla siebie.

Wypili herbatę, pogadali chwilę i zaproponował ojcu, aby ten przespał się kilka godzin, zanim wróci do siebie. O dziwo, przystał na

tę propozycję, co samo w sobie było zastanawiające. Widać długo kręcił się po okolicy i padał z nóg.

Rozłożył mu kanapę w salonie, dał czystą pościel, ręcznik i poszedł na górę, by ojciec nie czuł się skrepowany. Spojrzał na zegarek na szafce pod oknem. Dochodziła czwarta nad ranem, do świtu zostały ledwie trzy godziny, ale wiedział, że i tak nie zmruży oka. Sięgnął po teczkę z dokumentami.

Ucieczka w pracę. Sprawdzony sposób na walkę z bezsennością.

Przed siódmą wziął prysznic i wyszedł z domu. Wciąż było ciemno, co potęgowały wiszące nisko nad chodnikiem chmury. Mimo to bez trudu zauważył żółte kleiste zacieki na przedniej szybie i skorupki rozbitych jaj na masce samochodu. Zajrzał pod koła, sprawdził, czy nie ma tam śrub i innych gadżetów, które musiałyby usuwać u wulkanizatora, ale najwyraźniej sąsiad odreagował całą złość, rozbijając pół tuzina jaj na szybie jego auta.

Wspaniałomyślnie z jego strony. Mógł przecież zabić, jak w tym kiepskim dowcipie.

Kreft nie był człowiekiem, którego łatwo wyprowadzić z równowagi. Wsiadł do auta i włączył wycieraczki, a te rozmazały klejącą maź po całej szybie.

Włączył radio i odjechał. Ulice opustoszały. Drogowcy wstrzymali się do wiosny z załataniem wychodzących spod śniegu dziur i jazda przez miasto przypominała slalom gigant. Gdy dotarł na komendę, od razu skierował się do archiwum. Pulchna pięćdziesięcioletnia kobieta w dyżurce uśmiechnęła się do niego, kiedy postawił przed nią kubek kawy zakupionej na stacji.

– Dziękuję, kochany. Gdyby nie ty, znów piłabym te rozpuszczalne szczyny. – Sięgnęła do leżącej na krześle torby i wręczyła mu zawinięty w sreberko kawałek drożdżowego ciasta. – Z wiśniami. Tak jak się umówiliśmy.

Kreft odebrał od Marzeny Jach niewielki pakunek i schował go do plecaka.

Przychodził tu regularnie, raz lub dwa razy w tygodniu, w zależności od tego, ile czasu zdołał wygospodarować w grafiku. Przywoził kawę, kupioną na stacji po drodze, a Jach rewanżowała się domowymi

przetworami, wypiekami i wynajdywaniem w policyjnym archiwum tego, czego akurat potrzebował. Zwykle miało to związek z samobójstwem matki.

– Powinnaś rzucić tę robotę i zająć się pieczeniem ciast na zamówienie. Klienci waliliby do ciebie drzwiami i oknami – odparł, kokietując ją trochę.

– Daj spokój – zawstydziała się. Nie umiała przyjmować komplementów i wyglądała na skrępowaną. – Znalazłam dokumenty, o które ostatnio prosiłeś.

– Dziękuję. I wycofuję to, co powiedziałem. Zginęlibyśmy tu bez ciebie.

Zaśmiała się i machnęła ręką, żeby przestał. Od miesięcy gromadził akta spraw związanych z samobójstwami kobiet, do których doszło w latach dziewięćdziesiątych. Odwiedził dziesiątki rodzin i wciąż szukał powiązań między nimi, jakiegoś punktu zaczepienia i potwierdzenia przypuszczeń.

Nie wierzył w samobójstwo matki. Pogoń za jej cieniem stała się obsesją.

Wziął teczkę na górę i przeglądał akta. Stworzył nawet mapę samobójstw, które mogły zostać błędnie zinterpretowane, z dokładnymi opisami i wątpliwościami śledczych. Niektóre, mimo upływu lat, wciąż przynosiły więcej pytań niż odpowiedzi. Pod tym względem przypominały mu śmierć matki.

Upił kilka łyków kawy, zamknął teczkę i wyciągnął się w fotelu. Kiedy usłyszał dzwonek telefonu, podniósł słuchawkę i przywitał się z Martą Rybicką.

– No, co tam, Marta?

– Słyszałam, że zaglądałeś do archiwum.

– Wróciłem już do siebie. Coś się stało?

– Nic. Ślęczę od samego rana z nosem w papierach i cię nie widziałam.

– Udało ci się znaleźć coś nowego? – zmienił temat.

– Papiery dotyczące zaginięcia Sylwii Nowickiej masz na biurku, ale coś mnie podkusiło i sprawdziłam, czy w bazie są jakieś fany związane z tą rodziną – tłumaczyła cierpliwie, a Kreft jej nie



przerywał. – No więc nie mieli oficjalnej kartoteki, jednak znalazłam coś, co może tłumaczyć sytuację dziewczyny. Istniało podejrzenie, że ojciec ją molestował.

– Coś mu udowodniono?

– Sprawa rozeszła się po kościach. Sylwia wszystkiemu zaprzeczyła, ale smród pozostał. Zwierzyła się jakiejś koleżance, ta chlapała jęzorem. I tyle.

– Czemu nikt nie wyciągnął tego podczas przesłuchań, kiedy zaginęła?

– Mnie się pytasz? Może zakładali, że wciąż żyje.

„I znaleźli motyw, dlaczego uciekła z domu”, dopowiedział w myślach Kreft.

Sylwia Nowicka mogła mieć zatem powód, by wyjechać za granicę. A śledczy argument, by zamieść sprawę pod dywan. Wszystkim było to na rękę.



Nigdy wcześniej nie widział takich oczu. Spoglądał w nie i był gotów przysiąc, że barwa lewego przechodzi z jasnoniebieskiej na żrenicy do szarej na brzegu tęczęwki. W prawym kolory mieszały się pół na pół. Wyczytał gdzieś, że niebieski kolor oczu występuje u zaledwie ośmiu procent ludzi i może być efektem mutacji, którą niebieskoocy odziedziczyli po wspólnym przodku.

To nie kolor oczu Marii Nowickiej tak zachwyił Krefta, tylko żal i pustka odbijające się w nich niczym w soczewce. Nic nie mówiła. Ścisnęła w dłoni wydruk, będący ostatnim wspomnieniem córki.

– Wiem, że to było dawno temu i niechętnie pani do tego wraca. Proszę mi zaufać i opowiedzieć, co się wtedy stało – nie rezygnował komisarz.

Milczała. Odkąd stanęli w progu i zapytali, czy osoba na niewyraźnym wydruku, który przynieśli ze sobą, jest jej córką, minęło pół godziny. W tym czasie każdy mięsień na jej twarzy skurczył się i rozciągnął nieskończoną ilość razy. Obserwował ją. Na twarzy

kobiety dało się dostrzec ulgę i kres niepewności lęgnącej się głęboko w głowie.

Siedzieli na sofie przykrytej zmechanicznym kocem, chyba tylko po to, żeby się nie rozpadła. Kreft nie naciskał. Dał jej zebrać myśli i pogodzić się z tym, co w głębi duszy wiedziała od początku i przez lata tłamsiła w sobie.

– Wszystko powiedziałam. Macie zeznania, spisane i nagrane na kasetach.

– Zgadza się. Przejrzałem to, co udało się zgromadzić w sprawie. Jest jednak sporo nieścisłości i znaków zapytania. – Robił, co mógł, by zdobyć jej zaufanie.

Spojrzenie, jakim go uraczyła, świadczyło o tym, że odniósł odwrotny skutek.

– To moja wina? Nikt mnie wtedy nie słuchał, ten cholerny świstek papieru wystarczył, by zamknąć sprawę. To nie ona napisała list, mówiłam wam to wiele razy...

– Nie winię pani. Proszę pozwolić mi to zrozumieć, dla mnie to też dziwne.

Miała rację. List, który trafił do niej kilka dni po zaginięciu córki, policja uznała za wystarczający powód, by przekazać temat do archiwum z krótką adnotacją: „Wyjazd za granicę”. Nikt nie zamknął sprawy z prostej przyczyny. Zwyczajnie jej nie było.

Nikomu przez myśl nie przeszło wszczynać śledztwa z prawdziwego zdarzenia. Prokurator zdał się na opinię śledczych i nie naciskał. Policyjny beton uznał, że otwarcie puszkii Pandory wymaga stuprocentowej pewności, najlepiej ze wskazaniem winnego. A tego nie znaleźli.

Przesłanki wskazujące na zabójstwo odrzucono. Statystyk nie poprawiają.

– Dlaczego upierała się pani, że to nie córka napisała list? Nie zlecono opinii grafologicznej, jednak charakter pisma nie wzbudził wątpliwości.

– Nie mówiłam, że to nie jej pismo. Jeśli to zrobiła, ktoś ją do tego zmusił. Czytałam list setki razy, znam go na pamięć. Sylwia nie wyrażała się w ten sposób, to do niej niepodobne. A jeśli ktoś jej

podyktował te słowa? Chcę zobaczyć film, ten, na którym... – Zmieniła temat, lecz nie zdołała dokończyć.

– Proszę mi zaufać, to nie pomoże. Fotografia, którą ma pani przed sobą, jest najdokładniejszym obrazem córki, jaki udało nam się wyciąć z nagrania.

– Skąd pan wie, co mi pomoże, a co nie? – zachnęła się. – Chcę zobaczyć film i nie zmienię zdania.

Dziesiątki zdjęć, ustawione w ramkach w każdym kącie domu, nawet po latach robiły dołujące wrażenie. To wciąż bolało. Wiedział, że to zły pomysł i nie powinien się zgadzać, ale znał to uczucie, gdy człowiek traci najbliższą osobę i wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Nic nie ukoi cierpienia.

– W porządku. Niech się pani z tym prześpi, przemyśli to. Odezwę się za parę dni, a teraz proszę opowiedzieć mi po raz ostatni, jak do tego doszło.

Zanim zgodziła się na taki układ, długo zbierała myśli. Nie ponaglał jej.

– Sylwia czekała na ten dzień, która dziewczyna w jej wieku się nie cieszy? Zanim wyszła, przerobiłam jej sukienkę, pożyczoną od koleżanki. Nie pamiętam już jej imienia. Sukienka była za szeroka w ramionach, a córka szczuplutka. Od kilku dni chodziła naburmuszona, nerwowa. Martwiła się, że nie zdązę, że fryzura nie taka. Wie pan, humory nastolatki. – Z każdym wypowiedzianym słowem jej głos stawał się oschły i nieprzyjemny. – Przyjechali przed piątą. Zatrąbili dwa razy, córka odburknęła coś na do widzenia, złapała w biegu kurtkę i wybiegła na dwór. Nie zdążyłam się z nią nawet pożegnać... – zamilkła.

– Znała pani chłopaków, z którymi wtedy jechała?

– Koledzy z klasy. Z Darkiem się spotykała, widywałam ich razem. Policja długo ich sprawdzała, ale niczego nie znaleźli. Nie wiem, jak to możliwe.

– Wszystko wskazuje na to, że nie zrobili jej krzywdy. Mówili prawdę.

– Tak pan uważa? Nawet jeśli jej nie zabili, to nie są bez winy. Mieli ją odwieźć do domu, a nie zostawiać samą na mrozie. Odpowiadali za

nią... – Łamał jej się głos.

– Czytałem ich zeznania. Dariusz Breguła był przejęty, roztrzęsiony. Wspominał, że się posprzecjali i zrobił jej na złość. Nie bronię go. Wrócili po nią kilkadziesiąt minut później, lecz już jej nie było. Uznali, że wróciła do domu.

– I pan uważa, że to jest normalne? – zapytała z wyrzutem.

– Nie. Ale to za mało, żeby postawić im zarzuty. Zostawmy to, czasu nie cofniemy. Czy córka miała problemy, zachowywała się dziwnie?

Widział, że to przeżywa. Miała sporą nadwagę, jej potężna klatka piersiowa unosiła się i opadała z trudem, jakby animowała ją wyłącznie siłą woli.

– Widziałam, że coś ją gryzie. Sądziłam, że chodzi o studniówkę. W szkole dobrze jej szło. Uczyła się do matury, chciała pójść na farmację i pracować w aptece. Zawsze była dobra z chemii. Nie znam się na tym, jestem prostą krawcową, w piwnicy wciąż leżą te jej szklane pojemniki... – Kiwała głową.

– A jak układały się jej relacje z chłopakiem?

– Nie zwierzała mi się. To trwało od kilku tygodni, spytałam ją o to raz czy dwa, nie sądziłam, że to może być coś poważnego. Spotykali się po szkole, czasem odprowadzał ją przed dom. Kiedy wracałam z pracy, siedzieli w jej pokoju. Nie chciałam im przeszkadzać, wtrącać się, może to był błąd...

– Co pani o nim myślała?

– Nic. Zamieniliśmy może kilka zdań. Zwykle kończyło się na „dzień dobry” i „do widzenia”. Sprawiał wrażenie skromnego, wstydliwego chłopca.

– Jakie były pani pierwsze przeczucia, gdy nie wróciła do domu?

– Myślałam, że zrobili jej krzywdę. Że coś się stało i nie chcą się przyznać.

– Nie wierzyła pani, że mogła uciec, wyjechać? Tak stwierdzili śledczy.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Wiedział, że stąpa po kruchym lodzie, mimo to prowokował ją celowo. Musiał się przekonać, jak zareaguje.

– Uciec od czego? Wychowałam ją w zasadzie sama, mąż bywał

w domu od wielkiego dzwonu. To trafiła się fucha, to wódka z kolegami. Zwykle to drugie. Nie było z niego pożytku. Sylwia się nie skarżyła, sugeruje pan, że...

– Niczego nie sugeruję – uspokoił ją. – Pierwsze podejrzenia często się sprawdzają.

– O ile ktoś zechce ich wysłuchać – dokończyła z żalem i przełknęła ślinę.

Wiedział, że to, co utknęło jej w gardle, prędzej je rozerwie, niż opadnie na dno żołądka. Trochę trwało, nim znów doszła do siebie.

– Gdzie ona mogła uciec? W studniówkowej sukni i bez kurtki? Zostawiła ją w aucie, policja przywiozła mi jej rzeczy w worku, kilka dni później. No gdzie? Nikt niczego nie sprawdził, wzięli świstek papieru i podtarli się nim.

Kreft wahał się, czy do tego wracać. Uznał, że nie będzie innej okazji.

– Pani córka mogła być molestowana przez ojca. Wiedziała pani o tym?

– Oni panu tak powiedzieli? Te skurwysyny, które nie potrafiły jej znaleźć? I pan im wierzy? – Była wściekła i starała się odrzucić złe myśli od siebie.

Wyjaśnił, że znalazł te informacje w aktach sprawy. Pochodziły z kilku niezależnych źródeł. Obok zeznań chłopaka wersję potwierdziła jedna z koleżanek, której Sylwia się zwierzała. Ojciec nigdy nie przyznał się do winy, a kilka miesięcy po zaginięciu córki zmarł. To była jedna z przesłanek, dlaczego śledczy nie wznowili poszukiwań i wierzyli, że Sylwia rzeczywiście uciekła.

Maria Nowicka nie miała siły walczyć. Ukryła twarz w dłoniach i ciągnęła łamiącym się głosem:

– O niczym nie wiedziałam. Szukałam jej tyle lat. Modliłam się, żeby to, co mówili, okazało się prawdą, żeby się odnalazła... – Z każdym słowem oczy kobiety wypełniały się łzami. – Ciągle wierzyłam, że stanie w drzwiach, że zdążymy się jeszcze pożegnać. Dziś wiem, że to się nie uda...nigdy...

Kreft dał jej się wypłakać. Wiedział, że ulga przyjdzie z czasem. Trudno przerobić wszystkie etapy żałoby jednocześnie. Po etapie

zaprzeczania, żalu, po atakach gniewu i bezradności łatwiej pogodzić się ze stratą. Zdawał sobie sprawę, że nikt nie zrobi tego za nią.

– Znajdziecie ją? Niech mi pan obieca, że będę mogła się z nią pożegnać.

Robert Kreft nie odpowiedział, skinął tylko głową. Wrócił za kółko i myślał o matce. Łzy napływały mu do oczu. Zaczął walić z całej siły w kierownicę. Musiał odreagować. Zapomnieć.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Jest w tym stwierdzeniu sporo racji, szczególnie gdy człowiek już utknął w piekle po uszy i rozpaczliwie chce się dowiedzieć, kto mu je zgotował. Hajduk odrobił pracę domową i prześledził historię nieruchomości, w której znalazł ciało kobiety. Ostatnia wzmianka pochodziła z lat dziewięćdziesiątych i dotyczyła samobójstwa właściciela. Zasięgnął języka w agencjach nieruchomości. Żadna nie miała w ofercie sprzedaży domu, a nazwisko obecnej właścicielki nic nie mówiło.

Dom mógł być zapisany na partnerkę mężczyzny. Nie zwrócił na to uwagi, będąc w środku, wszystko działo się za szybko, jednak teraz przypomniawszy sobie kartkę pocztową i zdjęcia porozstawiane w różnych miejscach domu. Cała trójka wyglądała na nich na zgraną, szczęśliwą rodzinę. Pozory mylą.

Działka, na której stał dom, znajdowała się w spokojnym miejscu na brzegu lasu zagórskiego, przeciętego lśniąca blizną drogi ekspresowej S1. Osada leśna liczyła niegdyś kilka zabudowań, a w ostatnich latach rozrosła się do rozmiarów sporego osiedla. Chaos przestrzenny i nieskrępowana swoboda w budowaniu i wykańczaniu nieruchomości popsuły pierwsze wrażenie.

Oświetlenie miejskie biegło wzdłuż głównej alei, sąsiednie tonęły w mroku.

Zaparkował na krawędzi lasu, przy szlabanie i tabliczce informującej o wstępie na teren nadleśnictwa. Nie zwracał na siebie uwagi. Szedł wzdłuż skutej mrozem, nieutwardzonej ścieżki w stronę zabudowań pod lasem.

Wytyczał drogę światłem latarki. W grudniu o tej porze było ciemno i głucho. Z oddali dochodził szum ekspresówki i pomruk wiatru,

który podrywał korony ogołoconych z liści drzew i ćwiczył z nimi upiorną choreografię.

Gdzieś w oddali zaczął ujadać pies. Przekomarzał się z przejeżdżającym osiedlową drogą samochodem albo padającym deszczem, wygrywającym kościstymi paluchami ponurą melodię na obluzowanych łączeniach rynien.

Wreszcie dotarł na miejsce. Z tej perspektywy dom wydał się mniejszy, niż go zapamiętał. Piętrowy budynek przypominał betonową kostkę z doklejonym garażem. Na taras z tyłu domu, prowadziły duże, przeszklone drzwi.

Wiedział, że powinien zachować czujność. Nasłuchiwał, co się dzieje wokół.

Działka była oddzielona od strony lasu metalowym płotem i obsiana trawnikiem. Wzdłuż podjazdu posadzono rząd krzewów ozdobnych. Pod ścianą garażu zauważył kilka palet kostki brukowej, którą miała być wyłożona ścieżka wiodąca przed taras. W pomieszczeniu na dole paliło się światło.

Zza firanki widział stół i sylwetkę mężczyzny w zapiętej pod szyją koszuli.

Sprawdził stopą grubość pokrywy śnieżnej zalegającej na krawędzi lasu i schował się głębiej w mrok. Na wszelki wypadek wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni. Nie zamierzał kusić losu. I tak załazł mu głęboko za skórę.

Mężczyzna zjadł kolację. Podniósł się, zabrał talerz i odniósł go do kuchni.

Jadł sam, co samo w sobie stanowiło przygnębiający widok, choć Hajduka bardziej przerażał fakt, że mieszkał tu z partnerką i dzieckiem. Wyobrażał sobie, jak wraca do stołu, zatrzymuje się przy ładnej blondynce ze spiętymi w kucyk włosami i całuje ją w czoło, dziękując za wspólny posiłek. Zajęci sobą rozmawiają, gestykują i śmieją się. Ten obraz nie pasował do człowieka, który z zimną krwią zabija młodą dziewczynę, inscenizuje miejsce zbrodni i wrabia go w to morderstwo. Kim jesteś, ty pieprzony sadysto?

W dokumentach, do których dotarł, nie znalazł o nim wzmianki. Nie mieli ślubu, a kobieta była jedynym pełnoprawnym właścicielem



nieruchomości.

Każdy z nas nosi maski. Jedne uwierają nas mniej, inne bardziej. W jednych czujemy się sobą, w innych kogoś udajemy. Wszystkie w końcu się wycierają i odsłaniają prawdziwe oblicze. Rzadko jesteśmy z niego dumni.

Zderzenie wyobrażeń z tym, co teraz obserwował, było wręcz paraliżujące.

Kilkadziesiąt godzin temu w pokoju na piętrze znalazł ciało brutalnie zamordowanej dziewczyny. Ten kontrast robił wrażenie. Zastanawiał się, jak to możliwe, że człowiek, którego obserwuje, przykładowy partner i ojciec, z premedytacją pozbawił kogoś życia? Próbką gry aktorskiej, jaką zaserwował mu w mieszkaniu, świadczyła o tym, że umie żonglować tożsamością.

To nie musiał być on. Nie miał dowodów na to, że niepełnosprawny mężczyzna posunął się do zbrodni. Ale wszystko układało się w spójną całość.

Mężczyzna wstał i podszedł do okna, jakby wyczuł jego obecność. Wysoki, szczupły, atrakcyjny, nawet w tak prozaicznej czynności potrafił zachować właściwe proporcje między elegancją i niewymuszonym luzem.

Hajduk był pewien, że ich spojrzenia się spotkały, i gdyby nie ściana ciemności, która wyrosła za jego plecami, mężczyzna by go poznał. Miał zimny, przenikliwy wzrok, jakby usiłował zajrzeć w najmroczniejsze zakamarki jego duszy, wsunąć tam łapska i wyciągnąć wszystko, co zalegało na dnie.

„To niemożliwe”, wymówił sobie i przełknął głośno ślinę. Wcisnął się w plamę cienia. Mężczyzna odszedł od okna, zgasił światło i zniknął w głębi domu.

Hajduk wsunął zziębnięte ręce w kieszenie kurtki, naciągnął czapkę na uszy i ruszył w stronę zaparkowanego w lesie auta. Po co tu przyjeżdżał? Co chciał sobie w ten sposób udowodnić?

W oddali mignęło światło latarki. Wystraszył się. „To złudzenie”, wmawiał sobie. Drugi snop, sunący po ściółce niczym fluorescencyjny wąż, minął go o kilka centymetrów i rozplynął się w mroku. Hajduk odruchowo przyspieszył kroku.

Gdzieś z boku mignął mu zarys postaci. „Skup się”, upomniał się w myślach i zganił za bojaźliwość. Drobinki kamieni strzelały pod stopami jak kawałki potłuczonego szkła. Wyjął klucz z kieszeni i nacisnął przycisk, a drzwi odblokowały się z charakterystycznym klikiem. Zanim wszedł do środka, rozejrzał się niepewnie, lecz nikt za nim nie szedł. Nie zdążył nawet rozluźnić mięśni, gdy poczuł silny uścisk wokół barku. Zachwiał się, upadł na kolana.

Stało przed nim dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Szukał wzrokiem punktu zaczepienia, jakiegokolwiek nadziei. Nikogo nie było w pobliżu.

– Wstawaj, kurwa! – ryknął niższy. Czubek buta wsunął mu się pod bok, na wysokości żeber. Napastnik poprawił drugą nogą, a ból, rozlewający się teraz po całym ciele, sprawiał, że Michał zwinął się w kulkę i upadł na śnieg.

– Pomyliliście mnie z kimś! – zapewniał Hajduk, dźwigając się z trudem z ziemi.

– Przestań jęczeć i mów, gdzie jest Daria! – Napastnik nie wdawał się w zbędne dyskusje. Wsunął wielkie łapska w kieszenie puchowej kurtki i czekał na odpowiedź, dysząc jak ośmiotonowa lokomotywa. Kondycja nie była jego silną stroną. Godziny ćwiczeń na siłowni spędzał raczej na budowaniu masy.

Hajduk wstał, złapał się pod boki i zaczął płuć. Na szczęście w wydzielinie nie było krwi. Wytarł usta wierzchem dłoni. Czuł w ustach kwaśny posmak.

– Nie wiem. Widzieliśmy się kilka dni temu. Wiecie to, skoro mnie szukacie – powiedział odważnie. Potrzaskane żebra przypominały w dotyku galaretę.

– Byłeś jej ostatnim klientem, później kontakt się urywa. Co z nią zrobiłeś?

– Nic. Wyszedłem od niej sam. Sprawdźcie to. Na osiedlu na pewno jest jakiś monitoring! – bronił się. – Później się nie widzieliśmy, przysięgam.

Zaskoczył ich. Obaj chwilę milczeli, jakby fabryka szarych komórek pod ich czaszkami nie wyrabiała z realizacją zleceń. Spojrzeli po sobie w nadziei, że któremuś z nich przyjdzie coś rozsądnego do głowy. Nic

takiego się nie wydarzyło, musieli więc posunąć się do starych, sprawdzonych metod.

Drobinki ziemi wdzierały mu się do ust i nosa, a ból przeszywający ciało zdawał się ustępować z każdym wyprowadzanym przez nich ciosem. Hajduk skulił się; czekał, aż się wystrzelają. W końcu opadli z sił i rzucili na odchodne:

– Masz dwa dni, żeby ją znaleźć i przyprowadzić w całości. Inaczej ciebie będą musieli poskładać do kupy. Zrozumiałeś, leszczu?

Nie odpowiedział. To i tak nie miało znaczenia. Zaczekał, aż się oddalą, a potem co najmniej kwadrans dochodził do siebie. Mróz złagodził ból i odsuwał jego następstwa w czasie. Hajduk z trudem doczłapał do samochodu i usiadł za kółkiem. Dostał dwa dni i nie zamierzał ich zmarnować.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Siedział na kanapie i zastanawiał się, dlaczego z wiekiem najwięcej przyjemności sprawiają człowiekowi najprostsze czynności. Wystarczyła mu jej obecność, butelka wina i wyciągnięte na podłozie stopy, co pewien czas, niby ukradkiem, stykające się ze sobą. Nie oglądał telewizji. Spoglądał w ekran wyłącznie dla zabicia czasu lub po to, by poprzebywać z Iga. Chłonał jej spokój i zdolność wyłączenia się, w zamian oferował jej poczucie bezpieczeństwa. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Na tym etapie związku żadne z nich nie śmiało zabiegać o więcej.

Za kilka lat skończy czterdzieści lat. Nie odczuwał bagażu wieku, przeciwnie, nigdy nie czuł się lepiej. Oprócz kłopotów z kręgosłupem, na które nie znalazł recepty żaden kręgarz, i pojedynczych siwych włosów, oplatających skronie, Kreft dostrzegał same zalety. Lepiej sypiał, przestał się wszędzie spieszyć i przejmować z byle powodu. Przynajmniej do czasu – póki nie znaleźli tej nieszczęsnej kasety.

Wciąż czuł się tym samym chłopcem, który zarywa noce z nosem przyklejonym do ulubionego komiksu, słucha starego, dobrego rocka i ogląda kiepskie amerykańskie horrory, zaklętym w ciele dorosłego mężczyzny. Cała reszta to tylko pozory, wpisywanie się w katalog ról społecznych.

– Zajrzę do Antka. – Iga odkleiła głowę od jego ramienia i podniosła się.

Kreft zwolnił uścisk zapleciony wokół jej pleców i pozwolił jej się wydostać.

– Nic mu nie będzie, to duży chłopak – odparł, drocząc się z nią odrobinę.

– Tak, wiem, jestem nadopiekuńcza – ucięła. – Nie musisz mi o tym

przypominać. Antek ma osiem lat, nocuje tu drugi raz. Może czuć się nieswojo.

– Jeśli to sprawi, że nie będziesz wierząć i mówić przez sen, to czyni swoją powinność.

– Będę. Masz to jak w banku – zaśmiała się, pogroziła mu palcem i wyszła z pokoju. Odprowadził ją wzrokiem. Ciągłe uczył się jej obecności w swoim życiu.

Przekonanie jej do pomysłu, żeby wspólnie zamieszkali, a w zasadzie rozłożyli proces adaptacji na kilka weekendowych epizodów, zajęło mu sporo czasu. Dotąd, gdy spędzali noc lub wychodzili wieczorem, chłopiec zostawał z dziadkami. Miał z nimi świetny kontakt. Ciężko nie zaskarbić sobie sympatii ośmiolatka, spełniając każdą zachciankę. Trudniej wytłumaczyć mu, że to, co dobre dla matki, będzie korzystne dla niego. Stało na tym, że nie będą robić niczego na siłę. W końcu to dwie, trzy noce w miesiącu.

Kreft poszedł do kuchni. Z półki na drzwiach w lodówce wziął butelkę piwa. Znalazł otwieracz w szufladzie, otworzył i przelał piwo do szklanki.

Stał w oknie. Chwilę temu padał deszcz, teraz na zewnątrz rozszalała się śnieżycą. Tumany białego puchu wirowały na jezdni jak suknia panny młodej. Przesuwały się tanecznym ruchem z jednej strony ulicy na drugą. Zziębnięci, poupychani w puchowe kurtki ludzie odwrócili głowy, nie chcieli brać udziału w tym żenującym spektaklu. Zima nieśmiało stroszyła piórka.

Poczuł cytrusową goryczkę w ustach i jej ciepłe dłonie na brzuchu. Wtuliła się w jego plecy i oparła głowę na ramieniu.

– I co?

– Śpi.

Chciał wtrącić „a nie mówiłem”, wolał jednak zamilczeć i się przekonać, czy ich ciała, ich myśli do siebie pasują. Zapomniał już, jak smakuje oddech na skórze i ile przyjemności dają proste gesty. Wcześniej ich nie doceniał.

Wszystkie związki w jego życiu kończyły się porażką. Większość z jego winy. Nie potrafił nawiązać trwałej relacji, zbudować zaufania ani dostosować się do czyichś oczekiwań. Nie wiedział, jak wygląda

trwały związek, budowany na kompromisach, miłości. Umawiał się z wieloma kobietami, ale niewiele imion zapadło mu w pamięć. Nie narzekał na brak zainteresowania, choć nie myślał o trwałej relacji. Nie wybiegał w przyszłość, nie nastawiał się na nic więcej niż szybkie spełnienie i przyjemnie spędzony wieczór. Odkąd poznał Igę, to się zmieniło: poczuł uporczywą pustkę, samotność zaglądała przez szkło, które ścisnął w dłoni.

– Napijesz się czegoś? – spytał, odganiając natrętne myśli.

– Nie. Wezmę prysznic i się położę. Jutro mam ciężki dzień w pracy.

– Co tam na tapecie?

– Drobnica. Trochę biegania z biura do sądu i z powrotem. Same atrakcje.

Wyczuwał w jej głosie tęsknotę za zleceniami, z których zrezygnowała na własne życzenie, ale z jego powodu. Związek z komisarzem wydziału kryminalnego zamykał przed nią kilka ścieżek zawodowych, związanych z prawem karnym. Pogodziła się z tym, choć Kreft wciąż to sobie wypominał.

– Do sądu?

– Tak. Wyobraź sobie, że przystojny Szwed postanowił zabawić się w naszym pięknym kraju, za dużo wypił i wdał się w bójkę w klubie nocnym, a teraz próbuje to jakoś odkręcić. Czasem trafiają się takie kwiatki, ale będąc tłumaczem przysięgłym, nigdy nie wiesz, kiedy policja czy prokuratura zapuka do twoich drzwi. Radzę się przyzwyczajać – tłumaczyła spokojnie.

– Po przystojnym Szwedzie się wyłączyłem.

Uderzyła go w ramię i się roześmiała. Wzięła koc i wyszła z pokoju.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Poradzę sobie, jestem już dużą dziewczynką – odgryzła się. – I nie siedź za długo, dobrze?

Skinął głową i pozwolił jej odejść. Iga przypominała mu matkę. Nie chodziło o wygląd, pod tym względem się różniły, raczej o charakter i sposób bycia. Obawiał się, że ją skrzywdzi, że wybrał ją, rekompensując sobie to, co nieodwracalnie stracił, jakby podświadomie chciał odkupić nie swoje winy.

Czas zabił rany, wytarł czarno-białe klisze wspomnień. Bolało go

to, że nie umie przypomnieć sobie wyrazu jej twarzy, barwy głosu ani zapachu skóry. Wyrzuty sumienia brzmiały coraz donośniej. Nie nauczył się z nimi żyć.

Wypił piwo i poszedł pracować na górę. Już dawno uznał, że przydałby się tu remont, ale nie miał pomysłu, co zrobić z nadmiarem przestrzeni. Włączył laptop i usiadł przy biurku, manewrując zagłówkiem. Ból głowy przypominał o sobie niespodziewanie, jakby sposobił się przyczajony do ataku.

Taśmę Panasonic, znaną w mieszkaniu na Sobieskiego, w tej wersji i w takim opakowaniu produkowano w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku. Ktoś, komu naprawdę na niej zależało, mógł ją oczywiście zdobyć, nawet zafoliowaną, jeśli dobrze przeszukał serwisy aukcyjne w sieci.

Zastanawiał się, ile trudu mogło go to kosztować i czy nie obawiałby się, że transakcję da się namierzyć i jak po sznurku dotrzeć do kupującego.

Zieliński obdzwonił autorów ogłoszeń zamieszczonych w sieci i żaden nie przyznał się do przeprowadzenia transakcji. Towar nie jest specjalnie chodliwy, a gdy trafili się chętni, mogłeś mieć pewność, że kółko emerytów kinomanów zajechało taśmę z *Rockym* i szuka nowej, żeby zrobić kopię.

Na kasecie nie było odcisków palców, sprawca wyczyścił ją, nim podrzucił ją śledczym. Jej stan wskazywał na to, że używano jej rzadko. Nagranie trwało niespełna trzy minuty, sto siedemdziesiąt siedem kolejnych zostało niewykorzystanych. Jakość nagrania pozostawiała sporo do życzenia, widać, że podczas nagrywania korzystano z anachronicznego sprzętu.

Kreft zostawił kwestie techniczne fachowcom, sam skupił się na treści nagrania. Zdziwiło go nienaturalne zachowanie sprawcy. Spokój, z jakim realizował plan, bo to, że zaplanował to wszystko, było oczywiste. Podciął ofierze gardło niezdarnie, potem odwrócił się tyłem do kamery i ją zasłonił.

Dlaczego to zrobił?

W jego działaniu dominował spokój. Nie wahał się nawet przez ułamek sekundy i trudno było dopatrzeć się nerwowych ruchów.

Ofiara szarpała się, usiłując zerwać krępujące więzy, i szybko opadła z sił. Przeszło mu przez myśl, że byli odurzeni alkoholem, narkotykami i sprawy wymknęły się spod kontroli.

Jeśli wszystko rozegrało się w studniówkową noc blisko ćwierć wieku temu, dlaczego sprawca przypomniał sobie o taśmie dopiero teraz i czemu pozostawił ją w tym miejscu? Policję zawiadomił kurier. Zobaczył otwarte drzwi mieszkania i nie zastał nikogo w środku. Wynajmująca je studentka wyjechała do Krakowa. Zbieg okoliczności czy skorzystanie z okazji?

W mieszkaniu ujawniono sporo śladów, lecz nikt się nie łudził. Większość z nich należała do mieszkającej w nim studentki, ewentualnie jej znajomych.

Kreft wyciągnął się w fotelu i pozwolił odpocząć zasiedziałym kościom. Nie lubił wróżyć z fusów. Wolał wgryźć się w temat, przespać z nim i wyrobić sobie zdanie. Nigdy wcześniej nie uczestniczył w zabójstwie na etapie zbrodni – dotąd wizualizował sobie jej przebieg, a zwłoki prowadziły go do rozwiązania zagadki niczym szlak z rzucanych za plecy kamyków.

Tym razem musiał radzić sobie bez wskazówek i podążać w stronę mroku.

Sprawdził skrzynkę. Lista schronisk, szpitali i miejsc, w jakich mogli trafić na trop prowadzący do zamordowanej kobiety, była nieaktualna. Nie szukali kogoś, kto zaginął ostatnio. Sylwii Nowickiej nigdy w tej bazie nie było.

Kreft nie liczył na uśmiech opatrznosci. Dawno przestał ufać jej kapryśnemu usposobieniu.

Zszedł na dół i zaparzył miętę. Nie wierzył w jej zdrowotne właściwości, po prostu lubił ten specyficzny, cierpki smak. Zajrzał do sypialni. Iga już spała, wtulona w poduszkę i odcięta od kłębiących się myśli. Zazdrościł jej tego.

„Tej nocy napar z ziół nie wystarczy”, uznał. Przykrył kubek talerzem i zostawił na później. Zamiast tego otworzył drugie piwo. Nie przepadał za alkoholem, wbrew powszechnej opinii o trudnej policyjnej orce i sposobach na odreagowanie, był zaprzeczeniem stereotypowego gliny. Nie pił po to, by znieczulić się na bolesną



rzeczywistość. To i tak niewiele by pomogło.

Wczytał raport dotyczący zaginionych, który zlecił Rybickiej. Rozmawiał z nią na ten temat, jednak był wzrokowcem i szybciej przyswajał tego typu dane na papierze. Raport sporządzono starannie i precyzyjnie, widać, że nim go wysłała, porządnie nad nim przysiadła. To dobra cecha, nie mniej ważna niż dociekliwość, umiejętność czytania między wierszami i wyciąganie wniosków, co u młodych śledczych nie jest wcale częstą praktyką.

W rozwikłaniu zagadki każdy, nawet nieistotny szczegół ma znaczenie.

Usłyszał kroki na schodach, a za chwilę poczuł ciepłą dłoń Igi wokół szyi.

– Miałeś iść do łóżka. Siedzisz po ciemku i psujesz wzrok. To bez sensu.

– Przyznaj się, nie umiesz beze mnie zasnąć.

– Jasne. Twoje chrapanie koi mnie do snu – droczyła się z nim i dodała: – Martwię się. Niewyspany nie przydasz się ani mnie, ani twoim ludziom.

– Skończę, zanim odwrócisz się na drugi bok. Obiecuję.

– Jakbym słyszała Antka, gdy próbuję mu zabrać tablet.

Nie dotrzymał słowa. Wrócił do łóżka kwadrans po trzeciej. Dawniej szukał zajęcia, byle przetrwać najtrudniejszą część nocy. Czytał książkę i zasypiał z nią w fotelu albo wlewał wodę do wanny i siedział w niej tak długo, aż zaczynały mu odmarzać palce. Sięgnął po kartkę i wsiąknął w historię rozplanowaną w klatkach komiksu. Rysowanie było terapią, sposobem na uciszenie demonów, które rozsiadły się z tyłu głowy.

Prowadził ołówek uważnie, kreślił kontury niewyraźnych postaci, budując relacje między nimi i tworząc zarys opowieści, która tliła się z tyłu głowy od ponad dwudziestu pięciu lat. Wciąż ten sam balkon, to samo spojrzenie i ten sam ból, przeszywający od środka. Czarno-biały świat zamknięty w obrazie. Wyciszał się, przenosił myślami do świata rozciągającego się w wyobraźni. Tu decydował o wszystkim, miał kontrolę nad kreską, tempem i narracją. Nad życiem i śmiercią. Czuł się bezpieczny.

Noc dłużyła się niemiłosiernie. Celebrował każdą czynność, jakby zależał od niej bieg budzącego się dnia. Odsuwał czarne myśli. Tłumił je w sobie.

Odkąd Iga pojawiła się w jego życiu, koszmar bezsenności przestał go nękać.

A teraz triumfalnie wracał do gry.



Mężczyzna w wyblakłej, rozciągniętej koszulce na ramiączkach przyglądał się niezapowiedzianemu gościowi wnikliwie, usiłując przypomnieć sobie, czy gdzieś się wcześniej nie spotkali i jeden drugiemu nie był winien przysługi. Gdy wykluczył obie opcje, przeszło mu przez myśl, że pewnie nieznajomy jest świadkiem Jehowy. Też nie. Gdyby nim był, nie przyszedłby sam, pewnie towarzyszyłaby mu jakaś podstarzała kobieta. Zawsze widywał ich w parach.

Ściągnął ostrożnie zamek łańcuszkowy z drzwi i stał oparty o futrynę, analizując w głowie ewentualne scenariusze. Kreft rozwiązał jego wątpliwości.

– Pan Dariusz Breguła?

– Tak, a o co chodzi? – spytał lekko skołowany nieoczekiwanym najściem.

– Komisarz Robert Kreft, wydział kryminalny komendy miejskiej w Sosnowcu. Chciałbym z panem porozmawiać. – Nie doczekał się odpowiedzi, więc wprosił się do środka, wstawiając stopę za próg. – Mogę wejść?

Drzwi uchyliły się z jękiem nieoliwionych zawiasów. Wnętrze przypominało magazyn poczty w Koluszkach, gdzie lądują przesyłki, które z różnych względów nie trafiły do adresata. Woń potu i strawionego tytoniu kleiła się do ścian. W kuchni usiedli przy stole, przykrytym gumową ceratą w kratkę.

– Zrobić panu herbaty? – zaoferował gospodarz, drapiąc się po głowie.

– Proszę nie robić sobie kłopotu. Zabiorę panu najwyżej dziesięć

minut.

Kawy Breguła nie miał, alkoholu bał się zaproponować, w końcu nawet się nie znali. Nie był głupi, skoro policjant, to pewnie na służbie. Obaj milczeli.

– Mieszka pan sam, panie Breguła?

– Tak. W lutym będzie siedem lat, odkąd zmarła matka.

Brak kobiecej ręki było widać jak na dłoni. Breguła podrapał się w ramię, odsłaniając wyblakłe tatuaże. Większość pochodziła z okresu, kiedy taką formą twórczości parali się artyści z zakładów karnych. Breguła nie trafił do więzienia i oprócz pojedynczych mandatów zachował czystą kartotekę.

Kreft przyglądał mu się uważnie. Życie nie obeszło się z mężczyzną łagodnie. Z trudem wiązał koniec z końcem i niespecjalnie przejmował się porządkiem.

– Pracuje pan?

– To tu, to tam. W weekendy stróżuję w zakładzie. Lusterka do aut robią, psie pieniądze, ale można się wyspać. Za dnia, gdy mam czas, jeżdżę na taksówce. Zbieram na nowe auto, może zajmę się tym na stałe. Zresztą to przesłuchanie jest, bo maglujesz mnie pan na okrągło? – obruszył się.

„I jak jestem w stanie dowlec się za kółko”, dopowiedział Kreft w myślach.

– Nie. Jestem tu, bo chciałbym z panem porozmawiać o Sylwii Nowickiej.

W odpowiedzi usłyszał, jak tamten przełyka ślinę. Widać było, że chce uniknąć tematu, jednak zdawał sobie sprawę, że jest kiepskim aktorem. Zawsze, gdy mijał się z prawdą, każda żyłka na jego purpurowej twarzy pompowała pod skórę jeszcze więcej ciśnienia, sprawiając, że o mało nie eksplodował.

– Po tylu latach? To było tak dawno, że nie ma do czego wracać. I nie, nie zabiłem jej, jeśli to panu chodzi po głowie, komisarzu. Bo wielu tak sądzi...

– Gdybym uważał, że pan to zrobił, poznalibyśmy się w innych okolicznościach – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Niech mi pan po prostu powie, jak to wszystko wyglądało z pana perspektywy. Na

chłodno.

– Wszystko masz pan w papierach. Maglowali mnie tyle razy, że się gubiłem w zeznaniach. Miałem nawet ochotę się przyznać, byle dali mi spokój. Pewnie o to chodziło tym gnidom, ale nie ugiąłem się – odparł zrezygnowany i spytał dla formalności: – To naprawdę konieczne?

Kreft skinął głową. Bregule drżały ręce. Bynajmniej nie ze zdenerwowania.

– W takim razie muszę najpierw zapalić.

– Śmiało. Jest pan u siebie.

Wstał, wysunął jedną z szuflad i położył na stole worek tytoniu oraz paczkę bibulek, jakby szykował się na dłuższą pogawędkę. Sprawnym ruchem wsypał trochę tytoniu na papier i zwinął go w rulon. Odpalił skręta i zaciągnął się. Zanim zaczął mówić, zaproponował sztachą Kreftowi, lecz ten odmówił.

– Tej nocy wzięłem wóz od ojca. Kosztowało mnie to mnóstwo wyrzeczeń, nie przemyślałem tego. Nie mogłem się nawet napić, no, najwyżej jedno piwo – poprawił się. – To był stary fiat kanciak, chodził jak żyleta. Pamiętam, że wycieraczki siadły i ojciec zamontował sznurki, za które pociągał pasażer. Była kupa śmiechu. Na studniówkę pojechaliśmy większą grupą. Z przodu siedział Gruby, z tyłu Globus z dziewczyną, no i Sylwia.

Kreft mu nie przerywał. Czekał, aż się zaciągnie i wypuści obłok dymu.

– Impreza się rozkręciła. Tańce, wygłupy, alkohol, jak to na studniówce, ale Sylwia cały wieczór wydawała się nieobecna. Nie zwracała na mnie uwagi. Po piwie zaczęło mnie nosić, wkurzałem się. O co ją nie spytałem, odburkiwała na odczepnego, nie pozwalała się zbliżyć. Znikała i się pojawiała.

– Wie pan, dlaczego się tak zachowywała?

– Nie, i to mnie wkurzało. Nastolatki są kapryśne, wiem, bo sam mam córkę... – Zawiesił głos. – ...w zasadzie miałem, bo była żona tak ją na mnie nakręciła, że się nie widzimy. W każdym razie Sylwia wcześniej nie strzelała fochów, zachowywała się normalnie i jej zmiana mnie zdenerwowała.

Kreft wychwycił w jego głosie wahanie. Breguła gapił się w żar spalanego papierosa, jakby tliła się w nim jakaś tajemna mądrość.

– Nie wiem, może spojrzęła w cholerną szklaną kulę i zobaczyła, z kim będzie się użerać za dwadzieścia lat? – dokończył kwaśno, zaciągając się.

– Miała jakieś problemy? Nie radziła sobie w szkole, skarżyła się na coś?

– W szkole szło jej dobrze, leciała na mocnych trójkach. Nie wysilała się. – Przeczesał grzywkę, opadającą na czoło. I uprzedził kolejne pytanie policjanta. – Ciężko o tym teraz mówić. Byłem przekonany, że mnie zdradza.

– Domyślał się pan z kim?

Breguła zaśmiał się nerwowo i strzepnął popiół do starej kryształowej popielniczki.

– Gdybym to wiedział, dorwałbym sukinsyna i wybił mu ją z głowy.

– Skąd w takim razie te podejrzenia? – dociskał go Kreft.

Długa pauza. Rytuał z nabijaniem skręta przebiegł sprawniej niż za pierwszym razem. Kreft bał się, że w takim tempie rak wyżre mężczyźnie płuca, nim dojdą do konkluzji.

– To się po prostu czuje, nigdy pan tak nie miał? Spotykaliśmy się od kilku tygodni. Na początku układało się super. Jeździliśmy nad jezioro, spędzaliśmy ze sobą całe dni. Byliśmy nierozłączni. Z czasem, bez powodu, poczułem, że się oddala. Nie chodzi mi o fizyczną bliskość, raczej o emocjonalny chłód. Było mi z tym źle i tej nocy ją o to spytałem. Nie zaprzeczyła.

– Dlatego nie zabrał jej pan do domu, tylko zostawił samą na mrozie?

„I zabił”, dokończył w myślach, choć od początku niespecjalnie w to wierzył.

Od tej feralnej nocy upłynęło niemal ćwierć wieku, mimo to spojrzenie, jakim go uraczył Breguła, było mieszanką żalu, niezrealizowanych ambicji i gniewu. Kreft wiedział, że to nie minie. Drzazgi tkwiącej w pamięci nie sposób usunąć.

Dariusz Breguła wzruszył tylko ramionami. Nie miał nic na swoją obronę.

– Jak wyglądały poszukiwania Sylwii? Z raportu wynika, że brało w nich udział wielu ludzi.

– Nie od razu. Na początku nikt nie wierzył, że mogła stać się jej krzywda. Wciąż w to nie wierzę. To była zwykła kłótnia nastolatków, poprztykaliśmy się, nic więcej. Byłem zazdrosnym gówniarzem i chciałem zrobić jej na złość, popisać się przed kumplami, a kiedy emocje opadły, jej już nie było. Nie znaleźliśmy jej w trakcie kilkudniowych poszukiwań. Wieści szybko się rozeszły. Przekopaliśmy pół miasta, każdą dziurę...

Robert Kreft nie zamierzał wyprowadzać go z błędu.

– Kto brał udział w poszukiwaniach?

– Znajomi, sąsiedzi, pół szkoły. To inne czasy, nie korzystaliśmy z internetu, telewizja miała parę kanałów, chyba że ktoś ściągał satelitę. Wyciągaliśmy ludzi z domów. Po paru dniach poszedł komunikat z prokuratury lub policji, że Sylwia nie zaginęła. To podcięło nam skrzydła. Zrobiliśmy plakaty, rozkleiliśmy je po słupach, ale zapal zgasł, ludzie przestali się angażować. Krążyły różne plotki, zwyciężyła ta, że wyjechała za granicę. Wiele osób tak zrobiło. Na przykład Globus, którego matka ściągnęła do Niemiec, czy nasz nauczyciel niemieckiego. Globus wrócił, zrobił maturę i zniknął. Dostał tam robotę, kupił mieszkanie, dziś pewnie odcina kupony.

– Wierzył pan w ten jej niespodziewany wyjazd?

– Informacja o liście musiała być przekonująca, skoro nam odpuścili. Tłumaczyłem, że Sylwia jest bystrą dziewczyną i nie ma powodu, by odcinać się od wszystkiego w taki sposób. Nie wierzyli. A może wierzyli, tylko woleli gonić nas godzinami po lesie i udowadniać tezy wyssane z palca?

– Na przykład?

– Na przykład taką, że wywieźliśmy ją do lasu, zgwałciliśmy i zakopaliśmy pod drzewem. Wyobraża pan sobie? Nas, nastoletnich wówczas łebków?!

Kreft nie wyprowadził go z błędu. Z doświadczenia wiedział, że ludzie są zdolni do dużo gorszych rzeczy, o czym wielokrotnie zdążył się przekonać.

– Przeczogliwali wszystkich. Najbardziej oberwało się mnie i kolegom,

którzy ze mną wracali. Nie spałem cały tydzień, taki byłem roztrzęsiony. Łaziliśmy z przesłuchania na przesłuchanie, z wizji lokalnej na wizję, czy jak to się tam nazywa, gonili nas po różnych miejscach. Miałem dość. I nagle pewnego dnia wszystko się skończyło. Przyszedł sygnał z góry, by zawiesić sprawę, i zamknęli ją raz na zawsze...

Kreft pozwolił mu ochłonąć. Sprawy w ogóle nie było, ale przemilczał to.

– Co pana zdaniem mogło się z nią stać?

– Z Sylwią? Nie wiem, jej zaginięcie nie daje mi spokoju. Zapadła się pod ziemię. Szukałem jej na własną rękę kilka tygodni, pytałem po ludziach. Wie pan, gryzły mnie wyrzuty sumienia. Wszystko na nic. Ciągle się zastanawiam, co się zdarzyło tej cholерnej nocy... – Głos ugrzązł mu w gardle.

– Ona nie żyje. – Kreft wypowiedział te słowa automatycznie, jakby miały uruchomić zablokowaną zakładkę w mózgu, odpowiedzialną za czyszczenie wspomnień.

Breguła nie odpowiedział. Miarowo kiwał głową, co zdawało się śledczemu o wiele bardziej przerażające niż skrajne emocje, które spodziewał się wyczytać z jego twarzy. Kamień nie spadł mu z serca, nie uruchomił lawiny gestów, potoku słów. Umilkł. Dalsze pytania nie miały sensu.

Kreft wrócił do biura, całą drogę zastanawiając się, jak wielkie piętno potrafi odcisnąć na życiu człowieka jedna decyzja. I ile następstw za sobą pociąga, niczym walec prasując na miazgę dorosłe życie.

Sam wiedział o tym najlepiej. Przeszłość nie pozwala o sobie zapomnieć. Zostawia trwałe ślady.



Zgubił wątek. Za każdym razem, gdy obserwował ekwilibrystyczne wyczyny Urygi na biurowym fotelu na kółkach, zastanawiał się, czy ten rodzaj gimnastyki wyczynowej nie stanie się kiedyś dyscypliną

olimpijską. Od samego rana siedział z nosem w aktach i każda rozrywka go rozpraszała.

– W trakcie poszukiwań przesłuchano kilkadziesiąt osób – czytał na głos Kreft. – Uczniów, nauczycieli i obsługę lokalu, w którym odbywała się studniówka. I nic. Słuch po niej zaginął, relacje urywają się po zakończeniu imprezy – dodał. – Nie wydaje ci się to trochę naciągane?

– Są dwie możliwości. – Błażej wsunął się pod biurko i wyciągnął nogi przed siebie, niemal przestawiając nimi ścianę. – Albo rzeczywiście wyjechała do Niemiec i, tak jak mówisz, słuch po niej zaginął, albo to sprawka kogoś spoza szkoły. Dziś wiemy więcej, ale wtedy działali pod presją czasu. Możliwe, że ktoś tamtędy przejeżdżał i zaoferował jej podwózkę – myślał na głos.

– To dziwne, że nikt nawet nie zakwestionował pierwszej opcji. Prokurator nie wszczął oficjalnego postępowania, uznając widocznie, że list zamyka sprawę. Wytypowanie sprawcy spoza środowiska sparaliżowałoby pracę wydziału na miesiące, bez gwarancji, że go znajdą. Bał się zaryzykować? Policja koordynowała poszukiwania, nic nie znalazła, dlatego się wycofali.

– Na prokuratora bym specjalnie nie liczył, od ośmiu lat leży w piachu. W papierach do niczego się nie dokopałem, ciągle stoimy w miejscu. Myślałem, czy nie uderzyć do Smugi, ale on zajmował się wtedy innym tematem.

– Olej go, i tak każe nam się bujać. Ciągłe mnie gryzie, czemu tak łatwo odpuścili?

– A ty co byś zrobił? Masz na stole list od dziewczyny, w którym tłumaczy swoją decyzję, na głowie przewrażliwioną matkę i podejrzenie molestowania ze strony ojca. Dla świętego spokoju zawiadomili niemieckie służby. Współpraca międzynarodowa dopiero raczkowała, pamiętaj, że mówimy o początku lat dziewięćdziesiątych, tam zawsze było wielu nielegalnych imigrantów, a obowiązek meldunkowy to mit. Czekali. Nie odnaleźli Sylwii ani jej ciała, więc wrzucili teczkę do archiwum i zajęli się czymś innym. Proste.

Kreft nie wydawał się do końca przekonany. Wersja Urygi brzmiała wiarygodnie, jednak wciąż zbyt wiele było w tej sprawie znaków



zapytania.

– Minęło dwadzieścia pięć lat. Zweryfikowanie zeznań po takim czasie jest niewykonalne – zmienił wątek Błażej, zerkając na zasepioną twarz przełożonego.

– Wiem. Udało ci się namierzyć osoby, które jechały z nimi w tym aucie?

– Goik, czyli Globus, wrócił z Niemiec. Mieszka w Opolu, prowadzi jakiś biznes. Zgodził się spotkać, ustawiłem się z nim na jutro. Stelmach jeździ na tirach i szczęśliwie ma tydzień luzu. Jeśli wyciągniesz nos z papierów, możemy do niego podskoczyć, nawet teraz – podsunął i nie czekał na odpowiedź. Pół godziny później stali na klatce schodowej pod jego drzwiami.

– A co z tym mieszkaniem na Sobieskiego? – wypalił komisarz, przypominając sobie o zabójstwie i samobójstwie, do którego doszło tam lata temu.

– Z czym?

– Wspominałeś, że rozmawiałeś z matką tego gościa.

– To było kilka lat po zaginięciu Sylwii. Matka twierdzi, że nie ma pojęcia, kim była dziewczyna, nie sądzę, by odezwały się w nim wyrzuty sumienia – zaczął, ale nie zdążył rozwinąć wątku. Drzwi otwarły się i stanął w nich sporych rozmiarów facet z plackiem łysiny pośrodku czaszki.

– A, to wy. – Ich najście nie zrobiło na nim wrażenia. Wpuścił policjantów do środka i poprosił, aby zaczekali w salonie. Sam wyszedł przypudrować nos. W bokserkach i przepoconej koszulinie nie wypada przyjmować gości.

– Znów grzebiecie w sprawie Nowickiej? – Gospodarz nie krył specjalnie zdziwienia.

– Powiedzmy, że długo dojrzewaliśmy do tematu – odparł stoicko Kreft.

– No, raczej – zaśmiał się Stelmach. – Jak to mówią, lepiej późno niż wcale. Chociaż na miejscu jej starych nieźle bym się wkurwił. Swoje przeszli.

Kreft postanowił przerwać tę miłą pogawędkę, wszedł w temat z butami.

– Przejdę do rzeczy, szkoda czasu. Co się według pana zdarzyło tej nocy?

– Wy tak na serio? Z początku myślałem, że jaja sobie robicie. Co nowego mam wam powiedzieć po tylu latach, co miałbym sobie niby przypomnieć? – Humor go nie opuszczał. Każda fałda na jego tłustym brzuchu skakała w rytm salw śmiechu. Stelmach miał dystans i do historii sprzed lat, i do zdrowego stylu życia.

– Czytałem zeznania. Brzmią tak, jakbyście je uzgodnili – sprowokował go Uryga.

– Mówiliśmy prawdę – obruszył się. – Niczego nie musieliśmy uzgadniać.

– Nazwał pan Sylwię dziwką w drodze powrotnej do domu. Dlaczego?

Mina mu zrzędała. Przełknął ślinę, jakby zalegała w gardle przez całe lata.

– Byłem pijany – tłumaczył się. – Pożarła się z Darkiem, stanąłem po jego stronie. Byliśmy kumplami, każdy zrobiłby to samo na moim miejscu. Nie myślałem wtedy o konsekwencjach. Zresztą nie powiedziałem jej tego w twarz, dopiero gdy wracaliśmy sami – uściślił.

– Chodzili ze sobą. Na jego miejscu dałbym panu w mordę.

– To tylko słowa, głupie gadanie pijanych szczyli. Zresztą on sam twierdził, że puszczała go kantem. Krążyły różne plotki. Powiedziałem na głos to, o czym wszyscy szeptali po kątach. Sylwia chodziła z nim z nudów – uciął.

– Skąd ta pewność? – drażył komisarz.

– Bawiła się nim jak kot zdechłą myszą. Od początku wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Za wysokie progi.

Uryga słuchał go, zerkając na wyświetlacz komórki. Wyłączył się. Dawno nie dostał żadnej wiadomości od Natalii. „To do niej niepodobne”, pomyślał. Była jedną z niewielu kobiet, którymi nie kierują kaprysy, pretensje, rozpędzona karuzela hormonów. Konkretna i zdecydowana, w przeciwieństwie do niego.

– Kto rozpuszczał te plotki? – dociekał Kreft.

– Nie pamiętam. Szkoła średnia to wylęgarnia podobnych bzdur. Nie wiem, ile było w tym wszystkim prawdy. W liceum do każdego coś się

przylepiło.

Kreft nic nie mówił. Czekał cierpliwie, aż gość wystrzela się z amunicji.

– Dziewczyny nawijały między sobą i coś tam obito mi się o uszy – stwierdził. – To, że przestało im się układać, nie było tajemnicą. Nie spędzali ze sobą tyle czasu, co na początku. A na studniówce ostro się ścięli.

– O co poszło?

– O jakieś pierdoły. O to, że zatańczyła z kimś i kazała mu się odpieprzyć.

– To jeszcze nie świadczy o tym, że go zdradzała – przytomnie wtrącił Uryga.

– Nie twierdzę, że tak było – zirytował się Stelmach. Rozmowa zaczynała go drażnić. – Krążyły takie plotki. I tyle. Nie miałem na to wpływu.

– Sądzi pan, że Breguła mógł zrobić jej krzywdę?

– Darek? – Znów ten denerwujący rechot. – On się nawet bić nie potrafił. Nie był agresywny. Przesłuchali go wiele razy i nic nie znaleźli. Zero. Długo siedziała w nas ta historia, byliśmy młodzi i porządnie przestraszeni.

– Utrzymywaliście kontakt po maturze?

– Nie, nasze drogi się rozeszły. Zaginięcie Sylwii pewnie to przyspieszyło. Słyszałem od znajomych, że się szybko hajtnął, że ma córkę. Tak? Myślałem, by się odezwać, skoczyć razem na piwo. Ale mi przeszło – uciał.

Kreft nie drażył tematu. Zyskał chwilę, by się rozejrzeć. Zawsze uważał, że mieszkanie wiele mówi o właścicielu, to krzyczało, że trafił na bezbarwną jednostkę. Wypłowiełe kolory, kwiaty w plastikowych doniczkach i dodatki bez gustu. Żadnych książek. Nastoletni syn i intelektualna pustynia.

– To wszystko, będziemy się zbierać. Dziękuję za poświęcony nam czas.

– Żaden kłopot. – Widać, że coś go gryzło. Wreszcie wydusił to z siebie. – A tak w ogóle, to dlaczego przyglądacie się tej sprawie? – dopytywał.

– Powiedzmy, że pojawiły się nowe okoliczności i trzeba je sprawdzić. – Wyświechtana regułka. Sprawdziała się dlatego, że niewiele wyjaśniała.

Uryga wstał i podał mu dłoń.

– Proszę się nie obawiać, to tylko formalność.

Wsiedli do auta. W ciągu ostatniej doby zima przypuściła następny szturm, uderzając w pozycje wroga podwójną dawką mrozu i zmrożonego śniegu, który przykrył opustoszałe ulice. Kreft włączył wycieraczki i puścił radio.

– Skoczmy coś zjeść? – podsunął Uryga i owinął się pasem.

– Mam inny pomysł. Odstawię wóz na parking i idziemy na piwo. Pasuje?

– Nie wierzę. Usiłuję wyciągnąć cię z domu od miesiący. Prowadź zatem.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Dwie godziny w niewygodnej pozycji z przerwą na rozprostowanie kości. Nie chciał rzucać się niepotrzebnie w oczy, nie wysiadał więc z auta.

Krajobraz za szybą znał na wyrywki. Gdyby ktoś obudził go w nocy i kazał podać numery rejestracyjne samochodów na parkingu pod blokiem, wyrecytowałyby je bez zająknięcia. Obiecał sobie, że poczeka kwadrans, potem weźmie dupę w troki i pojedzie coś zjeść. Ssało go w żołądku, a wypita na stacji herbata uciskała pęcherz. Potłuczone żebra utrudniały oddychanie.

Michał Hajduk zerknął na wyświetlacz odtwarzacza. Dochodziła czternasta. Przemiał ludzi na katowickich Gwiazdach sprawiał, że musiał zachować czujność. Obserwował bezosobową masę wlewającą się i wylewającą z ponad dwudziestopiętrowego kolosa.

Zawsze gdy przebywał w jednym z tych potężnych budynków, dopadały go strach i uczucie, że życie w betonowym wieżowcu przypomina dryfowanie tratwą po oceanie. Bał się, że mieszkania nad nim runą z całym dobytkiem na ich splecione w miłosnym uniesieniu ciała. Ta wizja sprawiała, że płatny seks tracił zakazany smak. Nie umiał zrozumieć osób, które decydowały się mieszkać w czymś tak ordynarnie igrającym z prawami ciężenia.

Zgodnie z wersją jej współlokatorce kobieta powinna być w domu. Mieszkały ze sobą pół roku; po takim czasie codzienne rytuały wchodziły w krew.

Dwa razy w tygodniu, o piętnastej, chodziła na zajęcia fitnessu. Pamiętał.

Zauważył ją w ostatniej chwili. Zamyślił się i słuchał słów prowadzącego audycję. Prognozy zapowiadały pogodową

przeplatankę. Wyłączył radio.

Miała na sobie wytarte dzinsy, opinające zgrabną sylwetkę, butelkową kurtkę obszytą futerkiem i czapkę z daszkiem, spod której wystawały upięte w kucyk włosy. Na ramieniu niosła sportową torbę z ubraniami na siłownię. W tej branży jędrne pośladki zapewniają dobry utarg. Była tego świadoma.

Wsiadła do samochodu i wyjechała spod bloku. Zaczekał chwilę i ruszył za nią. Na parkingu przed Silesią zaparkował alejkę obok i siedział w środku, aż skończyła rozmawiać przez telefon. Wsiadła, nie wiedząc, że ją śledzi.

O tej porze w galerii handlowej nie było tłumu, miał sporo miejsca i czasu, by jej nie zgubić. Trzymał się w bezpiecznej odległości. Czasem siadał na ławce, bawił się komórką i czekał, aż wyjdzie ze sklepu. Zabawa w podchody trwała jakieś pół godziny. Zaczynał się niecierpliwić. Nie miał śmiałości, by tak po prostu do niej podejść, bał się, że ją spłoszy. W końcu odbiła w stronę toalet. Poszedł za nią. Robił, co mógł, by nie nabrała podejrzeń.

Korytarz ciągnął się jaskrawą bielą, ciskał po oczach sztucznym światłem.

Złapała za klamkę damskiej toalety i zniknęła w środku. Wszedł za nią do przestronnego pomieszczenia. Obejrzała się za siebie, jakby się upewniała, że nie pomyliła toalet.

Chciała zwrócić mu uwagę, żeby wyszedł, ale ją uprzedził.

– Spokojnie, nic ci nie zrobię! Chcę tylko porozmawiać – uspokajał ją, jednocześnie blokując drzwi. – Obiecaj, że nie będziesz krzyczeć.

Skinęła. Uniósł ręce nad głowę. Pokazał, że nic jej nie zrobi, i odsunął się krok do tyłu, zastawiając drzwi wejściowe. Odruchowo przesunęła się w drugą stronę. Obserwowała go. Nieznajomy nie wyglądał na kogoś, kto zamierza zrobić jej krzywdę, wydawał się tak samo wystraszony jak ona.

W ubikacji nikogo nie było. Bez względu na to cały czas mówił szeptem.

– Szukam Darii Kubicy. Wiem, że mieszkacie razem. Powiedz mi, jak mam się z nią skontaktować – zarzucił haczyk i czekał, czy się na niego złapie.

Przyglądała mu się i sprawdzała, czy nie kłamie. Miała nieduże pole manewru.

– Ostatnio wszyscy jej szukają. Czego od niej chcesz?

– Wpakowałem się przez nią w niezłe tarapaty – odparł i opuścił rękę. Unikał nerwowych ruchów. Nie zamierzał jej spłoszyć. – Wiem, że masz na imię Magda i wynajmujecie mieszkanie, pamiętasz mnie? Spotykałem się z Darią i wiem, że zaginęła. – Hajduk ważył słowa, upewniając się, jak zareaguje kobieta.

– Sama chciałabym wiedzieć, co się z nią dzieje. Nie odbiera telefonów.

Nie zaskoczyło go to, w końcu sam spuścił kartę SIM w kiblu w motelu za miastem. Daria nie żyła. Miał przed oczami moment, w którym ścigał jej nagie ciało z konstrukcji podwieszanej pod sufitem. Pamiętał, jak wrzucał je do bagażnika. Musiał zyskać więcej czasu i dowiedzieć się, co się stało i gdzie ciało Darii jest teraz. A przede wszystkim, kim jest człowiek, który pozbawił ją życia.

– Mieszkacie razem, na pewno wiesz o niej więcej niż ja. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej portfel. Wręczył jej dwustuzłotowy banknot. – Chcę, by ta rozmowa została między nami. Możemy się tak umówić? Jej ochroniarze nie należą do cierpliwych, a ja wolałbym zachować resztki użębienia.

– Oni cię tak urządzili? – spytała, przyglądając się sińcom na jego twarzy. Uśmiezek nie schodził jej z ust. W głębi duszy cieszyła się, że pieniądze, które zainwestowały w „ochronę”, nie okazały się forszą wyrzuconą w błoto.

– Powiedzmy, że nie uwierzyli w moją wersję wydarzeń. Mam mało czasu. Jeżeli jej nie odnajdę, drugie spotkanie będzie równie bolesne – tłumaczył.

Wpatrywała się w niego uważnie, jednak nic nie przychodziło jej do głowy.

– W mieszkaniu na pewno zostały jej rzeczy. Nie wiem, komputer, tablet? Musiała mieć namiary na ludzi, z którymi się umawiała. Pewnie ogłaszała się też w sieci? Potrzebuję informacji o tym, z kim się ostatnio spotykała.

Zamyśliła się. Ktoś usiłował dostać się do ubikacji.

– Możemy pogadać w normalnych warunkach? – spytała przytomnie, a on przystał na tę propozycję. Zapomniał, że wciąż są w damskim kiblu.

Usiedli przy stoliku w kawiarni na środku pasażu i zamówili po kawie. Hajduk dopłacił za peruwiańską, nabierając się na sugestię chłopaka za ladą. Ściągnął okulary i ułożył je przed sobą.

– Uuu, kiepsko to wygląda. – Spojrzała na jego twarz. Masa pudru i korektor w sztyfcie niewiele pomogły. Nic nie mówił. Trudno polemizować z faktami.

– Nie mamy kont na portalach z ogłoszeniami. Na początku korzystaliśmy z serwisów randkowych, ale odkąd mamy sprawdzonych klientów, nie bawimy się w to. Wszystko jest tutaj. – Wskazała na komórkę. – Może ma hasła do kompa w telefonie, na kartce w portfelu? Ty tak nie robisz? Skoro nie wiem, gdzie jest, raczej ciężko będzie mi to sprawdzić – ucięła krótko.

Hajduk żałował, że tak szybko pozbył się karty SIM i telefonu dziewczyny.

– Jesteś w stanie to dla mnie sprawdzić?

Jej spojrzenie mówiło wszystko o tej propozycji.

– W sumie nie wpadłam na to. Skoro nasi milusińscy do ciebie dotarli, to znaczy, że coś wiedzą. Troszczyć się o nasze bezpieczeństwo, co nie?

– Wolałbym znaleźć ją na własną rękę, zanim znowu się z nimi spotkam.

Zaśmiała się. Robiła, co mogła, by zachować fason. Hajduk zastanawiał się, co skłania atrakcyjne kobiety do zajmowania się najstarszą profesją świata? Przyglądał się, jak składa i rozkłada w palcach dwustuzłotowy banknot.

– Mamy fajny układ. Tyle słyszy się o panienkach, które chodzą na pasku alfonsów, co dzielą się nimi jak tabliczką czekolady. U nas jest inaczej. Nie mieszkają z nami, nie siedzą w pokoju obok i nie słuchają udawanych orgazmów. No i nie kroją nas na kasę. Odpalamy im działkę, żeby nie stała nam się krzywda. I tyle. – Zatrzymała się, dotarło do niej, że w przypadku Darii nie do końca wywiązali się z umowy.



– A co się dzieje, kiedy klienta ponosi fantazja?

– Walimy w kaloryfer. I minutę później księżę na białym koniu ratuje nam tyłek. Czasem bardzo dosłownie – zaśmiała się bez skrępowania.

– Zdajecie sobie sprawę, że gdy, nazwijmy to, nieprzyjemni panowie zwęszą, że psujecie im rynek, to wasi ochroniarze słono za ten układ zapłacą?

Wzruszyła ramionami, jakby wkalkulowała ryzyko w działalność usługową.

– Wtedy zmienimy miejscówkę. Mamy zaufanie do naszych klientów.

– Oby. Jesteś w stanie przekonać ich, żeby dali mi trochę więcej czasu?

– A skąd mam wiedzieć, że nie zrobiłeś jej krzywdy? Mnie wystraszyłeś.

– Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy ze sobą, sącząc piernikowe latte.

– Ty masz z peruwiańskich ziaren, to wyższa półka – zaśmiała się. – Założmy, że ci wierzę i nawet chcę pomóc. Jak się z tobą skontaktować?

Spisał na serwetce numer telefonu. Nic nie ryzykował, i tak używał startera.

– Spróbuj ustalić, z kim widziała się tego dnia. Może zostawiła coś na laptopie? Albo z kim spotykała się ostatnio? Uwierz mi, znajdę ją szybciej niż twoje karki, zobaczysz. I nie musisz nic robić. Po prostu powstrzymaj psy.

Poprawiła włosy i ściągnęła je gumką. Dopiła spokojnie kawę, sięgnęła po sportową torbę i wstała od stolika. Zatrzymała się na moment, po czym powiedziała:

– Zobaczą, co da się zrobić. Sorry, ale teraz spieszę się na siłownię. Cycki same się nie ujędrnią. – I rozplynęła się w tłumie ludzi.

Hajduk odetchnął. Nie wierzył w cuda. Miał tylko nadzieję, że zyska w ten sposób więcej czasu. Potrzebował jedynie czasu i szczypty szczęścia.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Repertuar trunków na półce nad barem był tak szeroki i różnorodny, że można było dostać oczopląsu. Wnętrze rozświetlały kinkiety z reklamami piw i halogenowe lampki wpuszczone w podwieszony sufit. Dym papierosów mieszał się z zapachem zmęczony chciał.

– Co podać? – spytał młody chłopak, który stał znudzony za barem, jakby balansował na granicy dwóch przeciwstawnych rzeczywistości.

– Dla mnie czeskie piwo – odparł Kreft i uściślił: – Z butelki, nie z kranu.

– Jasne. Przelać do szkła?

– Nie trzeba.

Uryga wziął dwie pięćdziesiątki jacka danielsa i pół litra coli do przepicia. Znał barmana, zdążyli się serdecznie przywitać. Siedli przy stoliku w rogu.

Z głośników sączył się klasyczny rock w najbardziej ortodoksyjnej postaci.

Bar świecił pustkami i trudno było winić za to dobór muzyki. Kreft widział w tym podwójną korzyść, wybrał lokal z premedytacją. W kwestii muzyki, z czym niechętnie się zgadzał, był zatwardziałą konserwą. Zresztą nie tylko w tej.

– Pracujemy razem dobrych parę lat, a na piwie jesteśmy drugi czy trzeci raz? Nie sądzisz, że to nienormalne? – Uryga nie bawił się w uprzejmości.

– Masz z tym jakiś problem? – odparł Kreft i uraczył się zimnym piwem.

– Nie. To słabe i tyle.

– Pracujemy razem. Naprawdę chcesz spędzać wspólnie wolne wieczory?

– Nie o tym mówię. Od czasu do czasu trzeba odreagować, spuścić parę.

Uryga wyciągnął nogi pod stolikiem i rozsiadł się na skórzanej sofie. Szukał wzrokiem towarzystwa, jednak wybór był mocno ograniczony. Żadnych niewiast; trzech gości w czarnych łachach przy stoliku z drugiej strony baru. Wyglądali tak, jakby mieli za chwilę odprawić czarną mszę.

– Pochwal się lepiej, jak rośnie mała. Masz w ogóle jej zdjęcia w komórce?

– Jasne, że mam. W pracy nigdy nie ma na to czasu, wiesz przecież – wyjaśnił. – A rośnie w zastraszającym tempie – śmiał się, grzebiąc w telefonie. Folder zawierał kilka zdjęć Mileny. Podsunął je Kreftowi pod nos. W tym świetle i tak niewiele było widać.

– Nawet się nie obejrzysz, jak wyfrunie ci z domu. – Wiedział, że ciężko nadażyć za upływającym czasem. – Mała jest śliczna. Szczęśliwie urodę dostała po mamie.

– Spadaj. Chociaż to prawda.

Obaj milczeli.

Minęło kilkanaście miesięcy od momentu, gdy życie ciężarnej żony Urygi i dziecka znalazło się w niebezpieczeństwie. Od tego czasu zmieniło się wszystko. Zniszczył to, co z mozołem budował. Czas to z siebie wyrzucić.

– Nie będę ściemniał, przechodzimy z Olką kryzys. Nie dogadujemy się.

W pracy huczało od plotek. Kreft wiedział, ile prawdy jest w takim gadaniu. Z drugiej strony, trudno być ślepym na ewidentne sygnały.

– Każdy związek ma wzloty i upadki, to nic nadzwyczajnego. Ważne, by w emocjach wciąż się szanować i nie zrobić czegoś, czego by się żałowało.

– Znalazł się ekspert od związków. To bardziej złożone, niż ci się wydaje. Nie obraż się, ale nie chcę tego słuchać – uciął temat Błażej. – Dałem dupy, to oczywiste. Nasze wybory nie zawsze są jednak proste, zero-jedynkowe.

– Ale ich konsekwencje już takie bywają. – Kreft wiedział, o czym mówi.

– Masz rację, i co z tego? – zirytował się Uryga. Podparł się na łokciach i przysunął bliżej. – Nie ma gotowych recept na szczęście. Naprawdę wierzysz, że jak wciśniesz mnie w szablon, to wyjdzie z tego coś trwałego? Gówna prawda.

– Odpuszczaniem niczego nie osiągniesz. Walcz o to, co ważne. Kropka.

Nie wiedział, co jest ważne. Miał rodzinę, żonę i córkę. Wbijały go w ciasny gorset zachowań i nie zostawiały miejsca na improwizację. Dusił się. Natalia nie wymagała niczego w zamian, dawała mu swobodę i iluzję wolności.

Ten wybór go ograniczał. Łatwiej i wygodniej być prowadzonym za rękę.

– Postaram się zebrać do kupy. Całe to zamieszanie nie odbije się na pracy.

– Wiesz, że nie o to chodzi.

Kreft wypił piwo i zamówił drugie. Podwójna dawka chmielu nie pozwoliła oderwać myśli od postępów dochodzenia. Analizował wszystkie wątki, szukał powiązań między pasmem z pozoru niezależnych zdarzeń.

Zmienili temat. Po co psuć dobrze zapowiadający się wieczór?

Uryga przeprosił go na moment i wyszedł na zewnątrz odebrać telefon. W tym hałasie nie dało się porozmawiać, nie przekrzykując się wzajemnie.

Wrócił i przepuścił w drzwiach atrakcyjną kobietę w skórzanej kurtce i jasnych, wytartych dżinsach. Kreft chciał coś dostrzec zza palety światła rozlanych na podłodze. Wzrok przywykł do zalegającej w barze ciemności.

Przysiedli się do stolika. Uryga nic nie mówił, szczyrzył się tylko od ucha do ucha i czekał na jego reakcję. Wreszcie nie wytrzymał.

– Przedstawiam ci nową, lepszą Martę Rybicką. – Wskazał na dziewczynę.

– Cześć, dobrze cię widzieć, szefie. A ty, wal się! – Uderzyła go w ramię.

– Wy tu sobie pogadajcie, a ja skoczę po dolewkę. Co wam przynieść?

– Weź mi piwo. – Kreft postukał w butelkę i obaj spojrzeli na policjantkę.

– Zaskocz mnie – rzuciła bez skrępowania, drocząc się z Urygą.

Kreft gotów był się założyć, że nikt z komendy nie rozpoznałby w siedzącej obok kobiecie nieśmiałej policjantki z wydziału kryminalnego.

– Błazej pisał mi, że wyciągnął cię na piwo. Musiałam to zobaczyć, przepraszam. – Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na oparciu fotela. – Długo siedzicie?

– Nie. Najwyżej pół godziny.

– Klimatyczne miejsce. Nigdy tu nie byłam. – Rozglądała się wokół.

– Jesteś za młoda. Sądząc po tym, co tu grają, to lokal dla dinozaurów.

Zaśmiała się. Ciemne, rozpuszczone włosy spływały na odsłonięte ramiona. W pracy wiązała je w kucyk albo w kok, a facetom zawsze brakowało wyobraźni, żeby zobaczyć ją w takiej odsłonie. Wiosną skończy trzydzieści lat, jednak delikatne rysy twarzy nadawały jej dziewczęcego uroku.

– Zdziwiłbyś się. Tata katował mnie klasycznym rock'n'rollem od dziecka, a wiesz, że czym skorupka za młodu nasiąknie...

– To prawda. Bury do dziś mi wyrzuca, że skrzywiłem mu gust muzyczny.

Wybuchli śmiechem. Dotarło do niego, że dzieli ich ledwie kilka lat. Czuł się starszy, bardziej doświadczony przez życie, a nic o niej nie wiedział.

– Mam nadzieję, że nie gadacie o pracy i mnie nie obgadujecie? – Uryga wrócił do stolika i postawił na nim butelkę piwa, kieliszek z mętym płynem i szklanę rdzawej whisky. – Częstoście się. Do wyboru, do koloru.

– Gdybyśmy gadali o pracy, musiałbyś postawić tu całą baterię – odparła. – Ale nakryłeś nas, nabijaliśmy się z ciebie. – Rybicka droczyła się z nim odrobinę.

– Zaczynasz się robić pyskata. – Błazej pokiwał z uznaniem głową.

– Uczę się od najlepszych. Co to jest? – zapytała, wskazując na kieliszek.

– Nie mogę zdradzić. Wiesz, że nasza prymuska gra w kapeli rockowej? – zwrócił się do komisarza, imitując grę na gitarze. – Całkiem niezłe naparza.

– Chętnie posłucham. – Kreft nie miał talentu do muzyki. Uczył się grać na perkusji w liceum, ale od początku wiedział, że nic z tego nie będzie.

– Coś tam gramy z dziewczynami. To taka garażowa kapela – odparła nieśmiało. Gdy mówiła o sobie, spuszczała wzrok i szybko uciniała temat.

– Nie słuchaj jej. Naprawdę dają po garach – wtrącił się Uryga.

– Był na jednym koncercie. W pubie. Grałyśmy z playbacku. – Mrugnęła.

Kreft dobrze się czuł w ich towarzystwie, choć nie przepadał za ludźmi. Był indywidualistą, miał trudności z nawiązywaniem kontaktów i niewielu znajomych, ale kiedy się do kogoś przekonał, można było na niego liczyć.

– Nie dziwię się. On nie odróżnia Boba Geldofa od Gandalfa – zaśmiał się komisarz i oparł łokcie na stole. Znow zaczęła go boleć głowa.

– Fajne dziary. – Marta przyglądała się jego wytatuowanym rękom. Oprócz postaci z komiksów, były i czaszek jej uwagę przykuł największy z tatuaży. – Zawsze chciałam takie mieć, ale jakoś brakowało mi odwagi. To drzewo... – Dotknęła wewnętrznej części jego przedramienia i przejechała palcem od korzeni, sięgających do dłoni, aż do korony rozrastającej się wokół łokcia. – ...jest piękne, naprawdę.

– Dzięki.

Kreft tego nie skomentował. Tatuaże nie były dla niego formą ekspresji, sposobem na wyróżnienie się z tłumu, wręcz przeciwnie; schował za nimi strach, odtrącenie i przeszłość, która nie pozwalała o sobie zapomnieć. Drzewo przypominało o korzeniach, było mostem między tym, co utracił, i tym, dokąd zmierzał.

Wypili kilka kolejek, wymieniając się anegdotami. Kreft oczyścił głowę, zapomniał o dręczących go demonach i odpoczął od wracających niczym świąteczne iluminacje wspomnień. Nie

przeszkadzało mu, że w klubie robiło się głośno. Nawet takim zatwardziałym cynikom potrzebny był reset.

Wyszedł z baru przed pierwszą, mimo że nalegali, żeby posiedział dłużej.

Potrzeba życia w stadzie wciąż tliła się na dnie duszy. Głęboko schowana.

## Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku

– Pomożesz mi czy mam to, kurwa, zrobić sam?

Janusz Bursa zastanawiał się, jak to możliwe, że komunikat wychodzący z ust człowieka stojącego na podjeździe jego domu, przed bagażnikiem jego samochodu, docierał do jego szarych komórek z takim opóźnieniem?

Zaciągnął się papierosem w nadziei, że dym rozwieje wszystkie problemy.

– Głuchy jesteś? – przywołał go do porządku Szulc.

„Odpierdol się”, pomyślał i wytoczył się leniwie z auta. Wszędzie wały się śmieci; folie, puszki po farbach, resztki połamanych palet i ukruszone gipsowe bloczki. Ekipa stawiająca dom wyniosła się stąd zaraz po Nowym Roku, inkasując wypłatę i pozostawiając trudne do uprzątnięcia pobojowisko.

– Nie chcę, żeby tu została. – Sam się dziwił, jak kategorycznie to brzmiało.

– Do jutra, góra dwa dni, aż coś wymyślę. Pomóż mi ją stąd wyciągnąć...

– Nie.

– Weź nie pierdol! Przytaszcz tu to chude dupsko i pomóż mi ją przenieść!

Bursa zgasił niedopałek podeszwą buta i wtarł go w ubitą skorupę śniegu.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, rozumiesz? – warknął poruszony.

– I słusznie. Jeśli mi z tym nie pomożesz, obaj będziemy mieć przerąbane.

Obszedł auto i ruszył w stronę garażu doklejonego do budynku,



pocierając o siebie zmarznięte ręce. Dom był w stanie surowym, a ekipę wykończeniową miał umówioną na koniec miesiąca. W tej branży po Nowym Roku nikt nie bierze zleceń. Wszystko załatwia się z wyprzedzeniem.

Poza tym wciąż odkładał forszę na kolejne etapy. Na czas budowy urządził w garażu tymczasowe biuro. W wynajmowanym mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty nie było tyle miejsca. Nie przewidział jednego: od betonowej posadzki tak zaciągało zimnem, że musiał się dogrzewać farelkami.

Uniósł bramę. W garażu panował mrok. Jedyne światło, które wpadało do środka, pochodziło z lamp zaparkowanego samochodu. Odszukał na podłodze kabel halogenowej lampy na statywie i podłączył ją do gniazdka. Garaż się rozjaśnił. W kartonowym pudle pod ścianą Bursa odnalazł żarówkę i wkręcił ją do oprawy wiszącej na kablu pod sufitem.

Odwrócił się i poczuł na szyi lodowaty uścisk.

– Żeby mi to było, kurwa, ostatni raz... – wycedził przez zęby Szulc i docisnął go do ściany. – Jeśli mówię, że to załatwię, to tak zrobię. Siedzimy w tym szambie razem, drugi taki numer i wsadzę ci w nie łeb. Kapujesz?

Dla pewności zacisnął dłonie mocniej, cały czas spoglądając mu w oczy. Bursa widział mrok w jego źrenicach, ściśniętych mięśniach twarzy i kościach policzkowych, niemal rozrywających skórę. Gniew rozlał się niczym atrament na twarzy Szulca. A może był tam zawsze, tylko on go przegapił?

Nie mógł złapać oddechu. Ostatkiem sił skinął głową. Różnica wagi, wzrostu i siły nie przemawiała na jego korzyść. Szulc zwolnił uścisk i Bursa opadł na kolana. Krztusił się, pluł i czekał, aż zawroty głowy miną. Głowa pulsowała.

– Podaj mi jakiś koc – usłyszał z tyłu, jakby nie stało się nic niezwykłego.

Obserwował przez załzawione źrenice, jak Szulc układa w kącie garażu fragmenty porwanych kartonów i rozciąga na nich cuchnący wilgocią koc. W końcu przeniósł na barkach ciało nieprzytomnej dziewczyny i położył je na posłaniu. Dla pewności sprawdził puls,

przystawiając jej dłoń do szyi i ust. Żyła.

Usiedli po przeciwnej stronie garażu, unikając się wzrokiem. Na zewnątrz zrobiło się cicho; żadnych aut przejeżdżających w oddali, żadnych sygnałów świadczących o tym, że gdzieś toczy się normalne, nudne życie. Świat wstrzymał oddech i czekał na rozwój wypadków.

– Zrób mi kawy.

Żadnej reakcji.

– Poszło ci na słuch? Weź szklankę i zalej to gównem wrzątkiem! – Wskazał na paczkę mielonej kawy stojącą na taborecie. – Tak trudno to zrozumieć?

Bursa wstał, wyjął z pudełka lekko obtłuczony kubek i elektryczną grzałkę, którą podpiął do gniazdka. Miał ochotę wcisnąć mu ją do gardła. Wlał do kubka wodę z pięciolitrowego baniaka i usiadł. Szmer gotującej się wody zagłuszał złe myśli, ujadające w głowie niczym sfora bezpańskich psów.

Zastanawiał się, co tak naprawdę wiedział o tym człowieku. Pod koniec lat siedemdziesiątych chodzili razem do jednej klasy w technikum górniczym. Po maturze, do której Szulc nie przystąpił, kontakt się urwał, jak z większością ludzi z klasy. Co się z nim później działo? Jakim stał się człowiekiem?

Wiedział, że granica między zaufaniem i zależnością bywa dość mglista. Nie zauważył niepokojących sygnałów albo zwyczajnie je zbagatelizował.

Wsypał do kubka dwie łyżki kawy, zamieszał i postawił go na biurku.

– Nie musisz się odzywać, jednak siedzimy w tym obaj i nie zmienisz tego.

– W czym siedzimy? Nie mam z tym nic wspólnego – twierdził uparcie.

Szulc roześmiał się i odstawił kubek na ziemię. Uspokoił się, znów był kimś innym, jakby potrafił zonglować tożsamością i robił to z dużym wyczuciem.

– Jasne, to ja biegłem za nią do lasu i docisnąłem ją do gleby. Ogarnij się.

Bursa krążył nerwowo po garażu, nie umiał ustać w miejscu. Od

czasu do czasu zerkał na skuloną na kocu kobietę. Czy to możliwe, że ich słyszała?

– A co miałem zrobić? – bronił się. – Nie wiedziałem, że chcesz ją udusić!

– Weź nie świruj. Jak ją puścimy, wyśpiewa wszystko psom. Chcesz tego?

Milczał, zaciskając zęby ze zdenerwowania.

– Zrozum, tu nie chodzi o mnie – tłumaczył Szulc. – Za taki numer trafisz do pierdła na parę lat, ja też, ale po mnie to spłynie, poradzę sobie. Masz żonę, syna i długi na głowie. Zapomnij o firmie i domu, chyba że wmówisz jej – wskazał na dziewczynę – że zmuszanie do obciążania, pobicie i duszenie to pieprzony harcerski test na sprawność – wtrącił przytomnie.

Bursa chciał krzyczeć, że to kłamstwo, jednak dotarło do niego, że brnie w ślepą uliczkę. Spojrzał na zegarek. Zimą świt nadchodził stanowczo zbyt późno.

– Masz pomysł, jak z tego wybrnąć? – zapytał zrezygnowany.

– Zostanę z nią, ty jedź do domu. Odpocznij i wróć później. Coś wymyślę.

– Długo zamierzasz ją tu trzymać?

– Powiedziałem ci, że dzień, najwyżej dwa. Chcesz to dostać na piśmie?

– Według ciebie mam wsiąść do auta i pojechać do siebie, jakby nigdy nic przytulić syna, pokochać się z żoną i udawać, że nic złego się nie stało?

Nie doczekał się odpowiedzi. Dziewczyna się poruszyła. Chciała się podnieść, choć ciało odmawiało współpracy. Skuliła się tylko i podciągnęła kolana do piersi. Szulc błyskawicznie zerwał się na nogi i przysiadł obok niej.

– Podaj mi jakiś sznur, taśmę, co tam masz!

Bursa wybiegł na zewnątrz i otworzył bagażnik. Wrócił z linką holowniczą.

– Kurwa, nie masz czegoś lepszego?

– Nie.

Chciał odburknąć, że nie planował nikogo porywać, lecz ugryzł się

w język. Przyglądał się, jak Szulc przywiązuje ręce i nogi kobiety do rur ciepłowniczych.

Była zbyt słaba, żeby się bronić. Szulc pociągnął przypadkiem za kabel od lampy i garaż spowiła ciemność. Zaklął pod nosem i szukał go po omacku. Bursa nie pomógł mu. Chwilę trwało, zanim wszystko wróciło do normy.

Słyszał jej urywany oddech, dochodzący z przeciwległego kąta. Ulżyło mu. Żyła. Usiadł na ziemi i trząśł się z zimna. Temperatura spadła, wzmógł się wiatr i wprawiał gałęzie rosnących na krawędzi lasu drzew w narkotyczny trans. Włączył stojący pod ścianą grzejnik i zbliżył się do niego.

– Ile tego masz? – Szulc podniósł się z kolan i otrzepał spodnie.

– Czego?

– Tych farelek.

– Cztery. W dzień da się wytrzymać. Nie ma okien, jeśli zamkniesz bramę i włączysz wszystkie, powinno być znośnie. Mury szybko się wychładzają.

Teraz Szulc milczał. Bursa przypuszczał, co może chodzić mu po głowie, i wtrącił:

– W domu jest jeszcze gorzej. Okna są nieszczelne i tylko do ogrzania dołu potrzebowałbym ich drugie tyle. W poniedziałek jadę po piec. Czekałem na kasę z wesela, niedawno skończyłem je montować. No i na ekipę, która mi to ustrojstwo podłączy. Podobno na dniach kończą robotę w Zabrze.

Emocje zaczęły opadać. Człowiek adaptuje się do trudnych warunków.

– Jedź do domu – usłyszał znowu. I tym razem uznał, że to niezły pomysł.

Słowa Szulca dźwięczały mu w głowie długo po tym, kiedy wsiadł do auta. Włączył wycieraczki, które zgarnęły nadmiar śniegu z szyb, i długo wpatrywał się w mrok, opadający czarną płachtą nad krawędzią lasu.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Uryga obudził się przed ósmą, co przy jego trybie życia nie zdarzało się często. Spędził noc sam, mimo propozycji późnej kolacji u Natalii. To, że zadzwoniła, trochę go uspokoiło. Wciąż nosił jej obraz pod powiekami.

Zwłókł się z łóżka i uzupełnił braki kofeiny we krwi, kupując kawę na orlenie. Przegryzał drożdżówkę, oglądając w aucie recenzje płyt w magazynie rockowym. „Nic godnego uwagi”, stwierdził, analizując zestawienie pięćdziesięciu najlepszych płyt roku. Nowa fala zupełnie do niego nie trafiała, z lekko przebrzmiałych artystów kojarzył tylko nieźle przyjętą płytę Mansona.

*Heaven Upside Down* leżał w stercie płyt w schowku. Uznał, że czas go odpalić.

Rzucił gazetę na tylne siedzenie i spojrzął na zegarek. Goik zgodził się na spotkanie w hotelu Angelo w centrum Katowic, między pierwszą serią spotkań biznesowych a lunchem. Zapowiadało się pracowite przedpołudnie.

– Jestem poważnym człowiekiem, dlatego szanujmy swój czas, panie... – zaczął Grzegorz Goik, nie dźwigając tyłka z kanapy w hotelowym foyer.

– Uryga.

– Tak. Co pana do mnie sprowadza, a właściwie, co chce pan usłyszeć?

– Chcę ustalić kilka kwestii związanych z zaginięciem Sylwii Nowickiej.

– To wiem. Zastanawiam się, po co w tym grzebiecie? – spytał przytomnie.

Urygę zaskoczył bezpośredni ton pytania. Wokół kręciło się mało

ludzi. Część z gości schodziła na śniadanie, inni meldowali się bądź opuszczali hotel.

– Szukamy wskazówek, które pozwolą nam dopiąć kilka ważnych wątków.

Goik zmierzył go wzrokiem, starając się odgadnąć, w co z nim pogrywa.

– Wiem, że każą wam wciskać taki kit, ale skończmy z tym gładzeniem i przejdźmy do rzeczy. W porządku? Czas nie jest z gumy.

– Zilustrował to wymownym stukaniem w tarczę zegarka, który załśnił mu na przegubie.

Uryga skinął głową. Wbrew temu, co sądził o Goiku, facet nie bawił się w słowne gierki.

– Pamięta pan coś z tej feralnej nocy? – zaczął policjant.

– Cóż, to było lata temu. Jeśli sądzi pan, że uda mi się wykrzesać z siebie żal, smutek, wyrzuty sumienia, to pana rozczaruję. Wyrzuciłem to z głowy.

– Pana koledzy zgadzają się co do przebiegu zdarzeń i poszukiwań. Obaj mówią za to niechętnie o tym, co zaszło między Sylwią i Darkiem.

– Zły adres. W szkole krążyły różne teorie. Ludzie gadali, że miała kogoś na boku. Szczerze? Miałem na to wyrąbane. Na pewno była bystrą laską. Pamiętam, że rodzice krótko ją trzymali. Co do kłótni, to byłem przy niej...

– O co poszło?

– O to, co zawsze. Zazdrość. Darek wściekł się, że z kimś tańczyła. Wraciał z kibla i zobaczył ją z jakimś typem czy z nauczycielem, nie pamiętam już. Tłumaczyłem mu, że przegina, ale był zakochany po uszy i nikogo nie słuchał. Zaczął wrzeszczeć, wyzywać ją i nie zdziwiłem się, że wracała sama.

– Wspomniał pan, że rodzice mieli na nią oko. Dlaczego? – spytał czujnie i się poprawił. Kątem oka spojrzął na recepcjonistkę, stojącą za ladą. Za jej plecami rozciągał się kolaż czarno-białych zdjęć ciemnoskórych muzyków i instrumentów muzycznych, chociaż to jej oczy ścigały całą uwagę.

– Ojciec Sylwii był alkoholikiem i matka wolała nie wchodzić mu

w paradę. Kazał ją trzymać za pysk, więc trzymała. Obie chodziły na krótkiej smyczy.

– W papierach są wypowiedzi świadczące o tym, że ojciec ją molestował.

– Tego nie wiem. Na pewno ją lał, sam widziałem, jak pudrowała siniaki w damskim kiblu. I proszę nie pytać, co tam robiłem – zaśmiał się i uniósł ręce.

– Założmy, że tak było. Wierzył pan, że faktycznie wyjechała do Niemiec?

– Szczerze? Tak. Policja dostała pretekst, aby zamknąć sprawę. A Sylwia mogła zacząć wszystko od nowa, zmyć z siebie dotyk ojca, jeśli ją naprawdę molestował, i uniknąć wytykania palcami. To dobry powód – skwitował.

Błażej Uryga nie zamierzał kwestionować większości tych argumentów.

– Czy Sylwia miała wrogów?

– Wrogów? Nie mam pojęcia. Tak naprawdę nigdy mnie nie obchodziła.

– A Breguła? Mógł mieć coś wspólnego z jej zaginięciem?

– Kiedy? Cały czas byliśmy razem. We trójkę. Wysadził ją i pojechaliśmy do niego na chatę. Zdrzemnęliśmy się, pograliśmy na Commodorze, a potem wypiliśmy po piwie w garażu. Starzy byli w robocie, handlowali ciuchami na targu w Będzinie. Wieczorem przyjechała policja i zaczęła się jazda bez trzymanki. Jeżeli wpakowała się w kłopoty, trzeba było szukać poza szkołą. To zrobił ktoś obcy.

– Co zrobił? – zareagował przytomnie Błażej.

– Nie wiem, porwał ją, zgwałcił, może zabił? Wy powinniście to wiedzieć.

– Z zeznań wynika coś innego. Podobno wróciliście po nią i dziewczyny nie było. Jak to się ma do historii, którą mi pan przed chwilą opowiedział?

Goik spojrział na niego w sposób będący mieszanką pogardy i litości.

– Nijak, wypadło mi to z głowy. Nim dotarliśmy do niego, bujaliśmy się po mieście. Darek zgrywał twardziela, ale gryzło go sumienie.

Wróciliśmy tam, gdzie ją zostawił. Gdyby zaczekała, nie rozmawialibyśmy teraz o tym. Nie było jej. Nie przyszło nam do głowy, że coś jej się mogło stać. – Ożywił się i spojrzał na zegarek. Sądząc po zblazowanej minie, zamierzał się wykpić pilnym spotkaniem. – To wszystko. Pan wybaczy, obowiązki wzywają.

Uryga nie zdążył zareagować. Goik wstał, uścisnął mu dłoń i podziękował za spotkanie. Oddalił się w stronę schodów prowadzących na górę.

Odprowadził go wzrokiem i zamknął oczy. Pragnął wypędzić z głowy obrazy, które się w niej zaległy. Widział łuk jej pleców, wcięcie nad biodrami i piersi idealnie dopełniające całości. Wiedział, że przepadł, zatracił się w niej, mimo to brnął głębiej i nie oglądał się wstecz. Miłość nie istnieje...

Mężczyzna i kobieta na okładce magazynu, leżącego na stoliku przed nim, zdawali się mieć inne zdanie. Uśmiechnięci, bogaci, spełnieni. Świąteczna choinka w tle mrugała zalotnie. Spokojnie, wszystko jest iluzją.

I tylko uśmiech kobiety za ladą wydawał się prawdziwy. Odwzajemnił go.

Zgniół w ręce wizytówkę, którą dostał od Goika, i wyrzucił ją przy wejściu.



Z nieba sypał ostry, ziarnisty śnieg. Kryształki lodu atakowały skrytą pod kapturem twarz i odbijały się jak od tarczy od ramion pikowanej kurtki. Spadające na jezdnię płatki zżerał rozjeżdżony asfalt, nim zdążyły zamienić się w żalostną plamę. Naciągnął kaptur, zbiegł do podziemnego przejścia i wyłonił się z drugiej strony. Minał Stawową, wydeptaną tysiącami stóp, i przepuścił tramwaj pod Galerią Katowicką. Wszedł na dworzec oszklonymi drzwiami.

Zatrzymał się przed rzędem szafek w przechowalni bagażu. Sięgnął pod kurtkę i wyjął szarą kopertę, wypchaną od środka folią bąbelkową. Rozejrzał się i upewnił, że nikt go nie śledzi. W końcu



schował kopertę do skrytki z numerem trzynastym. Wrzucił monety i wstukał czterocyfrowy kod, po czym wyszedł z holu dworca, gapiąc się w ekran ściskanej w dłoni komórki.



Dźwięk odebranej wiadomości nie zaskoczył mężczyzny siedzącego przy jednym ze stolików w starbucksie położonym w holu dworca. Odczytał ciąg cyfr, upijając firmowe cappuccino. Najlepiej ukryć się w tłumie.

Ścisnął w palcach ucho firmowego kubka i zastanawiał się, ile prawdy jest w tym wyrażeniu. Całe życie chował się za plecami kłamstw i przemilczeń.

Ciekawskie spojrzenia mijanych twarzy i nieufny wzrok młodej dziewczyny, która siedziała przy stoliku obok i raczyła się jedną z wariacji na temat latte, nie wystawiały tej teorii najlepszej cenzurki.

Lekarka na ostrym dyżurze zapewniła, że wróci do formy w ciągu kilku tygodni. Rozbity łuk brwiowy, stłuczone żebra, utrudniające złapanie oddechu, i cały katalog ran i zadrapań to i tak niska cena za błędy, które popełnił. W pionie trzymały go tylko końskie dawki środków przeciwbólowych.

Oklejona plastrami twarz, opuchnięte i przypudrowane sińce pod oczami czy opatrunek zawinięty wokół lewej dłoni przyciągały wzrok ciekawskich. Hajduk nie zwracał na to uwagi. Musiał zabrać to, po co przyszedł, wsiąść do zaparkowanego pod galerią handlową samochodu i wziąć gorącą kąpiel.

Policjant zrobił, co do niego należało. Zostawił kopertę w umówionym miejscu i zniknął, jakby go nigdy nie było. Trudniejsza część planu przed nim.

Nie wybiegał w przyszłość i raczył się smakiem kawy, zamówionej w sieciówce. Nie przepadał za nią, twierdził, że więcej w tym lansu niż aromatu i smaku świeżo palonej kawy, ale lokal miał bezsprzeczny atut – świetną lokalizację. Widział stąd wszystko jak na dłoni i mógł kontrolować sytuację.

Podziękował dziewczynie za ladą za obsługę, dopił kawę i odstawił kubek. Wrzucił parę monet do słoika z napiwkami, zdjął płaszcz z oparcia krzesła i, nie spiesząc się, wyszedł z części kawiarnianej wprost na kolejkę ludzi przed kasami Kolei Śląskich. Gdyby nie środki przeciwbólowe przepisane przez znajomego lekarza, każdy krok kosztowałby go mnóstwo wysiłku.

Szedł w stronę drzwi w holu przed wejściem, powtarzając w myślach czterocyfrowy kod. Niewyraźny głos charczał z głośników, informując o opóźnieniu jednego z pociągów. Przystanął przed rzędem szafek pod ścianą.

Zaczekał, aż wygramoli się stąd grubas z ogromnym workiem na plecach.

Zrobił sobie miejsce i wbił otrzymany esemsem kod. Słuchał, jak drzwiczki od skrytki odblokowują się. Otworzył je i wziął do ręki oklejoną taśmą kopertę.

Spodziewał się, że będzie cięższa, ale wyczuł w palcach znajomy kształt.

Michał Hajduk wyszedł z dworca, uciekając przed szturmem gradowych kul. Wiedział, że zabrnął za daleko, żeby się teraz wycofać.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Strzelnica sportowa znajdowała się w podziemiach niepozornego budynku przy wylocie z miasta i dla niewprawnego oka była niewidoczna. Baner reklamowy na płocie krzyczał o oferowanych w przybytku atrakcjach, jednak z głównej drogi trudno go było dostrzec. Okolicę szpeciła kiedyś rozpadająca się poprzemysłowa hala, przekształcona niedawno w nowoczesny klub fitness.

Hajduk zszedł na dół i stanął w pomieszczeniu przypominającym recepcję.

Młoda dziewczyna oderwała się niechętnie od ekranu laptopa i zlustrowała klienta obojętnym wzrokiem, nawet na sekundę nie przestając żuć gumy.

Przeszło mu przez myśl, że dorabiała tu i studiowała gdzieś w weekendy.

Zastanawiał się, jak zacząć rozmowę, w końcu wiadomo, po co przyszedł. Uprzedziła go i poprosiła o wpisanie się do książki wejść. Zostawił dane, po czym potwierdził, że zapoznał się z regulaminem, choć nawet na niego nie spojrział.

Dziewczyna poprosiła o dowód osobisty i zweryfikowała tożsamość.

– Pierwszy raz na strzelnicy?

– Nie, chociaż strzelałem dawno temu – powiedział zgodnie z prawdą. Tak dawno, że pewnie nie było jej jeszcze wtedy na świecie, zreflektował się.

Ostatni kontakt z bronią miał w trakcie służby wojskowej, jeszcze w latach osiemdziesiątych, dlatego uznał, że będzie lepiej, jeżeli przemilczy ten fakt.

– W takim razie proponuję pakiet startowy. Można postrzelać z różnych broni, wybrać coś dla siebie.

– Nie trzeba. Interesuje mnie walther P99.

– Dwadzieścia strzałów to koszt pięćdziesięciu złotych – liczyła szybko. – Płaci pan za amunicję. Stanowisko, tarcza i opieka instruktora są w cenie.

Sięgnął do portfela i wręczył jej stułotowy banknot.

– Czterdzieści strzałów na początek w zupełności wystarczy – powiedział.

– Na pewno. Szatnia jest po prawej. Proszę się przebrać, zostawić kurtkę. Będzie panu wygodniej strzelać – wytłumaczyła, odwracając się do niego i sięgając po słuchawki i okulary ochronne. – Proponuję to założyć. Przekona się pan, że są naprawdę przydatne. – Uśmiechnęła się i podała sprzęt.

– Dziękuję.

– Resztę wyjaśni panu instruktor na stanowisku. Życzę dobrej zabawy.

O tej porze strzelnica świeciła pustkami. Instruktor przejął go zaraz po tym, jak przekroczył próg.

– Witam. Dostałem cynk, że mam się tobą zająć. – Chłopak się uśmiechał, idąc w jego stronę. Najwyraźniej różnica wieku, styl życia, statut społeczny i milion innych rzeczy, które ich dzieliły, nie stanowiły przeszkody, żeby z marszu przejść na ty. – Słyszałem, że coś tam strzelałeś?

– Lata temu – odrzekł wymijająco.

– Dobrze i to. Podstaw się nie zapomina, to jak jazda na rowerze. Wybrałeś broń, znaleźć ci coś czy chcesz poprobować na różnym sprzęcie?

– Interesuje mnie walther P99.

Chłopak oddalił się na chwilę, Hajduk miał szansę nasiąknąć atmosferą strzelnicy. Pomieszczenie ze stanowiskami strzeleckimi nie było duże, ale odległość od tarczy robiła wrażenie. Wszędzie walały się łuski po nabojach. Ściany oklejono czymś na kształt drewnianej boazerii, a rząd ustawionych ciasno stanowisk przedzielono siatką ochronną – na końcu, na ścianie pod niskim stropem, umieszczono czarno-białe tarcze z imitującą ludzką sylwetkę grafiką wpisaną w okrąg. Ściany zdążyły przesiąknąć zapachem prochu, a założone

szczelnie na uszy słuchawki wygłuszały na tyle, by zniwelować hałas wszędobylskich strzałów.

W teorii, bo był na strzelnicy sam. Zsunął słuchawki na szyję, czuł, że się pod nimi poci.

– Dobry wybór. Walther to broń konstrukcji niemieckiej, składana u nas, w Radomiu. Masz w magazynku piętnaście naboji, nie trzeba przeładowywać po każdym strzale. Pistolet jest lekki i poręczny. Zobacz, jak dobrze leży. – Wręczył mu broń.

Miał rację. Idealnie wpasowała się w dłoń. Uwagę Hajduka zwróciły brak kurka i konstrukcja pozbawiona elementów wychodzących poza obrys broni. Wysłuchał instrukcji, jak załadować, odbezpieczyć i złożyć pistolet. Wreszcie, po krótkim wprowadzeniu, gotów był oddać pierwszy strzał.

– Nie chcę cię zanudzać, ale muszę powiedzieć o głównych zasadach, to niestety abecadło. Zawsze trzymaj lufę skierowaną w stronę tarczy, nie machaj splotem na boki, nie zagłądaj do środka. Jeśli będziesz chciał mi coś powiedzieć, po prostu odwróć głowę. I druga sprawa, trzymaj palec na spuście tylko wtedy, kiedy jesteś gotowy oddać strzał. Rozumiemy się?

Hajduk skinął głową, ustawił się, wycelował i oddał strzał.

– O to chodzi. I jak wrażenia?

W sumie nie wiedział, co powiedzieć. Spodziewał się większych emocji, choć poczuł lekki zastrzyk adrenaliny. Ostatnio miał jej pod dostatkiem.

– Nie było źle, musisz popracować nad pozycją. Stań w lekkim rozkroku – instruował go. – Nogi na szerokość barków, rozluźnij się i wyprostuj ręce przed sobą. Mucha w szczybinie, najlepiej na środku klapy i walisz prosto w serce. Aha, wzrok na przyrządach celowniczych, nie na tarczy. Widzisz przed sobą cel i pociągasz za spust. Spokojnie, bez szarpania...

Strzelił. Odrzuciło mu lekko ręce, łuska odskoczyła do tyłu. Odgłos wystrzału przebił się przez słuchawki ochronne. Wszędzie czuć było proch.

– Możesz śmiało walić serią. Nie trzeba ciągle zmieniać pozycji, poprawiać się. W magazynku jest piętnaście kul. Nie przeładowujesz.

Jak się postarasz, zrobisz z tarczy sito. Gotowy?

Odrzut lufy nie nadwyrężył ramion, a szybkość, z jaką wypadały łuski, była imponująca. Powoli się przekonywał, że strzelanie może dać sporo frajdy.

Czterdzieści naboji wystrzelał w kwadrans. Nie zakładał, by musiał korzystać z broni poza strzelnicą, ale na wszelki wypadek wolał to przećwiczyć.

Na koniec sesji powtórzył instrukcje dotyczące składania i ładowania broni, przyciągnął tarczę i sprawdził osiągi. Z grzeczności wziął tarczę ze sobą, jednak wyrzucił ją, gdy opuścił budynek strzelnicy. Nie zbierał skalpów.

– I co, podobało się? Wyniki jak na pierwszy raz całkiem przyzwoite.

– Dzięki za pomoc. Myślę, że będę wracał spuścić trochę pary – skłamał, usiłując zapamiętać jak najwięcej z tej krótkiej lekcji.

– Ta zabawa uzależnia, wierz mi. Następnym razem sprawdź się na innej broni. Mamy ciężki kaliber i sporo fajnego sprzętu, a tam są większe emocje. W każdym razie widzimy się. – Instruktor pożegnał się, a miejsce Hajduka przy stanowisku zajęła drobna blondynka.

Wyszedł z budynku strzelnicy i wsiadł do samochodu zaparkowanego przy osiedlowej drodze. Po dwudziestominutowym treningu, z przerwą na rozgrzewkę i przebranie się, nie zostanie zawodowym strzelcem. Czuł się pewniej z bronią w dłoni, a przy odrobinie szczęścia, kto wie, może uda mu się ustrzelić pluszowego misia na strzelnicy w wesołym miasteczku.

Sięgnął do schowka i wyjął paczkę cameli. Żona suszyła mu głowę, że pali w samochodzie, więc dla świętego spokoju stanął na zewnątrz i zaciągnął się tytoniowym dymem. Potrzebował oddechu. Kątem oka widział parkującego naprzeciw range rovera i wysiadających z niego mężczyzn.

„Jak to możliwe?”, pomyślał i osunął się na kolana, niemal dławiąc się papierosem. Tętno przyspieszyło, ale starał się wstrzymać oddech, by nie wzbudzić ich zainteresowania. To oni. Ci sami, którzy połamali mu żebra. Śledzili go?

Skąd wiedzą, że tu jest? Słyszał, jak rozmawiają ze sobą. Przeszli obok auta i zniknęli na schodach prowadzących do strzelnicy.

Odetchnął. Niemal wczuł się do środka, na wypadek gdyby zmienili zdanie i wrócili. Wbił jedynkę i wytoczył się z parkingu, dla pewności zerkając w lusterka.

Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że czuł się tak, jakby wysiadł z wagonika rollercoastera z workiem pełnym wymiotów. Potrzebował wytchnienia.

## Szulc, Sosnowiec, kilka dni wcześniej

Za każdym razem, gdy przekraczał bramę zakładu karnego, a naliczył tych wyjść stanowczo za wiele, siadał w ostatnim rzędzie miejskiego autobusu i powtarzał sobie, że życie jest sumą błędów. W jego przypadku suma dawno przekroczyła limit przysługujący wszystkim, którzy dzielili z nim tę podróż.

A skoro już mowa o liczbach: ostatnie dwa lata spędził w pierdlu, co nie było szczególnie uciążliwe, biorąc pod uwagę, że wcześniej zabawił na wolności ledwie półtora roku i poprzedził ten okres pięcioletnią odsiadką. Dorosłe życie Sławomira Szulca przypominało sinusoidę z okresami hossy i bessy, gdy za ten względny spokój (i głupie decyzje) musiał słono zapłacić.

Wysiadł obok dworca PKP w Sosnowcu, wsunął dłonie w kieszenie kurtki i zszedł schodami pod pasaż. Nie oglądał się za siebie, wołał nie kusić losu.

Zwolnił pod przejściem i przeszukał spodnie. Puste. Kilka kolejek w pijalni wódki musi poczekać na lepsze czasy. Dotarł na przystanek tramwajowy. Przesunął palcem po rozkładzie jazdy, szukając najbliższego połączenia.

Tramwaj linii 24 odjeżdżał za pięć minut. Na Okrzei, pod gmach fabryki, w której lata temu pracował ojciec Szulca, miał dotrzeć w kwadrans. Ostatecznie tramwaj skradł mu parę minut życia więcej, niewiele robiąc sobie z rozkładu.

Zawsze po powrocie z turnusu, jak Szulc nazywał pobyt w zakładzie zamkniętym, dziwił się, ile się tutaj zmieniło. Zwykle nie były to zmiany na lepsze.

Dziurawa jezdnia i snujące się tramwajowe szyny prosiły się o remont. Fasady budynków w ciągu ulicy Staszica sypały się



przechodniom na głowy, a prace kanalizacyjne, mające pchnąć Konstantynów dwa cywilizacyjne kroki naprzód, a – w zasadzie – jeden do tyłu, z dziewiętnastego do dwudziestego stulecia, wciąż istniały wyłącznie na papierze.

Z roku na rok ubywało pamiątek po przemysłowej historii osiedla, sypały się kolejne budynki, w których mieszkali niegdyś pracownicy huty „Katarzyna” i późniejszych zakładów przemysłowych, wykruszała się cegła w nadgryzionych zębem czasu kamienicach.

Szulc spoglądał na budynek z czerwonej cegły. Pieszczotliwie nazywał go „kneblem”. Z daleka przypominał mu ślepego starca, któremu czas wybił wszystkie zęby. W miejsce okien wstawiono gipsowe bloczki, pozostałe ubytki wypełniono dyktą, wyłącznie po to, by nikogo nie kusiło wchodzić do środka lub spędzić tu zimę. Mijał tę kamienicę zawsze, gdy szedł do lokalu przydzielonego przez gminę, na skrzyżowaniu Staszica i Szewczyka.

Dzisiaj miał inne plany. Minął budynek liceum ogólnokształcącego i zmarzniętą młodzież palącą za nim szlugi. Wyciągnął starą nokię, wybrał numer i po dwóch sygnałach zerwał połączenie. Doładowywał kartę najniższymi kwotami wyłącznie po to, by móc odbierać połączenia.

– Co jest? – usłyszał chwilę po tym, gdy przystawił słuchawkę do ucha.

– Jesteś na chacie?

– A co, już nie garujesz?

– Skończył mi się turnus – zaśmiał się. – Wpadnę do ciebie, mam interes.

Rozumieli się bez słów. Rozłączył się i po drodze na „baraki” wstąpił do monopolowego, wziął dwa piwa na krechę. Gruba Bernadeta pracowała tu, odkąd pamiętał i odkąd pamiętał, dawała na zeszyt. Dawała zresztą nie tylko to. W dodatku komu popadnie i za drobne sumy.

Tak czy siak, wpadać do Żaby z pustymi łapami zwyczajnie się nie godziło.

Za budynkiem liceum skręcił w prawo i ubitą, skostniałą od mrozu ścieżką dotarł na osiedle parterowych budynków, upchanych jeden

przy drugim.

Nietrudno zgadnąć, skąd wzięła się nazwa tego miejsca. Baraki. Za cara rozciągały się tu pola i łąki, a coś tak abstrakcyjnego jak ład przestrzenny wyznaczały powstające wokół zakłady przemysłowe, fabryki i huty, przecinając na zawsze surową tkanę rodzącego się w bólach miasta.

W ostatnim stuleciu sporo się zmieniło, jednak przestrzeni nie przybywało. Większość domów, skleconych w jedną noc przy przymkniętym oku carskiego stójkowego, przestała istnieć, w ich miejsce wyrosły nowe, równie tymczasowe. Niektóre przetrwały próbę czasu: rozbudowały się, przepoczwarzyły i przypominały budynki z prawdziwego zdarzenia. Smród palonych śmieci i fetor unoszący się w powietrzu rozwiały uroczne skojarzenia.

Żaba czekał przed bramą z papierosem w ustach i mętym spojrzeniem.

– Myślałem, żeś przepadł na dobre, chłopie. – Zasunął kurtkę pod szyją.

– Złego diabli nie biorą, wbij to sobie w końcu do tego pustego łąba. – Starym zwyczajem zrobili miśka. – No co tam, pilnowałeś moich skarbów?

– Jak cnoty swojej starej. Wszystko gra i buczy. Możesz sprawdzić, jak co.

– Weź nie pierdol, ufam ci jak rodzonemu bratu. Przychodzę po prośbie. – Szulc wyjął z reklamówki dwa piwa i podał mu jedno. – Odwdzięczę się, słowo harcerza. Naraiłem sobie fuchę w Łodzi i muszę przewieźć graty, zwolnię ci za to komórkę. Będziesz na chacie w piątek albo w sobotę?

Żaba zdążył wypić pół piwa i wytarł usta. Komórka znajdowała się na ulicy Robotniczej i była pozostałością po wyburzonym domu. Szulc trzymał tam trochę staroci i nieprzydatnych gratów. Postanowił, że czas się ich pozbyć.

– A gdzie mam być? Daj znać, to pogadam ze szwagrem. Spakuje ci graty na pakę i zawiezie, gdzie będziesz chciał. Choćby i do Łodzi – zaferował Żaba.

– Nie trzeba, to pieprzone śmieci. Dawno miałem wywalić je na

śmietnik.

– Żaden kłopot. Postawisz po połówce, dasz na gaz i po temacie. Arek zatarga ci te rupiecie na Grenadierów. Ile to jest roboty, góra dwie godziny?

– No niby tak. – Szulc się zamyślił. – W porządku, pogadaj z nim. Załatwię parę spraw, zdam mieszkanie i zgadamy się na piątek na melanż. Pasuje ci?

– Co ma nie pasować. Jak coś, to puść mi sygnał, żebym nie zapomniał.

– Jasna sprawa. Nie mów, żeś taki zarobiony?

– Jakbyś, kurwa, zgadł. Szwagier ma szrot na Chemicznej, a części same się nie rozbiorą. Jest zapieprz od rana do nocy, z przerwą na kilka kolejek – odparł, kończąc piwo, i żałował, że na jednym się skończy. Zgniół puszkę i spytał: – Ale o transport się nie bój, załatwione. Coś tam sobie naruchał?

– Budowlanka. Gość, z którym siedziałem, wkręcił mnie do ekipy stawiającej hale wielkopowierzchniowe. Wylewki, wykończeniówka, całość. Tutaj jestem spalony. Zresztą za stary jestem na takie życie – dokończył kwaśno.

Trudno było z tym dyskutować. Wizja wydostania się z bagna na obu działała motywująco. Wbrew obiegowej opinii, traktującej „baraki” jak wylęgarnię biedy, Szulc nigdzie nie spotkał tylu życzliwych ludzi. Nie wszyscy tkwili tu z własnej woli, niektórym powinęła się noga i nie dostali drugiej szansy od losu. Wiedział, że może na nich liczyć. Sam też miał dużo na sumieniu.

Pożegnał się z Żabą i ruszył w stronę szybu wodnego, jednej z nielicznych pamiątek po hucie „Katarzyna”. Wzdłuż ulicy piętrzyły się stare kamienice, zamieszkiwane kiedyś przez kadrę kierowniczą zakładów.

Odbił w prawo i znalazł się na skrzyżowaniu obok dziewiętnastowiecznej kapliczki, upamiętniającej poległych powstańców styczniowych. Pół wieku później rosyjskie wojsko otworzyło tutaj ogień do strajkujących robotników, pozbawiając życia czterdziestu z nich. Nasłuchał się o tym. Ludzie gadali.

Czuli więź z tą zapomnianą przez władze dzielnicą.

Snuł się wzdłuż torowiska, aż dotarł do bramy kamienicy. Ulica Staszica przypominała dawniej wąwóz wyłożony kocimi łbami – z jednej strony wytyczała go zwarta zabudowa kamienic, z drugiej mur fabryki kotłów i zakładów przemysłowych. Teraz mur zastąpiła pofałdowana blacha, z zabudowań ostały się pojedyncze budynki, bezskutecznie walczące z upływem czasu.

Mieszkał tu od niedawna i słabo znał okolicę. Domyślał się, że na parterze znajdował się niegdyś bar; może zdążył powstać i upaść w czasie jednej z odsiadek? Okratowane i pozbawione szyb okna zabito od wewnątrz dyktą.

Ostał się tylko ślad po szyldzie.

Ze ścian na klatce schodowej tynk odchodził płatami. Wilgoć zżerała strop, rozlewając się tłustą plamą pod sufitem. Przed odsiadką wymienił drzwi. W miejsce przegniłych drewnianych wstawił blaszane, kupione na wyprzedaży w obi. Wolną przestrzeń załatał gipsowymi bloczkami – to standard w tej okolicy.

Wszedł na piętro, wsunął klucz do zamka i pchnął drzwi. Mieszkanie było przestronne, choć mało ustawne – w poprzek biegł długi korytarz zamknięty z jednej strony ubikacją, przerobioną tak, że tron górował metr nad posadzką. Szulc szedł w drugą stronę, czując w nozdrzach smród nieszczelnej kanalizacji. A może gniło coś innego? Pewnie szczur, w piwnicach ich nie brakowało. Nikt nie wietrzył tu od tygodni, chociaż prosił o to sąsiadkę z mieszkania na górze. „Stara jęzda pewnie położyła na to lagę”, pomyślał.

Minął pokój wydzielony harmonijkowymi drzwiami i zatrzymał się w kuchni.

W mieszkaniu było zimno, nikt nie palił od miesięcy. Oddech wędrował krętą ścieżką pod sufit, jakby szukał ucieczki z tej nory. Stary, kaflowy piec w rogu kuchni wymagał naprawy i dobrego paliwa, żeby ogrzać te zatechłe mury.

Na zewnątrz wzmógł się wiatr. Stukał w blachę po przeciwnej stronie ulicy, wyginał gałęzie ustawionych wzdłuż drogi drzew i wciskał się przez szczeliny w połatanych szmatami oknach, zawodząc przy tym upiornie.

Wtórował mu dziwny szum w pokoju za ścianą. Może się tylko

przesłyszał.

Obszedł stół zawalony puszkami po piwach. Zwykle zbierał je rano, gniótł i zawoził na rowerze do pobliskiego skupu, odkładając kasę na kolejne dawki złotego trunku. Zrobił dwa długie kroki i stanął w progu sypialni. Zamarł.

W wysłużonym fotelu, który przytaszczył przed odsiadką spod śmietnika, siedział mężczyzna w eleganckich bawełnianych spodniach i błękitnej koszuli z podwiniętymi nad łokieć rękawami. Wyglądał jak makler bądź ktoś, kto obraca dużymi pieniędzmi. Spójny wizerunek burzył gnat w jego dłoni.

Na podłodze, w pół drogi między nimi, leżała młoda dziewczyna. Nie żyła.

Sławomir Szulc z trudem przełknął ślinę. Spojrzał na nią zdziwiony, jakby usiłował przypomnieć sobie, kim jest, a w zasadzie kim była ta kobieta...

– Pamiętasz mnie? – usłyszał.

– Nie – odparł zgodnie z prawdą. Nie miał pamięci do twarzy i nie obracał się w takim towarzystwie. Szanse, że się kiedyś spotkali, były nieznaczące.

– Ja za to ciebie pamiętam doskonale. Ciebie i to, co mi zrobiłeś...

Szulc wolał nie pytać, do czego pije mężczyzna. Wiedział za to, że nie powinien wdawać się w dyskusje. Zresztą, biorąc pod uwagę, ilu ludziom zalażł za skórę, kilku z nich mogło mieć powód, by się tu zjawić i wymachiwać mu przed nosem bronią.

– ...a w zasadzie to, czego mnie pozbawiłeś – doprecyzował mężczyzna.

Obaj milczeli. Zegar na ścianie wygrywał marsz żałobny. Nagie ciało kobiety przypominało rzuconą w kąt lalkę. Leżała bez ruchu, z wykręconymi rękami i twarzą przytuloną do dywanu niczym do ulubionej poduszki.

Wokół jej szyi biegła ciemna pręga. Nie miał złudzeń, skąd się tam wzięła.

– Nie przypomina ci kogoś? – zapytał nieznajomy, widząc jego wahanie.

Przypominała. O winie, za którą nigdy nie zapłacił. Czy mógł

o wszystkim wiedzieć? Sądził, że zabierze tę tajemnicę ze sobą do grobu. Popęłnił błąd.

– Przepraszam. – Bardziej mu się wyrwało, niż chciał to powiedzieć. Upływający czas wyrwał w nim z korzeniami potrzebę życia za wszelką cenę.

– Udało ci się wszystkich nabrać. – Tamten sięgnął do skórzanej teczki i wyciągnął kasetę wideo. – Zapomniałeś ją zabrać i wyobraź sobie, że nikt nie zwrócił na nią uwagi. Zabawne, co? Nie mieliśmy do tego głowy. Spakowaliśmy wszystko, a po latach znalazłem ją w odtwarzaczu w piwnicy i przegrałem. Masz szansę odkupić winy. I zrobisz to, co ci każę...

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Spoglądał w otchłań kubka z kawą, jakby zamierzał w niej coś wyczytać. Śledził wzrokiem świetliki lamp odbijające się od jej powierzchni, łowiąc w mętnej tafli zarys zmęczonej twarzy. Pił kawę małymi łykami, niespiesznie. Świadomie odsuwał perspektywę odcięcia się od źródła zasilania.

Skończył czytać *Wiedzmy*, tytuł, który zaproponował mu sprzedawca w sklepie z komiksami, i odłożył album na biurko. Wciąż czuł gęstą atmosferę grozy, snującą się z opowieści Snydera, wzbogaconą psychodelicznymi ilustracjami Jocka. Uwielbiał stylistykę komiksowego horroru. Strach przemawiał do niego obrazami.

Przyglądał się sobie. Przybrał na wadze. Nieważne, że czynił to nieprzerwanie od co najmniej dekady. W końcu dorósł do decyzji, by coś z tym zrobić. Zrezygnował z mleka, wmówił sobie, że to wina laktozy. Było mu o tyle łatwiej, że za nim nie przepadał. Z cukrem będzie się trudniej rozstać.

Godzinę temu odebrał ojca od lekarza. Zarzekał się, że wróci autobusem, w końcu to ledwie dwie przesiadki i pół godziny na mrozie. Kreft nie odpuścił i czekał pod przychodnią. W nagrodę nasłuchał się marudzenia ojca, ale zdążył już do tego przywyknąć. To rutynowe badania, usłyszał. Wiedział, że pod tym pojęciem może kryć się wszystko, łącznie z ostatnim namaszczeniem. Zrobili zakupy, zaniósł je do kuchni i kazał mu dbać o siebie, co ojciec skwitował machnięciem ręki. Nie potrafił okazywać uczuć.

Kreftowie mieli tę ułomność w genach.

Przejechał palcami po skórze pod oczami, niemal rolując ją w wałki.

– Przypomnij mi, żebym nie pił, gdy będę zbliżał się do czterdziestki.

Uryga stał w drzwiach pokoju, a ironiczny uśmiezek nie schodził mu z ust. Ściągnął puchową kurtkę z kapturem obszytym futrem, strzepnął z niej resztki śniegu i powiesił na wieszaku za drzwiami.

– Cieszę się, że przysparzam ci tyle radości – odparł Kreft i dopił kawę z największego kubka, jaki udało się zdobyć Idze i wręczyć mu w prezencie.

Uwielbiał kawę i pił ją zdecydowanie za często, za to zrezygnował z mocniejszych trunków, zastępując je piwem lub lampką wina, najlepiej musującego. W policyjnym świątku uchodził za dziwaka. Śmiał się, że gdyby ktoś chciał uczynić go bohaterem literackim, musiałby go podkoloryzować.

Sprawiał wrażenie twardego gliny. Nieźle zbudowany, silny, do tego wygadany i konkretny. Tatuaze, które pokrywały znaczną część jego ciała, powodowały, że ludzie odbierali go inaczej, niż na to zasługiwał. Nie zabiegał o ich akceptację i poklask. Pod czarno-białymi ilustracjami na skórze nosił ślady z przeszłości. Ukrył je pod grubą warstwą tuszu.

– Wypiliśmy wczoraj kilka piw, parę szotów i poszliśmy grzecznie spać jak zastęp zuchów. A ty wyglądasz, jakbyś całą noc kopał się z koniem – nie odpuszczał mu młodszy o siedem lat policjant.

– Zejdiesz ze mnie? Powiedz mi lepiej, co wyciągnąłeś z Goika. – Kreft zmienił temat. Nie dlatego, że było mu wstyd. Czuł się fatalnie i obawiał się, że za chwilę będzie musiał biec na drugi koniec korytarza i wymiotować do kibla.

– Musisz zepsuć tak dobrze zapowiadający się dzień? Nic nowego – odparł Uryga niewzruszony, przeglądając książkę, która leżała na biurku Krefta. Cormac McCarthy, *Droga*. Kiedy ten facet znajduje czas, żeby poczytać?

– Wbrew temu, co sobie uroiłeś, przesiedziałem pół nocy, grzebiąc w papierach. Wyobraź sobie, że znalazłem interesującą notkę, sporządzoną przez Biernata. Przesłuchali wszystkich, którzy bawili się czy pracowali na studniówce. – Kreft zerknął do sporządzonych odręcznie notatek i przeczytał na głos: – Uczniowie z osobami towarzyszącymi, nauczyciele, obsługa imprezy. Sześćdziesiąt sześć osób. W teczce jest kompletna lista imion, nazwisk, spisanych



i ponumerowanych przez Biernata, odnośniki do protokołów z przesłuchań, luźne rozmowy, a także nagrania – uściślił.

– Ciągnęli ten temat na własną rękę bez zielonego światła z prokuratury?

Kreft skinął głową, że na to wygląda. Zresztą sam zrobiłby podobnie.

– Sporą część traktowali po łebkach, ale jednak. Biernat nigdy się do tego nie przyzna. Nawet gdy z nim rozmawiałem, sprawiał wrażenie obojętnego, chociaż jestem pewien, że ostro wtedy harowali. Niestety bez powodzenia.

– Nie dziwię się. Nie było oficjalnego śledztwa. Pewnie ślęczeli nad tym po godzinach, w weekendy. Co jeszcze udało ci się wyciągnąć z tej lektury?

– Nikt nic nie zauważył. Wszyscy powtarzali to samo. Między pierwszym a ostatnim przesłuchaniem minęło tyle czasu, że w obiegu zdążyła utrwalić się jedna wersja zdarzeń. Zwróciłem na coś uwagę. Na liście znajduje się sześćdziesiąt sześć nazwisk i jedno dodatkowe, skreślone już na wstępie.

Błażej nic nie mówił. Cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Przyjechałem wcześniej i grzebałem w archiwum. Facet był właścicielem firmy, która filmowała studniówkę. Tej nocy nie pracował, kręcił ją wspólnik. Sądziłem, że Biernat skreślił go z tego powodu, ale kopiąc w bazie, natknąłem się na wzmiankę, że później odnaleziono go martwego. Samobójstwo – wyjaśnił Kreft.

– Ciekawe. Rozmawiałeś z Biernatem na ten temat?

– Tak, dzwoniłem do niego z samego rana. Twierdzi, że facet znalazł się na liście, bo w dniu zaginięcia Sylwii nie wiedzieli, kto obsługiwał imprezę. Gdy ustalili, że go tam nie było, i okazało się, że nie żyje, temat upadł.

– Nie powiązali tych spraw ze sobą? I kto w takim razie biegał z kamerą?

– Wspólnik zapewnił mu alibi i dostarczył nagranie ze studniówki. Do samobója przydzielono prokuratora Smugę, ten wykluczył udział osób trzecich. Teraz najciekawsze. Jest trochę fantów, o których nie mogli wiedzieć ani Biernat, ani Smuga. Wspólnik nie miał później dobrej passy i był częstym gościem zakładów karnych. Wśród wielu

grzeszków przykleiło się do niego oskarżenie o gwałt. Nie dostał zarzutów, ale warto mu się przyjrzeć.

– Interesujące. Pozostaje ustalić adres i złożyć mu wizytę.

– Tak się składa, że niedawno wyszedł, a ja wiem, gdzie go szukać. Dostał od gminy mieszkanie socjalne na Staszica, sprawdziłem to. – Kreft wstał i wygrzebał z kieszeni klucze do auta. – Masz ochotę na przejażdżkę?

Uryga czekał już w drzwiach. Był pod wrażeniem trzeźwości umysłu komisarza. Sam nie potrafił się zagonić do pracy co najmniej do południa.



Śnieg jak zręczny iluzjonista nagle zniknął i w jego miejsce, niczym króliki z kapelusza, wskoczyły ciężkie krople. Deszcz uderzał w szybę samochodu i wygrywał na niej skoczne melodie. Kreft przeklinał nagłą zmianę pogody, posyłając w przestrzeń wiązanek osobliwych przekleństw.

Za kapliczką skręcili w prawo w ulicę Fitznera i Gampera, do niedawna Szewczyka. Stanęli na nieutwardzonym placu. Po deszczu przypominał ring do zapasów w błocie.

Musieli się nieźle nagimnastykować, aby suchą stopą dotrzeć na chodnik.

– Cholera! – Uryga wytarł ubłoconą podeszwę sportowych butów o ostatnią suchą kępkę trawy. – Po co ci idioci robią białe podeszwy? Zjeździłem pół miasta, żeby znaleźć coś normalnego, i nic, jak na złość – nakręcał się.

– Możesz się pospieszyć?

– Idę chyba, nie?

Na zewnętrznej ścianie kamienicy widoczne były ślady po mieszkaniach, które znajdowały się w doklejonym do niej budynku, zburzonym pewnie lata temu. Resztki różowej farby w lokalu na parterze wiele mówiły o fantazji mieszkających tu ludzi. Były jak blizny wypalone na skórze codzienności.

Zatrzymali się przed bramą prowadzącą na podwórze.

Kreft spojrzał w górę. Trzy piętra, a w zasadzie dwa, na górze mieszkania zaadaptowane z poddasza, o czym świadczyły małe, niewymiarowe okna. Na dole z prawej strony łuszczyły się pozostałości po jakimś lokalu, może barze? Zabite dyktą okna, okratowane drzwi i stępione kły brudnych szyb.

Na klatce schodowej cuchnęło moczem. Grzyb wyciągał patykowate łapska i rozlewał się pod sufitem niczym pajęczyna pochłaniająca cały tlen.

– Które piętro?

– Pierwsze. Drzwi po lewej – odparł Kreft, przeliczając rozkład lokali. Na wszelki wypadek sprawdził, czy ma broń. Obłok ogrzanego w płucach powietrza wypełził z jego ust i uniósł się niewyraźną smugą w stronę stropu.

– Dawno wyszedł? – szepnął Uryga, trzymając się kilka stopni z tyłu.

– Parę dni temu. Czy ty możesz się na chwilę zamknąć?

Uryga uniósł ręce w geście kapitulacji, po czym wsunął je do kieszeni.

Obaj wiedzieli, że należy zachować ostrożność. Nie chcieli spłoszyć Szulca. Stanęli na półpiętrze, przyglądając się blaszanym drzwiom wstawionym w miejsce dwuskrzydłowej futryny. Nadmiar wolnej przestrzeni wypełniono mozaiką z gipsowych bloczków i pianki. Mało estetyczne, choć niegłupie rozwiązanie.

Kreft nacisnął dzwonek. W środku nie rozległ się żaden dźwięk. Czyżby ktoś wyłączył prąd albo przeciął kable? Powtórzył. Znow bez powodzenia.

Skinął głową na partnera, a gdy ten się odsunął, pociągnął za klamkę i naparł na drzwi. Puściły zadziwiająco łatwo. Wyciągnął broń z kabury.

Stali w środku i nasłuchiwali. Z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk.

Zamknął drzwi i zajrzał do pokoju. Lodowaty podmuch uderzył go w twarz.

Starał się wychwycić jak najwięcej szczegółów. Mieszkanie miało nietypowy układ; do pokoju prowadziły harmonijkowe drzwi,

odchodzące od futryny. Korytarz rozchodził się w dwie strony i nie mógł się zdecydować, gdzie powinien biec najpierw.

– Halo! Jest tu ktoś? – rzucił Kreft, zaglądając głębiej. Z prawej strony znajdowała się ciasna ubikacja, z której zalatywało nieszczelną kanalizacją. Nic więcej.

Poszedł w drugą stronę, minął pomieszczenie odgrodzone wybrzuszącą się od środka harmonijką. Nic. Wciąż nie mógł wyłapać żadnego dźwięku.

Do żółtej tapety przywarł smród nikotyny. Kątem oka spojrzał na stojak na buty; jedna para, nic więcej, nie licząc dziurawej sportowej torby, uwalonej cementem. Przegniły parkiet pod gumolitem skrzypiał przy każdym kroku.

W końcu korytarza zamajaczył obrys kuchni. Kaflowy piec przypominał niekompletnie złożone puzzle. Tu i ówdzie czas wyszczerbił pojedyncze kafle. W kuchni zalatywało stęchlizną i panował w niej straszny bałagan.

Uryga włókł się z tyłu, cały czas utrzymując bezpieczny dystans.

Zaglądał do kolejnych pomieszczeń, karawana posuwała się dalej. Czysto.

Z doświadczenia wiedział, że to nie wróży najlepiej. W mieszkaniu było potwornie zimno. Ktoś otworzył wszystkie okna i po odsunięciu harmonijkowych drzwi w twarz dmuchał zimny wiatr. Panoszył się wszędzie, pohukiwał groźnie pod wysokim stropem. Wiązał im oczy i bawił się w chowanego, sprytnie plądając kroki śledczym. Na finał zostawił coś zaskakującego.

Kreft minął kuchnię, przypominającą sortownię śmieci, i ruszył w stronę ślepego pokoju schowanego za przepierzeniem z drewnianych paciorków.

Zauważył buty. Brudne, schodzone trapery, wiszące kilkanaście centymetrów nad ziemią i podrygujące w rytm podmuchów wiatru. Pozostałą część sylwetki wiszącego na pasku mężczyzny dostrzegł później, jak przez mgłę.

Zachłannie łapał oddech. Powietrze smakowało krwią. Żelazne, gęste, zatykało tętnice. Czuł, jak ból pulsuje pod czaszką. Słyszał galopujące tętno.

– Cholera! – Głos Urygi ściągnął go na ziemię, a słowa, które wypowiedział później, wprawiły w konsternację. – No, to jesteśmy w domu.

Schował broń. Człowiek, którego zamierzali przesłuchać w sprawie porwania i być może zabicia Sylwii Nowickiej, właśnie popełnił samobójstwo.

U jego stóp leżało nagie ciało kobiety w podobnym do niej wieku. Zbrodnia zatoczyła koło; wciągała ich w krąg nieomówień, tajemnic i znaków zapytania. Wiele wskazywało na to, że znaleźli rozwiązanie zagadki sprzed lat.



Ekipa techników dotarła na miejsce po trzech kwadransach. W normalnych okolicznościach uznałby to za przyzwoity rezultat. Nie tym razem. Znalazł się po drugiej stronie i każda minuta dłużyła się niemiłosiernie. Świat stanął w miejscu i czekał, aż ktoś przewróci pierwszą kostkę domina.

Koniec końców pół tuzina ludzi w białych, szeleszczących kombinezonach przekopywało mieszkanie Szulca milimetr po milimetrze, jakby szukali Świętego Graala schowanego pod dywanem lub czegoś równie nierzeczywistego.

Kreft spodziewał się, że ich trud pójdzie na marne, że nie znajdą nic konkretnego prócz masy śmieci i ubrań należących do anonimowych ludzi, wysypanych z kontenerów z odzieżą albo znalezionych na śmietniku.

Siedział na klatce i gapił się w wyszczerbiony kawałek schodów.

Ból głowy ustępował. Wiedział, że na tabletkach długo nie pociągnie.

– Hirsz powinna tu dotrzeć za dziesięć minut – przerwał mu Uryga, wspinając się po schodach tak wolno, jakby dźwigał na plecach butlę z tlenem. – Przebicie się przez centrum o tej porze to koszmar, więc jej się nie dziw.

Kreft skinął smętnie głową. Tak naprawdę obchodziła go tylko jej opinia.

– Kumulacji się nie spodziewałem. – Błażej siadł obok niego i zapalił papierosa. Kółka tytoniowego dymu wspinały się ku górze, ginęły w pajęczynie pleśni pod sufitem niczym muchy wpadające w jej rozstawione sidła. – Dwie sprawy załatwione za jednym zamachem. Zapowiadają się nudne święta.

Śmiał się. Wyraz twarzy Krefta nie wróżył, by ten scenariusz się ziścił.

– Wstrzymaj się z otwieraniem szampana – upomniał go. – Nawet nie wiemy, kim jest dziewczyna ani w jaki sposób się tutaj znalazła.

– Nie uważasz, że trochę w tym wszystkim za dużo zbiegów okoliczności?

– Gdybym tak nie sądził, nie siedziałbym na schodach i nie odmrażał sobie pęcherza. Mogę się jedynie domyślać. Nawet jeśli facet rzeczywiście brał udział w porwaniu i zabójstwie Nowickiej, to wciąż nie wiemy, gdzie jest jej ciało, więc odpuść ze świętowaniem – uciał i obaj zamilkli.

Technicy kryminalistyczni pracowali bezgłośnie, mimo że wywrócili mieszkanie do góry nogami. Zza niedomkniętych drzwi słychać było strzały fleszy i szmer krzątania. Widać komunikowali się ze sobą bez słów.

Co jakiś czas skrzypiała stara futryna i we wnęce drzwi obok ukazywała się kępka siwych włosów. Nie trwało to długo, może parę sekund, po czym znikła w środku na kwadrans. Scena powtarzała się z zabawną regularnością.

– Porozmawiasz z sąsiadami?

– Gdyby coś wiedzieli, dawno by nam o tym donieśli, ale skoro muszę... – powiedział Uryga. – Oglądałem zamek w drzwiach, wydaje się nietknięty.

– Też to zauważyłem. To wciąż niewiele wyjaśnia. Ktoś mógł mieć klucz.

– Robert, nawet gdyby Szulc ściągnął pętlę z szyi, otrzepał się i wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi, i tak miałbyś wątpliwości – wtrącił nie bez racji.

Milczał. Doświadczenie sugerowało powściągliwość w ferowaniu wyroków.

- Jeżeli masz rację, ofiar będzie więcej – podsumował i obaj umilkli.
- Tego się niestety obawiam – zgodził się kwaśno komisarz.

Przed kamienicą zgromadził się tłum gapiów. Radiowozy na kogutach i krążący nerwowo policjanci zawsze nabijają publikę. Zmarznięci, z rękami wciśniętymi w ciepłe kieszenie płaszczy i kurtek, odpytywali się nawzajem, próbując odtworzyć przebieg zdarzeń. Co jakiś czas zapędzali się w tej rekonstrukcji za daleko i któryś z obecnych na miejscu mundurowych przywoływał ich do porządku, goniąc co bardziej krewkich jak było za taśmę.

Uryga sterczał przed odłazącymi z lakieru drzwiami w kolorze, którego nie umiał nazwać, i rozmawiał z parą staruszków od lat mieszkających w lokalu pod piątką. Strach rysujący się w głęboko osadzonych oczach mężczyzny współgrał z drżeniem wychudzonych rąk, ściskanych przez przyklejoną do niego drobną staruszkę. Nic nie widzieli, słyszeli jeszcze mniej, co potwierdzał rozmiar aparatów słuchowych za ich odstającymi uszami.

- Na pewno nie widzieli państwo niczego dziwnego? Nikt się tu nie kręcił?

Policjant powtórzył kwestię kilka razy, dla formalności. Nie spodziewał się przełomu. Młodszy mieszkańcy kamienicy wylegli na klatkę i dołączyli do licznego audytorium przed budynkiem. Z poręczy na drugim piętrze rozlały się rude włosy kilkuletniej dziewczynki. Ujrzała go i uciekła zawstydzona.

Kreft nie ruszał się z miejsca. Czekał, aż dźwięk, który chwilę temu niósł się po podwórzu, zmieni się w dudnienie kobiecych obcasów na schodach i stanie przed nim patolog Martyna Hirsz, otulona szczelnie szalem. Niosła skórzaną torbę ze sprzętem i ubraniami na zmianę.

- Sądząc po minie, nie warto tam nawet wchodzić – rzuciła, zatrzymując się przed siedzącym na schodach komisarzem wydziału kryminalnego.

- Nie jest tak źle. Nie trzeba zamawiać firmy dezynfekującej.
- Ulżyło mi, dziękuję. Słyszałam, że są dwa ciała.

Kreft skinął obojętnie głową, jakby chciał dodać: „Sama się przekonasz”.

- Ktoś z prokuratury jest na miejscu?

– Nie. Smuga będzie lada chwila. Rozmawiałem z nim, możesz się rozgościć.

– Wspaniałomyślnie z jego strony. A ty nie idziesz? – zapytała, mijając go.

– Nie. Staram się nabrać dystansu.

– Jak chcesz.

Gdy zniknęła w drzwiach, złapał się za głowę. Silne pulsowanie uniemożliwiało zebranie myśli. Nie lubił okazywać słabości, jednak ból wybrał sobie idealny moment, by znów o sobie przypomnieć. Wiedział, że to kiedyś nastąpi.

– Nadchodzą smętni panowie, możesz się zbierać. – Uryga szturchnął go w ramię i wszedł do mieszkania. – Dziadki odhaczone. Nic nie zauważyli.

Prokurator Andrzej Smuga pofatygował się na miejsce osobiście, co tylko podbijało bębenek zainteresowania mediów, ale i samych funkcjonariuszy.

– Jak to jest, że spotykamy się zawsze w sytuacjach bez wyjścia? – Smuga zwrócił się do komisarza i wyciągnął ku niemu wymuskaną dłoń. – Widocznie jesteśmy na siebie skazani – odpowiedział sobie – przynajmniej, dopóki iloraz inteligencji śledczych, którzy zostali do wyboru, nie przekracza minimum niezbędnego do przejścia przez ulicę bez pomocy niańki. – Uśmiechnął się.

– Cieszę się, że mogę sprostać twoim wygórowanym oczekiwaniom – odparł Kreft. Zaprowadził prokuratora do pokoju, w którym znaleźli zwłoki.

Technicy kryminalistyczni kończyli zabezpieczać ślady. Obok ciał rozstawili numerowane znaczniki, w powietrzu unosił się zapach fleszy. Wszystko zostało udokumentowane i oznaczone; w zasadzie czekali tylko na zgodę prokuratora, by ściągnąć zwłoki i przewieźć je do prosektorium. Patolog spakowała sprzęt do walizki i poprawiła włosy.

Mogła zaczekać na pytanie ze strony prokuratora, lecz uprzedziła go i przeszła do konkretów, ściągając z dłoni lateksowe rękawiczki.

– Przyczyną śmierci mężczyzny było przerwanie rdzenia kręgowego na odcinku szyjnym. Zgon nastąpił od kilkunastu do kilkudziesięciu



godzin temu – objaśniała tak spokojnie, jakby dyrekcja przedszkola, do którego uczęszczała jej córka, zaprosiła ją na pogadankę dotyczącą ciekawych zawodów. – Kobieta zginęła wcześniej, chociaż tradycyjnie więcej będę w stanie powiedzieć dopiero po sekcji. Niska temperatura w pomieszczeniu opóźniła rozkład zwłok, przez co trudno precyzyjnie określić czas zgonu.

– To wszystko?

– Plamy opadowe są utrwalone. Procesy gnilne hamuje niska temperatura. Ciało jest wychłodzone, takie zwłoki nie ulegają rozkładowi w normalnym tempie. Muszę wykonać serię badań, w tym toksykologicznych, chcę sprawdzić, czy nie podano jej środków odurzających. Coś więcej może nam powiedzieć badanie zawartości treści żołądka – wyjaśniła Hirsz.

– Są jakieś ślady? – Prokurator ją zignorował i zwrócił się do szefa ekipy technicznej.

– Całe mnóstwo. Odciski w korytarzu zostawili śledczy, a jeżeli chodzi o krew, to ujawniliśmy jej trochę w łazience, musimy zbadać, do kogo należy.

Z odsieczą przyszła mu Martyna Hirsz. Nie znosiła, gdy się ją lekceważyło.

– Wokół nadgarstków kobiety biegną głębokie rany cięte, zadane prawdopodobnie po śmierci. Ich brzegi są gładkie i równe, rany zadano nożem albo innym narzędziem o podobnym ostrzu. Myślę, że została uduszona. Brak śladów walki, stawiania oporu. Badania toksykologiczne wykażą ewentualne otrucie, obecność narkotyków, alkoholu. Miejsce ujawnienia ciała mężczyzny wydaje się być miejscem zgonu, kobieta została przeniesiona i trudno powiedzieć, gdzie zginęła. Sposób ułożenia ciała jest nienaturalny, nie ujawniono żadnych śladów krwi – tłumaczyła cierpliwie.

– Wiemy, kim są ofiary i co się tu w ogóle stało?

– Sławomir Szulc dostał przydział na lokal socjalny od gminy, papiery ma przy sobie. Potwierdziliśmy jego tożsamość. Kilka dni temu opuścił zakład karny – wyjaśnił Kreft wywołany do tablicy. – Nie wiemy, kim jest kobieta.

Prokurator przyglądał mu się, próbując połączyć luźne wątki

w całość.

– Skąd się tu wzięliście? Krynicka nawija mi o jakiejś taśmie. Chcesz mi coś powiedzieć? – dopytywał, nawiązując do rozmowy z panią komendant.

– W jednej z kamienic znaleźliśmy kasetę wideo, na której ktoś nagrał zabójstwo młodej kobiety. Zabezpieczyliśmy ją i ustaliśmy, czy nie ma związku ze sprawą sprzed dwudziestu pięciu lat. Chcieliśmy porozmawiać na ten temat z Szulcem. – Kreft omijał co ważniejsze wątki. Wiedział, że będą z tego kłopoty. – Na miejscu okazało się, że trafiliśmy na dwa ciała. – Wskazał zwłoki.

– Jeśli na taśmie jest zabójstwo sprzed lat... – Prokurator spojrzał na zwłoki kobiety. – ...to przecież nie może być ona? – Wydawał się skołowany. – Wyjaśnij mi, dlaczego nic nie wiem o szopkach, które odstawiacie? Nikt nie zgłosił się z wnioskiem o zaliczenie jej w poczet materiału dowodowego.

Kreft spodziewał się tego pytania. Chociaż nie miał żadnej gotowej odpowiedzi.

– W zasadzie to wolę nie wiedzieć – poprawił się prokurator i przez chwilę milczał. – Co w takim razie stoi na przeszkodzie, aby powiązać te sprawy?

– Nie ma dowodów, że Szulc zabił tamtą dziewczynę. Prokuratura uznała, że wyjechała za granicę, i nikt nie wracał do tematu – tłumaczył komisarz.

Smuga zaśmiał się donośnie, jakby usłyszał dawno niesłyszany żart.

– Wkręcasz mnie? Średnio rozgarnięty szympanś nie miałby kłopotu z wyciągnięciem wniosków. Sprawa jest zamknięta. Proponuję nadstawić plecy i dać się po nich klepać, bo się wam poszczęściło. I zaskoczę cię, prokuratura też się myli – wtrącił, nie odmawiając sobie okazji do uszczypliwości.

Potem poprawił płaszcz, jakby czekał na swoją kolej na wybiegu, i wyciągnął telefon. Dobry humor go nie opuszczał.

– Ja uciekam, widzimy się jutro. – Martyna Hirsz skorzystała z okazji i zniknęła.

Kreft wiedział, że taki scenariusz jest wszystkim na rękę. Nie wierzył w niego. Ktoś wypomniał mu kiedyś, że to śledztwo jest jego celem,

nie finał.

W tle czuć było atmosferę triumfu. Z ludzi na co dzień taplających się w błocie schodziło ciśnienie. Nie przeszkadzał im. Nie odbierał im zasłużonej chwały, choć nie zamierzał brać udziału w tym przedwczesnym karnawale.

Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza, przewietrzyć umysł. Włożył kaptur, zbiegł po schodach i wypadł na zewnątrz, poszedł w górę Staszica.

Śnieg kleił się do powiek, powietrze strzępiło płuca. Żółte światła lamp rzucały długie cienie. Oświetlały go, kreśląc przed nim szlak utkany z wątpliwości i niedopowiedzeń.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Rozgrzane masło skwierczało na patelni, przywołując na myśl senne poranki po upalnych nocach i leniwe wakacje w domku nad jeziorem. Wieki temu. Przeszłość przypomina o sobie w najmniej oczekiwanych chwilach. Mile łechta wyobraźnię i boleśnie przypomina o tym, co nie wróci.

Wsunął do tosterka dwie kromki pełnoziarnistego chleba i napełnił pojemnik na wodę w ekspresie, wsłuchując się w warkot mielonych ziaren.

Kreska w termometrze za oknem stężała na dwustopniowym minusie.

Uryga stał przy kuchence w rozciągniętych bokserkach. Pod stopami czuł lodowaty oddech bijący od posadzki. Chłód ciągnął aż po płatki uszu. Nie przeszkadzało mu to. Sprawdzał na sobie, ile jest prawdy w obiegowej opinii, że faceci nie potrafią się skupić na dwóch czynnościach jednocześnie. Sporo, stwierdził, obserwując, jak fatalnie sobie radzi.

Rozbił na patelni jajka i oprószył je solą. Spoglądał w migające oko ekspresu, jakby spodziewał się wyczytać w nim wróżbę na dalszą część dnia. W łazience za ścianą rozległ się odgłos wody uderzającej o dno brodzika.

Zmniejszył gaz i poszedł tam, prowadzony instynktem.

Uwielbiał zarys jej ciała za zaparowaną szybą kabiny. Wpatrywał się w wygięty łuk biegnący od szyi, schodzący po przebijających spod skóry kręgach i gubiący impet nad krągłością pośladków. Wytarła ręką szybę, zgięła palec wskazujący i zaprosiła go do siebie. Niestety, musiał odmówić.

– Chodź na śniadanie, bo ci wystygnie – oświadczył niepewnie,

walcząc z pokusą, by jednak skorzystać z zaproszenia. Starał się nie rozpraszać.

– Daj mi chwilę, tylko się ubiorę. – Natalia odwiesiła słuchawkę prysznicową, złapała wiszący na kołku ręcznik i wyszła z kabiny, ostrożnie, by się nie poślizgnąć. – Długo masz zamiar się gapić? Mówiłeś, że śniadanie stygnie.

Stał oczarowany. Miała świetną figurę; jędrne, sprężyste ciało o idealnych proporcjach i kształtach. Czuł, że przestaje nad sobą panować. Kontrola nad życiem pozbawił się z jej powodu wcześniej. Nie umiał temu zapobiec.

Wrócił do kuchni, usiłując wyrzucić z głowy te rozprasające obrazy.

Znalazł pilot i włączył telewizor w pokoju obok. Canal+ Sport nadawał powtórkę z nocnej potyczki Houston Rockets i Golden State Warriors. Dojrzywał w złotej erze koszykówki, sam próbował sił w klubie z Dąbrowy Górniczej, ale skończył przygodę ze sportem na drugiej klasie rozgrywkowej, wykręcając całkiem przyzwoite statystyki. Czasem żałował, że nie pociągnął tej przygody dłużej.

Gdy przygotowywał śniadanie, kątem oka śledził relację. Ułożył na talerzu po dwa tosty, musnął je masłem i położył na nich jajka sadzone. Całość obsypał szczyptą słodkiej papryki i siekanego szczypiorku. Usiadł w salonie.

To był szczyt jego kulinarnej fantazji. Był świadom swoich niedociągnięć.

Zostawił talerz na oparciu sofy, przegryzał tosty i oglądał podkoszowe popisy Jamesa Hardena. Ten niepozorny facet wyrósł na czołową postać ligi.

– Zamierzasz jeść przed telewizorem? – spytała, idąc w jego stronę, ubrana we frottowy ręcznik i zapach, który mieszał mu w głowie.

– Gdybyś obejrzała jeden mecz, jeden – zaznaczył – pokochałabyś tę grę.

– Na pewno. Póki co chcę zjeść śniadanie jak normalni ludzie. Przy stole.

Śledził wynik. Rakiety przegrywały czterema punktami, do przerwy zostało pięć minut. Sporo czasu. Ciągle się uczył, że związek wymaga poświęceń.

– Zjemy w kuchni, a potem obejrzysz ze mną drugą połowę – wtrącił, nie odrywając wzroku od ekranu. Nie doczekał się odpowiedzi. Był za stary, aby zarywać noce, toteż powtórki meczów traktował jak dobrodziejstwo.

Przebrała się i siedli w kuchni. Zrobił kanapkę z serem i ogórkiem. Sadzone zdążyły wystygnać. Nie dała tego po sobie poznać. Doceniła gest.

– Smakuje ci? – zapytał dla podtrzymania rozmowy.

– Tak. Proszę, zrób mi dobrą kawkę, co? Taką ze spienionym mlekiem.

Nie umiał jej odmówić. Podniósł się i sięgnął do lodówki. Wlał zimne mleko do filiżanek, spenił je, po czym wsunął do podajnika kapsułki z kawą. Ekspres wciągnął powietrze, zakrztusił się i wypluł rdzawy płyn do filiżanki.

Robienie kawy go odprężyło. Wyłączał się, zajmował czymś prozaicznym, co miało konkretną wartość, w przeciwieństwie do godzin ślęczenia nad aktami i układania w głowie scenariuszy, które zwykle prowadziły donikąd.

– Proszę bardzo. – Postawił jej filiżankę pod nosem.

– Dzięki. Jesteś kochany. Sorry, że pytam, dlaczego nie jesteś w pracy?

– Narzekasz, że spędzamy ze sobą tak mało czasu.

– A tak serio? – Natalia nie dała się podejść.

– Ostatnio mieliśmy niezły zapieprz. Umówiłem się z Kreftem, że przyjdę dziś później. Myślałem, że się ucieszysz.

– Cieszę się, ale dziś to ja mam masę roboty – zaśmiała się. – Wróciłeś w nocy niezłe podkrecony. Wiecie już, kim była ta dziewczyna na taśmie?

Uryga spojrzał na nią wymownie, pijąc kawę.

– Wiesz, że nie rozmawiamy o szczegółach dochodzenia. Ustaliliśmy to.

– Pytam z ciekawości. Tą sprawą w redakcji zajmuje się Olek. A o taśmie wiem tylko tyle, ile się dowiedziałam od ciebie – przekomarzała się z nim.

– Zawsze tak mówicie, a potem wszystko płynie na pasku

w informacjach.

– Wal się, nie chcesz gadać, to nie – obraziła się i rozsunęła torbę z laptopem. Położyła go na stole i wpięła kabel do prądu. Musiał się podładować.

– Wiemy, kim była. Zaginęła w latach dziewięćdziesiątych i nie sądzę, by ta sprawa jeszcze kogoś obchodziła. No, oczywiście poza jej rodziną – uciął.

– Zdziwiłbyś się. Ludzie są cholernie pamiętliwi. Pisałam kiedyś artykuł o nauczycielu fizyki, który przystawiał się do uczennic. Wywalili go ze szkoły po cichu w latach dziewięćdziesiątych. Nikt się nie zastaniał złą pamięcią, zebrałam tyle materiału, że mogłabym z tego zrobić powieść w odcinkach.

– Nie mamy tyle szczęścia. Wszyscy powtarzają w zasadzie to samo.

– Rozmawiać trzeba umieć – wbiła mu szpilkę. – Zresztą, jeśli według was nikogo to nie obchodzi, po co robić z tego tajemnicę?

– Może po to, by dziennikarze nie wleźli nam na głowę? – odbił piłeczkę, zadowolony z tego, jak wybrnął z sytuacji. – Nie dość, że wiemy, kim była, to mamy człowieka, który ją zabił. A w zasadzie mielibyśmy, bo nie żyje.

Udawiała, że nie robi to na niej wrażenia. Kartkowała obojętnie leżący obok kobiecey magazyn i czekała, aż włączy się laptop. Spojrzała mu w oczy.

– Skąd wiecie, że to on?

– Bo prócz tego, że jesteśmy szalenie przystojni, to i nieludzko wprost przenikliwi.

Uryga rozsiadł się wygodnie na krześle i kątem oka gapił w telewizor. Kamery przeniosły się do Houston, a na parkiet wrócili zawodnicy obu ekip.

– Idź. Oglądaj ten swój głupi mecz.

Nie musiała dwa razy powtarzać. Wstał, pocałował ją w czoło i nie zdążył walnąć się na sofie, gdy usłyszał za plecami drwiący ton Natalii:

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego śledczy tak obsesyjnie skupiają się na sprawcy – rzuciła od niechcienia, nie odrywając wzroku od magazynu.

– O czym ty mówisz? – wrócił i stanął w progu. Czuł, co chce powiedzieć.

– Ktoś celowo wraca do sprawy sprzed lat. Skąd pewność, że to zabójca? Może chce wam zwrócić uwagę na rzeczy, które wówczas zlekceważono czy pominięto. Wcale nie musiał jej zabić. Może podrzuca wam nowe tropy?

– I twoim zdaniem czekał z tym dwadzieścia pięć lat? Obudził się pewnego grudniowego dnia i uznał, że wystarczy?

– Nie wiem, myślę na głos. – Upiła łyk kawy i przerzuciła stronę w gazecie. Coś było na rzeczy, ale zmieniła temat, zasypując go kolejnymi pytaniami: – Zastanowiłeś się już, jak chcesz spędzić w tym roku święta i sylwestra?

Więcej wysiłku kosztowało go, by o tym nie myśleć. Z Nowym Rokiem nie będzie kłopotu. Ola nie lubi tej sztucznej euforii, przymusu celebracji czegoś, co – jak powtarza – zbliża ją do starości. Święta spędzą wspólnie, ze względu na córkę. O ile nie zrobi czegoś głupiego. Odkąd zamieszkali razem, zapraszali na wigilię rodziców; to niepisana tradycja, z której trudno się wykipić. Z drugiej strony, miał na koncie poważniejsze grzeszki.

– Zostały jeszcze dwa tygodnie. Święta spędzę z córką, ale myślałem, że w sylwestra wyskoczymy gdzieś razem – powiedział, siląc się na uśmiech.

– To wspaniałomyślne z twojej strony. A organizacją zajmę się ja, zgadłam?

– Proszę cię, nie zaczynaj. Wiesz, że nie mam do tego głowy.

– A ty nie rób z siebie ofiary. Nie udawaj, że nie wiesz, na co się pisałeś.

– Dotąd ci to nie przeszkadzało – zauważył.

– Mam to gdzieś, po prostu nie chcę wysłuchiwać już twoich tłumaczeń.

Chciał zaprotestować, ale trudno było się z nią nie zgodzić. Usiadł w fotelu i wracał myślami do tej wymiany zdań. Koszykarze z Houston odrobili stratę i wyszli na prowadzenie. Nie był fanem Rakiet, jednak styl gry ekipy Warriors przypominał mu popisy cyrkowców z Harlem Globetrotters, a nie mistrzów najlepszej ligi



świata. Od dawna zastanawiał się, dokąd zmierza współczesna koszykówka; gdzie się podziela ta szczelna obrona oraz twarde szczęki gigantów, na których się wychował? Może tam, gdzie jego zasady.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kilka dni nieobecności w branży nieruchomości to prawdziwa wieczność. Odwołane spotkania, przegapione oferty prywatne, nieodebrane telefony.

Michał Hajduk usiłował przebrnąć przez napięty terminarz przesuniętych lub przekierowanych na współpracownika wizyt i umów spisanych pod czujnym okiem notariusza. Wiedział, że to i tak łagodna kara.

Zrezygnował z porannej odprawy. Siedział przy oknie, gapiąc się w szybę z logo, w które wpisano jeden z symboli Krakowa, obok smoka i wieży Mariackiej – Lajkonika.

Zamówił bajgla na ciepło z grillowanym kurczakiem, smażonymi ziarnami słonecznika, suszonymi pomidorami i rukolą. Z kawy zrezygnował, ostatnio wypił jej tyle, że miał już dosyć. Wziął wodę. W końcu musiał gdzieś pracować.

Widok na „patelnię”, niegdyś centralny plac Sosnowca, a od kilkunastu lat lśniąca dziurę w sercu miasta, nie nastrojał optymistycznie. W mieście coś drgnęło, jednak załatanie pokoleniowych dziur w infrastrukturze i wizerunku wymagało solidnego drenażu miejskiej lub unijnej kasy. Ludzie za szybą nie zwracali na to uwagi; otuleni w grube szale i puchowe kurtki stawiali czoła codzienności. Nawet przystrojone odświętnie ulice, lśniące tysiącem świateł, nie zdołały zburzyć nastroju monotonii.

Sięgnął po gazetę, kupioną w kiosku w pasażu pod dworcem. Zapach farby drukarskiej działał na niego pobudzająco.

Unikał polityki. Rozgrzewający opinię publiczną spór o Trybunał Konstytucyjny i reformę sądownictwa średnio go interesował. Zadzwoił do szefa ekipy remontującej nową siedzibę agencji. Według

niego realny wydawał się termin po Nowym Roku. Sęk w tym, że pod względem wiarygodności ekipy remontowo-budowlanej plasowały się na końcu listy zaufania, gdzieś między politykami i macherami od gry w trzy karty.

W lokalu zaczęło się robić gwaro. Grupka młodzieży zamawiała kanapki na wynos, przy stoliku na końcu sali usiadło młode małżeństwo z kilkuletnim chłopcem, który zajmował sobą całą dostępną przestrzeń. Nie przeszkadzał mu wcale, przeciwnie, przypominał najszczęśliwsze lata życia. Dawno o tym zapomniał, a to wczesne ojcostwo nauczyło go radzić sobie w życiu.

Odłożył gazetę. Nie umiał się skupić na lekturze w tym hałasie, włączył więc laptop.

Upił kilka łyków wody i uruchomił terminarz. Zapisywał w chmurze wszystko, co wiązało się z pracą. Z wiekiem pamięć zaczynała szwankować, a lubił mieć kontrolę. Plan na dziś: dwa mieszkania do obkoczenia, oba niedaleko centrum, a po południu umowa zamiany mieszkań w biurze notariusza przy alei Zwycięstwa, dwie kamienice obok nowego biura agencji.

Zadzwoił do klienta. Przed załatwieniem formalności wypadało przypomnieć o niezbędnych dokumentach. Sprzedaż mieszkania to zawsze stresujący moment i lepiej, by wszystko było zapięte na ostatni guzik. Do notariusza nie musiał dzwonić. Znali się od lat, wiedział, że zna się na swoim fachu. Poza tym już dawno uzgodnili uczciwy procent od każdej transakcji.

Wybrał ostatni numer.

– Uzupełniam terminarz, wbij mi adresy i godziny spotkań – zwrócił się do Figasa. Czekał na jego ruch, gapiąc się w otwarty dokument. – Tak, widzę twoje zlecenia cały czas. Zaznacz je na czerwono, tak jak się umawialiśmy...

Gotów był się założyć, że w ogóle go nie słuchał. Odczekał chwilę i zaczął kopiować dane w konkretne rubryki. Mogli pracować jednocześnie na otwartym dokumencie, co bardzo ułatwiało współpracę.

– Obgadałeś te miejscówki z Uchem? – zapytał Hajduk, słysząc, że traci zapał.

– Jeszcze nie. Ostatnio obcina się z robotą. Na szczęście przed świętami ludzie mają mniejszą skłonność do wciskania innym kitu – zaśmiał się Figas. – Jest mniejszy ruch w interesie, usrało ci się z tym nieplanowanym urlopem.

Wolał nie wyprowadzać go z błędu. Musiał zapomnieć o tym koszmarze.

– Pozamykaj to, co zostało na tapecie. Po Nowym Roku ruszamy z kopyta, teraz i tak jest martwy sezon.

– Bajka. Wreszcie będzie się można spotkać z klientem w cywilizowanych warunkach. Żarcie w tych cholernych fast foodach tylko idzie mi w dupę.

– Uzupełnij resztę danych. Mam niezły zapieprz i do późna jestem wycięty. Widzimy się tam, gdzie zwykle. Przypomnę ci, byś wpieprzał wafle ryżowe na śniadanie – oznajmił Hajduk i rozłączył się, nie słuchając, co tamten ma do powiedzenia.

Kartkował lokalną wkładkę do „Dziennika Zachodniego”. Zatrzymał wzrok na jednym ze zdjęć. Ostatni kawałek bajgla z kurczakiem utknał mu w gardle i Hajduk o mały włos się nie udusił. Odkaszlnął, ściągając na siebie uwagę obsługi.

Uśmiechnął się na siłę i pokazał, że wszystko w porządku.

To ona. Kobieta, którą znalazł w tym przeklętym domu. Czuł, że pot perli mu czoło i spływa w dół pleców. Odczytał krótki komunikat pod zdjęciem:

*Komenda Miejska Policji w Sosnowcu prosi o pomoc w ustaleniu tożsamości kobiety ze zdjęcia. Osoby, które są w stanie pomóc w identyfikacji lub posiadają informacje na temat miejsca pobytu kobiety, proszone są o kontakt z oficerem dyżurnym pod numerem telefonu 750-20-20 lub pod numerem alarmowym 997. Szczegóły na stronie internetowej policji.*

Hajduk uruchomił uśpiony ekran laptopa i wpisał podany adres w wyszukiwarce. Prócz informacji dostępnych w gazecie znalazł więcej zdjęć kobiety, opis skromnej garderoby i znaków szczególnych, w tym niewielkiego tatuażu na łydce prawej nogi. Zastanawiał się, co o tym wszystkim myśleć.

Poczuł ulgę. Skoro policja publikuje komunikat w lokalnej prasie, to

znaczy, że odnaleziono ciało. Wzmianka prasowa nie mówiła o tym, że Daria była martwa, jednak jemu nie trzeba tego udowadniać. Nie bawił się we wróżenie z fusów ani nie zastanawiał, gdzie i w jakich okolicznościach do tego doszło. Ważne, że kroki śledczych nie wiodły w jego kierunku. Na razie.

W internecie nie znalazł więcej informacji na ten temat. Schował laptop, odstawił szklankę na szafkę pod ścianą i wyszedł z lokalu na zimną, brudną ulicę, uświadamiając sobie, jak niewiele od nas zależy i jak łatwo wplątać się w sytuację bez wyjścia. Albo pozwolić się w nią wplątać. Nieopatrznie.

Zanim wszedł do auta, wpadł na pewien pomysł. Sięgnął po telefon i wybrał numer do Magdy, dziewczyny, z którą mieszkała Daria. Uznał, że jeżeli policja znalazła jej ciało, on miał czystą kartę u gości, przez których wciąż miał trudności z płucami. Zaryzykował. Grali teraz do jednej bramki.

## Breguła, Sosnowiec, kilka dni wcześniej

Slalom z kubkiem gorącej kawy po ściętym lodem parkingu nie był najlepszym pomysłem, jednak o tej porze i w taką pogodę nic tak nie stawiało na nogi.

Dariusz Breguła wsiadł do taksówki i włączył nawiew. Szyby zdążyły zaparować pod jego nieobecność. Nie było go kwadrans, zagadał się z tą nową dziewczyną z monopolowego. Mieli niepisany układ. Gdy któryś z klientów okazywał się zbyt nachalny i agresywny, Breguła wkraczał do akcji, a kiedy i to nie pomagało, dzwonił po policję. Jak na razie nie musiał tego robić.

W zamian mógł liczyć na herbatę lub małą czarną z ekspresu na zapleczu i na krótką pogawędkę albo ogrzanie zmarzniętych kości, gdy był zastój w interesie.

Wyciągnął tablet schowany pod deską rozdzielczą i puścił stronę z telewizją na żywo. Kanał sportowy trochę się wieszał, ale Breguła i tak wolał gapić się w ekran, niż czytać gazetę albo rozwiązywać krzyżówki przy słabej lampce.

Na służbowym telefonie wyświetlił się nieznany numer, a komórka zaczęła podskakiwać w rytm skocznych dźwięków. Od tygodni powtarzał sobie, że musi zmienić tę denerwującą melodię.

– Szlag, czemu akurat teraz... – zaklął pod nosem, wcisnął przycisk z zieloną słuchawką i przystawił aparat do ucha. – Delta Taxi, słucham.

– Chciałabym zamówić taksówkę. – Młoda kobieta, zdenerwowana, pewnie poprzytykała się z facetem. Normalka. Na łączach słyszał lekkie zakłócenia.

– Proszę podać adres, pod który mam przyjechać.

Wkurzała go ta regułka. W końcu to oni zamawiali taksówkę, do

cholery.

– Nie znam adresu. Czekam pod siłownią na Starym Sosnowcu, niedaleko nowego komisariatu. – Jej głos brzmiał jak ze studni.

Otworzył mapę w telefonie. Rzeczywiście w jednej z ciasnych uliczek działał klub fitness. Zaznaczył trasę. Siedem kilometrów. Nawet jeśli nadrzuci drogi i pojedzie przez centrum. Dochodziła północ, ruch o tej porze nie będzie specjalnie uciążliwy.

– W porządku. Powinienem dotrzeć do piętnastu minut – poinformował, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Kobieta zdążyła się rozłączyć.

Z nieba sypał lepki, klejący puch, jakby wiatr naniósł na szybę nasiona dmuchawca. Drogi były przejezdne i suche, co według prognoz miało się niebawem zmienić. Wszystko jedno. Za dwie godziny skończy pracę i w końcu się wyśpi. Praca na dwóch etatach to kiepski pomysł. Zdecydował, że zrezygnuje ze stróżowania i zwiąże się z korporacją taksówkarską na stałe. Zatrudnił się w niej, żeby sprawdzić, czy to opłacalny biznes, i nie narzekał. W weekendy potrafił wyciągnąć nawet kilka stów.

Dopił na szybko herbatę, opłukał kubek wodą mineralną i schował go do plecaka w bagażniku. Szybki papieros i pora ruszać w drogę. Dziesięć minut.

Podjechał przed budynek klubu fitness od strony Kierocińskiej i stanął na żwirowym parkingu. Z obu stron wąskiej uliczki piętrzyły się niskie kamieniczki i poupychane między nimi domy. Odczekał chwilę, ale nikt się nie zjawił. Oddzwonił na ostatni numer. Telefon nie odpowiadał, widocznie był wyłączony. Kolejna próba nie przyniosła skutku.

Przeszło mu przez myśl, że pomylił adres. Znów wczytał mapę w telefonie. W pobliżu nie było innej siłowni. Żaden taksówkarz nie lubił takich sytuacji.

Gdyby nie pracował na własny rachunek, zgłosiłby w centrali pusty przelot.

Zaklął w myślach. Musi wrócić na postój w Zagórzcu i liczyć, że odbije to sobie przy kolejnym kursie. Raz zysk, raz w pysk, uznał.

Gapił się z nadzieją w ekran telefonu i nie zauważył nawet, kiedy

w szybę zastukał młody mężczyzna w naciągniętym na głowę kapturze i czarnym płaszczu, spod którego wystawała kostka krawatu. W garści ścisnął torbę.

– Przepraszam, jest pan wolny?

W pierwszym odruchu się zawahał, jednak skoro i tak tu sterczał bez sensu, odłożył telefon na siedzenie pasażera i odpowiedział z przekonaniem:

– Przyjechałem po kogoś. Ale to chyba nieaktualne, więc zapraszam.

– Super. To najszybciej zamówiona taksówka w życiu – zaśmiał się mężczyzna i usiadł z tyłu. – Śpieszę się na pociąg i spadł mi pan z nieba. Dworzec jest blisko, ale przesadziłem z ćwiczeniami i musiałbym się tam doczołgać. Skoro wypadł panu kurs, zapłacę podwójnie. Nie będzie pan stratny.

– Żaden kłopot – odparł i rozejrzał się w poszukiwaniu dziewczyny. Nikogo nie było w pobliżu. Może źle się zrozumieli? Nie miało to już znaczenia.

Włączył silnik. Od centrum dzieliły ich najwyżej dwa kilometry. Mężczyzna mógł śmiało pokonać ten dystans piechotą. Nie był od tego, by wybijać klientom głupie pomysły z głów, tylko zawieźć ich cztery litery tam, gdzie sugerowali. Wytoczył się ze ślepej uliczki, objechał osiedle i skierował się w stronę ronda.

Skoro facet mówił, że mu się spieszy, zagrał fair i nie wbijał się w centrum, by podpompować licznik. Wybrał drugi zjazd i odbił w lewo, w Kilińskiego.

W lusterku zobaczył, że gość do kogoś dzwoni. Po kilku próbach rozłączył się.

Breguła stanął przed gmachem dawnego technikum kolejowego na tyłach dworca.

– O której ma pan pociąg? – zapytał z ciekawości.

– Za dwie minuty, uratował mi pan życie. – Mężczyzna sięgnął po portfel i wyjął stużłotowy banknot. Wręczył go taksówkarzowi i dodał: – Oby nie był przed czasem. Reszty nie trzeba. Życzę dobrej nocy i raz jeszcze serdeczne dzięki!

Wziął torbę i potruchtał w stronę wejścia do podziemnego pasażu dworca. Jak na przetrenowanego, zrobił to z zadziwiającą lekkością.



Breguła spojrział w jego stronę. Uświadomił sobie, że to jeden z krótszych i lepiej płatnych kursów w jego życiu, co utwierdziło go w przekonaniu, że czas zająć się tym na pełen etat. Odjechał, słysząc gdzieś w tle nadjeżdżający pociąg. Nie zdążył się nawet przyjrzeć mężczyźnie. Szansa, że kiedyś się spotkają, była nikła, więc niespecjalnie się tym zmartwił.

Marzył tylko o tym, by przykleić głowę do poduszki i przespać kilka godzin.

## Krynicka, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Komendant Olga Krynicka usiadła w pierwszym rzędzie sali konferencyjnej i przyglądała się przygotowaniom do zleconej przez prokuraturę konferencji prasowej.

Przeklinała w duchu dzień, w którym przystała na taki układ. Prokuratura nie posiadała odpowiednich pomieszczeń ani mocy przerobowych i szła im na rękę. Rzecznik prasowy gonił ludzi po całej sali; to znalazł literówkę na wizytówkach, to ścianka z logo policji nie stała tam, gdzie jej miejsce.

Cały naprędce animowany teatrzyk kręcił się wokół jego iluzorycznej roli.

– Słyszałem, że chciałaś mnie widzieć? – Robert Kreft usiadł obok niej.

– Tak. Doszły mnie słuchy, że ściałeś się ze Smugą. Nie możecie dać sobie po razie i dogadać się jak dorośli ludzie? To się już robi męczące.

– Wymieniliśmy jedynie uwagi. Mamy inne zdanie w kilku kwestiach. Tyle.

– Robert, bawcie się, jak chcecie, ale nie chcę później słuchać jego pretensji. Skarży się, że zwlekasz z zamknięciem sprawy i robisz mu pod górkę.

– Nie z zamknięciem, tylko z odtrąbieniem sukcesu, to różnica – uściślił. – Nie twierdzę, że Szulc nie zabił kobiety, a wcześniej nie zrobił tego samego z Nowicką. Trzeba to sprawdzić i poczekać na wyniki badań. Facet nie żyje i się już nie obroni. Znasz Smugę i wiesz, że zrobi wszystko, by zaistnieć.

– I co z tego? Przeszkadza ci to? Zawsze grał pod publiczność. Najwyżej wyłoży się w sądzie, jego broszka. Zrozum, dopóki ta

bufonada nie uderza w nas rykoszetem, niech się bawi, jak mu się żywnie podoba – zaznaczyła Olga Krynicka, nie dając po sobie poznać, że wciąż liczy się ze zdaniem Krefta.

– Problem w tym, że uderza. Raport Hirsza nie jest kompletny i już wiem, że znajdzie się w nim kilka niewiadomych – wtrącił komisarz.

– Widać on tak nie sądzi, ma do tego prawo. Co masz dokładnie na myśli?

– Szulc dopiero wyszedł z zakładu karnego. A kobieta została zamordowana kilka dni temu. Nawet jeśli zdążył ją zabić, pozostaje pytanie, co robił z jej zwłokami? Na ciele ujawniono ślady krępowania, rany cięte, a ekipa techniczna nie znalazła żadnych śladów w mieszkaniu. Nic. Nie ma tam jej odcisków palców. Wciąż czekamy na wyniki wszystkich badań – dodał.

Krynicka się zniecierpliwiła. Westchnęła głęboko, żeby mu coś uświadomić.

– Robert, na litość boską. Facet powiesił się na swoim pasku, w mieszkaniu znalazłeś martwą kobietę. Naprawdę uważasz, że to niefortunny zbieg okoliczności? Cała ta sprawa z kasetą też? – spytała lekko poirytowana.

– Nieważne, co o tym myślę. Dla nas liczą się fakty, a nie oczywiste wnioski.

Krynicka rozłożyła ręce w geście kapitulacji i głośno westchnęła.

– Załóżmy, że masz rację. Co z tego? Chodzimy na smyczy prokuratury, nie warto się wychylać. Po co ci to? – podeszła go z innej strony. – Nic nie wskórasz. Róbmy to, co do nas należy. Wpadka obciąży konto Smugi.

– Nie wiemy nawet, kim jest dziewczyna. Nikt nie zgłaszał jej zaginięcia.

Nie doczekał się odpowiedzi. W sali konferencyjnej zrobiło się tłoczno.

Dziennikarze rzucili się na stolik z kawą rozpuszczalną w słoiku, wodą w plastikowych butelkach i miską ciastek, jakby nie jedli niczego od tygodni. Długowłosego operatora w kurtce z logo lokalnego oddziału TVP przeciągał po ziemi zwój kabli, konsultując z wiszącym na telefonie kierownikiem produkcji szczegóły wejścia na żywo

w ogólnopolskim paśmie informacyjnym.

– Chcę pogrzebać przy tej sprawie – przypomniał o sobie Kreft, obserwując Krynicką. Zaczęli służbę w policji razem, pracowali w jednym wydziale kilka lat, nim góra zdecydowała, że warto dać szansę tej ambitnej dziewczynie. Odtąd wszystko potoczyło się błyskawicznie. Olga wspinała się po szczeblach kariery, Kreft szczerze jej kibicował i choć w tym czasie rozpadł się ich związek, nie miał jej tego za złe. Winę wziął na siebie.

– Na razie nie ma nic na tapecie. Masz wolną rękę, tylko błagam, żadnych scysji ze Smugą. Nie zamierzam świecić za ciebie oczami – powiedziała stanowczo. – Wam się wydaje, że siedzę na czterech literach, upijam się sojową latte i układam pasjansa. Uwierz mi, najwięcej energii kosztuje mnie lawirowanie między sprzecznymi interesami, to niewdzięczna rola – urwała, po czym zaraz dodała: – A teraz wybacz, muszę odebrać ten pieprzony telefon! – Wskazała na aparat i wyszła na korytarz przed salą. Nie umiała się na niego gniewać, ale musiała zachowywać pozory.

Wróciła w towarzystwie prokuratora Andrzeja Smugi. Wskazała mu miejsce przy stole konferencyjnym i sama usiadła obok. Smuga nie był zadowolony z tego, że Kreft nie chciał brać w tym udziału, i nie omieszkał mu tego pokazać, ignorując go i unikając kontaktu wzrokowego. Olga siedziała cicho i nagle zrobiła się blada jak kreda. Czyżby sytuacja uległa zmianie?

Smuga uderzył w magiczny talerzyk i wszyscy skupili się na nim jak zahipnotyzowani. Jednego nie można mu było odmówić, był zwierzęciem medialnym.

Endorfiny produkowane w trakcie wystąpień publicznych nakręcały go do działania. Korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by podpompować swe ego. Elegancki garnitur opinał wytrenowane ciało, klasyczna biała koszula i szeroki czerwony krawat dodawały mu powagi. Ogromna tarcza drogiego zegarka biła po oczach odbitym światłem jarzeniówek. Uśmiechnął się.

– Dzień dobry. Myślę, że możemy zacząć. – Rozejrzał się z udawaną troską o właściwy wydźwięk tych słów. Dziennikarze natychmiast poderwali się do pracy. – Cieszę się, że spotykamy się w tej formie,

która, nie ukrywam, ułatwia pracę prokuraturze, ale przede wszystkim państwu – kokietował.

Wyraz twarzy siedzących w sali dziennikarzy i fotoreporterów wskazywał, że byli łasi na ciastka i kawę, jednak nie kupili tej plastikowej uprzejmości.

– Do państwa dyspozycji jest komendant Olga Krynicka, która nadzoruje pracę zespołu śledczych – ciągnął niezrażony, wskazując na siedzącą obok kobietę. – Dzięki naszej współpracy udało się rozwiązać sprawę zalegającą w archiwum blisko ćwierć wieku. Mam rację, pani komendant? – Spojrzał na Krynicką, nie czekając na potwierdzenie. – Niestety, wszystko wskazuje na to, że sprawca porwania i zabójstwa Sylwii Nowickiej, która zaginęła w studniówkowej noc dziewięćdziesiątego trzeciego roku, odebrał życie nie tylko sobie, lecz także znalezionej w jego mieszkaniu kobiecie.

Kreft podpierał ścianę sali konferencyjnej i słuchał tej fascynującej relacji. Z jednej strony brzydził się potrzebą lansu prokuratora i prymitywnymi pobudkami, które pchały go przed rząd mikrofonów, z drugiej doceniał umiejętność lukrowania swoich interesów i wciskania ich w zgrabnie opakowane dobro opinii publicznej. Smuga czuł się w towarzystwie mediów jak ryba w wodzie. Wciągał ich pod taflę i bez skrępowań zakopywał pod mułem.

– Sprawca był wówczas w kręgu zainteresowań policji, ale ze względu na niewystarczający materiał dowodowy, który udało się zgromadzić, i fakt, że nie znaleziono ciała Sylwii, nikomu nie postawiono zarzutów. Obawiam się, że samobójstwo tego nie ułatwi. Śledczy zabezpieczyli miejsce zdarzenia i w najbliższym czasie przystąpią do szczegółowego przeszukania lokalu. – Zrobił pauzę i upił łyk wody mineralnej, zwilżając usta i trzymając dziennikarzy w niepewności. – Korzystając z okazji, chciałbym zaapelować do wszystkich, którzy mogą mieć informacje na ten temat, o kontakt z policją. Wszelkie z pozoru nieistotne wskazówki mogą pomóc zamknąć tę sprawę.

– Skąd pewność, że kobieta nie żyje? – padło pytanie z pierwszego rzędu.

– Proszę wybaczyć, ale ze względu na dobro śledztwa nie będę tego

komentował – odparł enigmatycznie. Wolał uniknąć pytań, gdzie jest jej ciało.

– Kim w takim razie jest dziewczyna odnaleziona w mieszkaniu mordercy?

Kreft uśmiechnął się pod nosem. Był ciekaw, jak ten czarujący fircyk wybrnie z pułapki, którą sam na siebie zastawił. Zrobił to nad wyraz zręcznie.

– Odzew na informację rozesłaną do mediów przerósł nasze oczekiwania. Zweryfikowaliśmy to i wiemy, kim jest ofiara. Do czasu zamknięcia czynności śledczych proszę uzbroić się w cierpliwość i pozwolić nam spokojnie pracować. O szczegółach poinformujemy niebawem – powiedział dyplomatycznie.

W ostatnich godzinach zdjęcie kobiety trafiło do lokalnych gazet oraz telewizji regionalnej i zerkano na przechodniów ze słupów i tablic ogłoszeniowych w mieście. Odzew był duży, ale każdy sygnał wypadało sprawdzić, co zabierało dużo czasu i energii. Kreft czuł się skołowany. Dochodziła jedenasta, a on nie wiedział nic o potwierdzeniu tożsamości kobiety. Jak to możliwe?

Spojrzał na komórkę. Żadnych wiadomości. W co pogrywał prokurator?

– Czy poszukiwania ciała Sylwii Nowickiej będą kontynuowane? – W tle wyłapał pytanie z sali. Młoda dziennikarka wyglądała na niewyspaną. Wydawało mu się, że skądś ją zna, jednak nie umiał przypomnieć sobie skąd.

– Sprawa została umorzona lata temu – odparł Smuga, a Kreft dopowiedział w myślach, że nigdy nie została otwarta. – Podejrzewamy, że to nie było porwanie ani, jak sądzili śledczy, ucieczka za granicę, lecz właśnie zabójstwo. Pierwszym krokiem będzie prześledzenie otoczenia sprawcy i jego historii. Mam nadzieję, że zostawił wskazówki dotyczące zbrodni. To żmudna praca i uprzedzam, że będziemy prowadzić ją bez zbędnej zwłoki. Jednak nie rzucimy do pracy wszystkich sił. Nie szukamy już żywego człowieka, tylko ciała zaginionej lata temu dziewczyny. Priorytetem są dla nas żywi ludzie.

– Czy ofiar może być więcej?

– Jest za wcześnie na takie wnioski. Nic na to nie wskazuje.

Nie było więcej pytań. Skinął na zgromadzonych w sali dziennikarzy i konferencja dobiegła końca. Po wymianie kilku uwag z Olgą Krynicką wyszczerzył się do aparatów jak idiota. Kreft już tego nie widział. Zmierzał do pokoju operacyjnego wydziału kryminalnego komendy miejskiej policji. Wściekły.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

– Czy ktoś mi łaskawie wytłumaczy, o co w tym wszystkim chodzi? – Kreft wpadł jak burza do pokoju, który Uryga od pół roku dzielił z Martą Rybicką.

Nie dogadywał się z Zielińskim, stroszyli pióra, skakali sobie do gardeł, więc po interwencji Krefta ten drugi przeniósł się na koniec piętra. Tempo, w jakim ochładzały się ich relacje, groziło odmrożeniami. Woleli tego uniknąć.

– Co się stało? – Uryga ściągnął słuchawki i schował wyciągnięte nogi pod biurko. Pokój był kieszonkowy, więc nie chciał, żeby komisarz się o nie zabił.

– Wracam z konferencji prokuratury. Smuga oświadczył, że zna tożsamość kobiety znalezionej u Szulca. Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Uryga przyglądał mu się uważnie, jakby sprawdzał, czy się nie zgrywa.

– Zamierzasz coś powiedzieć czy będziesz tak na mnie patrzył jak na idiotę? – nie dawał za wygraną Kreft.

– Na bieżąco weryfikujemy zgłoszenia, które napływają do wydziału, i jedno okazało się trafne. Zielu je sprawdził. Nie wiem tylko, czemu cię o tym nie poinformował. Może nie zdążył, zasuważąc w podskokach do Smugi.

– Nie sądzę, żeby był aż tak głupi. Powiesz mi, kim była ta dziewczyna?

– Nasza N.N. to Daria Kubica. Matka twierdzi, że od kilku dni nie miała z nią kontaktu. Nic więcej nie wiem. Zielu nie jest specjalnie rozmowny.

Kreft usiadł na krześle i bawił się figurką koszykarza z kiwającą



głową. Błażej Uryga miał ich kilka w kolekcji. Tylko tej nie odpadła jeszcze głowa.

– Myślałem, że pogadałeś sobie ze Smugą od serca – droczył się z nim Uryga.

– Nie lubię robić za pacynkę w jego teatrzyku – rzekł rozdrażniony komisarz. – Prosiłem Martę, żeby wyciągnęła mi papiery z archiwum. Zostawiła ci coś?

– Mówisz o samobójcu współnika? Teczkę masz na biurku. Rozmawialiśmy o tym i raczej niewiele tam znajdziesz. Facet powiesił się w garażu, to tyle.

– Nie zastanawia cię, że Szulc zginął w identyczny sposób?

Policjant przyciszył muzykę sączącą się przez słuchawki i uśmiechnął się.

– To nie jest jakiś wymyślny sposób strzelenia samobójca. Ludzie ciągle się wieszają, więc nie wyciągałbym na tej podstawie daleko idących wniosków.

– Możliwe, ale jest w tym coś symbolicznego. Marta mówiła, kiedy wróci?

– Mnie się pytasz? Sam każesz włóczyć się jej po archiwach.

– Jeśli się pojawi albo Zieliński dowlecze tu tłuste dupsko, ślij ich od razu do mnie. A jak ci idzie ta papierkowa robota? – Teraz to Kreft miał szansę mu dopiec.

Uryga nie odpowiedział. Wyciągnął środkowy palec z za ekranu i włożył słuchawki na uszy. Siedział nad papierami i tabelkami cały dzień i gdyby nie YouTube, dawno wyrzuciłby je przez okno albo sam przez nie skoczył.



Kreft poszedł do siebie i wklepał w bazę danych nazwisko kobiety. Zero trafień, nienotowana. Więcej wycisnie z portali społecznościowych. Zdjęcie profilowe na fejsie nie zostawiało złudzeń. Wyglądała na dwadzieścia lat i zajmowała się tym, czym większość osób w jej wieku, czyli robieniem słodkich fotek i imprezowaniem.

Brak zainteresowań, książkowych rekomendacji, czegoś, co by wyróżniało ją w tłumie. W takich chwilach nie żałował, że nie ma dzieci. Tak trudno wychować je wbrew postępującemu zidioceniu.

Zieliński i Rybicka wpadli do gabinetu nieomal jednocześnie, jakby się umówili. Wyglądali na ludzi realizujących się w różnych gałęziach rozrywki. Uśmiechnięty od ucha do ucha przygruby lowelas i panna migotka.

– Rozmawiałem z matką dziewczyny. – Zieliński nie potrzebował wprowadzenia. – Nie miała z nią kontaktu od tygodnia, telefon milczy. W każdym razie to ona, sama do nas dzwoniła, gdy natknęła się na zdjęcie córki w sieci. To dziwne, bo od lat pracuje w Anglii. Ale nie to jest najciekawsze...

Kreft skwitował to ciszą. Podniósł słuchawkę, wybrał numer wewnętrzny i ściągnął Urygę, który doczłapał do jego gabinetu dwie minuty później.

– Mogę skończyć? Mam informację, która zwali was z nóg – ciągnął Zielu.

Kreft przyglądał mu się pobłaźliwie. Nie zamierzał strzepić sobie języka.

– To córka Breguły. I jakby tego było mało, puszczała się za forszę – dodał.

– Była prostytutką? I powiedziała ci o tym jej matka? – drwił z niego Uryga.

– Nie. Wyobraź sobie, że nie marnowałem czasu i znalazłem namiar na jej współlokatorkę. Obie gorliwie dawały dupy bogatym tatuśkom. Miały grono sprawdzonych klientów, więc nie nazwałbym tego modelową prostytutką.

– Poinformowałeś jej ojca? – przerwała mu Marta Rybicka.

– Niby kiedy? Dziewczyna nosiła nazwisko matki, nie utrzymuje z nim kontaktu od lat. Próbowałem się do niego dodzwonić. Telefon milczy – odparł.

– Zamiast meldować Smudze, wystarczyło tam podjechać – wtrącił Uryga.

– O czym on gada? – Zieliński go zignorował i czekał na reakcję komisarza.

– Smuga wypowiedział się z wszystkiego na konferencji – wyjaśnił Kreft. – Może zamiast włożyć mu w cztery litery, wypadało najpierw to uzgodnić?

– Nic mu nie mówiłem! Przed konferencją dzwoniłem do Krynickiej. Widać sama puściła farbę.

– Zostawmy to. Nie czas na pranie brudów. Podjadę do Breguły. Udało ci się ustalić, kiedy wyszedł Szulc? – zwrócił się do Rybickiej. Wyglądała na zmęczoną ciągłą wojną podjazdową między kolegami z kryminalnego.

– Tak. W dniu znalezienia taśmy na Sobieskiego. Dopóki Hirsz nie określi precyzyjnie daty śmierci dziewczyny, wciąż niewiele możemy powiedzieć.

– Teoretycznie Szulc mógł to zrobić. Nie miał wiele czasu, żeby wszystko dokładnie zorganizować, ale ciągle jest w grze. – Komisarz myślał na głos.

– Zorganizować nie, jednak zaplanować – jak najbardziej. Miał kilka lat w pierdłu na przemyślenia. Ktoś mógł mu pomóc lub obmyślić plan z wyprzedzeniem – przytomnie zauważył Zieliński, nawiązując do odsiadki Szulca.

– Możliwe. Sekcję zwłok zaplanowano na jutro, po niej będziemy wiedzieli więcej. Dzwoniłem do Martyny Hirsz. Upiera się, słusznie zresztą, że niska temperatura konserwuje zwłoki i trudno określić precyzyjną godzinę zgonu bez wyników zleconych badań, a te nie gwarantują niczego w stu procentach. W mieszkaniu otwarto wszystkie okna, to świadome działanie. Zwłoki przeleżały tam dwa, trzy dni, nie zdziwiłbym się, gdyby nawet do tygodnia.

Przyglądał im się. Zdawał sobie sprawę, że wciąga ich w świat przypuszczeń, niepopartych konkretami, tylko czymś tak ulotnym jak przeczucia. Nie protestowali, choć sprawa była praktycznie zamknięta, sprawca wskazany i śmiało mogli przechylić kieliszek wina bądź dwa z okazji jej finału.

Ufali mu, wiedział, ile ryzykuje, wciągając ich w bagno. Nie chodziło tylko o czas. Mogli spędzić go z rodziną albo robić to, co im sprawia przyjemność. Zapłacili dużo wyższą cenę, tracąc ich zaufanie i budowany przez lata autorytet. Bez względu na konsekwencje czuł,

że warto podjąć ryzyko.

– Wiem, że macie dużo pracy, i nie naciskam. Wystarczy słowo i wracacie do bieżących tematów. Krynicka dała mi zielone światło na grzebanie przy sprawie, do czasu, aż wyskoczy nic nieprzewidzianego. Nie twierdzę, że Szulc nie zabił dziewczyny ani że nie zrobił tego samego z Sylwią. Jest wiele wątpliwości – na przykład to, jak pozbył się śladów. To prosty człowiek, nie musiał tego robić, skoro i tak się powiesił. Usunął ślady krwi, otworzył wszystkie okna, utrudniając ustalenie czasu zgonu. Po co?

– Tego się nie da racjonalnie wytłumaczyć. Może to jakiś kompletny świr?

– Albo ruszyły go wyrzuty sumienia. – Rybicka weszła Urydze w słowo.

– Nic na to nie wskazuje. Prześledziłem jego kartotekę. Zwykle siedział za wyłudzenia, kradzieże, drobne włamania. Podejrzewano go o gwałt, ale nie dostał zarzutów. Nic mu nie udowodniono – odparł zdecydowanie.

– Sądzisz, że ktoś chce go zrobić? – drażzył Zieliński.

– Nie wiem. Sprawa może mieć związek ze śmiercią Nowickiej i zabójca daje nam to do zrozumienia. Wie, kto za nią stoi, i chce go ukarać – wtrącił i wszyscy zamilkli. Zastanawiał się, czy morderca mógł poświęcić w tym celu córkę.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Znalezienie miejsca parkingowego na Gwiazdach graniczyło o tej porze z cudem. Część placu była wygradzona szlabanami, o pozostałe miejsca toczyła się walka. Zrobiło się szaro, niebo zasnuły stalowe chmury i w każdej chwili mógł sygnąć śnieg. Po dwóch rundach wokół osiedla Uryga wcisnął się między wysłużone auta na myśłowickich blachach. Stały tu od dawna. Przednie szyby miały zawalone przymarzniętym śniegiem, a pod wycieraczkami zebrała się bogata kolekcja wizytówek handlarzy szrotem.

Wjechał windą na szesnaste piętro i stanął przed drzwiami, które otwierały się na zewnątrz. Pewnie po to, by rozwalić komuś łeb, gdyby zaszła taka potrzeba. Z mieszkania obok wyszła staruszka prowadząca na długiej smyczy psa wielkości chomika i obrzuciła go lekceważącym wzrokiem, jakby go nieopatrzenie nadepnął lub sam narobił na wycieraczkę. Zapach jej przesłodzonych perfum aż szczypał w oczy.

Nie widział, kiedy otwarły się drzwi. Zwrócił uwagę na obcisłe bawełniane szorty, wystające spod sięgającej dziewczynie za pępek koszulki, później na całą resztę. Miała więcej atutów i chętnie poprzyglądałby się jej dłużej.

Wiedział, że czas podnieść wzrok i spojrzeć jej w oczy, a mimo to gapił się na długie, wysportowane nogi, z trudem zbierając szczękę z posadzki.

– Jak się napatrzysz, to daj znać – rzuciła, odwracając się na pięcie.

– Przepraszam, zamyśliłem się – skłamał i wszedł za nią do mieszkania.

Salon wydawał się całkiem przestronny, był urządzony w skandynawskim stylu: z wszechobecną bielą i szarościami,

wylewającymi się ze ścian i mebli. Stojąca w rogu lampa rzucała przytłumione światło. Siedli na sofie pod ścianą z białych cegieł i oprawionymi w ramki zdjęciami z Marilyn Monroe.

– Długo to potrwa? Jestem trochę zajęta. – Zerknęła wymownie na zegarek.

– To zależy od ciebie. Nie chcę cię ciągnąć za język. I przepraszam, że od razu przechodzę na ty, przez telefon nie było okazji. – Wstał i podał jej dłoń. – Błazej.

– Magda. Miejmy to za sobą.

Wiedział, że powinien zachować zawodowy dystans. Zlekceważył to.

Usiadła bokiem, podwijając jedną nogę pod drugą. Miała fantastyczne ciało, może odrobinę zbyt umięśnione uda, widać, że dużo czasu spędzała na siłowni, ale nadrabiała jędrnością pośladków i sprężystością skóry. Zaskoczyła go jej młoda, naturalna twarz, bez ingerencji skalpela, silikonowych wypełniaczy i okropnych, wytatuowanych brwi.

– Mówiłem o tym przez telefon, ale przypomnę. Jeśli nie masz ochoty odpowiadać na jakieś pytanie, po prostu mi powiedz, okej? – Upewnił się, że ma ją po swojej stronie i zaczął: – Jaką osobą była Daria? Jak ją wspominasz?

– Głupio mi mówić o niej w czasie przeszłym. To była zwariowana, fajna kumpela. Była. Sam słyszysz, jak to brzmi... – przerwała na chwilę. – Nie wiem, co ci powiedzieć, pewnie wszyscy tak trują po stracie bliskiej osoby.

– Długo się znałyście?

– Dwa lata. Pracowałyśmy razem w pubie. Od pół roku mieszkamy razem.

– Miała kogoś na stałe, spotykała się z kimś?

– Tak. Z jednym gościem. Niedługo, od miesiąca. To świeża sprawa, musisz go spytać. – Podobała mu się jej bezpośredniość, więc nie naciskał.

– Masz jakiś zamiar na tego faceta? Adres, numer telefonu, cokolwiek?

Sięgnęła po leżącą na przeszklonym stoliku komórkę, odblokowała ją i zaczęła szukać numeru w książce adresowej. Wreszcie zapisała

ciąg cyfr na kartce papieru i wręczyła mu ją.

– Patryk Jarosz, jest instruktorem personalnym na siłowni w Sosnowcu, nie pamiętam nazwy. Zaczekaj. Jeśli się nie dodzwonisz, możesz tam podjechać.

Wczytała mu stronę klubu fitness na komórce. Stary Sosnowiec.

– To tam. Pamiętam, kilka razy ją stamtąd odbierałam – dodała.

Bił się z myślami, jak zmienić temat i przejść do tego, czym się zajmowały.

– Wiem, że Daria spotykała się też z innymi mężczyznami... – Nie zdążył dokończyć, gdy weszła mu w słowo.

– Obie robiłyśmy to za pieniądze. To chciałeś powiedzieć?

Zaskoczyła go. Milczał, szukając bezpiecznej wymówki.

– Nie będę ci się tłumaczyć, nie sypiamy, z kim popadnie, za marne grosze. Daria ma... znaczy miała – poprawiła się – sprawdzonych klientów, tylko z polecenia. Obie strony dbają o dyskrecję. Oni mają więcej do stracenia.

– Znasz tych mężczyzn? Czy któryś z nich mógł zrobić jej krzywdę?

– Nie wymieniamy się klientami, to tak nie działa. Nie słyszałam od Darii, żeby się na kogoś skarżyła. To mężczyźni na poziomie, prezesi znanych firm, politycy, a nie jacyś kretyni po dopalaczach – podkreśliła.

– Jest szansa jakoś do nich dotrzeć?

– Żartujesz? Nie grzebałam w jej rzeczach, jeżeli to ci chodzi po głowie – ucięła. Zrobiła to. Na prośbę człowieka, który zaczepił ją w centrum handlowym. Wydawał się przerażony, zapłacił ile trzeba, no i nie był z policji. Psom lepiej nie ufać. – Zresztą po co ci to, przecież znaleźliście sprawcę?

Też tak uważał, lecz wolał nie wtajemniczać jej w wydumane teorie Krefta.

– Chcemy poznać powód, okoliczności jej śmierci, choćby dla jej rodziców.

Zaśmiała się ironicznie i pokiwała z niedowierzaniem głową.

– Proszę cię. Jej rodzice są po rozwodzie. Matka pracuje w Anglii, w domu opieki społecznej podciera tyłki jakimś lordom, a z ojcem Daria nie utrzymywała kontaktów od dawna. Czasem do niej dzwonił.

Szybko zrywała połączenie.

– I co z tego? Myślisz, że jak komuś się nie powiodło w małżeństwie, to nie interesuje się dzieckiem? – Starał się mówić tak, by nie zabrzmiało to autobiograficznie. Wolał zmienić temat. – Kiedy urwał się z nią kontakt?

– Nie wróciła na noc w piątek, choć to się wcześniej zdarzało. Wyjeżdżała na weekendy, dlatego martwić zaczęłam się dopiero w niedzielę, bo nie udało mi się do niej dodzwonić. Telefon był wyłączony. Mógł się rozładować, ale to do niej niepodobne – objaśniała cierpliwie. – Zawsze nosiła go przy sobie.

Wciąż nie znali precyzyjnej daty jej śmierci. Czuł, że nie obejdzie się bez prześledzenia historii połączeń. Wcześniej musiał uzyskać jednak zgodę.

– Miała jakieś problemy? Nie wiem, może finansowe? Albo jakichś wrogów?

– Bo ja wiem, chyba nie. – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Ktoś wam groził? Chciał, byście dla niego pracowały?

– Nie. Mieszkamy tu krótko, nie robiłyśmy wokół siebie szumu. Wiadomo, gdy dwie atrakcyjne laski mieszkają pod jednym dachem i nie pracują od ósmej do szesnastej, sąsiedzi zaczynają coś podejrzewać. Alfonsi nas nie wyczaili. W razie kłopotów zamierzałyśmy się stąd wynieść – tłumaczyła cierpliwie.

Nie wspomniała o karkach w roli aniołów stróżów. Nie chciała, by przy tym węszył. Nie zwróci Darii życia, a w jej zdoła nieźle nabruździć. Umilkła więc.

– Sądzisz, że mogła znać tego mężczyznę? – Podsunął jej zdjęcie Szulca.

Wzruszyła ramionami. Na tyle zdecydowanie, że rozmowa dobiegła końca.



Na zewnątrz zrobiło się szaro i zimno. Nie zwracał na to uwagi. Siedział na chodniku i bawił się komórką. Od czasu do czasu



spoglądał w jedną lub w drugą stronę. Gasnące promienie słońca usiłowały przebić się zza chmur, sprawiając, że mrużył oczy i wyciągał twarz ku niebu, niewiele robiąc sobie z zimna bijącego od ziemi. Ułożył w głowie kilka zgrabnych zdań, by się nie pogrążyć, lecz cały plan wziął w łeb, gdy Ola wysiadła z samochodu.

– Czekam na tym pieprzonym mrozie od godziny. Myślisz, że nie mam nic ciekawszego do roboty?! – rzucił na powitanie Błażej, po czym wstał wściekły. Emocje wzięły górę.

Milczała. Otworzyła tylne drzwi i wypięła dziecko z fotelika. Przełożyła małą do wolnej ręki, uniosła bagażnik. Stali bez słowa i mierzyli się wzrokiem.

– Możesz wyjąć ten cholerny wózek? Nie mam trzeciej ręki – upomniała go. Zauważył, że zaczęła się inaczej czesać i trochę schudła. Była atrakcyjną kobietą.

A może wcześniej za rzadko zwracał na nią uwagę? Wiedział, że ją tracił.

Zrobił to, co chciała. Wyprowadził się z domu kilka tygodni temu i nie zdążył zmienić przyzwyczajzeń. Wjeżdżał do garażu i składał wózek w środku. Teraz musiał to zrobić na chodniku przed domem, w którym nie mieszkał.

– Masz godzinę. – Włożyła małą do wózka spacerowego, okryła ją kocem i sprawdziła, czy w torbie znajdują się wszystkie potrzebne rzeczy: futerał z termosem, pieluchy, ulubione zabawki i chusteczki higieniczne. Cały kram.

– Zastanowiłaś się, kiedy znajdziesz czas porozmawiać? – zapytał Uryga.

– Porozmawiać o czym?

– Wiesz o czym. O nas. – Nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi.

– Jak dla mnie temat jest zamknięty. Nie mamy o czym mówić.

Poprawiła małej czapkę i naciągnęła ją na uszy. Otworzyła bramę garażu.

– Czy to zawsze będzie wyglądało w taki sposób? – rzucił za jej plecami. – Chociaż raz możesz mnie wysłuchać czy będziesz ciągle strzelać fochy?

– Ja strzelam fochy? Zastanów się, co ty w ogóle gadasz. Gdybyś

myślał głową, a nie fiutem, wciąż bylibyśmy razem. To twój wybór, czas ponieść konsekwencje. – Wsiadła do samochodu i trzasnęła z furją drzwiami.

Zaczekał, aż przeparkuje samochód. Milena niewiele robiła sobie z kłótni rodziców. Gaworzyła radośnie, wrywała się z rąk i śmiała do niego, jakby cała scena sprawiła jej dużo radości. Miała półtora roku i kiepsko sobie radziła, spacerując po nieodśnieżonej ulicy, ale nie zamierzała rezygnować.

– Wsadź ją z powrotem do wózka.

– Czy ona musi ciągle w nim siedzieć? Jest duża, może trochę pochodzić.

– Jak odśnieżysz chodniki, to pogadamy. Chcesz, żeby coś sobie złamała?

Olka była nadopiekuńcza i przesadzała jak każda matka, a on nie chciał otwierać nowych frontów sporu. Okopali się na swoich pozycjach, bez szans na zawieszenie broni.

– Wiesz, że mogę w każdej chwili z nią skończyć. Nie ułatwiasz mi tego.

Zaśmiała się. Więcej w tym było bezradności i żalu niż powodów do śmiechu.

– Jesteś żałosny. Posłuchaj, co ty w ogóle pieprzysz?

Stanąła przed drzwiami i spojrzała na niego wzrokiem, który mówił więcej niż milion słów. Oddalili się od siebie. Zwykle człowiek nie potrafi wyłapać tej jednej chwili, jednego pstryknięcia palcami, bo płomień nie gaśnie pod wpływem przypadkowego podmuchu. Spala się wolno i nieodwracalnie.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft zatrzymał się na niewielkim parkingu obok przychodni i targu na Zagórze. Pamiętał czasy, wbrew pozorom nie tak odległe, gdy obok kiosku ruchu ustawiał się sznur taksówek. Dziś była jedna, należąca do Breguły. Właściciel siedział z wyciągniętymi na zewnątrz nogami i palił papierosa. Puszczął w niebo kółka tytoniowego dymu przez opuszczoną szybę.

– Widzę, że nie daje pan za wygraną, komisarzu – zwrócił się do policjanta, przyglądając się kątem oka, jak Kreft idzie w jego kierunku. „Ma podzielność uwagi, to pożyteczna cecha w tym wymierającym fachu”, pomyślał Kreft.

– Staram się, choć jestem tu z innego powodu – odparł, ściskając mu dłoń.

Breguła zdusił niedopałek butem, odwzajemnił uścisk i ściszył nieco radio.

– No, to zamieniam się w słuch.

– Mam złe wieści. Uznałem, że ktoś powinien je panu przekazać osobiście. – Wiedział, że to zły czas na stopniowanie napięcia, to nie pomaga. Czekał, aż mężczyzna skinie głową, i przeszedł do rzeczy. – Pana córka nie żyje. Przykro mi.

Breguła zareagował z opóźnieniem, jakby wiadomość utknęła gdzieś w pół drogi do świadomości i nie potrafiła się do niej przebić. Ludzie w takich sytuacjach zachowują się różnie: jedni reagują spokojnie, długo nie dociera do nich to, co się stało, inni wpadają w histerię. Smutek, ból i świadomość straty przychodzą później, osaczają ofiarę i zaciskają wokół niej ostre szpony.

– Jak to się stało? – zapytał łamiącym się głosem, wciąż trochę nieobecny.

– Prawdopodobnie została zamordowana. – Zataił przed nim informację, że podejrzanym jest zabójca Sylwii Nowickiej. Nie chciał, by Breguła się niesłusznie obwiniał, tym bardziej że historia, która zniszczyła mu życie, właśnie zatoczyła koło. – Proszę ze mną pojechać i pomóc potwierdzić jej tożsamość.

Breguła milczał i gapił się w ziemię pod stopami. Z radia dobiegały skoczne kawałki, w ogóle nie pasujące do sytuacji; wokół kręcili się ludzie. Świat nie zwolnił nawet na sekundę, wciąż gnał na złamanie karku.

– Czy... ten człowiek... – nie zdążył dokończyć. Kreft uprzedził jego pytanie.

– Nie żyje – odparł, nie dzieląc się z nim szczegółami. To nie ukoji bólu.

Obaj długo się nie odzywali. Wreszcie Breguła zaczął mówić, jakby odpuścił ukryty mechanizm, który powstrzymywał go przed wpływem emocji.

– To zabrzmiało idiotycznie, tak naprawdę straciłem ją lata temu. Byłem fatalnym ojcem. Kiedy rozstałem się z żoną, nasze kontakty się urwały, od kilku lat w zasadzie się nie widzieliśmy, no może przelotnie. Nie chcę się tłumaczyć, to moja wina. Przez alkohol i kłótnie rozpadło się nasze małżeństwo. Wszystko potoczyło się jak lawina, na samo dno. – Kreft przyglądał mu się uważnie. Nic nie mówił. – Córka była dla mnie całym światem, pamiętam nasze zabawy, wyjazdy w góry we dwoje. Żona mnie skreśliła, ułożyła sobie życie na nowo. Nie dziwię się jej. – Zaszklily mu się oczy. – Zamiast się wspinać, siedzieliśmy w kawiarni i obżeraliśmy się goframi i lodami, nie mieliśmy siły ani ochoty iść pod górę. – Breguła śmiał się przez łzy. – Piękne chwile. Było, minęło. Żona odcięła mnie od dziecka, a teraz to... Zamordowana...

– Naprawdę współczuję. Zależy mi na tym, by pomógł pan w identyfikacji. Pana żona wie o śmierci córki. Zdąży przylecieć najwcześniej za dwa, trzy dni, na stałe przebywa w Anglii. Nie ukrywam, że zależy nam na czasie.

– Wiem. Oczywiście pomogę. – Wyłączył radio, sięgnął po kurtkę leżącą na tylnej kanapie i wstał, gotów na przejazd. Kreft

zapropował, że pojedą jego wozem. Breguła na to przystał. Był zbyt rozkojarzony, by prowadzić. Nim wsiedli do auta, zapytał:

– Myśli pan, że poradzę sobie z tym, no...

– Tak. Jestem pewien, że to nie trwało długo. Nie zdążyła poczuć bólu.

W trakcie drogi do prosektorium nie zamienili słowa. Przy zwłokach nie znaleziono żadnych dokumentów, niczego, co mogłoby zdradzić ich tożsamość. Śledczym udało się ustalić dane personalne na podstawie informacji od znajomych Darii, jednak rozpoznanie przez bliskich z rodziny było niezbędne.

Breguła potwierdził, że kobieta znaleziona w mieszkaniu Szulca jest jego córką. Stał przed jej ciałem i zaczął gładzić ją po dłoni, jakby próbował przegonić złe duchy, przyczajone za plecami albo schowane pod łóżkiem.

Tak jak w dzieciństwie, gdy nie mogła zasnąć.

Kreft dał mu się z nią pożegnać, sam zamienił kilka zdań z Martyną Hirsz.

– Możesz mi powiedzieć, kiedy to się stało? – dociekał, siadając na drewnianej ławce w korytarzu przed salą sekcyjną. – Interesują mnie konkrety.

– Wymagasz ode mnie zbyt wiele. Mogę wskazać ci widełki, i to szerokie. Kiedyś przyjmowało się, że z każdą godziną temperatura zwłok obniża się o około jeden stopień. Obecnie wiemy, że ma na to wpływ wiele czynników. Nie mówię wyłącznie o temperaturze otoczenia, ale o budowie ciała, sposobie ułożenia zwłok. Nie chcę zanudzać cię szczegółami, w każdym razie kobieta zginęła kilka dni wcześniej, niż ją znaleźliśmy. Nawet do tygodnia.

– Co przez to rozumiesz? Powiedz mi, czy mogła zginąć przed tym, zanim znaleźliśmy taśmę na Sobieskiego? To ważne – naciskał.

Zamyśliła się przez moment, jakby rachowała w myślach.

– Przypomnij mi, kiedy to było? W poprzedni weekend?

– Zgadza się. W niedzielę.

– Zbadałam ciało dokładnie, wciąż nie mam kompletu badań. Wszystkie charakterystyczne etapy stężenia pośmiertnego, rozkładu zwłok, zostały zahamowane przez niską temperaturę. Trudno mi

precyzyjnie określić, czy zginęła cztery, czy pięć dni temu. Plamy opadowe są utrwalone, co w takich warunkach zajmuje kilkadziesiąt godzin. Nie mówimy o świeżej sprawie. Znasz mnie, wiesz, że muszę mieć stuprocentową pewność – dodała.

– Ciągłe nie odpowiedziałaś na moje pytanie – nie dawał za wygraną komisarz.

– Jest cień szansy, że została zamordowana przed wyjściem Szulca z zakładu karnego, do tego pewnie pijesz? Na razie nie mogę tego wykluczyć. Na pewno została uduszona. Rany cięte obu nadgarstków zostały zadane po śmierci, brakuje jednak śladów biologicznych identyfikujących sprawcę. Wszystko wskazuje na to, że zwłoki zostały przetransportowane.

– A co z Szulcem?

– Tu sprawa jest prosta. Powiesił się najwyżej dobę przed tym, jak go znalazłeś. Obstawiałabym kilkanaście godzin. Ciało nie wychłodziło się tak drastycznie. Nic nie wskazuje w tym wypadku na udział osób trzecich.

– Nie wydaje ci się to dziwne, że facet kilka dni przebywa ze zwłokami, przewozi je z miejsca na miejsce, wreszcie sam popełnia samobójstwo?

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Naprawdę sądzisz, że coś jeszcze jest w stanie mnie zaskoczyć?

Szach-mat. Zachowania sprawców makabrycznych zbrodni wymykają się racjonalnym przesłankom. Jego zadaniem było szukanie luk w konstrukcjach, które misternie tworzyli; dotarcie do ich świadomości, odnajdywanie krętych ścieżek, które prowadzą ich ku zbrodni i realizacji chorych pragnień.

Spoglądał przez uchylone drzwi na sylwetkę zgarbionego mężczyzny.

Breguła patrzył na córkę nieobecny wzrokiem, nie docierało do niego, że to ich pożegnanie. Człowiek jest gotów znieść niewyobrażalne cierpienia, jeśli tli się najmniejsze nawet światełko nadziei. Przed Bregułą rozciągał się nieprzenikniony mrok.

Kreft pożegnał się z panią patolog i poczekał kilkadziesiąt minut, nim mężczyzna stanął przed nim i prosił o odwiezienie do domu. Spełnił tę prośbę.

## Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku

Tej nocy Bursa nie zmrużył oka. Myślami wciąż był w tym przeklętym garażu. Odtwarzał w pamięci poszczególne sceny, klatka po klatce, usiłując zrozumieć, gdzie popełnił błąd. Nie powinien ufać Szulcowi i pozwolić mu wkroczyć w swoje poukładane życie. Nigdy nie wybaczy sobie tego błędu.

Rozebrał się i położył do łóżka tylko po to, by żona nie nabrała podejrzeń. Przewracał się z boku na bok, szukając lepszej pozycji, i wlepił oczy w łuszczący się płat tynku coraz śmieiej odchodzący od sufitu. Gdy mu się znudziło, przeniósł wzrok na zakurzone szyby okien. Dziwne, że wcześniej ich nie zauważał. Dzień wciąż nie chciał nadejść, chowając się za pierzyną chmur.

Jasno zrobiło się dopiero przed ósmą. Słyszał, jak Marek wysypuje klocki w swoim pokoju i bawi się nimi, szepcząc coś do siebie pod nosem. Był grzecznym dzieckiem, nieco zamkniętym w sobie. Znajomi się dziwili i wyrażali szczerzy podziw, że chłopiec potrafi się sobą zająć i nie zmusza ich do biegania na każde zawołanie, dzięki czemu mogli się wyspać lub spędzić czas ze znajomymi.

Było w nim jednak coś niepokojącego. Rodzicom najłatwiej to dostrzec i najtrudniej zaakceptować. Wyłączał się, nie reagował na dochodzące z zewnątrz bodźce i zamykał w sobie, często spędzając w tym odrętwieniu nawet kilka minut. Sprawiał wtedy wrażenie, że funkcjonuje w dwóch światach.

Tego ranka zachowywał się normalnie. Bursa nie chciał czekać, aż Ilona się obudzi. Był kiepskim kłamcą i wiedział, że prędzej czy później żona domyśli się, że coś jest nie tak. Nauczyła się czytać w nim jak z nut.

Ubrał się po cichu, zjadł w biegu kanapkę z szynką i wszedł do

pokoju syna. Na dywanie piętrzyła się już wielopoziomowa konstrukcja z klocków.

– Cześć, Maruś, bawisz się? – spytał bez sensu, wyłącznie po to, by zająć czymś myśli.

Chłopiec milczał. Zwykle irytowało go, że musiał powtarzać coś kilka razy, nim syn w ogóle zareagował. Martwili się, czy wszystko z nim w porządku. Seria wizyt u specjalistów upewniła ich, że Marek rozwija się prawidłowo. Był bystrym dzieckiem, mimo to najlepiej czuł się w swoim własnym świecie.

Bursa podszedł i uklęknął obok syna, przyglądając się, jak ten cierpliwie i precyzyjnie dokłada do budowli kolejne klocki. Miał w sobie niesamowity spokój. Bursa żałował, że to nie po nim odziedziczył tę cechę. On był kłębkim nerwów.

Pogłaskał syna po czuprynie ciemnych włosów, włożył ciepłą kurtkę i wyszedł z mieszkania. Starał się normalnie pracować, na ile to było możliwe.

Całą drogę zadreęczał się wątpliwościami. Wmawiał sobie, że im dłużej będzie zwlekał z dotarciem na miejsce, tym większa szansa, że sprawa rozwiąże się sama. Zapominał, że liczenie na cud w jego przypadku nigdy się nie sprawdziło. Ostatnie zdanie należało do Szulca i wolał, by tak zostało.

To on wpakował ich w kłopoty. Niech znajdzie sposób, jak z nich wybrnąć.

Nie zamierzał mu niczego ułatwiać. Zjadł śniadanie w przydrożnym barze, zapychając się smażoną kiełbasą z cebulą i bułką. Odlął się i ruszył dalej.

Zaparkował przed kościołem na Juliuszu, zbudowanym w latach osiemdziesiątych i poświęconym ledwie kilka lat temu. O jedenastej był umówiony z proboszczem Marianem Bartnickim w sprawie zbliżającej się komunii.

Wiedział, że jeśli chce zaistnieć w branży, musi dobrze żyć z księżmi, zdobywać kolejne przyczółki i okopywać się w nich po szyję. Nic za darmo.

Bartnickiego znał od lat, jeszcze z czasów, gdy był ministrantem, i po wielu próbach udało się wyprosić szansę. Nie chciał go teraz



zawieść.

Wysiadł z auta i ruszył w stronę budynku parafii. Kątem oka zobaczył zgarbioną postać proboszcza, tuż przed schodami prowadzącymi do kościoła.

Ksiądz skinął, aby do niego podszedł. Wyglądał na zmęczonego.

– Szczęść Boże!

– Szczęść Boże. Przepraszam cię, Janusz, prawie zapomniałem o naszym spotkaniu – usprawiedliwił się proboszcz i czekał, aż Bursa podejdzie bliżej. – Ostatnio jestem taki roztrzepany, całkiem wypadło mi to z głowy – tłumaczył się.

Bartnicki był potężnym mężczyzną, z wyraźnym zakolem pośrodku czaszki i drewnianą laseczką w dłoni. Nie rozstawał się z nią nawet w czasie odprawiania mszy. Tłumaczył, że to przez ból w stawie biodrowym, chociaż pół parafii miało na ten temat inne zdanie. Bursa gotów był się założyć, że to nadwaga jest przyczyną jego nasilających się kłopotów z poruszaniem.

– Nic się nie stało. Chciałem się upewnić, że nasza umowa jest aktualna. Nawet się nie obejrzymy, a będzie już maj – przekonywał nie bez racji Bursa.

– Moja pamięć szwankuje, to fakt, ale zawsze dotrzymuję danego słowa – odparł ksiądz z wyrzutem, urażony, że Bursa mógł pomyśleć inaczej. – Spotkałem się z rodzicami dzieci przystępujących do komunii i wyrazili chęć zakupu filmu. Nie dam ci gwarancji, że wszyscy to zrobią, ale nie będziesz stratny, zaufaj mi. Zresztą sam opowiesz im o szczegółach. Zgoda?

– Oczywiście, wszystko im wytłumaczę. Z księdzem też chciałbym umówić się na konkretną kwotę...

Marian Bartnicki już go nie słuchał. Zmierzał niespiesznie w stronę kapliczki ustawionej przy ogrodzeniu, w alejce niedaleko schodów prowadzących do wnętrza kościoła. Skinął dłonią, by Janusz dotrzymał mu kroku.

– Nie ma pośpiechu o tym mówić. Chodź, chcę ci coś pokazać. – Wskazał ręką na fragment muru pod schodami, na którym ostatniej nocy pojawił się niezrozumiały napis, wykonany czarną farbą w sprayu.

– Niech no dorwę tych smarkaczy, wybije im z głowy głupie pomysły. Ludzie wyliczają mi pieniądze z ofiary, a nikt nie zastanawia się nad tym, że wszystko kosztuje. Muszę kupić farby, zapłacić za skucie i odmalowanie tego ustrojstwa. I tak jest ze wszystkim: przeciekający dach, urwana rynna, prace w ogrodzie, a manna z nieba nie spada – żalił się. – Wiesz w ogóle, co tu jest napisane? – Wskazał na rozmyte bazygroły pod schodami.

Bursa wzruszył ramionami. Nic mu nie przychodziło do głowy.

– Czemu ja się tym wszystkim przejmuję? – Ksiądz machnął z rezygnacją ręką i zmienił temat. – Widzimy się w kwietniu. Myślę, że przed świętami. To odpowiedni termin. Później nikt nie będzie miał głowy do takich rzeczy.

– Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co. Zależy mi na tym, żeby mieć sprawdzonego kamerzystę. Zjeżdżali tu różni ludzie, z polecenia, a zwykle z przypadku. Żaden się nie sprawdził. Zbierali pieniądze, a ludzie z pretensjami przychodzili do mnie. Nie chcę świecić oczami. Jak będziemy mieli dopięte kwestie formalne, wpadniesz kiedyś po mszy i wytłumaczę ci, co i jak w kościele. Pasuje ci?

– Pasuje. – Stali bez słowa, wreszcie Bursa się pożegnał i ruszył w stronę stojącego przed bramą samochodu. Odpalił silnik i wyjechał z osiedla. W lusterku mignęła mu postać proboszcza Bartnickiego. Oszacowywał przez chwilę rozmiary zniszczeń, a potem pokuśtykał w stronę zakrystii, przeklinając pod nosem.

Bursa spojrzął na zegarek. Dochodziło południe. Wsiadł do auta i włączył ciepły nawiew, chuchając w zziębnięte dłonie. Słońce, które chwilę temu skakało po dachu kościoła, schowało się już za chmurami, co spotęgowało uczucie chłodu. Bał się tego, co zastanie na miejscu, i odsuwał konfrontację w czasie.

Szulc był nieprzewidywalny. Bursa czuł, że stało się coś złego. Z drugiej strony, sam nie wiedział, co zrobiłby na jego miejscu. Kręcił się bez celu po okolicy, gubiąc minuty i odwlekając nieuniknione. Wreszcie wyjechał z osiedla. Za pętlą tramwajową w Kazimierzu Górniczym skręcił w lewo i wyjechał obok cmentarza. Dom stał kilkaset metrów dalej, tuż przed krawędzią lasu, oddalony od

sąsiednich zabudowań. Zadbął o to.

To, co miało stanowić jego atut, okazało się przekleństwem. Z daleka widział otwartą bramę garażu. W pierwszej chwili chciał się wycofać. Uciec.

„Nie bądź cholernym tchórzem”, upomniał się. Za późno na zmianę planów.

Przejechał wzdłuż zmarzniętej, żwirowej alejki i stanął przed domem. Podszedł do ogrodzenia i nasłuchiwał. Z posesji nie dochodził żaden hałas.

Bramka była otwarta. Nie musiał sięgać po klucz, by dostać się do środka.

Szedł ostrożnie w stronę garażu i czuł, że serce uderza coraz mocniej. Strach i niepewność osaczały go, nogi zrobiły się miękkie niczym z waty. „Oddychaj”, powtarzał do znudzenia tę bezsensowną mantrę. „Oddychaj”.

W garażu nie zastał ani Szulca, ani dziewczyny. Pod ścianą zobaczył skotłowany koc, na którym leżała, gdy wyjeżdżał. Zaschło mu w gardle i z trudem przełknął ślinę. Czuł, że razem z nią do żołądka spływają wszystkie grzechy i błędy, które zdążył popełnić w życiu. Trochę się tego uzbierało.

Wewnątrz coś się zmieniło, teraz to zauważył. Na środku stało drewniane krzesło, a kilka metrów dalej, pod schodami prowadzącymi na parter domu, ustawiono statyw z kamerą. Magnetowid i odtwarzacz pod biurkiem były włączone.

Nie przypominał sobie, by zostawił sprzęt na chodzie. Nigdy tego nie robił.

Wystraszył się i pobiegł na górę. Musiał się upewnić, że nie ma ich w domu, sprawdzić, czy Szulc znów czegoś nie wymyślił. Biegał od pokoju do pokoju, szukał śladów ich obecności, ale niczego nie znalazł. Nawoływał.

Nikt nie odpowiadał. Wiatr wpadał do środka przez oklejone folią otwory w oknach i jęczał upiornie, goniąc się w berka między wyziębionymi murami.

Temperatura nie przekroczyła zera stopni, mimo to Bursa czuł, że pot spływa mu po plecach. „Gdzie on się podział, do jasnej cholery?”

zaklął w myślach i wrócił do garażu. Ręce drżały mu jak w alkoholowym transie, zęby uderzały o siebie z nieludzką siłą. Co się tu w ogóle stało? Nie zniknęli przecież?

Zapalił światło. Podeszedł do stojącej na statywie kamery i przyjrzał się jej.

Akumulator był wyczerpany. Wewnątrz znajdowała się taśma. Nie przypominał sobie, by ją tam zostawił. Dbał o sprzęt; po skończonej robocie odkładał wszystko na miejsce. Wyciągnął taśmę, włożył ją do adaptera i wsunął do odtwarzacza pod biurkiem. Włączył telewizor, na którym montował filmy. Obraz śnieżył, dopiero po chwili Bursa zauważył sylwetkę ubranego w kombinezon mężczyzny, który stoi i przygląda się związanej na krześle dziewczynie. Przełknął ślinę i czuł, że żołądek wywraca mu się na drugą stronę.

Wciąż się łudził, że wszystko skończy się dobrze, a nagranie jest wytworem jego popapranego umysłu. Wtedy Szulc podeszedł bliżej i podciął jej gardło.

Janusz Bursa opadł na kolana i zaczął płakać. Zwymiotował.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Nie cieszył się z wolnej niedzieli. Uroki odpoczynku doceniał zwykle po fakcie, z perspektywy wygodnej sofy w jakiś szpetny, styczniowy poranek. Wcześniej po prostu się męczył, nie wiedział, co zrobić z nadmiarem wolnego czasu. Weekend działał na niego jak wkręcony w szprychy badył.

W grudniu pogoda nie stanowiła wymówki. Mimo to Kreft starał się znaleźć pozytywy.

Zwłókł się z łóżka później niż zwykle i pierwszy raz od tygodnia wziął prysznic trwający dłużej niż trzy minuty. Zrobił sobie naleśniki z serem i przypiekł je na rumiano na kawałku masła. Do tego nowe wydanie Grzesiuka i sączące się z głośników kawałki. Manson zapewniał, że coś zimnego i pustego czai się za jej uśmiechem.

Kreft żałował, że zje śniadanie sam. Odkąd umawiał się z Igą, zaczęło mu brakować wspólnych poranków, na co nie zwracał uwagi przez lata życia w samotności. Tego dnia wyszła wcześniej, tłumacząc się ważnym spotkaniem, i nie miał żadnego sensownego powodu, żeby jej nie wierzyć.

Związek komisarza wydziału kryminalnego i tłumaczki zdawał się skazany na porażkę. Ich rozkłady rozjeżdżały się o każdej porze dnia i nocy.

Sięgnął po czystą kartkę i zaczął kreślić coś z nudów, jednak nic ciekawego nie przychodziło mu do głowy. Dialogi się nie kleiły, akcja nie posuwała do przodu, w kierunku, który by go satysfakcjonował. Nie nastawiał się na wydanie komiksu; rysował go, by odreagować, zapomnieć. Trzymał w szufladach segregatory pełne luźnych kadrów, rzadko wychodził poza surowy szkic lub tusz. Zgniółł niemal czystą kartkę i trafił kulką papieru do kosza.

Rysowanie go odprężało. Tworzył wirtualny świat i zapominał o realnych problemach. Wyłączał się, czyścił głowę i pozwalał się prowadzić historii. Miał sporą kolekcję komiksów, od tych wychodzących hurtowo w latach osiemdziesiątych przez serie z kultowymi bohaterami Marvela czy DC Comics po kultowego Sandmana i Kaznodzieję. I coraz mniej czasu, by poznawać nowe tytuły, nad czym ubolewał.

Włączył laptop i zaczął przeglądać sieć. Znalazł kilka wzmianek na temat Szulca i znalezionej u niego dziewczyny. Obiecał sobie, że zachowa dystans i nie wróci do tematu. Szybko dał za wygraną.

Dręczyły go wątpliwości. Doświadczenie nauczyło go, że lepiej poczekać na potwierdzenie przypuszczeń. W radiu Mansona zastąpił Chris Cornell, nucąc o tym, że nie warto uczyć się tego, o czym i tak trzeba zapomnieć.

Podpisywał się pod tym obiema rękami.

Wyjrzał przez okno. Przed dom podjechał jakiś samochód, pół minuty później usłyszał dzwonek do drzwi. Wytarł kąciuki ust, strzepnął z koszulki okruszki białego sera i pomaszzerował spokojnie w stronę drzwi na końcu korytarza.

Stojącego na ganku mężczyznę widział pierwszy raz w życiu. Wyglądał na trochę młodszego, był wyższy i szczuplejszy. Na korzyść komisarza przemawiało w zasadzie tylko rozpisane między zmarszczkami doświadczenie.

Stali i mierzyli się wzrokiem niczym bokserzy przed pojedynkiem na pięści.

– Coś się stało, mogę panu jakoś pomóc? – Kreft postanowił zakończyć ten kuriozalny spektakl.

– Może pan. Zostawiając w spokoju mojego syna i żonę.

– Byłą żonę – powiedział komisarz, obserwując go kątem oka.

Nie rozmawiał z Igą na temat jej małżeństwa, a nawet jeśli, to rozmowa nie była wnikliwa, przelotnie zahaczyli o temat. Wiedział tylko, że ojciec Antka jest szefem firmy z branży IT. Mówiąc szczerze, miał go gdzieś. Skoro Iga uznała, że nie warto o nim rozmawiać, musiała mieć ku temu dobry powód.

Mężczyzna wykonał krok do tyłu, jakby zamierzał się wycofać,

a następnie zrobił dwa do przodu, stając niemal twarzą w twarz z gospodarzem.

– Śmiesz to pana?

– Nie. Skoro tyle nas łączy, przestańmy zwracać się do siebie tak oficjalnie.

– Pierdol się! To, że rozstaliśmy się z Iga, nie oznacza, że masz prawo wpieprzać się w wychowanie Antka, zrozumiałeś? – Z każdym wypowiedzianym słowem stawał się coraz bardziej poirytowany. I agresywny.

– Ta rozmowa nie ma sensu. Proponuję, żebyś zabrał stąd swoje chude dupsko, posadził je w tej przepłaconej iluzji luksusu, która stoi pod moim płotem, i wypłakał się komuś w mankiet. Iga jest dorosłą kobietą i sama podejmuje decyzje. Ani ty, ani ja nie mamy na nie wpływu, przyjąłeś? – Starał się artykułować myśli na tyle spokojnie, by nie dać mu okazji do kontrataku.

– Powtórzę ostatni raz, bo widzę, że nie dociera. Odwal się od mojej żony i syna! Drugiego ostrzeżenia nie będzie, gwarantuję. – Pogroził mu palcem.

– To wszystko?

– Nie. Jeśli tego nie zrobisz, połamię ci te umazane łapska. Nie żartuję. – Zacisnął zęby.

Robert Kreft uśmiechnął się pod nosem. Groźby nie robiły na nim wrażenia. Gdyby spisał tylko te, których nasłuchał się w ostatnich miesiącach, mógłby stworzyć z nich opasłą księgę skarg i zażaleń. Spływało to po nim.

Nie wdawał się w słowne utarczki. Zamknął drzwi przed nosem mężczyzny i wrócił do kuchni. Naleśniki wystygły, stracił na nie ochotę. I szlag trafił miłe przedpołudnie. Był tylko jeden sposób, by się wyłączyć. Wybrał znajomy numer.

– Cześć, Marta. Zapomniałem z firmy dokumentów dotyczących samobójstwa współnika Sławomira Szulca. Ktoś dałby radę mi je podrzucić?

– Nie. Masz dzień urlopu i musisz odpocząć – usłyszał na końcu kabla.

– Obiecuję, że do nich nie zajrzę. Lepiej śpię, kiedy mam je pod

poduszką.

Zaśmiała się mimowolnie i westchnęła z rezygnacją.

– A co u was, wszystko w porządku? – starał się odwrócić jej uwagę.

– Tak. Chata wolna, planujemy zrobić imprezę na dwieście osób. Skoro pytasz, to wersja oficjalna brzmi: pot leje nam się z tyłków strumieniami.

– Zakręćcie kaloryfery, powinno pomóc. Jak tylko kogoś wyślesz, dzwoń. – Rozłączył się. Podobał mu się jej sarkastyczny humor.

Podobieństwa między sprawami nie pozwalały o sobie zapomnieć. Czy to naprawdę zbieg okoliczności sprawił, że mężczyźni zginęli w ten sam sposób, mimo że oba samobójstwa dzieliło ponad dwadzieścia lat? Skąd pewność, że obaj nie odpowiadali za śmierć Nowickiej? Może pierwszy z nich powiesił się od razu, czując na barkach ciężar wyrzutów sumienia, ktoś mu w tym pomógł albo go do tego zmusił? Jak podzielili między siebie role na ten wieczór?

Wpisał w wyszukiwarkę adres lokalu, w którym odbywała się studniówka. Z sali weselnej zrezygnowano dziesięć lat temu, ale wciąż działała w tym miejscu niezła restauracja. W zakładce „Kontakt” znalazł numer właściciela.

Po chwili oczekiwania usłyszał po drugiej stronie linii ochrypty, męski głos.

– Wiesław Trela, słucham.

– Komisarz Robert Kreft, komenda miejska policji. Mogę zabrać panu chwilę? Nie chciałbym fatygować pana do nas. – Nie zostawił mu wyboru.

Trela szacował w głowie rachunek zysków i strat. Odparł z wahaniem:

– W takim razie słucham.

– Pamięta pan tę feralną noc, podczas której zaginęła Sylwia Nowicka?

Mężczyzna westchnął ciężko.

– To mnie pan zaskoczył. Naprawdę warto do tego wracać? Nieźle nas przetrzepali i długo to przeżywałem. Swoją drogą to przez ten nieszczęśliwy wypadek posypał mi się interes. Ale to było lata temu – asekurował się.



– Pamięta pan, kto zajmował się obsługą wideo studniówki?  
– Skąd. Jakiś facet, ale nie przypomnę sobie teraz jego nazwiska.  
– Jest pan pewien, że kamerzysta był jeden? To ważne – dopytywał Kreft.

– Nie. Nie mogę być niczego pewien. Wydaje mi się, że był wówczas sam.

– W zasadzie to chciałem usłyszeć. Dzięki za pomoc. Jeśli przypomni pan sobie coś więcej, cokolwiek, proszę zadzwonić pod ten numer – podsunął.

– Oczywiście – odparł mężczyzna bez przekonania i się rozłączył. Zaklął pod nosem i zwymyślał policjanta. Akurat przypomni sobie coś ważnego po tylu latach.



Iga wróciła pół godziny później. Zjedli razem obiad, a gdy słońce schowało się za horyzontem, usiedli na kanapie, gapiąc się dla zabicia czasu w telewizor. Antek został na noc u dziadków. Mieli ten wieczór tylko dla siebie.

– Co oglądamy? *House of Cards* czy coś innego? – pytała, pijąc herbatę.

– Nie opowiesz mi, jak ci minął dzień? Czytałem w „Cosmo”, że takie gadki konserwują związki – zażartował. Starał się ją podejść, lecz nie złapała przynęty.

– Nie. Męczy mnie użeranie się z szemranymi biznesmenami, te ich ciągłe podchody, jak zarobić więcej forsy. Kryminaliści mają w sobie więcej ikry.

– Wybacz, że pozbawiłem cię uroków kontaktu z ciekawymi ludźmi.

– Naprawdę chcesz się licytować, kto miał dziś gorszy dzień?

– Nie, ale skoro rzucasz rękawicę. Wyobraź sobie, że odwiedził mnie twój były mąż – powiedział bez ogródek. Iga odkleiła głowę od jego ramienia.

– Nie mówisz poważnie?

Kreft skinął głową na znak, że nie żartuje.

– Czego chciał? W jaki sposób się o nas dowiedział? – myślała na głos. – I skąd wie, gdzie mieszkasz?

– Streszczę tę miłą wymianę zdań. Nalegał, bym zostawił was w spokoju.

Patrzył na nią. Złość odcisnęła się na jej zmęczonej twarzy niczym blizna.

– Przepraszam cię. To się więcej nie powtórzy, zajmę się tym. Obiecuję.

– W porządku, to nie twoja wina. Chciałem po prostu, żebyś wiedziała.

– Zawsze musi mi przypomnieć, że potrafi być pieprzonym egoistą.

– Nie wtrącam się, choć zamykanie tematu pod dywan nic nie da. Jest ojcem Antka i chciałbym wiedzieć, na czym stoję, zanim zrobię coś głupiego.

– Zostaw to mnie. – Ujęła go za rękę. – To, że jest ojcem Antka, nie znaczy, że może traktować go jak własność. Ma ograniczone prawa rodzicielskie. Umówiliśmy się na dwa, a jeśli się zgodzę, trzy wyjścia w miesiącu. Nie zakazę mu kontaktów z dzieckiem, ale uwierz mi, chodziło mi to po głowie.

– Wiem i nawet tego nie sugeruję. Chcę tylko, byśmy rozmawiali o tym jak dorośli ludzie. Oboje sporo przeszliśmy. Nie uciekniemy od przeszłości.

Widział w niej zmianę, gdy mówiła o mężu. Jej oczy schowały się za mgłą.

– Rozstałam się z Janem, bo nie potrafił dorosnąć, nie uczył się na błędach i zawiodłam się na nim wiele razy. Długo dojrzywałam do tej decyzji i nie żałuję jej. Nie warto tkwić w związku, w którym nie ma zaufania, więzi ani szczerości. To zamknięty rozdział. – Zrobiła pauzę spoglądając mu głęboko w oczy, jakby chciała coś w nich wyczytać, zapytała: – No dobrze, teraz twoja kolej – jaka była twoja mama?

Zamyślił się na moment. Starał się przywołać jej obraz w pamięci.

– Czas nie jest obiektywnym sędzią. Zawsze pamięta się dobre strony, tak to działa i trudno to zmienić – odpowiedział spokojnie. – Problem w tym, że była wspaniała. Niezależnie od tego wszystkiego, staram się nie katować myślą, że zginęła z mojej winy. Znacznie

bardziej boli to, że jej już nie ma.

Znała okoliczności śmierci jego matki, rozmawiali o tym w dniu, gdy się poznali. Kreft nie lubił do tego wracać. Wiedział, że drażnienie tematu nie ma sensu po takim czasie i przypomina rozdrapywanie gojącej się rany.

Uznał, że jest jej to winien.

– Cieszyła się małymi rzeczami – rozwinął wątek. – Jej spokój, to, jak umiała oderwać się od problemów, nie dostrzegać ich, po prostu mnie rozbijały. Wracałem do domu ze szkoły z głową wypchaną jakimiś szczenięcymi problemami, a ona zbywała to kiwnięciem ręki i zachwycała się rysunkiem, który zrobiłem na plastyce, mówiła, że mam talent. A ja miałem ochotę rzucić nim w kąt, potrząsnąć nią i prosić, by mnie wysłuchała i pozwoliła to z siebie wyrzucić. Z czasem ciśnienie schodziło i sprawa przestawała się liczyć. Brakuje mi jej.

Słuchała go z uwagą. Miał trudności z okazywaniem emocji, a jednocześnie mówił o nich wprost. Był zlepkiem kontrastów. Zbudował pancierz, pod którym ukrył przeszłość.

– Często o niej myślisz?

– Każdego dnia. Wciąż mam jej twarz przed oczami. – Przyglądał się Idze.

Cenił w niej umiejętność słuchania. Po wysłuchaniu historii nie przechodziła do opowieści o sobie i pozwalała mu dokończyć wątek.

– Chciałabym, żeby Antek też mnie kiedyś wspominał w taki sposób.

– Tak będzie. Nawet nie wie, jakie ma szczęście.

– Mówisz z jego perspektywy czy swojej? – droczyła się z nim, wtulając głowę w twardy tors policjanta. Gładził ją po włosach, nasiąkał jej zapachem.

– Myślę, że to działa w obie strony. Mamy coraz mniej czasu na błędy.

– U mnie zawiodła czujność. Byłam zbyt ufna, ludzie potrafią wykorzystać słabości. Głupotą nie jest popełnianie błędów, tylko uparte w nich trwanie.

– Nie przejmuj się nim – nawiązał do wizyty Jana. – Odreaguje i odpuści.

- Mam nadzieję. Nie martwię się o siebie, tylko o syna.
  - Kiedyś zrozumie. Ma osiem lat, łatwo mu zaimponować, pociągać za sznurki. To bystry dzieciak.
- Wtuliła się w niego, bezbronna, delikatna, krucha. Wiedział, że to pozory.



Mieszkanie przypominało muzeum bibelotów upchnięte w pudełku po butach. Porcelanowe figurki, ozdobne puzderka i flakoniki z podejrzaną zawartością zagracały każdy fragment niewielkiej przestrzeni, sprawiając, że wzrok wariował od nadmiaru wrażeń, a człowiek aż dusił się z braku tlenu.

Funkcja dekoracyjna ewidentnie zdominowała w tym miejscu użyteczność.

Wanda Stec idealnie odnajdywała się w tym bałaganie. Kreft domyślał się, że niechętnie i rzadko opuszcza mieszkanie. Była uśmiechniętą, rezolutną starszą panią z włosami upiętymi w kok i kotem, zalegającym na kolanach niczym poduszka. Wizyta komisarza stanowiła towarzyski przerywnik w jej nudnawym życiu. Nic dziwnego, że postanowiła wycisnąć z niej, ile wlezie.

– Nie sądziłam, że ktoś po tylu latach wróci do tej sprawy – zaczęła asekuracyjnie. – Oczywiście służę pomocą. O ile tylko będę mogła jakoś pomóc.

– Zależy mi na tym, by ta rozmowa została między nami. – Kreft miał oko do ludzi, na kilometr wyczuwał, że kobieta ma tendencję do rozsiewania plotek. Nie chciał wprowadzać ją w zawiłości dotyczące podziału ról w śledztwie. – Pamięta pani studniówkę, podczas której zaginęła Sylwia?

– Nie da się tego wyrzucić z głowy, po prostu zapomnieć. Byłam jej wychowawczynią i choć nie mogłam temu zapobiec, przez wiele lat czułam się winna tego, co się stało. No, może „winna” to za duże słowo, ale wie pan, jak to jest. Człowiek wypomina sobie, że czegoś nie zrobił, coś przeoczył...

Nie musiała mu tego tłumaczyć. Sam wciąż miał przed oczami skok matki.

– Gdy dostałem pani numer telefonu, powiedziano mi, że zatrzymała pani pamiątki z tego czasu. Wciąż ma pani te zdjęcia albo film ze studniówki?

– Oczywiście, że tak – obruszyła się, jakby ją uraził. – Zbierałam zdjęcia i kasety ze studniówek wszystkich moich klas, chciałam mieć pamiątkę na starość. Uzbierało się tego trochę – roześmiała się. – Proszę zaczekać...

Zanim wstała, przeniosła zwiniętego w kulkę kota na sofę i ułożyła obok komisarza.

Przeszła do drewnianej komody pod ścianą. Włożyła grube okulary na nos i nucąc coś, zajrzała do szuflady na dole. Wyłowiła pudła po czekoladkach. Precyzyjnie opisane i ułożone, jakby znajdowali się w muzeum czekolady.

– Tu są zdjęcia. To był ciekawy rocznik, wielu zdolnych uczniów, ale wiadomo, przez lata wspominamy go tylko z jednego powodu. Taka szkoda...

– Tak to jest. Nasza pamięć bywa wybiórcza – przerwał, bo czuł, że zagada go na śmierć. Oglądał zdjęcia. Wiedział, że niewiele różnią się od zdjęć z każdej innej studniówki, jednak szukał potwierdzenia swoich podejrzeń. A może chciał uciszyć wątpliwości, które zaległy się gdzieś z tyłu głowy?

– Czy to ona? – Podsunął fotografię i wskazał jedną z dziewcząt. Grupka uśmiechniętych nastolatek wdzięczyła się do obiektywu.

– Tak. To była miła dziewczyna. Nie wyróżniała się specjalnie, ale też nie odstawała od średniej. Nie pamiętam, żebym miała z nią jakieś problemy...

– Co pani myślała o tym jej wyjeździe do Niemiec?

– To były inne czasy. Młodzi wyczuli szansę wyrwania się z bagna, w którym tkwiliśmy przez dziesięciolecia, i kto mógł, ten starał się skorzystać. Ze szkoły wyjechało kilku uczniów, inni chcieli być na ich miejscu. Na Śląsku ten odsetek był jeszcze większy – objaśniła spokojnie. – Sylwia miała brać udział w wymianie z niemiecką szkołą, byliśmy wtedy jedną z pierwszych szkół, którym udało się coś takiego

załatwić. Wie pan, grupka uczniów jedzie na dwa tygodnie do Niemiec podszkolić język, później jest rewizyta u nas. Pamiętam, pomagałam im wyrobić paszport. Czy uciekła? Nie sędzę. Ale łatwiej pogodzić się z tym niż z jej śmiercią – westchnęła.

Robert Kreft nie zdążył wejść jej w słowo. Zaczynała się rozkręcać.

– O, tu na przykład... – Postukała palcem w zdjęcie. – Ma pan dwie osoby, które wyjechały. Goik ledwie zdał maturę i pojechał do rodziców, a stojący obok nauczyciel niemieckiego Olek Broll rzucił pracę z dnia na dzień. Zrobiłby to wcześniej, gdyby nie świętej pamięci dyrektorka. Błagała go, by został do końca roku, bo nie mogła znaleźć nikogo na zastępstwo. W sytuacji, kiedy i tak nie dało się normalnie pracować, spakował się i wyjechał.

Kreft tasował zdjęcia, szukając wskazówek. Sylwii znalazł na trzech.

Na pierwszej fotografii, tej, o której mówiła Wanda Stec, tańczyła z kolegą, na innej śmiała się do aparatu, skacząc w rytm muzyki, na ostatnim zdjęciu obejmował ją Dariusz Breguła. Wyglądała na szczęśliwą dziewczynę.

„Wiele zmieniło się od tego czasu, jeśli nie wszystko”, stwierdził w duchu policjant.

– Ma pani kasetę wideo ze studniówki?

– Mam. Powiem panu w sekrecie, że zabrakło mi odwagi, żeby ją później oglądać. Nie potrafiłam spojrzeć Sylwii w oczy – przyznała łamiącym się głosem. Zaginięcie Nowickiej wciąż sprawiało jej ból. Mimo to podniosła się i ruszyła w stronę szafy pod ścianą. Ociężała i bez entuzjazmu.

Kreft oglądał plik fotografii od nowa, skupiając się na kamerzyście. Jedno trafienie. Szulc stał pod sceną, szperając przy kamerze. Nie zmienił się od tego czasu; wciąż silny, wysoki, z bujniejszą fryzurą, niż kiedy go znaleźli. Wanda Stec zmierzała w jego kierunku, więc odłożył zdjęcia na stolik.

– Proszę. Nie musi jej pan zwracać. Od dawna zastanawiam się, co zrobić z pozostałymi. Większości nigdy nie widziałam. – Zaśmiała się szczerze. – Po prostu jakoś tak głupio było odmawiać, no i zbierałam to niepotrzebnie.

– Rozumiem i dziękuję za pomoc.

– To wszystko długo nie dawało mi spokoju. – Usiadła w fotelu i posadziła sobie kota na kolanach. Ten nie zaprotestował. Było mu wszystko jedno, gdzie będzie leżał tym razem. – Odchorowałam to. Policja nie znalazła śladu, nic, co mogłoby naprowadzić na jej trop. Przepadła jak kamień w wodę. Dosłownie.

– Wcześniej nic nie zapowiadało kłopotów? Nie zachowywała się dziwnie?

– Zachowywała się jak każda dziewczyna w jej wieku. Bywała humorzasta, umiała trzasnąć ze złością drzwiami, odpyskować. Proszę mi wierzyć, to nic niezwykłego. Nie pamiętałabym o tym, gdyby nie zaginęła. Człowiek szukał punktu zaczepienia, czegoś, co pozwoliłoby zrozumieć to, co się stało. Nikt nie potrafił tego racjonalnie wyjaśnić – tłumaczyła cierpliwie.

– Pamięta pani mężczyznę, który nagrywał studniówkę?

– Nie. Na pewno nie rzucał się w oczy na tyle, bym go zapamiętała. Zresztą przez te wszystkie lata przewinęło się ich tylu, że nie sposób zliczyć.

– Był wtedy sam czy ktoś mu pomagał?

– Wydaje mi się, że był sam, ale nie dam sobie ręki uciąć. Policja na pewno z nim rozmawiała, przesłuchali wszystkich obecnych tej nocy w lokalu. W tamtych czasach rzadko się zdarzało, żeby było dwóch kamerzystów.

Kreft prześledził notatki z przesłuchań, jednak niewiele z nich wynikało. Wszyscy mówili to samo. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej niewyraźny wydruk ze zdjęciem przedmiotu, na który naprowadził go Irek Mroczek.

– Poznaje pani ten zegarek? Wie pani, kto mógł wówczas taki nosić?

Wanda Stec sięgnęła do leżącego na stole futerału, wyciągnęła okulary i podsunęła sobie zdjęcie pod nos. Powtórzyła ten manewr, wpatrując się w wydruk, jakby uczyła się go na pamięć, a następnie osunęła się w fotelu i umilkła na moment, próbując pozbierać myśli. Wreszcie odparła nieśmiało:

– To dziwne. Wydaje mi się, że wiem, do kogo mógł należeć...

## Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Stawiki ścięła skorupa lodu, na tyle gruba, że pozwalała zapuścić się daleko od brzegu i nawiercić otwory bez obawy, że lód nie wytrzyma.

W oddali słyhać było pohukiwania wiatru. Hulał między blokami mającymi na drugim brzegu. Wzdłuż tafli przesuwwały się welony śniegu przypominające kołtuny kurzu w kącie pod ścianą. Dochodziła piętnasta. W grudniu zwiastowało to rychłe nadejście zmroku. Słońce wychylało się zza koron bezlistnych drzew, na powierzchni zbiornika potworzyły się zaspasy. Wiatr rzeźbił w nich skostniałymi paluchami, a gdy się znudził, szukał nowej rozrywki. Szczypał w twarz, wciskał się pod ubrania i mroził do kości.

– Nic nie bierze. Wypijmy po jednym i kręcimy dalej, co? – Niepozorny facet w podwieszonych na szelkach woderach i naciągniętej uchatce siedział na składanym krześle i zakładał przynętę. Z ust buchały kłęby pary.

– Źle się za to zabierasz. Daj to. I ucz się od mistrza, wiecznie żył nie będę – upomniał go drugi z mężczyzn, nieco starszy i opatulony równie solidnie.

Przykucnął i oparł trzydziestocentymetrową bałajkę na umocnieniu z kruszonego lodu. Zablokował szpulę i chwycił żyłkę między palcami. Sztukę wędkowania na mormyszkę opanował lata temu podczas wypraw z ojcem. Cały myk polegał na nadaniu jej regularnych drgań i umiejętnym unoszeniu przynęty. O tym, że jest branie, sygnalizował wieńczący wędzisko kiwok, wycięty ze zdjęcia rentgenowskiego płuc.

Uniósł wędkę, chwycił żyłkę i zaciągnął. Powtórzył ten manewr kilka razy i zrezygnowany dał sobie spokój.

– Weź świder i kręć nowy otwór, na co czekasz? – ponaglił kumpla.



Ten podniósł się leniwie, jakby nie wierzył w powodzenie misji. Wędkowali od południa, ale prócz kilku płotek nie złowili niczego konkretnego. Dwie przeręble i czas brać dupę w troki, stwierdził i sięgnął po świder leżący pod krzesłem. Odliczył pięć długich kroków w stronę brzegu i upewnił się, czy w pobliżu nie ma żadnego oparzeliska. Nie przypominał sobie, by kiedyś na nie trafił, wolał jednak dmuchać na zimne. Zgarnął z lodu warstwę świeżego śniegu i usłyszał głos dochodzący zza pleców:

– Tylko nie zapomnij zanęcić!

– Wiem, kurwa! Nie jestem cholernym dzieckiem – odburknął pod nosem.

Łowienie pod lodem różniło się od tradycyjnego w wielu aspektach. Od zminiaturyzowanego sprzętu przez sposób połowu po spędzanie czasu nad wodą. Miejsce zimnego piwa, chłodzonego latem w szuwarach na brzegu, zajął termos z gorącą herbatą i bulionem. Alkohol rozgrzewał, ale to złudne uczucie, bo po początkowym skoku temperatury szybko wyrzucał ciepło z organizmu. Mimo niedogodności wędkowanie zimą miało zalety.

Wokół zbiornika kręciło się niewielu ludzi, nikt nie płoszył ryb. Te, wyposzczone i otepiałe, były łase na wszelkie błyskotki. Zanim zabrał się do pracy, obstukał lód i sprawdził, czy wytrzyma. Złapał świder na wysokości brzucha, wbił ostrze i zaczął kręcić rytmicznie korbą.

Wokół otworu usypał się kopiec śnieżnych trocin. Kiedy otwór miał odpowiednią średnicę, zanurzył dłoń w wodzie i sprawdził grubość pokrywy lodowej. Tafla nie była gruba, ale uznał, że wytrzyma, i wrócił na stanowisko przygotować zanętę.

Zimą najlepiej sprawdzała się ciemna. Zrobił kilka kulek i dociążył je gliną z ochotką, dzięki czemu łatwiej szły na dno. Uklęknął nad otworem i wrzucił do przerębli dwie kulki; obserwował, jak opadają na dół i wyrzucają w górę bąbelki powietrza. Wydawało mu się, że coś zamajaczyło na dnie. To złudzenie?

– I co, mistrzu, wyjąłeś coś? – rzucił, odwracając się.

– Goń się. I nie kłap pyskiem. Strzelimy po jednym, by nie ostygnać.

– Kumpel rozsiadł się i wyjął z plecaka srebrną piersiówkę z logo Zagłębia Sosnowiec.

Wypili po kilka łyków. Temperatura w ostatnim tygodniu spadła co najmniej o dziesięć stopni, przez co mogli próbować coś złowić. Póki co bez skutku.

Sięgnął po kanapki. Żona zawsze przygotowywała sprawdzony zestaw. Jedną kanapkę z jajkiem i majonezem, drugą z szynką i serem. Nic, co wyszło spod jej ręki, nie smakowało mu tak, jak te proste posiłki nad wodą.

– Chcesz jedną?

– Dzięki, mam swoje. Dziwię się, że to ci starcza. Ja po godzinie nad wodą zjadłbym swoją starą – zaśmiał się drugi z nich, wcinając bułkę z kiełbasą.

Zbierali siły przed ostatnim starciem z przyrodą.

– W lutym lecę do brata nad Morze Północne – zagaił. – Składamy się na kuter, właściciel liczy sobie od łebka, by nie być stratny. Bierzemy sprzęt i płyniemy kawałek od brzegu. Masz tam branie jak w zakonie wyposzczonych dup – zarechotał i popatrzył w dal. W myślach wsiadał już na pokład kutra.

– Co to za atrakcja, skoro gość wpływa w sam środek ławicy? Opuszczasz łapy po łokcie, a ryby same ci do nich wskakują. Wielka mi filozofia.

– Za to jak smakują. To, co kupujesz tutaj, nie ma nic wspólnego ze świeżym dorszem. Nawet z makrelą, którą łowisz tam na kilogramy. U nas ryba zajeżdża padliną. Zresztą co ci będę tłumaczył, powinieneś sam się przekonać.

Zabrakło mu argumentów, by z tym dyskutować, a kompan ciągnął temat:

– Załatw tydzień urlopu, przekimasz u brata w salonie. Pogadam z nim, jeśli się zdecydujesz, na pewno się zgodzi. To równy gość – zaproponował.

Wzruszył ramionami, choć kusiła go ta wizja. Nie miał dobrych wspomnień. W zeszłym roku wybrał się z kumplami do Norwegii. Zamiast łowić ryby, cały tydzień zmarnowali na nieustającej libacji. W kraju, gdzie wódka jest niemal reglamentowana. Liznął świata przez szkło od kieliszka. Nic więcej.

– Bo ja wiem. A gdzie to jest konkretnie?

– W północnej Szkocji. Masz tam trochę fajnych miejsc. Ja płynąłem z Peterhead. Brat mieszka w Aberdeen, kilkadziesiąt kilometrów na południe, i ma tam sprawdzonego gościa, więc nie będzie kwasu. Facet uruchamia silnik, kiedy zbiera w necie przynajmniej kilku chętnych, po kilkadziesiąt funtów na głowę. W końcu musi mu się to opłacać, co nie?

– Pewnie tak. I co tam bierze?

– Przywiozłem na brzeg kilkanaście makreli i kilka solidnych dorszy. Złowiłem też jakieś obrośnięte parzydełkami gówno, ale wyrzuciłem to do morza. Jak masz życzenie, gość ci to wszystko wyfiletuje jeszcze na kutrze. Skubany ma sprawne łapska, mógłby śmiało odbierać porody. – Zaniósł się śmiechem.

Zagadali się i zaczęło zmierzchać. Do tego sypał drobny śnieg; miękki i wilgotny, układając warstwę puchu na lodowych fortyfikacjach. Skończyli posiłek i wrócili do pracy, obstawiając po jednym stanowisku.

Młodszy podszedł do przerębli i się schylił, patrząc w zacienione lustro wody. Wydawało mu się, że coś przesuwają pod skorupą lodu. Coś dużego. Odrzucił wędkę na bok i zerknął znów, niemal krusząc ciepłym oddechem lód i próbując wyczytać coś w mętnej lustrze wody.

Podejrzewał, że pod lodem przesuwają się pnącza roślin, duże glony lub rogatki porastające dno. Całość przypominała odwróconą plamę cienia; rozrastającą się i pochłaniającą wszystko, co stało na jej drodze.

Zanurzył rękę w wodzie, złapał i przyciągnął to coś do siebie, wyczuwając w dłoniach pasmo cienkich, posklejanych włókien. Co to jest, do cholery?

Wyciągnął dłoń nad powierzchnię wody i obejrzał to z bliska, po czym zerwał się jak rażony gromem, zrobił dwa kroki do tyłu, potknął się na śliskiej nawierzchni i wylądował plecami w śniegu. Pod warstwą lodu zamajaczył cień ludzkiej sylwetki, a na krawędzi przerębli dostrzegł pukiel włosów.

Jedno spojrzenie w martwe, niemal przezroczyste oczy, przebijające spod lodowej toni, sprawiło, że zbladł i mimowolnie opróżnił

zawartość żołądka.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft stał w kolejce do kasy i dziwił się, że tęskni za czymś tak prozaicznym jak wyjście do kina. To zabawne, że podobne wnioski nasuwają się po odkurzeniu starej zapadki w mózgu i po złożeniu do kupy zalegających w głowie obrazów. Nie umiał przypomnieć sobie, kiedy wybrał się, żeby obejrzeć ciekawy film. Odkąd korzystał z sieci, wolał spędzić ten czas przed telewizorem. Zwykle i tak zasypiał w połowie filmu. Wolał seriale, były krótsze i tak zbudowane, by rozłożyć napięcie na kilka części. *Sześć stóp pod ziemią* oglądał na okrągło.

Kątem oka zerkał na ośmioletniego chłopca, który siedział na kanapie w poczekalni i machał wiszącymi nad ziemią nogami. Gdy się znudził, wstał i zakręcił młynka, imitując start lub lądowanie podniebnej maszyny. Z jego drobnej buzi biła autentyczna radość, której widoku Kreft pozbawił się na własne życzenie lata temu, parafując cyrograf w policyjnych kadrach. Nie myślał o dzieciach.

– Miejsca ósme i dziewiąte w ostatnim rzędzie. – Chłopak w białej koszuli i firmowym krawacie wręczył mu bilety. – Sala druga. W tym tygodniu mamy promocję na zestaw z popcornem. Duży w cenie średniego, a średni w cenie małego.

Kreft spojrział niechętnie na ofertę atakującą go z ekranów nad głową.

– Niech będzie średni zestaw. – Usiłował przeczytać, ile prażonej kukurydzy mieści się w średnim kubku, ale odpuścił. – Zamiast coli mogę dostać sok?

– Został tylko jabłkowy. Polecam wodę niegazowaną albo smakową, mamy cytrynową i truskawkową.

– W porządku. Wezmę cytrynową.

Odszedł od kasy i spojrzął na elektroniczny zegar nad salą. Seans właśnie się zaczął. Klon kasjera, w identycznej koszuli i krawacie, przerywał bilety na bramce i uśmiechał się do milusińskich, jakby chciał ukręcić im główki.

– Antek, idziemy! – Kreft skinął na chłopca, a ten przybiegł w podskokach.

– Woda? – skrzywił się, przechwytyjąc zestaw. – Nawet mama kupuje mi coś lepszego. Nie było kubków z figurkami postaci z *Gwiezdnych wojen*? – Brzmiało to tak, jakby mówił o czymś równie oczywistym, co prawo grawitacji.

Kreft uświadomił sobie, że ojciec rzadko go gdzieś zabierał. Nie umiał się odprężyć, cieszyć obecnością syna, z tyłu głowy wciąż tkwiły obrazy związane z pracą, tłumaczył po latach. Robert go rozumiał, sam też miał kłopot z podzielnością uwagi i czekał, aż seans się skończy i będzie mógł wrócić do pracy. W myślach nigdy z niej nie wychodził.

Chwycił chłopca za rękę i przeprowadził go przez skąpany w półmroku hol. Szli wzdłuż rozgwieżdżonego szlaku, rozsypanego na wykładzinie, aż po omacku dotarli pod wielki ekran i odnaleźli miejsca w ostatnim rzędzie.

– Ściągnij kurtkę i połóż ją na fotelu obok – poprosił chłopca i się rozebrał.

– Zimno mi.

– Jest ci zimno, bo dopiero przyjechaliśmy. Zagrzejesz się.

– Jak się zagrzeję, to ściagnę.

„Nie draż tematu, to pogorszy sprawę”, upomniał się w myślach. Odpuścił.

Wyciszył telefon i schował go do kieszeni. Nie chciał, by coś im przeszkadzało. To ich męski wypad, zaplanowany i przegadany wiele razy. Kreft robił, co mógł, by nie zerwać tej nici porozumienia. Zależało mu na akceptacji chłopca. Skłamałby, gdyby twierdził, że jest inaczej. Wolał nie myśleć, co ewentualne weto mogło oznaczać dla jego relacji z Igą Anielewicz.

Różnica wieku nie była wymówką. Ojcowie kolegów z klasy byli w podobnym wieku, nie byłby sobą, gdyby tego nie sprawdził. Uznał,

że postara się nie robić niczego na siłę, i pozwolił sprawom toczyć się własnym rytmem.

– Super, że tu ze mną jesteś – odezwał się chłopiec, jakby czytał w jego myślach. Sięgnął ręką do tekturowego pudełka i zapchał sobie usta popcornem tak skutecznie, że nie sposób go było zrozumieć. – To film dla facetów i mama tu nie pasuje. Zobacz, w kinie są sami chłopacy.

– Właśnie dlatego daliśmy jej od nas trochę odpocząć – odparł Kreft i odkleił wzrok od ekranu. W nudne, zimowe popołudnia kino puszczało nieśmiertelne klasyki. W jednym z nich niepozorny samolot rolniczy wyprawiał się w lot dookoła globu. Jak się miało okazać, nie bez szans na końcowy triumf.

– I tak by się nudziła. Już na *Autach* prawie zasnęła, mówię ci.

Po raz pierwszy fakt, że cierpiał na bezsenność, mógł okazać się zaletą.

– Idziemy potem do maca? – Antek bez przerwy mówił. Dzielenie uwagi na film, zapychanie się popcornem i odnajdywanie wciąż nowych atrakcji uświadomiły Kreftowi, że nie nadaża. – Są nowe zestawy. Superświetne.

Najchętniej skonsultowałby to z Igą, lecz znał jej odpowiedź i skinał tylko głową. Zamierzał dać sobie więcej czasu na znalezienie lepszej wymówki.

Spotykał się z Igą, tak na serio, dopiero od kilku miesięcy. Nie zakładał, że zwiąże się z kimś na dłużej w podobny sposób. Nie po to, żeby zaspokoić żądzę, nie pić samotnie do lustra i mieć z kim pójść na wesele znajomych. Takie rozwiązania brał pod uwagę. Relacja zrodziła się naturalnie, wbrew ich intencjom, i wyniknęła z potrzeby bycia ze sobą, rozmowy oraz bliskości.

Coraz częściej łapał się na tym, że tęskni za jej wybuchami złości, pożądania, za niespiesznym godzeniem się i wszystkim, co się z nią wiązało. Obawiał się, że to, co podsuwa mu los, jest zapowiedzią nowego dramatu; drwiną ze świata, w którym zasypiał, budził się i budował coś trwałego wbrew wewnętrznemu przeświadczeniu, że na to nie zasługuje.

– Muszę iść się wysikać, halo? – Z zadumy wyrwał go głos Antka.

– Jasne, chodźmy. – Wstał i złożył za sobą fotel, usiłując się wydostać.

Chłopiec spojrział na niego z politowaniem, jakby starał się go nie urazić.

– Zrobię to sam. Mam osiem lat. Posuń się trochę, bo nie mogę przejść.

– Wiem, wiem – odparł, próbując się jakoś wykręcić. – Też idę. Myślałem, że dotrwam do końca filmu, ale skoro i tobie się zachciało, to jest szansa się wyrwać.

Skorzystali z pisuarów. Antek był drobnym dzieckiem i musiał stanąć na palcach, by zrobić to, na co się porwał. Kreft stał obok i z trudem wycisnął kilka kropli.

– Widziałem mamę. Czeka na nas w kawiarni przy kasie – wtrącił chłopiec, szorując dłonie. Suszarka do rąk była niekończącym się źródłem rozrywki.

– To chyba nici z hamburgerów? – zapytał Kreft, obserwując jego reakcję.

– No. Mówi, że to śmieciowe jedzenie. – Antek na zmianę wsuwał i wysuwał dłonie spod elektrycznej suszarki i machał nimi, jakby zamierzał oderwać się od ziemi. – Kicha, co zrobić.

Kreft uśmiechnął się pod nosem. Dawno nie słyszał, żeby ktoś tak mówił.

– Trochę racji to ona ma. Może da się namówić chociaż na lody?

– Jeśli się dowie, że zjadłem całe pudło popcornu? Nie ma szans.

– A kto powiedział, że się dowie? Zjedliśmy najwyżej małą porcję, i to razem – zaśmiał się Kreft, kiedy wracali do sali. Chłopiec był zachwycony.

Kątem oka dostrzegł zgarbioną sylwetkę Igi. Siedziała w fotelu kawiarni i piła cappuccino w dużej filiżance. Nie widziała ich, spoglądała w pustkę, jakby chciała coś z niej wyczytać. Jej jasna twarz, oprószona drobnymi piegami, kontrastowała z ciemnymi oczami i włosami spiętymi w kucyk.

Wokół jej oczu i w kącikach ust przyschły strumyczki zmarszczek. Uwypuklały się za każdym razem, gdy się śmiała lub płakała. Uwielbiał na nią patrzeć. Nieustannie się dziwił, ile tajemnic zostało



mu do odkrycia.

W sali kinowej rozległ się wrzask, a grupa dzieci błyskawicznie zerwała się z miejsc, gdy skazywany na pożarcie samolot rolniczy przecinał linię mety.

– A nie mówiłem, że wygra? – powiedział Antek i po chwili jak gdyby nigdy nic oznajmił: – No, to możemy się zbierać. Tylko po napisach, bo czasem coś jeszcze puszczają.

Kreft podał mu kurtkę. Nie zauważył nawet, jak chłopiec ją ściągnął i położył na fotelu obok. Sięgnął do kieszeni po telefon. Na szczęście nikt go nie niepokoił.

– Zapomniałeś? Trzeba to wyrzucić. – Chłopiec pociągnął go za rękaw.

– Przed wyjściem widziałem kosz na śmieci. Wyrzucimy pudło i cicho sza.

– Cicho sza! – Antek przystawił palec do ust. Spodobał mu się ten fortel.

W drodze po schodach prowadzących na zaplecze kina Kreft wyczuł wibrację komórki. Dzwonili z firmy i wiedział, że nie po to, żeby umówić się z nim na partyjkę pokera. Zdawał sobie sprawę, że musi odebrać. I to natychmiast.

– Zaczekaj – zwrócił się do chłopca. – Odbiorę i idziemy na lody. Zgoda?

Antek nerwowo przebierał nogami. Czuł, że traci sojusznika w nierównej walce z niekończącą się listą zakazów i ograniczeń, wciąż uzupełnianą przez mamę. Wspólnie mieli szansę coś ugrać, jednak obserwując twarz mężczyzny, powoli godził się z tym, że znów obstawił niewłaściwego konia.

Idze wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zgodzić się z podejrzeniami syna.

– Jak tam, dobrze się bawiliście? – rzuciła na powitanie, przytulając syna.

– Mega! – Entuzjazm chłopca wracał na właściwe tory. – Było czadowo.

Kreft milczał. Mowa jego ciała zdradzała więcej, niż pragnął powiedzieć.

Myślami był w innym miejscu. Czuł pulsowanie w skroni, a przed oczami wyświetlał się precyzyjny komunikat: „Znaleźliśmy kolejną dziewczynę”.

– Przepraszam – oświadczył i poczuł, że zaschło mu w gardle. Skorzystał z nieuwagi chłopca i dał jej do zrozumienia, że wspólny dzień dobiegł końca.

Przez chwilę śledził, jak zbiegają w stronę ruchomych schodów.

Los znów z niego zadrwił.



Oślepiające światło uderzyło go między oczy. Zachwiał się, przestępując z nogi na nogę, i poszukał stopą stabilnej powierzchni, na której mógł oprzeć ciężar ciała. Zasłonił dłonią twarz, a snop latarki powędrował w dół. Kreft musiał przyzwycząić wzrok do panujących wokół warunków.

– Zgaś to, kurwa! Chcesz, żebym oślepnął? – Powoli dochodził do siebie.

– Przepraszam, nie widziałem, kto idzie – odparł zakłopotany policjant i wyłączył latarkę, chowając ją za plecami niczym dzieciak zakazaną zabawkę.

Zachowywał się dziwnie. Kreft domyślał się, co było tego przyczyną. Dla formalności poprosił o wskazanie ścieżki, którą najłatwiej dostać się na brzeg. Nie musiał tego robić. Z daleka dochodził szum generatora. Widział policyjny namiot i koguty radiowozów, skrzące się na szaroburym niebie.

Złe przecucia go nie odstępowały. Wszystko działo się szybciej niż zwykle, na przyspieszonych obrotach. Kilku funkcjonariuszy biegało od drzewa do drzewa, usiłując przykleić do nich policyjną taśmę. Bez skutku. W wodzie odbijały się światła lamp, kreśląc na powierzchni Stawików mozaikę lśniącą jak bożonarodzeniowy łańcuch.

Tuż przed świętami wszystko wydawało się bardziej podniosłe. Uroczyste.

Kątem oka zobaczył zaparkowany samochód prokuratora i domyślił

się, że tegoroczne świętowanie trzeba będzie odłożyć na później. Podszedł bliżej.

– Co tu się stało? – zwrócił się do policjanta, który wszedł mu w paradę. Ten starał się odnaleźć w tym bałaganie. Zdenerwowany przełknął ślinę.

– Znaleźliśmy martwą dziewczynę... – Zamierzał coś dodać, ale się zaciął, widać, że zżerały go nerwy. Machnął z rezygnacją ręką i wskazał komisarzowi namiot. Z tej odległości nawet niewidomy nie zdołałby go przegapić.

Na brzegu marzło dwóch mężczyzn w wędkarskim rynsztunku. Tłumaczyli coś kościstemu policjantowi, a ten skrzętnie przelewał ich słowa na papier. Ekipa techników kryminalistycznych pracowała już w epicentrum zdarzeń.

Zza namiotu wyłonił się Uryga. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego. Sprawiał wrażenie kogoś, kto nie wie, dlaczego się tu znalazł.

– Co jest? – zagadnął go Kreft w chwili, kiedy młody policjant odpalał papierosa.

– Nawet nie pytaj. Ci dwaj na dole – wskazał na mężczyzn stojących przy zboczu skarpy – łowili tu ryby. A spod wody wyciągnęli ciało młodej kobiety. Wolałbym nie wiedzieć, kim była, uwierz mi – dozował napięcie i czekał, aż Kreft się z nim oswoi. – To córka prokuratora. Julia Smuga.

„A więc stąd to zamieszanie”, myślał na zimno Kreft. Ale gdy informacja wreszcie dotarła do mózgu, zagotował się. Odcięło mu prąd. Wszyscy uwijali się niczym w ukropie, sytuacja wymagała dużej ostrożności. Wiedział, że trzeba się będzie solidnie nagimnastykować, by nie nadepnąć prokuratorowi na odcisk.

– Sprawdźcie wszystkie wjazdy. Mógł się tu dostać niemal z każdej strony.

– Wiem, nie liczyłbym jednak na wiele. Ciało przeleżało w wodzie kilka dni.

– Jest tu jakiś monitoring? – Komisarz się rozejrzył.

– Jest. W planach – odparł Uryga, pozbawiając go złudzeń. – Może uda się coś znaleźć na drugim brzegu, od strony plaży i restauracji.

Kreft zszedł na dół i przywitał się skinieniem z ekipą dochodzeniową. Nauczeni doświadczeniem wiedzieli, co ich czeka, mimo to zachowali właściwy dystans. Każdy z nich zajmował się swoim wycinkiem roboty i nie oglądał się na innych. To rozprasza. Wszedł do rozstawionego na brzegu namiotu.

Nikt się nie odzywał. Technicy kręcili się przy zwłokach, a Martyna Hirsz popijała herbatę z termosu, wpatrzona w jakiś punkt na horyzoncie nocy.

Na przenośnym stole leżało ciało młodej kobiety. Kreft widział w życiu kilku topielców i na tej podstawie stwierdził, że Uryga ma rację. Spędziła w wodzie kilka dni. Mróz konserwował zwłoki, jednak ciała wyciągnięte z wody zawsze wyglądają strasznie. Ich widoku nie da się wymazać z pamięci.

Andrzej Smuga siedział na końcu namiotu. Nieobecny. Blady. Zrezygnowany. Zdarzało się, że wybudzony w środku nocy docierał na miejsce zdarzenia w kiepskiej formie, lecz w tak złym stanie jeszcze nigdy. Nie każdego dnia traci się przecież córkę. Komisarz wiedział, że to nie jest odpowiedni moment na pogawędkę, dlatego skinął na Urygę, aby wyszli przed namiot.

Dwaj mężczyźni, obładowani sprzętem wędkarskim, szli już główną alejką. Wyglądali, jakby zamiast tego dźwigali na plecach bagaż złych wspomnień.

– Kto tu dowodzi? – zapytał komisarz.

– Nikt. Smuga trzyma na wszystkim łapę. Nikt nie ma odwagi go o to zapytać ani wygnać do domu, co byłoby w tej sytuacji najrozsądniejszym wyjściem. Przed chwilą dotarła Krynicka, może przemówi mu do rozsądku.

– Wiadomo już, jak do tego doszło?

– Wiem tylko tyle, że dziewczyna nie żyje, a ci dwaj znaleźli ją przypadkiem, łowiąc tu ryby. Są posrani jak dzieci po wywiadówce. Dziwisz się?

– Przecież nic nie mówię.

Widok zwłok wyciągniętych z wody będzie ich prześladował w snach. Wyczuł wibrację komórki w kieszeni. Spodziewał się, że to nie wróży niczego dobrego. Rozmowa z Krynicką ograniczyła się do dwóch

punktów: wysłuchania jej lakonicznej propozycji i przystania na nią. Rozłączył się i zaklął pod nosem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego spośród wszystkich ludzi, jakich miał do dyspozycji prokurator Smuga, wytypował właśnie jego zespół?

Warunek był jeden. Nim Kreft zabierze się do pracy, prokurator wróci do domu – to nienormalne, by na każdym kroku patrzył im na ręce. Smuga był bystrym facetem. Wiedział, że nie będzie mógł prowadzić tej sprawy i najpewniej zajmie się nią prokuratura okręgowa, ale robił, co mógł, by ugrać jak najwięcej. Minał kwadrans i razem z komendant Olgą Krynicką zniknął z pola widzenia.

Kreft wrócił do namiotu. Martyna Hirsz właśnie się przebierała. Czekał, aż patolog ściągnie maseczkę, gumowe rękawiczki i upchnie wszystko do torby.

– Udało ci się znaleźć coś konkretnego czy mam cię nękać później?

– Rozejrzyj się, to są według ciebie warunki do pracy? Wiem, że się powtarzam, ale powiem ci coś więcej po sekcji zwłok. Ich stan, po wstępnych oględzinach, wskazuje, że ofiara zginęła kilkadziesiąt godzin temu, nie mniej, choć w takich warunkach mogła przeleżeć tam dłużej. Ubranie jest kompletne, na ciele nie znalazłam żadnych śladów przemocy. Jestem niemal pewna, że została wrzucona do wody po śmierci, choć wolałabym się wstrzymać z takim komunikatem co najmniej do jutra.

– W porządku, nie naciskam. Jak to przyjął prokurator?

– Odkąd tu wszedł, nie powiedział ani słowa. To przerażające, bo spodziewałam się, że zechce wyciągnąć ze mnie wszystko. Od razu.

– Na razie wszyscy potulnie schodzą mu z drogi. Strach pomyśleć, jak zareaguje, gdy to wszystko do niego dotrze.

– Szok ustąpi, a potem zacznie się jazda.

Kreft wiedział doskonale, że podręcznikowe teorie dotyczące radzenia sobie ze stratą mówią jedno, a życie pisze przewrotne scenariusze. Dużo czasu upłynęło, nim ból i smutek przeszły w złość i potrzebę znalezienia winnych.

– W kurtce ofiary znaleźliśmy kamienie. Podejrzewam, że było ich więcej, sprawca dociążył ciało, żeby łatwiej poszło na dno. Tutaj nie jest głęboko, gdy zgubiła część balastu, wypłynęła na powierzchnię.

Zimą zwłoki mogą przebywać na dnie kilka tygodni, nim wypłyną, ale z jakiegoś powodu nie chciała tyle czekać. Zmiany gnilne w takim przypadku zachodzą wolniej niż na powietrzu i nie są zaawansowane. Myślę, że ciało o coś zahaczyło.

– To niewiele zmienia. Jeśli zginęła wcześniej, co było przyczyną śmierci?

– Zauważyłam zasinienia na szyi. Nie wyglądają na otarcia, które mogłyby powstać w wodzie, co wskazuje na uduszenie i warto się temu przyjrzeć. Spróbuj mnie zrozumieć. – Wodziła dłonią po namiocie. – W tym świetle i z moim kiepskim wzrokiem ledwie odróżniam od siebie członków ekipy technicznej. Muszę się temu poprzyglądać na spokojnie. U siebie na stole.

– Rozumiem i pewnie cię zaskoczę. Nie sądzę, by wybrała się tu na łyżwy.

Hirsch zarzuciła płaszcz na ramiona i otuliła się szczelnie wełnianym szalem.

– Wpadnij do mnie jutro po południu, powinnam wiedzieć trochę więcej. I nie zakładaj niczego w ciemno, to utrudnia robotę. – Uśmiechnęła się, jakby ostatnia uwaga komisarza dotarła do niej ze sporym poślizgiem.

Odwzajemnił uśmiech i zrobił jej miejsce, by wydostała się z namiotu. Samochód, który miał przewieźć ciało Julii Smugi do prosektorium, stał już na ścieżce prowadzącej w stronę Stawików, a czterech posepnych panów z obojętną miną czekało na sygnał, żeby zrobić, co trzeba, i wrócić do domu.

Do żon, dzieci i nudnego miejskiego życia z dala od nieuchronności losu.

Kreft podszedł bliżej i przyjrzał się ciału – było sine, miejscami fioletowawe, ale oprócz śladów typowych dla topielców nie wyglądało źle. Latem zwłoki wyciągnięte z wody potrafią przestraszyć nawet śledczego z wieloletnim stażem.

Spokój, który malował się na twarzy dziewczyny, był wręcz hipnotyzujący.

– W styczniu skończyłaby dwadzieścia lat. – Czuł, jak do uszu wlewa mu się ochryply głos Urygi. – Wyobrażasz sobie? Masz przed

sobą całe życie i nagle jakiś skurwiel ci je odbiera. Ot tak. Cudowny świat, nie ma co.

– Świata w to nie mieszaj – odparł komisarz i zmienił temat. – Załatw mi jej zdjęcie, w miarę aktualne. Puścimy komunikat różnymi kanałami, wydrukujemy plakaty i okleimy nimi okolicę, może ktoś widział coś niepokojącego.

– Nie zamierzasz skonsultować tego wcześniej z prokuraturą?

– Każda godzina się liczy. Czas ruszyć w teren, sprawca musi czuć nasz oddech i wiedzieć, że jesteśmy krok za nim. Szczegóły ustalimy rano na odprawie, pora zacząć przesłuchiwać świadków, o ile tacy są.

– Obserwowali, jak mężczyźni przenoszą ciało kobiety do auta.

– Rozumiem, że spuszczaamy temat tej nieszczęsnej taśmy? – spytał Uryga.

– Zobaczymy. Nie spóźnij się, bo osobiście wyciągnę cię z łóżka za jaja.

Zabrzmiało jak obietnica. Uryga skinął głową, wsiadł do stojącego niedaleko samochodu i wykręcił numer Natalii. Nie chciał spędzać tej nocy sam.



Atmosfera, którą Kreft zastał po przyjsciu do pracy, przypominała stypę. Zamiast drętwych żartów, obecnych tu na porządku dziennym i obniżających stres związany z pracą w wydziale kryminalnym, od rana panował grobowy nastrój. Komisarz nie miał ochoty z nikim rozmawiać i zaszył się w pokoju.

Zaczął dzień od sprawdzenia poczty. Żadnych maili, nie licząc spamu, który zapychał skrzynkę odbiorczą. Zdawał sobie sprawę, że cisza może być złudna, i spodziewał się, że burza rozpęta się z małej chmury.

Liczył na to, że Smuga zdążył ochłonać. Zranione ego prokuratora wisiało nad wydziałem niczym cień, grożąc nieuchronną apokalipsą. Kreft musiał być na nią przygotowany i zachować zimną krew bez względu na okoliczności.

Sięgnął po słuchawkę telefonu bezprzewodowego i wybrał jeden z numerów wewnętrznych. Ich wykaz wisiał na korkowej tablicy, która leżała pod jego biurkiem. Odkąd się tu wprowadził, nie znalazł czasu, by ją powiesić.

– Cześć. Za kwadrans widzimy się u mnie – zaczął, a gdy nie otrzymał od Marty Rybickiej żadnej odpowiedzi, dopytał: – Smuga się odzywał?

– Nie. Z Krynicką też nie ma żadnego kontaktu. Zapadli się pod ziemię.

– To nawet lepiej. – Rozłączył się. Wyjął czystą kartkę z podajnika drukarki i zapisał ją drobnym pismem. W końcu złożył ją na pół i położył przed sobą.

Dziesięć minut później wszyscy byli na miejscu i czekali na to, co chciał im przekazać. Spojrzał na twarze śledczych. Na części z nich malowało się zmęczenie, na innych strach i rezygnacja. Normalne, ludzkie reakcje.

– Z nieznanymi mi przyczyn prokurator zlecił sprawę śmierci córki nam i nie chcę wnikać w powody tej decyzji. Najpewniej będziemy pracować pod nadzorem prokuratury okręgowej, ale póki co za wcześnie na konkrety – zaczął, choć miał na ten temat wyrobione zdanie. – Pracujemy normalnie, bez względu na to, kim jest ofiara.

Tego typu sprawy trafiały do ludzi nie związanych z poszkodowanym, żeby zachować pozory obiektywizmu. Smuga miał silną pozycję i postanowił ją wykorzystać w zakulisowych rozgrywkach. Gdyby postąpił zgodnie z prawidłami, jego wpływ na śledztwo byłby żaden, a na to nie zamierzał pozwolić. Chciał trzymać na nim łapę.

– Wszystko wskazuje na to, że to zabójstwo, i tak traktujemy tę sprawę. Teren wokół jeziora sprawdzają funkcjonariusze, pracują na miejscu bez przerwy i starają się znaleźć ewentualnych świadków. Bury... – zwrócił się do Urygi – ...chciałbym, żebyś koordynował ten temat.

Uryga zadziwiająco dobrze zniósł niedobór snu. Zrobił, o co szef go prosił. Gdy stawił się na Stawikach, kilkunastu policjantów krążyło od mieszkania do mieszkania i przepytywało mieszkańców osiedla.



Bloki znajdowały się na tyle daleko, że trudno oczekiwać, aby ktoś coś widział, nawet z balkonów na ostatnich piętrach. Naocznych świadków też nie było; za to z każdego drzewa w okolicy zerknęła na przechodniów uśmiechnięta twarz dziewczyny. Wiele wysiłku kosztowało ich zdobycie zdjęcia. Wciąż tliła się nadzieja, że ktoś coś sobie przypomni, skojarzy fakty. Lecz gasła z godziny na godzinę.

– Marta, postaraj się ustalić, co robiła w ostatnich dniach, zanim urwał się z nią kontakt, pogadaj ze znajomymi. Smugę na razie odpuść, wezmę go na siebie – rzekł stanowczo. Nie chciał ryzykować wysłania jej na pożarcie.

Wisiała na telefonie do późnej nocy. Znajomi ze studiów potwierdzili, że z Julią nie było kontaktu od tygodnia. W trakcie sesji poprawkowej, która przeciągnęła się do grudnia, nikt nie zaprzętał sobie głowy jej nieobecnością. Widocznie wkuwała do egzaminu i nikt nie chciał jej przeszkadzać.

Wynajmowała w stolicy kawalerkę. Ojciec zadbał o to, by mieszkała sama. Wynegocjował wysokość czynszu i opłacał go regularnie z własnego konta. Nie była przesadnie towarzyska, dlatego jej zniknięcie nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Ale rodzice musieli przecież zauważyć brak kontaktu z córką.

Na razie nikt nie umiał precyzyjnie stwierdzić, kiedy zaginęła ani co się z nią potem działo. Istniała uzasadniona obawa, że nie dotarła nawet do stolicy.

– Spotkałem rano Krynicką na korytarzu – wtrącił Zieliński, który siedział wychylony w krześle i czekał, aż wystrzelają się ze wszystkich wątków. – Zamieniłem z nią pół zdania. Jest przerażona całą sytuacją.

– Nikt nie chciałby znaleźć się teraz na jej miejscu – wszedł mu w słowo Leks. – Jeden błąd i Smuga postara się o to, by wywalić ją na zbity pysk.

Zieliński się wyszczerzył, jakby ta wizja sprawiła mu przyjemność.

– Olać to. W każdym razie uczuła, byśmy byli ostrożni. Smuga jest jak pieprzony wulkan. Nie wiadomo, kiedy się obudzi i eksploduje – wtrącił.

– Dlatego to, o czym rozmawiamy, nie ma prawa wyjść na zewnątrz

– uprzedził ich Kreft. – Poszukaj, Zielu, powiązań między ostatnimi zabójstwami.

Komisarz poczuł na sobie wzrok wszystkich członków zespołu.

– Naprawdę sądzisz, że jest między nimi jakiś związek? Zgrywasz się.

– Nie wiem. Ale warto sprawdzić, czy coś ich nie łączyło – odparł Kreft.

– Dobra, zajmę się tym. – Zieliński rozłożył bezradnie ręce, biorąc to za fanaberię przełożonego.

Od początku wiedział, że to ślepy zaułek. Ofiary były podręcznikowymi przeciwieństwami. Daria Kubica pochodziła z rozbitej rodziny i dawno porzuciła nadzieję na wyrwanie się z beznadziei. Julia Smuga przeciwnie: córka prokuratora, studiowała na dobrej uczelni. Obie zginęły w podobny sposób, chociaż okoliczności odnalezienia zwłok były skrajnie różne.

Nie znały się. Ich drogi nie miały prawa się przeciąć. Różniło je wszystko.

– Coś wam chodzi po głowie? – dopytywał Kreft, chcąc pobudzić ich kreatywność. – To ostatni moment, gdy możemy strzelać ślepakami, więc jeśli macie jakieś pytania albo sugestie, proponuję wywalić je na stół teraz.

– Nie zaszkodzi prześledzić prognozy pogody – wtrącił się Mariusz Leks. – Ochłodzenie przyszło dopiero kilka dni temu, pamiętam, że przed tamtym weekendem wody nie ścinał jeszcze solidny lód. Jeżdżę tam na rowerze.

– Racja. Jeśli pozbył się ciała wcześniej, ktoś mógł to zauważyć. To popularne miejsce, kręci się tam sporo ludzi, zbiornik nie jest głęboki – zgodził się z nim Uryga. Spojrzał na mapę Stawików, wiszącą na korkowej tablicy.

– Nie chcę ingerować w to wróżenie z fusów, ale najwięcej do powiedzenia będzie miał Smuga, nawet jeśli staracie się ten fakt przemilczeć – wtrącił przytomnie Zieliński. – Nie stracił kontaktu z córką z dnia na dzień. Musiał wiedzieć, że nie odbiera telefonu i się nie odzywa.

Kreft nie wyprowadził go z błędu. Nie był typem faceta, który wisi na

telefonie kilka godzin dziennie i choć nie miał córki, potrafił sobie wyobrazić, że prokurator rozmawiał z nią rzadko; raz, najwyżej dwa razy w tygodniu.

– Smugę zostawcie mnie. Postaram się coś z niego wyciągnąć, to delikatny temat. Wracamy do pracy i informujemy się o postępach na bieżąco, okej?

Spojrzał wymownie na Zielińskiego, który domyślił się, do czego pije komisarz.

– Smuga się napatoczył, zaczął wypytywać, to co miałem zrobić? Kłamać w żywe oczy? Zresztą sądziłem, że rozmawiacie ze sobą o postępach śledztwa, a nie odstawiacie jakieś pieprzone szopki – tłumaczył się nieudolnie.

– Nieważne – odparł Kreft. – Macie mnie informować na bieżąco, rozumiemy się?

Odpowiedział mu chór pomruków. Wszyscy wrócili do swoich obowiązków.



Kreft wiele sobie obiecywał po rozmowie z Martyną Hirsz. Miał na tyle taktu, że wolał się nie spotykać w prosektorium z rodziną prokuratora. To ich czas na pożegnanie z córką, dlatego umówił się z nią po pracy w przytulnej kawiarni na Pogoni. Jej nazwa nawiązywała do jednego z najbardziej znanych utworów Jana Kiepury. Czas płynął tu swoim rytmem.

Dowiedział się tyle, ile mógł się domyślić. W płucach dziewczyny nie było wody, co znaczyło, że znalazła się w jeziorze już po śmierci, która, zgodnie z teorią Hirsz, nastąpiła w wyniku uduszenia. Byłby niepoprawnym optymistą, gdyby uwierzył w to, że ciało nosiło ślady prowadzące do mordercy.

Wszystkie raz na zawsze zmyła woda. O ile w ogóle tam były.

– Obejrzałam ciało bardzo dokładnie. Tam nic nie ma. Jest czyste jak łąka.

– Mogę cię o coś poprosić? – zwrócił się do niej komisarz.

Włożyła na nos okulary, które czyściła, i przyjrzała mu się uważnie. To pytanie nie mogło prowadzić do niczego dobrego, dlatego chciała dać mu w ten sposób do zrozumienia, żeby się nie zagalopował.

– Słucham. – Wypowiadając te słowa, wiedziała, że będzie tego żałować.

– Jesteś ostatnią osobą, którą mogę o to prosić, bo masz zawodowy dystans i zajmujesz się wyłącznie swoją działką. Czy obu zbrodni mógł dokonać ten sam człowiek? W obu przypadkach ginie młoda kobieta, w obu nie mamy śladów ani seksualnego podtekstu, obie zostają uduszone.

– Tak. – Odpowiedź poprzedziła krótka pauza, jednak była na tyle wymowna, że wytrąciła mu z ręki wszystkie argumenty. – Choć sporo je też różni.

Nie przerywał jej.

– Teraz wiesz, czemu się nie bawię w te wasze podchody? Po to, żeby zachować obiektywizm i nie zaprzętać sobie głowy hipotezami. Każde ciało lądujące na moim stole jest osobną opowieścią, staram się ją odtworzyć na podstawie śladów, które są na nich zapisane. Jest wiele wątków łączących śmierć tych dwóch kobiet. Was interesuje sprawca, mnie – ofiara. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to tak, obie zginęły w podobny sposób. Ich ciała zostały przetransportowane, nie ma śladów wskazujących na to, żeby zostały wykorzystane seksualnie bądź przeszły tortury przed śmiercią.

Spojrzał za okno. Wzdłuż ulicy Mariackiej sunął tramwaj. Zatrzymał się na przystanku w pobliżu okazałego, choć zaniedbanego gmachu Sosnowieckiej Szkoły Realnej, wypłuł z siebie grupkę zmęczonych ludzi. I odjechał.

– Przyczyną śmierci w obu przypadkach jest uduszenie. Wiek ofiar jest niemal identyczny. Jednak miejsce odnalezienia zwłok diametralnie inne. No i nie zapominaj o tym, że pierwsza z kobiet miała podcięte nadgarstki.

Upiła łyk kawy. Mówiła tak spokojnie, jakby uczestniczyła w spotkaniu klubu książki, a nie nawiązywała do brutalnych zabójstw. Ale co do jednego Martyna Hirsza miała rację. Ofiara była kluczem do rozwikłania tej zagadki.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

To było najdłuższe pół godziny w jego życiu. Nie pomogło obsesyjne liczenie płynących zbyt wolno sekund. Nie spuszczał oka z komórki ściskanej w spoconych dłoniach.

Nic. Żadnej wiadomości. Nie tak, do jasnej cholery, się umawiali! Czekał.

Wolał nie wyobrażać sobie, co się dzieje w tym przeklętym domu, a w zasadzie jak to się odbywa. Znał założenia planu, który wcześniej obgadali, w końcu sam go wymyślił. Liczył się efekt końcowy, tylko on go obchodził.

Plan był dziecinnie prosty.

Nafaszerowani sterydami goście, którzy spuścili mu ostatnio lanie, wskoczyli w robocze kombinezony i pod pretekstem wyceny zlecenia na prace w ogrodzie mieli odwrócić uwagę gospodarza i wystawić mu go na tacy.

Hajduk nie odrywał wzroku od lusterka. Widział, że dostali się do środka.

Wszystko zaczęło się zazębiać. Nie miał wpływu na ciąg dalszy, a mimo to z jakiegoś powodu czuł niepokój. Rozglądał się nerwowo, sprawdzał, czy ktoś się nie kręci w pobliżu. Nasłuchiwał. W oddali przejechał samochód. Na tyle daleko, że nie zaprzętał nim sobie głowy. „Zachowaj spokój”.

Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze ustami. Powtórzył to kilka razy.

„To i tak nie ma teraz znaczenia”, wmawiał sobie uparcie. „Skoncentruj się”.

Śnieg zakrył przednią szybę warstwą świeżego puchu i Hajduk najchętniej by się pod nią schował. Próba uspokojenia oddechu nie

przyniosła skutku, znów był kłębkim nerwów. Zamknął oczy i uciskał palcami skórę wokół karku.

Wciągnął kolejny haust zimnego powietrza, szykując się do kolejnej próby, gdy poczuł wibrację komórki. Wypadła mu z rąk i spadła na fotel pasażera.

– Niech to szlag! – zaklął pod nosem i wyładował złość, uderzając w fotel.

„Wszystko przebiega zgodnie z planem”, uznał, a mimo to bał się spojrzeć na wyświetlacz i przeczytać wiadomość. Uzgodnili jej treść i powtarzał ją w myślach niczym pieprzoną mantrę. Czas wykonać decydujący krok. Teraz.

Wysiadł z auta, zapiął kurtkę i wsunął na głowę obszyty futrem kaptur. Na wszelki wypadek, wolał nie kusić losu. Szedł w stronę dobudowanego do bryły budynku garażu, tam miało się wszystko rozegrać. Wiedział, czego ma się spodziewać. Nie popełni ponownie tych samych błędów. Nie dziś, skurwielu.

Temperatura spadła, nie czuł zimna. Z nieba sypał ostry śnieg i kłuł twarz setkami drobnych igieł, wbijając się w skórę niczym żądła. Nic nie mogło przeszkodzić mu w osiągnięciu założonego celu. Oddychał zemstą.

Od latarni, gdzie zostawił auto, do bramy wiodącej na posesję dzieliło go czterysta metrów w zupełnej ciemności. Wiedział, że nie powinien wzbudzać podejrzeń, i starał się zachowywać naturalnie. Szedł z rękami w kieszeniach, co jakiś czas się upewniając, czy ktoś nie wygląda przez okno albo nie wyszedł przed dom wyrzucić śmieci. „Tylko spokojnie”, powtarzał.

Odwrócił się. Główna ulica opustoszała. Światła były zgaszone. Wszedł na żwirową ścieżkę prowadzącą pod dom.

Z tej strony nic mu nie groziło. Odległość od najbliższych zabudowań była na tyle duża, a warunki atmosferyczne na tyle trudne, że nie było potrzeby się specjalnie ukrywać. Dom na uboczu miał swój urok i tajemnice.

Złapał za klamkę. Nie stawiała oporu. Zgarbił się i pochylił, jakby odruchowo chciał ukryć się za kolumną iglaków preżących się wzdłuż ogrodu. Nad bramą garażową zaśniała lampka, oblewając podjazd

wątlą smużką światła.

„Dobry znak, chyba udało im się dostać do środka”, myślał, idąc w jej stronę.

Słyszał, jak blacha się unosi, faluje, trącana podmuchami wiatru. Usiłował dostrzec coś w tonącym w mroku pomieszczeniu. Wzrok potrzebował czasu, żeby przywyknąć do ciemności wyciągającej ku niemu zachłanne łapska. Cicho. Wewnątrz panowała nienaturalna cisza.

Wszedł do środka. Oswajał przestrzeń światłem latarki w telefonie, kreśląc osobliwe wzory na ścianach. Wokół rozciągała się gęsta pajęczyna mroku. Strach rozstawił po kątach klejące sieci.

– Jest tu ktoś, halo... – odezwał się półszepem, czekając na potwierdzenie. Nic.

Obrzucił snopem światła sąsiednią ścianę, usiłując wymacać włącznik.

Sklecony z metalowych łączników regał tworzył coś w rodzaju pancерnej konstrukcji, wypchanej kartonowymi pudłami, kubłami po farbach i narzędziami, wciśniętymi w plastikowe, przezroczyste worki. Nic, czego nie mógł się spodziewać w miejscu takim jak to. Wszędobylski mrok schował w potężnych ramionach wszystko, co znajdowało się w środku.

Szedł ostrożnie, wsłuchując się w pomruk ciszy, unoszący się nisko nad podłogą. Zdawała się szeptać do niego, gładziła go po twarzy i dawała iluzję bezpieczeństwa. Obrzucił światłem kolejny kąt. Gotów był przysiąc, że coś zamajaczyło pod ścianą. Zawahał się, wciąż walczył z myślami i zastanawiał się, czy chce wiedzieć, co tam naprawdę było. Przełknął ślinę.

Skierował strumień światła w tamtą stronę. Nie mylił się. Na krześle w kącie siedział związany sznurem człowiek z papierową torbą na głowie.

– Możecie wreszcie wyleźć z tej pieprzonej nory, to przestaje się robić zabawne! – rzucił w pierwszym odruchu, jednak nie doczekał się odpowiedzi.

Bał się unieść snop światła nawet centymetr wyżej. Wiedział, kto siedzi na krześle, wyobrażał to sobie wiele razy. Mimo to odczuwał

dziwną niemoc, która ogarniała całe ciało i paraliżowała je. Zamknął oczy. Podeszedł bliżej.

Mężczyzna siedział w samych bokserkach, na głowie miał papierową torbę na zakupy. Po co go rozebrali? Nie tak się umawiali. Może coś poszło nie tak, poniosło ich i postanowili się ulotnić? Za późno na wyrzuty sumienia.

Nie słyszał jego oddechu. Wszystko wskazywało na to, że był martwy.

Hajduk czuł, że uginają się pod nim nogi, słabnie i traci kontrolę nad ciałem. Strach wirował w gęstym powietrzu i opadał ciężko na ziemię, utrudniając mu utrzymanie równowagi. Wystraszył się. Nie tak się umawiali...

Wypatrywał w mroku obu mężczyzn. Ich reakcja nie powinna go dziwić. Wykonali swoją robotę, mieli prawo zniknąć, rozpląnąć się we mgle. Nieważne. Dostał to, czego oczekiwał, i nie byli mu już do niczego potrzebni.

Złapał opuszkami palców za koniec tekturowej torby i pociągnął ją w górę, odruchowo zrzucając na ziemię. Zobaczył przed sobą zmasakrowaną twarz i wiedział, co poszło nie tak. Na krześle siedział jeden z jego ludzi...

Z rozciętego gardła sączyła się czarna strużka krwi, wyczuł ją na koniuszkach palców. Jej zapach mieszał się w powietrzu z wonią moczu i wilgoci.

Nie zauważył, kiedy stracił przytomność. Silne uderzenie w tył głowy sprawiło, że osunął się bezwładnie na posadzkę, a świat zgasł niczym zdmuchnięta świeca...



## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, komisarzu.

Kreft zachował to dla siebie, jednak trochę błądził, nim znalazł niepozorną klinikę medycyny estetycznej, znajdującą się w niskim, parterowym budynku przy wylocie z miasta. Czuł się nieco skrępowany, czekając w ogonku pań w poczekalni, choć te, wpatrzone w ekrany połączonych smartfonów, zdawały się nie zwracać na niego uwagi.

Ulżyło mu, gdy usiadł na krześle w pomieszczeniu umeblowanym jak gabinet stomatologiczny. Iwona Smuga-Brehmer przypominała szkolną higienistkę. Obawiał się, że każe mu się rozebrać do pasa i głośno zakaszleć.

– Proszę się nie obawiać reakcji męża. To ambitny, ale chorobliwie uparty człowiek. Znalezienie winnego śmierci córki to dla niego kwestia honoru, a moim zdaniem niezbędne są konsekwentne, przemyślane działania – tłumaczyła, sprawiając wrażenie kogoś niezwykle wyrachowanego, zimnego.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by winny trafił do więzienia – zapewnił ją.

– Wiem. Dlatego wymusiłam na nim to spotkanie. Zdaję sobie sprawę, że nie odzyskamy Julii, jednak chciałabym, by zabójca odpowiedział za swoje czyny. – Starła się trzymać emocje w ryzach, jednak powoli brały górę nad zdrowym rozsądkiem. Była atrakcyjną kobietą i na każdym etapie ich rozmowy próbowała trzymać fason, nie pozwalając sobie na chwilę nawet słabości.

– Wiem, że państwa córka wynajmowała mieszkanie w Warszawie, jednak od kilku dni nikt jej tam nie widział. Kiedy stracili z nią państwo kontakt?

Zamyśliła się. Odkąd dowiedziała się o śmierci córki, nie umiała skupić się na firmie. Przyjeżdżała tu tylko po to, żeby zająć czymś myśli. Wpatrywała się w stojący na biurku kalendarz, jakby szukała tam jakichś podpowiedzi.

– Dzwoniłam do niej tuż przed wyjazdem do Warszawy. Jechała na dworzec, jak dziesiątki razy wcześniej. Nic nie wskazywało na to, żeby coś się miało wydarzyć. Mąż zdołał ustalić, że nie wsiadła tego dnia do pociągu...

Kreft też o tym wiedział. Zresztą trudno przypuszczać, by ktoś wiół jej ciało z Warszawy, a następnie wyrzucił je do Stawików w Sosnowcu. Uznał, że zachowa tę uwagę dla siebie, nie zamierzał niepotrzebnie drażnić kobiety.

– Ustaliliśmy, że nie kontaktowała się z nikim ze znajomych na miejscu. – Wiedział, że to marne pocieszenie. Jak na razie nie mieli niczego konkretnego.

– Jula nie była specjalnie towarzyską osobą, nie sugerowałabym się tym. Skupiała się na nauce, nie na zabawie, wpajaliśmy jej to z mężem od lat – zaśmiała się bezradnie i pokiwała głową. – Wie pan, ile wysiłku kosztowały nas zabiegi, by nie wpadła w złe towarzystwo i nie zmarnowała sobie życia? Proszę przyznać, brzmi to jak ponury żart. – Z trudem przełknęła ślinę.

Zauważył, że oczy zachodzą jej łzami. Nie uchronili jej przed tragedią, mimo że przez całe życie starali się zapewnić jej bezpieczeństwo.

Zastanawiał się, czy to, w jakich warunkach się wychowujemy, ile uwagi poświęcają nam rodzice, ma wpływ na decyzje, które podejmiemy w przyszłości. A może los bez względu na wszystko i tak rozda nam trefne karty?

– Podczas ostatniej rozmowy nic pani nie zaniepokoiło w jej zachowaniu?

– Nic. Jula zachowywała się normalnie, planowała zaliczyć sesję i jechać na narty. Mąż zarezerwował dla nich świetny hotel w szwajcarskich Alpach. – Zorientowała się, że odbiega od tematu. – Proszę nie pomyśleć, że była rozpieszczoną, snobistyczną studentką. Nie wywyższała się, nie pokazywała znajomym, że pochodzi z bogatej

rodziny, a ojciec jest prokuratorem. Była skromną, zamkniętą w sobie dziewczyną. Od lat staraliśmy się, żeby wyrosła na pewną siebie kobietę, lecz nasze zabiegi na niewiele się zdały.

– Wie pani, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić?

– Gdybym wiedziała, nie rozmawialibyśmy o tym – zauważyła nie bez racji.

Kreft długo bił się z myślami, nim wyartykułował, co leżało mu na wątrobie.

– Pani mąż ma kontrolę nad śledztwem, chociaż oficjalnie jest z niego wyłączony, i naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, aby mógł o czymś nie wiedzieć.

Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem. Upewniała się, czy dobrze zrobiła.

– Andrzej jest wzorowym mężem i ojcem, jednak w tym przypadku działa pod wpływem emocji. Brakuje mu zimnej krwi, cierpliwości i niezbędnego dystansu. Nie zależy mi na tym, by ktoś odpowiedział za śmierć córki. Modlę się o to, by za kraty trafił jej prawdziwy morderca.

– Czego pani w takim razie ode mnie oczekuje? – zaczął się niecierpliwić.

– Żeby pan powstrzymał męża przed popełnieniem błędu, przed pójściem na skróty. – Powiedziała to tak cicho, jakby sama nie chciała tego usłyszeć.

Kreft się z nią zgodził. Obiecał, że uczyni, co w jego mocy, i opuścił gabinet.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Uryga kojarzył restaurację znajdującą się nad brzegiem Stawików z relacji znajomych. Sam jeździł tu często na rowerze i nigdy nie zajrzał do środka. Dochodziła dwudziesta, a Natalii nie było. Spoglądał nerwowo na wyświetlacz komórki, czekając na jakieś usprawiedliwienie z jej strony. Nic. Gdy w środku rozległy się nieśmiałe dźwięki gitar, uznał, że zaczeka przy stoliku.

Trzy dziewczyny stroiły instrumenty na niewielkiej scenie, traktując kameralny występ śmiertelnie poważnie. Kelner wręczył mu kartę dań. Uryga nie przyszedł tu jeść, ale przejrzał ją z nudów. W lokalu naliczył kilkadziesiąt osób.

Zamówił piwo i usiadł w rogu sali. Marta Rybicka zobaczyła go i pomachała ze sceny, przekazując na migi, że zgadają się po występie. Cieszyła się, że przyszedł. W środku panował dziwny nastrój: ludzie siedzieli przy stolikach zajęci rozmową i nikogo nie obchodziło, kto brzdęka na scenie. Ot, typowy koncert do kotleta. Nie spodziewał się w końcu tłumów.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno. W świetle lamp księżyc odbijał się od lustra wody. Kilkaset metrów stąd wyłowiono ciało córki prokuratora, jednak świat nie zamierzał z tego powodu zwalniać tempa choćby na sekundę.

Zespół rozkręcał się z każdym utworem. Uryga pił piwo i słuchał zupełnie niezłych interpretacji Nirvany, The Smashing Pumpkins czy Pearl Jam. W kobiecym wydaniu słyszał te klasyki po raz pierwszy. Zaczekał na przerwę i przecisnął się w stronę baru w sali głównej. Skinął na barmana za ladą.

– Chciałbym pomówić z menedżerem lokalu.

Zero reakcji. Przymulony młodzian spoglądał na niego z mieszanką

irytacji i znudzenia na pokrytej młodzieńczym trądzikiem twarzy. Policyjna legitymacja, którą Błażej Uryga machnął mu pod nosem, rozwiązała mu język.

– Zaraz – odparł i udał się na zaplecze, wzbudzając irytację klientów czekających przy barze. Ich złość skupiła się na policjancie, do czego ten zdążył przywyknąć. Wyczuł czyjąś dłoń na ramieniu, a zza pleców wyrósł dobrze zbudowany facet po trzydziestce, w ciasnych spodniach i koszuli w prążki.

– Możemy gdzieś usiąść? – zaproponował. – Denerwuje mi pan klientów.

Uryga przystał na propozycję i wskazał stolik pod oknem. Widok na scenę był stąd fatalny, jednak nad głową policjanta wisiał nieduży głośnik, z którego rozlewały się dźwięki kolejnych utworów granych na żywo.

– Słucham, w czym mogę pomóc? – Mężczyzna uraczył go firmową regułką i czekał znudzony, aż policjant zacznie go maglować. Zachował spokój.

– Słyszał pan na pewno o dziewczynie, którą wyciągnięto ze Stawików. – Uryga nie zwykł trzymać się wyniesionych ze szkoły policyjnej wytycznych.

– Obiło mi się o uszy. Chociaż nie znam tematu.

– Chciałem się dowiedzieć, czy któryś z pana pracowników lub klientów zauważył coś niepokojącego. – Nie bawił się w przydługi wstęp.

– Nie sądzę. Wszystko rozegrało się po drugiej stronie jeziora. Z tej odległości nic nie widać, tym bardziej zimą, gdy nie rozstawiamy stolików nad brzegiem. Teren jest oświetlony, jednak droga od strony miejsca, w którym wyłowiono zwłoki, jest zaniedbana. Ubiorę się i możemy się tam przejść, to niedaleko. Sam pan zobaczy – zaproponował.

– Nie trzeba. Rozmawialiście o tym w swoim gronie?

– W pracy rozmawia się o wszystkim. To nie jest komfortowa sytuacja dla nikogo, choć takie rzeczy się zdarzają, niestety. W każdym razie nikt nic nie widział, może pan porozmawiać z ludźmi, którzy pracowali w lokalu, ale to nic nie da, proszę mi zaufać. Znam

ich.

– Czy drogą, o której pan wspominał, można dojechać na tamten brzeg?

Mężczyzna zamilkł na moment, jakby starał się pokonać ten odcinek w myślach.

– Szczerze mówiąc, nie polecam, ale jeśli ktoś się uprze, na pewno. Zbiornik jest nieduży, można go obejść w dwadzieścia minut, chociaż dojazd od strony Stadionu Ludowego jest dużo wygodniejszy.

– A od strony miasta? Za parkingiem od Sobieskiego są wstawione słupki.

Mężczyzna zaśmiał się, jakby ta wypowiedź przysporzyła mu wiele radości.

– Proszę mi wierzyć, ludzie latem jeżdżą po trawnikach i parkują w takich miejscach, że wstyd się przyznać. Miasto planuje zainstalować monitoring, może to powstrzyma tych kretynów – dodał z satysfakcją. – Zimą jest mniej ludzi, szybko zapada zmrok, nie liczyłbym na to, że ktoś coś widział.

– Rozumiem. Mimo wszystko będę wdzięczny, jeżeli porozmawia pan ze swoimi ludźmi. – Zapisał numer na podstawce od piwa. – Gdyby ktoś sobie coś przypomniał, proszę o telefon.

Nie spodziewał się lawiny połączeń, jednak nie zaszkodziło spróbować.

– Oczywiście – odparł menadżer z plastikowym uśmiechem. Wyglądał, jakby zrzucił z siebie ciężar. Uryga wrócił pod scenę i odprowadził go wzrokiem na zaplecze. Wydawało mu się, że facet wyrzucił podkładkę z numerem do kosza przy barze.

Zapomniał o Natalii i przestał się łudzić, że się zjawi. Pewnie coś jej wypadło w redakcji, wmówił sobie. Dziewczyny zagrały kilka kawałków i dorzuciły coś od siebie, zaczęły pakować instrumenty, a w lokalu zrobiło się pusto. Marta Rybicka przysiadła się do jego stolika. Wyglądała naprawdę zjawiskowo w skórzanych spodniach i czarnej koszulce na ramiączkach.

– I co? Udało ci się coś ustalić? – zaczęła, nawiązując do jego rozmowy z menadżerem lokalu. Musiała zauważyć, że się spotkali. – Wahałam się, czy po tym wszystkim nie odwołać występu, ale wiesz,

mam zobowiązania wobec dziewczyn. Chcemy się rozwijać, a przy okazji coś zarobić.

– Nie przesadzaj. To był zły pomysł, do tego straciłem prawie pół koncertu.

– Przestań. Dzięki, że przyszedłeś. Mam nadzieję, że się nie wynudziłeś.

– Żartujesz? Naprawdę nieźle naparzacie – śmiał się. – Podobało mi się.

– Skoro tak, pomóż nam się spakować. Mamy sporo sprzętu, a póki co nie stać nas na tragarzy. Zespół złożony z samych kobiet ma ograniczenia.

– Nie ma sprawy. Jak zostaniecie sławne, będę się tym chwalił wnukom.

Zapakowali wszystkie graty do bagażnika i wypili jeszcze po piwie, a facet jednej z nich odwiózł go do domu. Pół nocy nie mógł zasnąć, głowa bolała go z niewyspania, a w uszach dźwięczał refren jednego z kawałków.

Znieczulił się rumem rozcieńczonym wodą, niczego innego nie miał akurat pod ręką. Zerknął na wyświetlacz telefonu. Żadnej wiadomości od Natalii. Nic.



Kreft dotarł na komendę i pierwsze, o czym pomyślał, gdy wdrapał się na trzecie piętro, to kawa. Mocna i energetyczna. Korytarze były wyludnione, co nigdy nie wróżyło dobrze. Stanął w aneksie kuchennym i podgrzał kawę w ekspresie przelewowym. Dolał trochę mleka dla zabicia kwaśnego smaku.

Z kubkiem w dłoni udał się do gabinetu Krynickiej. Olga zapychała się śliwkami w czekoladzie i spojrzała na niego, jakby zastał ją w dwuznacznej sytuacji. Mógł, co prawda, zapukać, ale zwykle tego nie robił.

– Jezu, Robert, tak trudno zapukać przed wejściem?! Co cię sprowadza?

– Nie przeszkadzaj sobie. Rozmawiałaś ze Smugą? Nie odbiera telefonu.

Krynicka westchnęła i przyglądała się, jak komisarz siada po drugiej stronie biurka. Pił spokojnie kawę i czekał, aż pani komendant przełknie suszoną śliwkę. Ich związek rozpadł się kilka lat temu, zdążyła ułożyć sobie życie, zapomnieć o tym, co ich łączyło, i wyjść za mąż, jednak nie był jej obojętny.

Czasem żałowała, że postawiła na karierę i pozwoliła mu odejść. Szczególnie wtedy, gdy mąż stawał się kimś obcym, wyzywając się na niej psychicznie i sprawiając, że czuła się nikim. Nikt o tym nie wiedział. Nauczyła się dobrze udawać.

– Zabawne, zwykle to on się skarży. Nie dzwonił, a ja nie zamierzam naciskać. Sprawa jest delikatna. Serio, muszę ci to tłumaczyć? – odburknęła.

– Jakim cudem udało mu się przeforsować, żeby sprawa została u nas?

– Robert, nie interesuje mnie to. Widać ma swoje sposoby. Wiesz o tym.

– Muszę z nim pogadać. Inaczej nie ruszymy z miejsca.

Krynicka nie odpowiedziała, rozłożyła bezradnie ręce. W gabinecie panowała cisza, przerywana szumem ulicy za oknem i zgrzytem plastikowych kółek pod jej krzesłem. Milczeli. Wciąż spoglądali na siebie wzrokiem będącym mieszanką fascynacji i niewykorzystanych szans. Krynicka miała do siebie żal, że się rozstali.

Wyprowadził się bez słowa. Gdyby zrobił to w złym stylu, krzyczał i wyzywał ją od najgorszych, łatwiej by to zniosła. Wciąż miała pierścionek zaręczynowy, który dał jej tego wieczoru. Trzymała go w skrzynce z biżuterią. Odmówiła. Wydawało jej się, że są za młodzi, że mają czas i powinni skupić się na karierze w policji. Zrozumiał, ale nie chciał czekać. Spakował swoje rzeczy i zniknął z jej życia, zostawiając pustkę, której nie zdołała wypełnić.

– Czego oczekujesz? Że przyprowadzę ci go za rękę? – nie wytrzymała.

– Nie. Że przestaniesz chronić własną dupę i przemówisz mu do rozsądku.



Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Otworzyła usta, wciągnęła powietrze i wypuściła je nosem. W końcu zebrała się w sobie.

– Wyjdź stąd. Natychmiast.

Zrobił to, o co prosiła, i zostawił ją sam na sam z myślami. Zamknął za sobą drzwi i wyszedł na korytarz, stając się przypadkiem świadkiem kuriozalnej sytuacji.

Dwóch policjantów prowadziło pod rękę Dariusza Bregułę i tylko dzięki ich czujności mężczyzna nie stał się ofiarą linczu. Zgromadzeni wzdłuż korytarza policjanci jak nigdy solidaryzowali się ze znienawidzoną prokuraturą.

Komisarz z trudem przeciskał się między nimi, usiłując wyprzedzić konwój.

– Co tu się dzieje? – zapytał podpierającego ścianę funkcjonariusza.

– Prowadzą faceta, który zabił córkę prokuratora.

Kreft widział policjanta pierwszy raz. Nie miał pojęcia, w którym wydziale pracuje.

– O czym ty mówisz?

– Ten świr ją zamordował. – Mężczyzna powtarzał zasłyszana wersję.

Kreft wiedział, że nie ma sensu ciągnąć wątku. Chciał się przebić bliżej, ale zatrzymał się na plecach policjantów stojących przed salą przesłuchań.

– Wpuście mnie! – Przepychał się coraz bardziej zdenerwowany.

– Nic z tego. Prokurator chce rozmawiać z nim na osobności – usłyszał.

– Pojebało was? – Odepchnął jednego z nich i przecisnął się do środka.

Wydawało się, że z ciasnej sali przesłuchań ktoś wyssał całe zasoby tlenu.

Smuga przypominał gipsowy odlew, był nawet bardziej sztywny i blady. Obok Breguły siedział Uryga, jakby robił za przyzwoitkę. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie wie, w jaki sposób znalazł się w oku cyklonu.

Wsluchiwał się w ciszę. Ta rozciągała się i zataczała ósemki pod sufitem.

– Policzę teraz do trzech, a kiedy skończę, was już nie będzie. –

Prokurator przerwał tę farsę i wskazał na policjantów z wydziału kryminalnego. – Raz...

– Nigdzie się nie wybieramy, chyba że wyprowadzisz nas siłą – odparł Kreft i kontynuował: – Nie odezwę się słowem, świadek należy do ciebie. Dla twojego bezpieczeństwa będzie lepiej, jeśli tu zostaniemy. Przemyśl to.

Andrzej Smuga szybko przeanalizował rachunek zysków i strat. Odpuścił.

– W takim razie nikt nie opuści tego pomieszczenia, zanim się nie dowiem, czemu ten skurwiel zabił mi córkę! – cedził przez zęby pojedyncze słowa.

– Nikogo nie zabiłem – wtrącił Breguła, wywołany do odpowiedzi. Brzmiał zadziwiająco spokojnie. – Sam też straciłem córkę, nikomu tego nie życzę.

– Sami widzicie, gnój łże jak pies! – Smuga przestawał nad sobą panować.

Kreft nie słuchał, co Breguła ma do powiedzenia, to nie była jego rola. W takich sytuacjach więcej daje obserwacja mowy ciała i gestów. Przyglądał się dłoniom podejrzanego. Zaniedbane palce wystukiwały rytm na blacie stołu. Zachowywał się jak ktoś pozbawiony układu nerwowego. Milczał.

Ten spokój rozżłościł prokuratora. W jego źrenicach tliła się czysta nienawiść. Spodziewał się łez, zaprzeczania, wreszcie przyznania się do winy.

Nic takiego nie nastąpiło.

– Byłeś ostatnią osobą, z którą rozmawiała przez telefon. Ostatnie połączenia zarejestrowano w miejscu, w którym logowała się twoja komórka.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Zamówiła taksówkę! Mam ci przypomnieć? – Smuga zerwał się z krzesła. Zrobił to tak gwałtownie, że podjechało pod przeciwległą ścianę. – Pojechałeś po nią na siłownię, nie zmuszaj mnie, żebym musiał to powtarzać.

Dariusz Breguła zwiesił głowę i milczał. Wydawał się pogodzony z losem.

– Pozwól nam go przesłuchać – zaryzykował Kreft, próbując go uspokoić.

– Moja córka nie żyje. Zabiję tego, kto to zrobił, przysięgam. – Rzucił się na Dariusza Bregułę niespodzianie i z furją, o jaką nikt go nie podejrzewał.

Uryga zareagował z opóźnieniem, chociaż siedział bliżej niż Kreft. Doskoczył do prokuratora i odciągnął jego ręce od szyi Breguły. Wykręcił mu je i uniemożliwił ponowienie ataku. Wściekły Smuga nie rezygnował.

– Zabiję tego skurwysyna! Zejdź mi z drogi albo tego pożałujesz! – ryczał.

Policjant ani drgnął. Był wyższy i silniejszy od prokuratora, mimo różnicy wagi, która ich dzieliła. Breguła odkaszlnął, wypluł flegmę i osunął się na podłogę. Atak furii prokuratora nie zrobił na nim wrażenia. Nie bronił się.

– Puść mnie! – Smuga się wyrywał, jednak policjant zacisnął uścisk. Kreft uznał, że najwyższa pora wkroczyć do akcji i zacząć negocjować.

– Andrzej, odpuść. – Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz zwrócił się do niego po imieniu, jednak teraz nie było innego wyjścia. – Jeśli naprawdę to zrobił, pójdzie siedzieć do końca życia. Masz moje słowo. Zostaw go.

Mediacja nie pomogła. Prokurator znów zaczął się szarpać z Urygą. Bez skutku.

– Puść mnie, gówniarzu, mówię po raz ostatni! – groził Smuga.

– Nie.

– Sam się prosisz o kłopoty, gnoju!

Smuga zatoczył się do tyłu, z wykręconymi za plecy rękami, niemal tratując siedzącego na ziemi Bregułę. Potknął się i runął zwałistym cielskiem na Urygę, ten, nie zwalniając uścisku, wpadł na stół i znaleźli się w parterze.

Policjant się podniósł i stanął nad prokuratorem. Ten pogroził mu palcem.

– Masz przejebane! – Smuga wolno wstawał z podłogi. – Na twoim miejscu pakowałbym manatki i błagał o nienabrużdzenie

w papierach. To nie wszystko. Wewnętrzni dobrali ci się do dupy. Informacje o śledztwie wyciekają ci przez łapy, kiedy posuwasz pannę, którą ci podesłałem – syczał.

Kreft miał wrażenie, że na chwilę wszystko zamarło. Ktoś pstryknął palcami i zatrzymał obraz. Wiedział, że tego, co teraz nastąpi, nikt nie jest w stanie powstrzymać. Uryga błyskawicznie zniwelował dzielący ich dystans i złapał prokuratora za gardło, trzęsąc nim niczym lalką.

– Pierdol się! Nie będziesz dyktował mi, co mogę robić, ty jebany bufonie!

Kreft wkroczył między nich w ostatniej chwili. Złapał Urygę w pasie i odepchnął za siebie. Stał tyłem do prokuratora i zagroził mu drogę. Smuga krztusił się zalegającą w gardle śliną i długo nie podnosił się z podłogi. Komisarz ryknął:

– Wynoś się stąd i zabierz go ze sobą! – Wskazał na Bregułę.

Uryga posłuchał i skwitował to głośnym trzaśnięciem drzwiami.

Komisarz czekał, aż prokurator złapie oddech. Podał mu dłoń i pomógł się podnieść. Chwilę trwało, zanim Smuga doszedł do siebie. Wciąż ciężko dysząc, oparł dłonie na biodrach.

– Jeżeli mamy wsadzić go do więzienia, muszę mieć z kim pracować. Daj nam trochę czasu, wrócimy do tematu po zamknięciu sprawy – apelował Kreft.

Prokurator opadł ciężko na krzesło i zacharczał, jakby urwał się ze stryczka.

– Nie ma, kurwa, mowy – wykrztusił, a każde słowo sprawiało mu ból. – Lepiej niech zacznie się rozglądać za nową robotą. Tutaj jest skończony.

– Uratował ci skórę, gdyby nie zareagował, skatowałbyś podejrzanego. Nawet jeśli udałoby ci się z tego wyłgać, w prokuraturze byłbyś skończony.

– Zasłużył na to. I nikt nie śmiałby dobrać mi się do dupy, gwarantuję ci to.

– Uryga to mój najlepszy człowiek. Nie waż się rozwalać mi zespołu. Zapomnijmy o tym, co się tutaj wydarzyło, tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Smuga przeszył komisarza nienawistnym wzrokiem. Wiedział, że ten

ma przewagę.

– Współczuję, że pracujesz z imbecylami, ale ja muszę dostać człowieka, który odpowiada za śmierć mojej córki. I nic innego mnie nie interesuje.

– Znaleźliśmy ją niedawno. Nie wymagaj cudów. Robimy, co możemy.

– I właśnie w tym problem, Kreft. W tym, że gówno możecie.

Nie odpowiedział, pozwolił mu wylać swoje żale.

– Kiedy ty i cały ten twój zastęp pierdolonych druhów przewracaliście się na drugi bok, ja zdobyłem billingi z telefonu córki i przyskrzypiłem Bregułę.

Kreft wolał nie licytować się na argumenty. Bez wsparcia prokuratora nic nie wskóra. Nie ułatwiał mu pracy, nie odbierając telefonu. Przemilczał to.

– Sam zdecydowałeś się powierzyć nam tę sprawę.

– Tak, i widzę, że to był błąd. A wierz mi, kosztowało mnie to uruchomienia wielu znajomości. Na darmo. – Splunął na podłogę i wytarł usta. Krew.

– Zrobmy tak. Zejdę ci z oczu i wezmę bezpłatny urlop. A ty zapomnisz o sprawie i odpuścisz Urydze. Mój zespół zamknie otwarte wątki i przekaże całą dokumentację. A potem oddasz ją, komu zechcesz – zaproponował.

Andrzej Smuga mu się przyglądał. Wolno oblizał wargi i rzekł:

– W środę podeślę kogoś po akta sprawy, później nie chcę cię widzieć aż do jej zamknięcia. Tego swojego przydupasa trzymaj z daleka – dodał, odzyskując pewność siebie. – A teraz wypierdalaj stąd, zanim się rozmyślę.

## Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku

Siedział na kocu pod ścianą i śledził refleksy światła wpadające do środka. Teatr cieni rozgrywał się na podłodze i ścianach, strach wyciągał ku niemu patykowate łapska i zachęcał, żeby zagrał z nim w grę. Na jego zasadach.

Janusz Bursa czuł, że zeszło z niego ciśnienie, ktoś wbił szpilkę i spuścił całe powietrze. Mróz dał za wygraną, temperatura na zewnątrz podskoczyła o kilka stopni.

Nigdy wcześniej nie ogarnął go taki spokój. Szukał punktu, na którym mógł zawiesić wzrok. Wmówił sobie, że nie był w stanie nic zrobić, że to nie jego wina. Nawet kiedy o tym myślał, wiedział, że to kłamstwo. Gdyby zareagował od razu, nie doszłoby do tragedii. Gdyby. W gdybaniu był mistrzem.

Szkoda, że dotarło to do niego tak późno. Dziewczyna nie żyła, a on nie wiedział, co robić. Zgłosić się na policję? Przyznać się do porwania, próby gwałtu i zabójstwa? Racja, nie zrobił tego własnymi rękami, jednak to bez znaczenia, i tak odpowiadałby za współudział. To zły pomysł, uznał.

Zwykle przejmował się byle pierdołą, bał się podjąć ryzyko i do znudzenia rozważał dostępne wyjścia. Zachowywał się jak tykająca bomba. Tym razem wszystko się zmieniło. Puls wrócił na właściwe tory, a on zrozumiał, że nic nie zależy od niego. Nic. To bardzo oczyszczające doświadczenie.

Z otępienia wyrwał go charakterystyczny warkot silnika. Zerwał się na nogi i podbiegł do bramy garażu. Szulc usiłował wjechać swoim gratem pod drzwi. Bursa zastanawiał się, co zrobił ze zwłokami albo jak zamierzał się ich pozbyć.

Silnik pracował na wysokich obrotach, Janusz miał więc trochę

czasu. Pobiegł do biurka i grzebał nerwowo w szufladach. „Musisz gdzieś tu być...”, powtarzał sobie, ale nie znalazł tego, czego szukał. Składany nóż gdzieś się zapodział. Właśnie teraz, kiedy go potrzebował. Wziął to, co znalazł pod ręką.

Odczekał, aż Szulc zgasi silnik i trzaśnie drzwiami. Schował się za regałem. Gdy wspólnik wszedł do środka, rzucił się na niego i zaczął go okładać pięściami po całym ciele, zupełnie nie zwracając uwagi na to, w co uderza.

Wreszcie sięgnął po schowane w kieszeni nożyczki i wbił je w udo Szulca.

Wspólnik wydawał się zaskoczony sytuacją. Po serii ciosów zachwiał się, jednak nie zrobiły na nim wrażenia. Zebrał się w sobie i odpowiedział atakiem. Górował nad Bursą fizycznie, miał przewagę trzydziestu centymetrów i więcej siły, którą wykorzystał, żeby obezwładnić napastnika. Wykręcił mu rękę.

Szulc nie poczuł nożyczek. Ból w zranionym udzie odezwał się z opóźnieniem.

– Zabiję cię! Już nie żyjesz, ty skurwysynu – syknął przez zaciśnięte zęby.

Zacisnął dłoń pod szyją Bursy, drugą złapał za wygniecioną kurtkę. Janusz wierzgał nogami, machał pięściami i usiłował trafić go jednym z wyprowadzanych na ślepo ciosów, jednak z każdym kolejnym tracił impet, aż opadł z sił, jakby rozładował mu się akumulator. Spróbował ostatni raz.

Trafił. Uderzył go łokciem w tył głowy, za uchem, i widział, jak Szulc łapie za nie ręką. Zwolnił na moment uścisk i Bursa zyskał cenne sekundy na ucieczkę. Dopiero teraz odczuł trudy walki. Oddychał ciężko przez otwarte usta, próbując wpuścić do płuc odrobinę tlenu. Zachwiał się.

Szulc doskoczył i pchnął go z całej siły na regał. Bursa upadł i się zakrztusił.

– Coś ty, kurwa, zrobił! – krzyczał spazmatycznie, z trudem dźwigając się z ziemi. – Obiecałeś, że nic jej się nie stanie, że uda się wszystko odkręcić! – zawodził.

Szulc działał na zwolnionych obrotach. Oglądał dłoń, którą masował

potylicę, i sprawdzał, czy nie ma na niej śladów krwi. Wierzchem drugiej dłoni wytarł dolną wargę, czuł metaliczny smak w ustach. Oddychał regularnie. Zbierał siły.

– Zabiłeś ją! Ty śmieciu, zabiłeś ją! – Bursa nie przestawał wrzeszczeć, jakby ten krzyk mógł przywrócić jej życie albo przekonać go, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem. Za chwilę się obudzi. „Obudź się wreszcie!”

Nie zauważył nawet, kiedy Szulc ponownie do niego doskoczył i chwycił go za szyję. Zacisnął zęby. Bursa obserwował, jak cienka strużka krwi spływa mu po brodzie i rozpryskuje się o betonową posadzkę. Zakręciło mu się w głowie.

Widział coś jeszcze. Żądzę i gniew, przebijające spod otwartych powiek.

– O czym ty, kurwa, mówisz? Nikogo nie zabiłem – wysyczał Szulc, przyciskając go do ściany. Wypowiedział wyraźnie każde słowo. Między przebłyskami świadomości docierała do Bursy dalsza część, ale już jej nie usłyszał, zastąpił ją ból.

Nie wierzył mu. Przecież widział to cholerne nagranie!

– Zniszczyłeś mi życie. Ty gnoju, zabrałeś... mi... wszystko – wydukał Bursa i splunął mu w twarz.

W oczach Szulca mignęła ciemność. Zacisnął mocno palce.

Bursa znalazł się w innej czasoprzestrzeni. Tam, gdzie od dawna pragnął się znaleźć. Stracił przytomność? Ostatnie, co zapamiętał, to zaciskający się na szyi pasek, chyba tylko dzięki niemu zdołał się utrzymać na nogach. Nie miał sił, by zareagować. Może tak było prościej, może i tak nie umiałby żyć z piętnem zabójcy? Z powracającym każdej nocy wyrazem jej twarzy i błaganiem, żeby darował jej życie. Nigdy wcześniej nikogo nie skrzywdził.

Ostatnim obrazem była twarz Marka. Syn bawił się klockami, zamknięty w czterech ścianach swoich myśli. Bursa żałował, że nie dostał więcej czasu, że nie zdążył się z nim pożegnać. Pragnął go przytulić, obiecać, że wszystko się ułoży. Syn nie zasłużył na to, co właśnie mu zgotował. Bursa poczuł, że łzy płyną mu po twarzy; wsiąkają w skórę i spijają z niej gorzki smak bólu.

Rozejrzał się. Stał na krześle z pętlą paska zaciśniętą ciasno wokół



szyi.

Szulc kopnął w nogę stołka. Ten zachwiał się, zaszurał po podłodze i uderzył w nią z łoskotem. Janusz Bursa nie widział, kiedy wszystko zgasło. Czuł ulgę.

## Uryga i Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Trudno wyobrazić sobie gorszy moment na wizytę niż odebranie sprawy i służbowych uprawnień oraz wysłanie na przymusowy urlop bez gwarancji na powrót w dobrym stylu. Nie czuł się z tym dobrze, ale musiał zaryzykować. Po odsunięciu Krefta czuł się odpowiedzialny za śledztwo przynajmniej do czasu przekazania go ludziom wskazanym przez Smugę, co zwiastowało pewne turbulencje. Wiedział, że myślenie o tym niewiele zmieni.

Nacisnął dzwonek i czekał przed drzwiami. Kreft zaprosił go do środka. Dawno tu nie był. Zauważył, że zniknęły ciężkie, opadające na podłogę zasłony, a ich miejsce zajęły lżejsze firany i rolety. Wnętrze wyglądało na rozjaśnione i czyste. Zniknęła masa gadżetów zagracających półki i parapety. Komiksy i książki, walające się dotąd po całym domu, prężyły dumnie grzbiety na regale, ułożone jak od linijki. Czuć było dotyk kobiecej ręki.

– Martwiłem się, że będę musiał wysłać ci zaproszenie gołębiem – zaczął komisarz, prowadząc policjanta do pokoju gościnnego. – Siadaj, śmiało.

– Nie wiem, czy to jest właściwy moment, szefie – ubezpieczał się Uryga.

– Moment jak każdy, nie przejmuj się tym. Zaczekaj, przyniosę nam piwo.

Iga stanęła w progu kuchni i uśmiechnęła się do niego. Uryga miał okazję ją poznać, lecz związek Krefta był na tyle świeży, że jej widok wciąż budził w nim mieszane uczucia. Spotykał ją zawsze w formalnych sytuacjach, dlatego jej wygląd go zaskoczył. Miała na sobie dopasowane jeansy i czarną koszulkę z wywalonym językiem Stonesów zamiast klasycznej koszuli i spódnicy.

– Jak tam mała? – spytała, ściskając w dłoni plik papierów, a gdy zapewnił ją, że rośnie jak na drożdżach, kazała ją ucałować i zniknęła w kuchni. Zastanawiał się, dlaczego wszyscy pytają go o córkę, jakby temat był na tyle bezpieczny, że zawsze rozwiązuje język. Może chcieli być po prostu mili?

Usiedli na sofie. W tle leciał serwis informacyjny. Kreft podał mu butelkę zimnego piwa i przyciszył telewizor. Chłodne szkło mile łechtало wargi.

– Jestem tu, żeby pogadać, co dalej, Robert.

– Nic, trzeba czekać na rozwój sytuacji. Olga wysłała mnie na urlop, miałem dużo zaległego, prędzej czy później musiałem go odebrać. Wrócę za tydzień, dwa. Trudno powiedzieć, co robi Smuga. Jest w takim stanie, że lepiej trzymać go z dala od sprawy, ale on na to nie pozwoli. Oczywiście zostanie z niej wyłączony, jednak nie sądzę, by nie wpływał na nią w inny sposób – rzekł z przekonaniem i dodał: – Dociśnie Bregułę, może nawet zmusi go, by się przyznał. Chce dostać zabójcę córki za wszelką cenę.

Obaj milczeli, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Nie wierzę, że wyjedziesz na urlop. – Uryga zmienił temat. – Nie pamiętam, żebyś kiedyś to zrobił. – Rozłożył bezradnie ręce, uśmiechając się.

Kreft starał się zachować powagę. Nie umiał grać. Wzruszył ramionami.

– Wyskoczę na kilka dni, trochę odpocznę. Położę po górach, przewietrzę głowę. Ale wcześniej sprawdzę pewien trop, który nurtuje mnie od dawna.

– A nie mówiłem! – powiedział z satysfakcją Uryga. – Jesteś równie uparty jak on.

– Nie wchodź mu w drogę. Smuga od dawna szuka pretekstu, by odsunąć nas od głównych spraw, a teraz znalazł powód. On musi błyszczeć, stać w pierwszym szeregu i skupiać na sobie uwagę. Kłopot w tym, że ta sprawa jest zbyt osobista, więc Smuga nie cofnie się przed niczym – podsumował kwaśno.

– Podobno ma powstać nowy zespół, który zajmie się tą sprawą.

– Tracą czas. Według Hirsza nic nie wskazuje na to, by dziewczyna

została zgwałcona albo poddana torturom przed śmiercią. Rany na jej ciele są powierzchowne, nie sądzę, by coś oznaczały. Ktoś ją udusił i wrzucił do wody. To nie jest spontaniczna zbrodnia. Morderca wybrał ofiarę świadomie, pewnie ją obserwował i wiedział, że tego dnia wyjeżdża. Fantazjował o tym, że pozbawi ją życia, i wreszcie dopiął swego. To sprawca zorganizowany, inteligentny. To nie musiało być jego pierwsze morderstwo. Ani ostatnie...

– Też tak sądzę. Ciekawi mnie, dlaczego zdecydował się przewieźć ciało i wybrał akurat Stawiki. – Uryga myślał na głos. – To ryzyko, nawet zimą przechadza się tam sporo ludzi, ktoś mógł go zobaczyć. Wiedział też, że zwłoki wypłyną, to nie rzeka, nie wypłuje ciała kilkanaście kilometrów dalej.

– No właśnie. Sprawca zaciera tropy, to jego komunikat: złapcie mnie, jeśli potraficie. Są dwie możliwości. Wystraszył się, ktoś go spłoszył i pozbył się ciała. Albo to element planu, szerszej całości, i sprytnie wodzi nas za nos.

– Skoro tak, po co miałyby tak ryzykować?

– Wydaje mi się, że chce powiedzieć nam, dlaczego to robi. To komunikat.

– Pokrętna logika. Niby po co pchać łeb pod topór? – zastanawiał się Błażej.

– Nie wiem. Ta śmierć jest tak nieoczywista jak zabójstwo córki Breguły.

Uryga dopił piwo i się skrzywił, bynajmniej nie dlatego, że mu nie smakowało. Zgadzał się z Kreftem w kwestii intencji prokuratora i jego zakulisowych gier, ale nie rozumiał ich zimnowojennych stosunków. Obaj byli bardzo podobni: równie uparci i tak samo skupieni na celu.

– Miałeś to zostawić. Szulca ją zabił, a później się powiesił. Koniec pieśni.

– Popętniliśmy błąd, rozdrabniając się. Śmierć Szulca ma związek ze zniknięciem Nowickiej. Od początku uparcie to ignorujemy – wtrącił Kreft, wbijając wzrok w szybę i spoglądając w dal. Nieobecny. Ufał swojej intuicji.

– Dobra, nawet jeśli. Obaj wiemy, że Smuga nie zajmował się tą

sprawą.

– To prawda, prowadził wtedy sprawę samobójstwa Janusza Bursy. Z tym że Bursa miał firmę razem z Szulcem. Wciąż nie widzisz tu związku?

– Widzę, ale co z tego? Twierdzisz, że sprawcą jest porywacz Nowickiej?

Kreft tego nie skomentował. Szulc teoretycznie mógł zabić Julię Smugę. Zgodnie z opinią Martyny Hirsz ciało pozostawało w wodzie kilka dni, jednak przy niskiej temperaturze potrzebowali wyników specjalistycznych badań, żeby to potwierdzić. Kreft przeszedł pogodę w ostatnich dniach. Przed wyjściem Szulca z więzienia Stawików nie skuwał lód i ciało mogło wypłynąć.

Na korzyść Szulca przemawiało też to, że, według Krefta, nie zabił Darii.

– Zauważ, że obie dziewczyny zginęły w niemal identyczny sposób, przez uduszenie. I obie odnaleziono w innych miejscach niż to, gdzie popełniono zbrodnię. Jedną w mieszkaniu Szulca, drugą w Stawikach – uciął Kreft.

– W obu przypadkach trudno także precyzyjnie określić czas zgonu – odpowiedział Uryga. – Jeżeli masz rację, Smuga traci czas, maglując Bregułę.

– Dla mnie to oczywiste. Breguła nie poświęciłby córki. Nie w ten sposób, upokarzając ją i zostawiając nagą w mieszkaniu Szulca – odparł przytomnie komisarz. – Takie zabójstwa są bardziej spersonalizowane.

– Skoro nie Szulc i nie Breguła, to kto?

– Sądzę, że punktem wyjścia obu zabójstw jest ta przeklęta studniówkowa noc i zaginięcie Sylwii Nowickiej. Istnieje coś takiego jak engram, ślad pamięciowy, który tworzy się w układzie nerwowym w efekcie silnych przeżyć i na trwałe wpisuje się w nasze postrzeganie rzeczywistości. Myślę, że sprawca chce zagłuszyć wewnętrzny głos. Zakończyć to raz na zawsze.

W tym momencie do pokoju weszła Iga z talerzem drożdżowego ciasta z jabłkami i kruszonką.

– Nastawiłam wodę. Jeśli macie ochotę na kawę, herbatę, częstujcie

się. Ja idę na górę, muszę nadrobić zaległości w pracy. Nie chcę siedzieć po nocy.

– Dzięki – odparł Uryga. – I tak miałem zamiar się zaraz zbierać.

– Zostań – powiedział Kreft do Igi. – Skończyliśmy już gadać o pracy.

– Następnym razem. Robert będzie cię czarował, że ta sprawa po nim sływa, ale nie wierz w to. – Pogroziła im palcem. – Przekonaj go, że urlop dobrze mu zrobi. W tobie ostatnia nadzieja – zaśmiała się.

– Mówię mu to, odkąd pracujemy razem. Bez skutku. I dziękuję za ciasto. – Uryga uniósł talerz i odprowadził ją wzrokiem. – Masz szczęście. – Kiwał głową, gdy znikła na piętrze. – Nie dość, że piękna, to jeszcze inteligentna.

Kreft nie znalazł argumentu, by z nim polemizować. Zmienili temat i posiedzieli jeszcze trochę, gadając o wszystkim, z wyjątkiem pracy. Rozstali się przed północą i wrócili do swoich zajęć: ślęczenia przed komputerem i przeglądania starych akt w przypadku Krefta i wieczoru w towarzystwie piwa i koszykówki spod znaku NBA, który zafundował sobie Błażej.

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Michał Hajduk się ocknął. Nie pamiętał, gdzie się znajduje, czuł za to silny ból. Usadowił się pod czaszką, z tyłu głowy, i drażył w niej dziurę z obu stron jednocześnie. Ciemność ścigała powieki w dół, klejąca i gęsta niczym smoła.

Upłynęło trochę czasu, zanim zaczął odróżniać zatopione w mroku kształty. Śledził intymną grę szarości i cieni. Zastanawiał się, co to za miejsce, choć pamięć nie ułatwiała mu zadania. Czy był tu już kiedyś? Doskwierał mu chłód, czuł, że musi rozprostować zastane kości, zmienić pozycję.

Nie ruszał rękami od ramion po dłonie. Nie czuł wcale nóg. Ciało odmówiło posłuszeństwa niczym sparaliżowane. Pozostała mu kontrola nad szyją i oczami, zerkał więc na boki, usiłując ustalić, gdzie popełnił błąd. Źle znosił utratę inicjatywy. Zwykle to on rozdawał karty.

Siedział na krześle przewiązany sznurem w pasie i na wysokości ramion. Z tej perspektywy nie zdołał dostrzec, czy sznur oplata także kostki i łydki. Skoro nie był w stanie poruszyć nogami, wniosek wydawał się oczywisty.

Wiedział, że nie jest sam. Uśpione zmysły wprowadzały go w błąd, mimo to musiał im zaufać. Czuł podskórnie czyjąś obecność, słyszał czyjś miarowy oddech. Wyciągnął się najdalej, jak umiał, i spojrzał pod nogi. Prześwietlone klisze od razu wskoczyły na swoje miejsca w układance. Nie przewidziało mu się.

Czyżby miał podzielić los człowieka, którego zwłoki leżały obok krzesła?

– Jest tu ktoś? O co w tym wszystkim chodzi?

Nie otrzymał odpowiedzi. Zaszło mu w ustach. Każde

wypowiedziane słowo boleśnie raniło gardło.

Usiłował się wyswobodzić z krępujących więzów. Supły trzymały mocno.

Opadł z sił. Naprzeciw niego siedział wysoki mężczyzna, zauważył zarys jego smukłej sylwetki. Nieznajomy uznał, że Hajduk dochodzi do siebie, podniósł się i podszedł do ściany garażu. Włączył światło i wnętrze powoli wypełniło się żółtą poświatą, zmuszając Michała do zmrużenia oczu. Przebywał tu długo, skoro potrzebował tyle czasu, by przyzwyczać się do tej zmiany.

Idealnie dopasowany garnitur i lśniące, wypastowane buty męzczyzny nie pasowały do tej irracjonalnej scenerii ani do tego, jakiego go zapamiętał. Na pierwszy rzut oka przypominał bankiera czy dyrektora zarządzającego dużą, międzynarodową firmą, a nie psychopatycznego zabójcę, w którego grę przyszło mu grać. Nie zamierzał przystawać na jej warunki.

To nie był najlepszy czas na analizy. Musiał wygrzebać się z tego bagna.

– Gdzie ja jestem? O co w tym wszystkim chodzi? – Wiedział, że powinien nawiązać kontakt. Nie doczekał się odpowiedzi, mimo to nie rezygnował. – Dlaczego właśnie ja? Przecież nic ci nie zrobiłem. Nawet się nie znamy.

Nieznajomy skwitował to ironicznym uśmiechem i dosunął bliżej fotel. Nie odrywał wzroku od rozmówcy, jakby napawał się jego strachem i frustracją.

– Pamiętasz ten dom? – odparł nagle, unikając jednoznacznej odpowiedzi.

– Nie pamiętam – skłamał i od razu ugryzł się w język. „Nie pogrywaj z nim w ten sposób”, upomniał się. Wiedział, że psychopaci są wyczuleni na fałsz.

– Na pewno pamiętasz – poprawił go tamten. – Nie co dzień trafia się taka okazja.

Hajduk przełknął ślinę i poczuł w gardle papier ścierny. Mężczyzna czytał mu w myślach. Sięgnął po leżącą na ziemi butelkę wody, wstał, podszedł bliżej i otworzył mu szeroko usta. Wreszcie wlał do gardła lodowatą ciecz.



Zakrztusił się i z trudem złapał oddech. Długo dochodził do siebie.

– Czego ode mnie chcesz? – syknął przejęty. Strużka śliny spłynęła mu po brodzie. – Nie zrobiłem niczego złego, oddam ci forszę, jeżeli to coś zmieni! Przedstawiłem ofertę i zapłaciłem tyle, na ile się umówiliśmy. To wszystko. Gdybym nie kupił tego domu, ktoś inny by to zrobił.

Mężczyzna zaśmiał się teatralnie, jakby ów śmiech stanowił wstęp do dłuższej wymiany zdań. Wreszcie skończył i kontynuował zupełnie poważnie:

– Wyobraź sobie dziesięcioletniego chłopca. Mieliśmy zamieszkać w tym domu wiosną, wyrwać się z wynajętego mieszkania w bloku, a po śmierci ojca zostaliśmy z długami. Matka nie miała za co dokończyć remontu i się tu wprowadzić. Każdej nocy słuchałem, jak płacze w poduszkę. Nic nie mogłem zrobić. Byliśmy przybici i bezradni – tłumaczył spokojnie, jakby opowiadał to wnukowi, kołysząc się na bujanym fotelu. – I wtedy zjawieś się ty, z – jak to ująłeś – uczciwą ofertą. Potrzebowaliśmy pieniędzy, to prawda, jednak te śmieszne grosze nie starczyły nawet na spłatę kredytu. Tułaliśmy się po rodzinie, znajomych, jakichś zatęchłych norach...

– To nie moja wina, że twój ojciec pozaciągał tyle kredytów, zresztą...

– Nie przerywaj mi. – Sposób, w jaki wszedł mu w słowo, był przerażający.

Nie dlatego, że podniósł głos, dał wybrzmieć emocjom i krzykiem zbudował przewagę. Wręcz przeciwnie. Mówił spokojnym głosem, akcentując każde pojedyncze słowo i sprawiając, że Hajduk miał gęsią skórkę na ciele.

Nie znalazł żadnych argumentów, żeby się z nim spierać. Słuchał.

– Wykorzystałeś okazję i odkupiłeś dom za bezcen, pozbawiając nas marzeń, godziwej zapłaty i szans na normalne życie. Matka zmarła, kiedy wychodziliśmy na prostą. Miałem kilkanaście lat i musiałem sobie sam radzić, a mimo to, jak widzisz – wskazał na swój dopasowany garnitur – udało mi się wyjść na ludzi. I dziś stać mnie na wyrównanie rachunków.

Hajduk czekał, aż mężczyzna skończy mówić. Wolał nie narażać się

na kolejną reprimendę.

– I to jest, według ciebie, powód, by zabić dwie niewinne kobiety, czy ile ich wcześniej było, i zrobić to samo ze mną? To nienormalne, po prostu chore!

– Gdyby nie śmierć ojca, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie przechodziłbym tego piekła, byłbym innym człowiekiem, wiódł normalne życie. Kto wie? Skoro mnie tego pozbawiłeś, rachunek krzywd musi wyjść na zero...

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią twojego ojca! – nie wytrzymał i podniósł głos. – Popęłnił samobójstwo! Do niego powinieneś mieć pretensje, a nie do mnie. Zostawił was z tym całym bałaganem. Zastanów się, człowieku!

Widział obłęd w jego oczach. Ślepą furie, która pchała go w ramiona obsesji. To nieistotne, jak absurdalne bywają pobudki stojące za naszymi decyzjami. Wszyscy szukamy ukojenia i uśpienia demonów w naszych głowach.

– Ojciec nie popełnił samobójstwa. Został do tego zmuszony. Nie obchodziło to jednak ani ciebie, ani prokuratora. On mógł zamknąć sprawę, ty skasowałeś solidną prowizję. Wszyscy byli zadowoleni.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. – Hajduk powtarzał to do znudzenia, kiwając głową, ale powoli godził się z tym, że jego słowa nie mają żadnego znaczenia.

Mężczyzna założył nogę na nogę i bawił się tarczą drogiego zegarka.

– Kiedy matka zmarła, przerzucano mnie jak zbędną zabawkę po domach dziecka. Wolisz nie wiedzieć, ile nieprzyjemności czeka tam na nastoletniego chłopca. Postanowiłem, że wszyscy, którzy zniszczyli mi życie, odpowiedzą za to. Dlatego się spotykamy. – Ostatnie słowa wypowiedział z wyraźną satysfakcją.

Hajduk poczuł się pewniej, wiedząc, że nie jest w tej paranoi odosobniony.

– To bez sensu. Trafisz do pierdła na lata – odpowiedział, prowokując go.

Znów ten ironiczny uśmiech. Wiele by dał, żeby zmazać mu go z twarzy.

– Mylisz się, przyjacielu. Ty odpowiesz za te zabójstwa. – Wskazał na

leżące pod nogami ciała. – Żle się wyraziłem. Tobie zostaną przypisane. Mnóstwo czasu zajęło mi poskładanie wszystkich tych klocków w całość, lecz dziś jestem już pewien, że mój plan jest perfekcyjny – dodał z zadowoleniem.

Hajduk przypomniał sobie o wzmiance prasowej dotyczącej odnalezienia ciała Darii. Skoro obaj znajdowali się w jednym pomieszczeniu, policja węszyła gdzieś indziej. Nie było gwarancji, że zmierzają we właściwą stronę.

– Złapali zabójcę pierwszej z ofiar... – podkreślił i czekał na ciąg dalszy.

– Oni są naiwni jak dzieci – zaśmiał się tamten. – Jedzą mi z ręki. Ciągłe podsuwam im tropy, a oni je grzecznie łykają. Uwierz mi, gdy znajdą cię z odstrzeloną głową i listem, który spisałeś – machał mu przed nosem świstkiem papieru – nikt nie będzie wnikał w przyczyny. Przyznaję jednak – powiódł dłonią po garażu i wskazał ciała dwóch mężczyzn – że utrudniłeś mi trochę zadanie.

– Bardzo mi przykro. – Nie sposób było nie wychwycić w jego głosie ironii.

– Zabawiłem się twoim kosztem, przyznaję. Nie powiążą cię z zabójstwem obu dziewczyn, swoją drogą były przesympatyczne, nie o to mi chodziło – objaśnił, dźwigając się i krążąc wokół krzesła, na którym siedział. – Chciałem, byś poczuł strach, poniósł karę i odebrał sobie życie. Z moją pomocą.

Trzeba przyznać, że osiągnął swój cel. Hajduk chciał się bronić, ale język uwiązał mu w gardle. Michał nerwowo przełknął ślinę. Strach sparaliżował obolałe ciało.

Mężczyzna zniknął za jego plecami. Słyszał dziwny szmer. Ktoś przesuwał coś ciężkiego po betonowej posadzce, a potem chyba zaczął przeszukiwać zawartość.

– Kim są pozostali ludzie, kogo postanowiłeś ukarać? – wydusił z siebie.

– Każdy z nich na to zasłużył. Dla jednych karą będzie śmierć, dla innych utrata kogoś bliskiego. Coś, co ich zabolą najmocniej – rzekł z satysfakcją.

Stanął przed nim tak blisko, że mógł poczuć słodki zapach jego

oddechu.

– Nie lubię broni palnej, to pójdzie na ławiznę. – Bawił się ściskanym w ręce pistoletem znalezionym przy Hajduku. – Ale wierzę w karmę. Przychodzisz tu, by mnie skrzywdzić, role się odwracają i zostajesz ofiarą. Chcesz zobaczyć, jak to będzie wyglądało? – Stał za plecami mężczyzny, uniósł mu głowę i przystawił lufę do gardła. – Gdybyś mógł poruszać rękami, pozwoliłbym ci skończyć to samemu, jednak środek znieczulający, który ci zaaplikowałem, przestanie działać za godzinę. Nie mam tyle czasu, nie pogniewasz się?

Hajduk kręcił głową, usiłując wyswobodzić się z uścisku. Bez powodzenia.

– Pierdol się! – wycharczał zrezygnowany. – Pierdol się, ty chory świrze!

– Nie podoba mi się to, w jaki sposób przyjmujesz złe wiadomości.

– Twój stary powiesił się dwadzieścia pięć lat temu. To mnóstwo czasu, by się z tym pogodzić! Może się domyślił, jaki popapraniec z ciebie wyrośnie, i wolał odebrać sobie życie, nie sądzisz? To, że wymordujesz pół miasta, nic nie zmienia, bo problem tkwi w tobie, to ty jesteś porąbany! – wrzeszczał.

Wyzwiska nie zrobiły na mężczyźnie wrażenia. Odbijały się od twardego pancerza, który pielęgnował w sobie przez lata upokorzeń i krzywd. Poprawił marynarkę i zapiął guziki koszuli, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Wreszcie schylił się i złapał za łydki trupa leżącego pod nogami agenta nieruchomości.

Przeciągnął go na koniec garażu. Ciało drugiego z intruzów, którzy weszli mu w drogę, zostało w korytarzu. Ich zabicie nie stanowiło wyzwania; byli tak zaskoczeni, że poddali się bez walki. Zaprosił ich do środka. Nim zdążyli zareagować, uderzył wyższego z mężczyzn stojącym na stoliku wazonem, ten zachwiał się i oparł o ścianę. Wtedy doskoczył do niego i podciął mu gardło kawałkiem potłuczonego szkła. Szybkim, precyzyjnym cięciem.

Drugi z mężczyzn nawet nie podjął walki. Upadł na kolana i błagał o litość; cios kolanem w szczękę sprawił, że stracił przytomność i resztki godności.

Śmierć była formalnością. Wybawieniem.

Hajduk milczał. Nie miał siły walczyć, chciał, by ten koszmar się skończył.

Wydawało mu się, że słyszy dźwięk, a na ścianie majaczy kontur rozmytej sylwetki. Powiódł za nim wzrokiem w nadziei, że wyrwie go on ze szponów szaleństwa.

Cień zniknął, rozlał się za odrapanym, metalowym regałem i nie było po nim śladu. Czyżby był tylko wytworem jego wyobraźni?

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Nie rzucać się w oczy. Cel na najbliższe dni nie mógł być bardziej ambitny.

Burza, która rozpętała się na górze, rozlewała się z piętra na piętro. Uryga potrzebował sporo szczęścia, by przetrwać bez szwanku. Nie wychylał się.

Interwencja Krefta stawiała go w niezręcznej sytuacji, gdyby nie to, zbierałby rzeczy do kartonowego pudła i maszerował z nim do kadr niczym bohater taniej komedii romantycznej. Kreft wiele ryzykował, Błazej nie chciał go teraz zawieść. Całą noc myślał o Natalii, o tym, co o niej powiedział prokurator.

Czy to możliwe, że była elementem planu Smugi, którego celem było dobranie mu się do tyłka? Czy umiałyby to tak koncertowo rozegrać? Bilans znalezienia odpowiedzi na to pytanie to osiem nieodebranych połączeń. Okazał się naiwny. Nie docenił jej. Musiał przetrwać nawałnicę i zastanowić się, co robić dalej. Wciąż nie wierzył, że ich związek był jedynie iluzją.

Zjadł ostatnią łyżkę jogurtu z ziarnami i wyrzucił opakowanie do kosza. W drzwiach zobaczył młodą policjantkę, która dołączyła niedawno do zespołu i zgodnie z niepisaną tradycją odrabiała pańszczyznę, ślęcząc z nosem w stosie dokumentów. Paulina, tyle udało mu się zapamiętać. Całkiem miła.

– Niezły rzut. Dzwoni jakiś facet i twierdzi, że kilka dni temu miał na Stawikach kolizję, a kierowca zachowywał się dziwnie. Przełączyć ci go? – zapytała drobna blondynka. Nie przyglądał jej się uważnie, ale wydawało mu się, że zrobiła coś z włosami. Kobiety są mistrzyniami w sztuce kamuflażu.

Skinał głową i pochylił się nad komputerem, wracając do swoich

zajęć.

Apel policji ze zdjęciem Julii Smugi ukazał się w lokalnej prasie i telewizji. Powtórzyli manewr zastosowany po znalezieniu Darii Kubicy i odebrali kilkadziesiąt zgłoszeń. Większość nie wymagała weryfikacji. Brzmiały na tyle absurdalnie, że już rozmowa telefoniczna wydawała się stratą czasu. Cały proces angażował wielu ludzi i pochłaniał mnóstwo sił i energii.

„Co tym razem?“, westchnął głęboko i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Błażej Uryga, Komenda Miejska Policji w Sosnowcu – przedstawił się.

– Dzień dobry, Rafał Kuraś. Dzwonię w sprawie tej wiadomości z gazety...

– Wiem, koleżanka wprowadziła mnie w temat. Najlepiej, jeśli zacznie pan od początku – ostudził jego entuzjizm, nie spodziewał się przełomu.

– W poniedziałek wieczorem wracałem z Szopienic. Prowadzę firmę i oddałem laptop do serwisu, tam robią to od ręki, zresztą nieważne – zreflektowałem się, że odbiega od tematu. – W każdym razie wieczorem przejeżdżałem obok Stawików. Z parkingu wypadł czarny mitsubishi outlander, zupełnie ignorując fakt, że ktoś nadjeżdża tym pasem. W ostatniej chwili odbiłem kierownicą w prawo i walnął mnie w lewy bok.

Uryga milczał, jakby wciąż wątpił w to, że ta historia dokądś go zaprowadzi.

– Facet zachowywał się dziwnie, jakby jechał na prochach. Wsiadł z wozu jakiś zamroczony, nie ogarniał, co się w ogóle wydarzyło – tłumaczył.

– Skąd pomysł, że ma coś wspólnego z zaginięciem kobiety z ogłoszenia?

– Nie wiem, czytałem o tym rano i skojarzyłem fakty. Gość wyjechał jak wariat, zachowywał się nienormalnie... – wyliczał, utwierdzając się w przekonaniu, że dobrze zrobił, zadzwoniwszy na policję. – Uznałem, że was to zainteresuje. Aha, i miał mokre nogawki. A przecież chwycił solidny mróz.

– Może pan powiedzieć coś więcej o samochodzie i jego uszkodzeniach?

– Czarny outlander, kilkuletni. W ostatniej chwili odbiłem w prawo. Gość rozwalił prawą lampę i wgniół nadkole, na pewno ucierpiał przedni zderzak. Było ciemno, nie przyglądałem się. Skupiłem się na własnym wozie.

– Nie zgłosił pan kolizji? – dopytał policjant, choć dobrze znał odpowiedź.

Cisza. Przeszkadzał mu szum w słuchawce.

– Dogadaliśmy się. Nie było sensu zgłaszać kolizji. Przyznał się, wziął winę na siebie i rozjechaliśmy się do domów.

– Zostawmy to. Zapisał pan numery rejestracyjne, zrobił jakieś zdjęcia?

– Nie. – Przemilczał wizytę na stacji paliw. Zaczynał żałować, że wykonał telefon. – Na pewno był na sosnowieckich blachach, tego jestem pewien, choć numerów nie zapamiętałem. Nie mam głowy do takich rzeczy.

Uryga nie ciągnął go za język, myślami był gdzieś indziej. Przypomniał sobie spotkanie z Hajdukiem na podziemnym parkingu galerii handlowej. Przednia lampa samochodu, w którym siedzieli, była oklejona taśmą, zderzak mocno wgięty. Nie miał pewności co do koloru. W skąym świetle samochód wydawał się granatowy, a może jednak czarny?

– Jak by pan opisał tego mężczyznę?

– Ja wiem... Elegancki, po pięćdziesiątce, z lekką nadwagą. Dziany facet.

Zbyt wiele elementów układało się w całość. Podziękował za telefon i poprosił o zostawienie numeru na wypadek, gdyby chciał coś doprecyzować.

Rozłączył się i zalogował do systemu ewidencji pojazdów. Baza zawierała dokumentację techniczną i dane personalne właścicieli rejestrowanych w mieście samochodów. Szukanie outlanderów to strata czasu, dlatego wpisał nazwisko Michała Hajduka. System wypuł markę i model zarejestrowanego na niego auta, a w zasadzie aut, ponieważ agent posiadał dwa.



Jednym z nich okazał się mitsubishi outlander, rocznik 2012.

W wyszukiwarce Uryga znalazł namiary na agencję nieruchomości i zadzwonił na podaną na stronie komórkę. Telefon Hajduka był poza zasięgiem, co wcale go nie dziwiło. Niepotrzebnie wykasował numer agenta ze swojej komórki.

Po akcji z Bregułą wolał nie mieć w telefonie żadnych podejrzanych kontaktów. W końcu wybrał drugi z numerów widniejących na stronie agencji.

– Artur Figas, słucham. – Głos w słuchawce wydawał się mocno znudzony.

– Muszę skontaktować się z Hajdukiem. – Darował sobie uprzejmości.

– Ucho? Coś ty taki oficjalny, wal na komórkę. Chuj wie, gdzie teraz jest.

– Kłopot w tym, że nie odbiera komórki.

– Co ja ci na to poradzę, z dupy mu jej nie wyjmę – zaśmiał się.

– Nie wiesz, gdzie go znaleźć?

– Mówię, że nie wiem. Poszło ci na słuch? Nie prowadzamy się razem.

– Nie o to pytam. Ma jakieś umówione spotkania, klientów na mieście?

– Ostatnio leci w kulki, a ja zapieprzam na dwóch etatach. Odkąd dorwał tę chatę na Kazimierzu, zaczął się opierdalać.

– Mówisz o tym domu, na który zbierałem wam kwity?

– Tak. Odkąd ma go na tapecie, mamy tu niezły sajgon.

– Rozumiem. Jakby się szczęśliwie odnalazł, ślij go do mnie. To pilne.

– W porządku, narwańcu. Coś jeszcze?

Uryga się rozłączył i wbił adres nieruchomości w mapy Google'a.

Dom znajdował się niedaleko parku w Kazimierzu Górniczym. Uryga spędzał tu sporo czasu w młodości. Wysiadał z kumplami na pętli tramwajowej, szli wzdłuż torów kolejowych i wchodzili przez wyłamana bramę na basen na terenie „Ośrodka”, sącząc ciepłe piwo z plecaków. Ojciec powtarzał, że parkowe alejki i infrastrukturę budowali górnicy z kopalni „Kazimierz-Juliusz” w ramach czynu

społecznego. Był górnikiem i czuł z tego powodu dumę.

Wsiadł do auta. Wcześniej podjechał na komisariat na Starym Sosnowcu.

Zgrabny, betonowy klocek stał w miejscu zburzonego budynku, przez lata służącego policji. Do użytku oddano go całkiem niedawno. Oficer dyżurny skierował go do pokoju, w którym pracował Jędrzej Balicki. Znali się z czasów rekrutacji do służby w policji. W czasie budowy komisariatu spotykali się w komendzie miejskiej, ale odkąd Balicki się tu przeniósł, nie znaleźli zbyt wielu okazji.

– Bury, wszelki duch, co cię sprowadza w nasze skromne progi? – rzucił Balicki, nie dźwigając nawet ciężkiego tyłka zza biurka.

– Dostałem przeniesienie. Zajmę twoje miejsce, ty wracasz do skansenu – odparł, nawiązując do stanu technicznego komendy miejskiej w Sosnowcu.

Uścisnął mu dłoń i siadł przy biurku. Gmach komisariatu był większy od poprzedniego, co przekładało się na wygodę i komfort pracy. Obok ustawionych pod ścianą biurek mieściła się pojemna metalowa szafa, a wokół i tak było tyle wolnej przestrzeni, że mogli śmiało organizować tu podchody.

– Słyszałem o córce Smugi. Cała firma huczy – zagaił Balicki i czekał na wprowadzenie do tematu. Uryga wiedział, że wieści roznoszą się błyskawicznie, choć nie sądził, by kolega słyszał o zatrzymaniu Breguły.

– To kolejny powód, dla którego chętnie bym się tu przeniósł – uciał temat.

– To prawda, nie narzekam, choć na rozkładówki to z tej dziury nie trafisz.

– O ile ci na tym zależy. – Uryga wiedział, że Jędrzej pije do sprawy, po której brylował w mediach pod nieobecność rzecznika prasowego. Miasto żyło nią długo po zamknięciu śledztwa. – Słuchaj, mam do ciebie prośbę. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej złożony w kostkę wydruk.

Jędrzej Balicki rozsiadł się wygodniej w krześle i słuchał.

– Chciałbym, żebyś sprawdził mi na nagraniach z monitoringu, czy taka fura, blachy spisałem ci na odwrocie, nie stała tutaj trzeciego

grudnia, od strony Sobieskiego. Na pewno pamiętasz sprawę z kasetą wideo, mam podejrzenia, że tym wozem poruszał się ktoś, kto mógł ją podłożyć – wyjaśnił.

– Dobra, pomówię, z kim trzeba, i przejrzymy taśmy. Wydaje mi się, że ktoś już nam to zlecał, ale nie było punktu zaczepienia. Byłoby łatwiej, gdybyś zawęził to czasowo, cały dzień to jednak trochę roboty.

Uryga rachował w myślach. Sam zjawił się na miejscu po południu, a od zgłoszenia do przyjazdu patrolu upłynęło trochę czasu.

– Myślę, że podłożył ją przed południem, trzeciego grudnia. Musiał się przygotować, zatrzeć ślady, więc dobrze by było zacząć od samego rana.

Balicki nie wyglądał na szczęśliwego, mimo to skinął głową.

– Zaskoczyłeś mnie. Sądziłem, że wierchuszka rzuci wszystkie siły na młodą Smugę. Pół komendy od rana wałkuje wszystko, co ma związek z tą sprawą. Sprawdzają telefony, latają jak kot z pęcherzem na każde skinienie prokuratury. Nie dostaniesz tego na cito, mamy braki – asekurował się.

– W każdym razie spróbuj. Jak coś znajdziesz, czekam pod telefonem.

– Okej. Chociaż niczego nie obiecuję – powtórzył dla pewności.

Uryga się pożegnał i stanął przed komisariatem. Przyglądał się kamerom zamontowanym na fasadzie budynku. Obie zerknęły w stronę siedziby policji i na parking. Przypuszczał, że niczego nie znajdą na taśmach. Hajduk musiał tędy jechać, zaparkować w pobliżu, może uda się go namierzyć?

Kamienica, w której znaleźli kasetę, stała po drugiej stronie ulicy. Przespacerował się wzdłuż Sobieskiego. Nie było sensu maglować ludzi, powiedzieli wszystko za pierwszym razem, a mieszkańcy kamienic stojących po tej stronie niczego nie widzieli. Właściciele sklepów ulokowanych na parterze również nie byli specjalnie rozmowni. Trudno im się dziwić.

Odruchowo spojrzął w witrynę lombardu i wpadł na pewien pomysł.

## Biernat, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Andrzej Biernat spoglądał z niechęcią w niebo. Z góry sypała obrzydliwa papka śniegu z deszczem. W takie dni miał ochotę rzucić wszystkim w diabły i gapić się bezmyślnie w telewizor.

Na zewnątrz zrobiło się szaro i nieprzyjemnie. Naciągnął czapkę na uszy i szedł karnie na działkę, mijając po drodze skulonych pod sklepem pijaczków. Nie prosili o drobne, widać nie opłacało się wyściubiać nosa w taki mróz. Nie dziwił się. Latem lubił posiedzieć w ogródku, napić się piwa i zostać na noc. Żał wracać na rozgrzane do czerwoności betonowe osiedle.

Zimą szedł tam wyłącznie z poczucia obowiązku. Ojciec wpoił mu, że skoro zdecydował się hodować gadzinę, powinien się nią zająć. Poruszał się leniwie, jakby niewyspany organizm nie nadążał za upływającym czasem.

Zanim wyszedł z domu, połknął dwie tabletki przeciwbólowe, ale tego dnia nawet cała apteka nie postawiłaby go na nogi.

Zasnął przed północą na filmie ze Stevenem Seagalem. Gotów był się założyć, że wszystkie mają identyczny scenariusz. Sen nie przychodził. Całą noc myślał o tym, z czym przyszedł do niego komisarz Robert Kreft.

Wydawało mu się, że wyrzucił sprawę Nowickiej z głowy lata temu. Wystarczyła jedna wizyta, jedno zdjęcie i slajdy wskoczyły na swoje miejsca. Koszmar z przeszłości rozsiadł się pod czaszką i czekał na ciąg dalszy.

Pracował nad tą sprawą na własną rękę, po godzinach, wciągał w to ludzi. Uparł się, że ją znajdzie. Wszystko na nic, rozplynęła się. Wersja z ucieczką za granicę była wszystkim na rękę. Prokurator naciskał, żeby wrzucić sprawę do szafy i więcej do niej nie wracać.

W końcu postawił na swoim.

Informacja o jej śmierci mocno go dotknęła, choć robił wszystko, żeby nie dać tego po sobie poznać. Udawał obojętnego. Całe życie kogoś udawał.

Była żona mogłaby coś o tym powiedzieć. Gdyby chciała w ogóle o nim mówić.

Wieczorem zadzwonił do niego właściciel restauracji, w której odbywała się studniówka. Znali się od lat, widocznie uznał, że lepiej podzielić się wątpliwościami najpierw z nim, zanim okaże się, że są nic niewarte. Lata temu nie zwrócili na to uwagi, ale teraz wiedzieli, że winnym śmierci Sylwii był Sławomir Szulc, i pewien drobiazg skłonił Wiesława Trełę do refleksji.

Trela przypomniał sobie o samochodzie, który Szulc zostawił przed lokalem. Podobno rozładował mu się akumulator. Wrócił po niego z kablami wcześniej rano, Trela pamiętał, bo wciąż sprząтали salę po studniówce. Podładował go i odjechał. W nocy odebrał go wspólnik, nie dałby rady zabrać się ze sprzętem. Trela pozwolił mu wówczas skorzystać z telefonu, by po niego zadzwonił.

Wspólnik Szulca powiesił się w domu i usunął się z listy podejrzanych. To błąd, który drogo śledczych kosztował. Wracali tej nocy razem i jeśli Sylwię rzeczywiście zabił Szulc, jego wspólnik mógł w tym uczestniczyć, a przynajmniej coś na ten temat wiedzieć. Jak mogli to przegapić?

Biernat wybrał numer Krefta. Uznali, że to nie jest rozmowa na telefon. zaproponował, żeby spotkali się na działce. Był mu to zwyczajnie winien.

Gołębie usłyszał już na dole. Były bardziej zdenerwowane niż zwykle, potrafił to rozpoznać. To zdyscyplinowane stworzenia, ich hodowla wymaga nudnych, rytualnych czynności. Nauczył się przestrzegać pór karmienia, zakładał nawet ten sam strój, bo przyzwyczajają się do wyglądu opiekuna.

Opadł ciężko na starą sofę i zostawił telefon na oparciu. Musiał odsapnąć.

Odkąd *flugi* zmieniły się w wyścig zbrojeń, a hodowla gołębi w biznes, nie miał ochoty brać udziału w tym cyrku i zajmował się

nimi dla przyjemności.

Ludzie polikwidowali gołębniki i przerobili ogródki działkowe w imprezowe twierdze, huczące od głośnej muzyki i śmierdzące grillem. Zimą zaglądali tu rzadko, a wokół robiło się cicho i spokojnie. Lubił ten czas. „Coś za coś”, pomyślał i opuścił drewniane schody prowadzące do gołębnika na górze.

Napalił w kominku. Suche polana strzelały radośnie, a wiatr wyciągał smugę dymu przez komin. W radiu leciał kolejny przebój niewiele różniący się od poprzedniego. Biernat miał brudne, klejące dłonie i nie chciało mu się kręcić gałką, żeby znaleźć coś ambitniejszego. Wsypał mieszankę do wiaderka i wsunął do kieszeni ząbek czosnku. Co jakiś czas wrzucał jeden do pojnika z wodą, ponoć poprawiało to krążenie u gołębi.

Wszedł po stromych schodach do gołębnika na piętrze. Starał się karmić je o tej samej porze, o czym przypominały mu uporczywym gruchaniem. Lubił z nimi rozmawiać. Zresztą od dawna nie miał do kogo otworzyć ust.

Mówił wolno, wiedział, że nie tolerują podniesionego głosu ani gwałtownych ruchów, nie zamierzał ich wystraszyć. Chwilami udzielał mu się ich spokój.

Wydawało mu się, że słyszał na zewnątrz hałas. Pewnie nie domknął furtki i wiatr trzaskał nią zawzięcie. Wymieszał ryż, kaszę gryczaną, kukurydzę oraz specjalną zimową mieszankę i przesypał to wszystko do korytka. Zamknął drzwiczki. Przyglądał się, jak podlatują i nurzają dzioby w pożywieniu. Dźwięk na zewnątrz powtórzył się. Słyszał go wyraźniej. O co chodzi?

Był za stary, żeby przejmować się bzdurami. Zbyt wiele się w życiu naoglądał.

Zostawił puste wiadro obok włazu prowadzącego na dół, opuścił nogi na schody i zwiesił się dla utrzymania równowagi. Schodził wolno w dół. Musiał wypłukać wiadro, aby na dnie nie zostały sklezione grudki karmy. Później trudno je usunąć. Nagle poczuł, jak ktoś łapie go za spięte w kucyk włosy i ściąga do tyłu. Nie zdążył chwycić się drewnianego stopnia i upadł plecami na rozciągnięty gumolit. Z trudem łapał oddech, czuł palący ból w klatce piersiowej.

Kątem oka zauważył nad sobą twarz młodego mężczyzny. Był w krótkim płaszczu i w skórzanych rękawiczkach. Biernat nie zdążył zareagować. Poczuł, jak mężczyzna doskakuje do niego i siada mu na klatce piersiowej. Nie mógł złapać oddechu.

Nóż w dłoni napastnika zalśnił odbitym światłem. Biernat zmrużył oczy i już ich nie otworzył.

Wokół na gumolicie rozlała się plama krwi, wypełniając bruzdy i nierówności na jego powierzchni. Spływała w stronę uchylonych drzwi do altanki.

## Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft nie spodziewał się przełomu po wizycie u Biernata, jednak w jego sytuacji nawet strata czasu wydawała się kuszącą propozycją. Zostawił samochód w tym samym miejscu, co ostatnio, i zbiegł w dół niskiej skarpy, mijając przysypane śniegiem prowizoryczne altanki, które postawiono tu bez zezwolenia i bez wyobraźni. Wokół rozciągała się ciemność.

Za plecami rozlegał się warkot przejeżdżających drogą samochodów.

Bramka prowadząca przed altankę była otwarta, w oknie na dole paliło się światło. Halogenowa lampa oświetlała niewielki balkon unoszący się nisko nad ziemią. W tle rzeźbiło radio. Kreft zerknął pod nogi i dostrzegł w śniegu czarne krople czegoś, co przypominało krew. Rozglądał się, szukając innych śladów, lecz niczego nie znalazł. Na wszelki wypadek wyciągnął broń i nasłuchiwał, zmierzając ostrożnie w stronę niewielkiego ganku. Czysto.

Wszedł po schodach i zajrzał przez okno do środka. Nikogo nie zauważył.

– Halo, jesteś na górze, Andrzej? – zapytał, wchodząc powoli do środka.

Pomieszczenie było puste i zimne. W kominku znalazł zmienione w popiół drewno. Z sufitu schodziły w dół opuszczane, drewniane schody. Dziwne.

Zgasił radio, które wypluwało z siebie muzyczne popłuczyny, i nasłuchiwał.

– Andrzej? – rzucił w próżnię, ale i tym razem nie doczekał się odpowiedzi.

Rozejrzał się po altance, nie chciał niczego przegapić. Wszędzie pusto. Gumolit wytarto brudną ścierką, podłogę znaczyły białe



zakola. Uniósł latarkę i wspiał się po schodach do gołębnika. Na górze zamrugało światło.

Wystawił głowę ponad otwór. Złapał się rękami za krawędź wlotu, podciągnął się i przeszedł w stronę klatek z gołębiami. Odruchowo odwrócił wzrok, żeby nie zwymiotować. Wciągał i wypuszczał powietrze przez nos.

Wszystkie ptaki miały odcięte głowy, a ich truchła rozrzucono po podłodze.

Klatki były umazane krwią i wnętrznościami. Posklejane pióra przylgnęły do posadzki i ścian. Woda w pojniku zabarwiła się na kolor purpury.

Cofnął się. Gołębnik był nieduży, nikt nie zdołałby się tu ukryć, toteż Kreft oparł się o ścianę i zamknął oczy. Ból zadomowił się pod czaszką, za chwilę dołączyły do niego torsje. Nie przyznał się Idze do tego, że pół nocy spędził nad kibelem, usiłując zwrócić to, co mu siedziało na żołądku. Ten scenariusz powtarzał się od tygodnia. Zbagatelizował go.

Nasłuchiwał. Z parteru nie dochodził żaden odgłos, opuścił się więc i zeskoczył na dół. Wyszedł przed ganek i sięgnął po telefon. W środku był kiepski zasięg. Wybrał numer Biernata. Zdawało mu się, że z każdą sekundą sygnał narasta pod czaszką, słyszał go coraz wyraźniej. Odsunął telefon od ucha, a dźwięk się nasilał. Komórka Andrzeja Biernata musiała leżeć gdzieś tutaj.

Wrócił do środka. Szukał telefonu, ściskając walthera w wolnej dłoni. Kanapa? Zrzucił zalegające na niej poduszki, gazety i książki, ściągnął koc i usłyszał głuchy dźwięk uderzającego o posadzkę plastiku. Klęknął i zajrzał pod stół. Telefon podskakiwał w rytm wibracji. Rozłączył się i podniósł go. Bez blokady. Mógł przejrzeć listę ostatnich połączeń.

Biernat rozmawiał z dwoma osobami. Z nim i z Wiesławem Trelą, właścicielem lokalu, w którym dwadzieścia pięć lat temu odbyła się studniówka.

Kreft wbił jego numer w swoim telefonie. Odczekał chwilę, zanim rozległ się zachrypnięty głos Treli po drugiej stronie linii.

– Dobry wieczór komisarzu, coś się stało? – Nie brzmiał na

zaskoczonego.

– Szukam Andrzeja Biernata, wie pan, gdzie go znajdę? – rzucił przynętę.

– Powinien być na działce, rozmawiałem z nim niedawno. Nie wspominał, że wybiera się gdzieś na dłużej.

– Zaprosił mnie do siebie. Nigdzie go nie ma, znalazłem tylko jego telefon.

Usłyszał westchnienie. Trela długo milczał, jakby zbierał rozrzucone myśli.

– Dziwne. Znamy się od lat, to słowny facet. – Znowu pauza, wciąż się wahał, czy powinien o tym mówić. – Skoro pan już dzwoni, rozmawialiśmy o sprawie Nowickiej. Przypomniałem sobie coś i chciałem to z nim skonsultować, nim zadzwonię z taką pierdołą do pana – tłumaczył się nieudolnie.

Komisarz mu nie przerywał. Czekał cierpliwie na ciąg dalszy.

– No więc dowiedziałem się, że zabójcą dziewczyny był ten kamerzysta. Przypomniało mi się, że tej nocy zostawił u mnie auto na placu, siadł mu bodaj akumulator. Przyjechał po niego ten drugi facet i pojechali razem. Gadaliśmy, że skoro Szulc ją zabił, to wcale nie musiał tego zrobić sam...

– Dziękuję. Gdyby Andrzej odezwał się do pana, proszę mu przekazać, że go szukałem – odparł na odczepnego. Nie miał czasu ciągnąć tego wątku.

Szybko połączył fakty. W papierach nie było słowa na ten temat. Prokurator uznał, że skoro facet popełnił samobójstwo, to automatycznie wykluczył się z grona podejrzanych. Nikt nie prześwietał Szulca, bo nic na niego nie mieli, swoją obszerną kartotekę zaczął uzupełniać dopiero kilka lat później.

Trela mógł mieć rację. Sylwia pokłóciła się z chłopakiem, została na łodzi i musiała wracać do domu na piechotę. Zgodziła się na podwózkę, a potem sprawy wymknęły się spod kontroli. Porwali ją wspólnie, drugi z mężczyzn nie wytrzymał i popełnił samobójstwo. Albo Szulc pomógł mu je popełnić?

Obaj nie żyli. Komu zależało na tym, by wracać do sprawy sprzed tylu lat?

Szulec nie zabił córki Smugi i Breguły. Ich wszystkich, a teraz również Biernata, nie łączyła Sylwia Nowicka. Tylko mężczyzna, który popełnił samobójstwo.

Janusz Bursa.

Wybrał numer do Urygi i podzielił się z nim swoimi wątpliwościami.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Gdy Błażej przekroczył próg lombardu znajdującego się na parterze kamienicy, w pomieszczeniu rozległ się charakterystyczny brzęczek. Za plastikową szybą, w okienku przypominającym punkt do wydawania posiłków w szkolnej stołówce, siedział łysy, atletycznie zbudowany jegomość.

Zanim Uryga zdążył coś powiedzieć, mężczyzna oderwał wzrok od książki i odłożył ją na bok. Policjant odnotował kątem oka, że tamten porwał się na *Ulissesa*, co wprowadziło go w takie osłupienie, że niemal zapomniał, po co przyszedł.

– Słucham pana. – Z opresji wybawił go niski głos właściciela lombardu.

– Błażej Uryga... – Zaciął się, usiłując wygrzebać policyjną legitymację. – ...pracuję w komendzie miejskiej policji. Chciałbym się dowiedzieć, czy ta kamera w witrynie na zewnątrz jest włączona?

– Chodzi panu o kamerkę sportową Sony?

– Chyba tak – wahał się. – Zdawało mi się, że miga czujnik, dlatego pytam.

– Tak. Może pełnić funkcję kamery samochodowej, dlatego sprawdzam, jaka jest jakość obrazu. Wie pan, nie chcę wciskać klientom kitu. Żeby dobrze wycenić sprzęt, który mi przynoszą, muszę być na bieżąco – wyjaśnił.

– Czy trzeciego grudnia też miał pan ją włączoną? Tak przed południem?

– Nie – zaśmiał się. Widocznie Uryga palnął jakieś głupstwo. – Kupiłem ją wczoraj. Pochodzi na baterii godzinę, lepsze modele nieco dłużej. Ma pan szczęście. Gdyby się pan przyjrzał uważniej, to zobaczyłby nad drzwiami kamerkę monitoringu, ta pracuje całą dobę.

Musiałem zainwestować w takie cacko, bo przychodzą tu różni ludzie z różnymi zamiarami. – Poszperał na dysku twardym i się uśmiechnął. – Jak zasuwam kratę, to jej nie widać, dlatego pan ją przegapił. No i proszę. Mam nagranie z tego dnia. W niedziele zwykle mam zamknięte, ale przed mikołajkami zrobiłem wyjątek. Klienci lubią wpaść i kupić coś na ostatnią chwilę.

– Super.

– Zgrać to panu na płytę czy coś?

– A mógłby mi to pan po prostu puścić na przyspieszonych obrotach?

– Nie ma sprawy, zapraszam. – Wstał i otworzył od środka drzwi do ciasnego pomieszczenia. Ustawił laptop w jego stronę i włączył odtwarzanie.

Obraz z kamery był nieruchomy. Obejmował część chodnika z obu stron ulicy Sobieskiego i wycinek kamienicy, niestety nie tej, w której znaleziono taśmę. Wzdłuż drogi stało kilka samochodów. Uryga oglądał nagranie na przyspieszonych obrotach, a gdy w tle mignął pojazd przypominający czarnego outlandera, stopował obraz i uruchamiał go w normalnym tempie. Przez większość nagrania nic się nie działo i Błażej czuł, że traci tylko czas.

Wreszcie pod kamienicę podjechał Hajduk. Uryga upewnił się, przewijając nagranie. Agent zaparkował wzdłuż drogi, wysiadł i ruszył w stronę części budynku, której nie obejmował obraz. Policjant puścił nagranie dalej. Mężczyzna wrócił do auta kilkadziesiąt minut później. Miał ze sobą niewielką teczkę. Uryga zastanawiał się, czy zdołał w niej zmieścić nie tylko kasetę, lecz także odtwarzacz.

– Wie pan co, jednak chciałbym to wziąć ze sobą – odezwał się policjant, a właściciel otworzył gablotę i wyjął plastikowe opakowanie z pamięcią przenośną. Przegrał film i wręczył mu pendrive.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc. – Uryga sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu portfela.

Właściciel lombardu złapał go za ramię.

– Nie trzeba, naprawdę. Cieszę się, że mogłem jakoś pomóc.

– Dzięki – odpowiedział policjant i wyszedł z lombardu. Wreszcie zyskał coś więcej poza podejrzeniami. Poszedł w stronę

zaparkowanego na policyjnym parkingu auta. Goniwę myśli przerwał dobrze znany dźwięk telefonu.

Wahał się, czy odebrać. Dzwonił Kreft i pewnie nie miał dobrych wieści.



Namierzenie samochodu Hajduka nie zabrało mu wiele czasu. Stał przy głównej drodze przecinającej osiedle, pod jedną z niewielu latarni wypinających dumnie pierś w stronę rzadkich zabudowań po obu stronach ulicy.

Śnieg przykrył go kołdrą puchu. Głos nawigatora w telefonie przekonywał, że za trzysta metrów Uryga dotrze do celu. Zwolnił i powiększył obraz w telefonie. Dom stał tuż przy krawędzi lasu. Prowadziła do niego ubita, żwirowa dróżka. Z tej odległości widział, że w żadnym z okien nie paliło się światło.

Uryga wysiadł z auta i podszedł do stojącego wzdłuż jezdni outlandera. Miał oklejoną prawą lampę, srebrna taśma trzymała rozbity zderzak. Policjant stanął z boku, od strony pasażera, i przyglądał się. Prawe nadkole było wgniecione. Oświetlił snopem latarki wnętrze auta. Pusto. Nikogo nie było w środku.

Wszystko wskazywało na to, że zgłoszenie było autentyczne. Zastanawiał się, co Hajduk robił nocą na Stawikach i jaki związek z tym wszystkim miał dom, którego historię zlecił mu wykopać z policyjnego archiwum. Wreszcie, dlaczego skłamał na temat wizyty na Sobieskiego? Z jakiegoś powodu Uryga czuł, że warto to sprawdzić, nawet jeśli nie znalazł motywu obu morderstw.

Oddzwonił do Krefta.

– Wszystko w porządku? – zaskoczyła go troska w głosie komisarza. Spodziewał się raczej żołnierskiej reprimendy.

– Tak – odparł niepewnie.

– Wiem, kto stoi za porwaniem Sylwii Nowickiej.

Uryga nie miał czasu po raz setny przypominać mu, że sprawa jest zamknięta.

– Szulc wracał tej nocy ze swoim współnikiem Januszem Bursą. Nie mógł zrobić tego sam. Nawet jeśli Bursa mu nie pomagał, to musiał o tym wiedzieć. Kilka dni później znaleziono go powieszzonego we własnym domu. Przypadek?

Uryga przełknął głośno ślinę. Stał dwieście metrów od tego budynku.

– Zadzwoń do Marty i kazałem jej wyciągnąć wszystko na temat domu i Janusza Bursy. Kilka lat temu budynek odkupiła Justyna Król.

– I jaki to ma związek ze sprawą? – Uryga czuł, że pocałował mu się dłoń. Co, jeśli Rybicka skojarzy, że ściągał informacje dotyczące tej nieruchomości?

– Ojcem jej dziecka jest Marek Bursa. Nie są małżeństwem, gość nie figuruje w papierach i jest niekarany, ale nasza prymuska powiązała fakty.

Zapadła długa, krępująca cisza. Czy to możliwe, że zabójcą obu kobiet był syn człowieka, który powiesił się dwadzieścia pięć lat temu w domu obok?

– Podjadę tam – skłamał bez zastanowienia.

– A ja zorganizuję ci jakieś wsparcie. Uważaj na siebie.

Zwolnił przed ogrodzeniem. Uchylona bramka poruszała się w rytm podmuchów wiatru. Wiedział, że nie powinien zwracać na siebie uwagi, szedł ostrożnie w stronę drzwi prowadzących do domu. Nasłuchiwał. Szum wiatru dyrygował konarami wsłuchanych w niego drzew i zagłuszał wszędobylską ciszę. Zapukał. Nic. Ponowił próbę, i tym razem bez efektu. Chwycił za klamkę i pociągnął ją do siebie. Drzwi się otworzyły. Nie stawiały oporu.

Zobaczył swoje odbicie w szybie i poczuł się nieswojo, przekraczając próg.

Wszędzie panował mrok. Światlik umykał pod stopami, prowadząc go w stronę otwartych drzwi na końcu korytarza. Uryga bał się zajrzeć do środka.

Pod nogami walały się kawałki rozbitego wazonu, starał się stąpać ostrożnie między nimi. Czarne plamy na podłodze i ścianie przypominały rozbryzgane kleksy farby. Zdawało mu się, że wszędzie

jest krew. W progu kuchni dostrzegł martwego mężczyznę z podciętym gardłem i kałużą krwi rozlaną wokół ciała. Wiedział, że nie jest w stanie mu pomóc, dlatego sięgnął po broń i szedł dalej. Za późno, żeby się wycofać.

Gdzieś obok rzeziło radio. Stękało i gubiło zasięg. Wśród kakofonii dźwięków dało się wyłapać wersy dobrze znanych utworów. Żółta łuna światła wpadała do środka przez szybę w kuchni i zmuszała Urygę, by zmrużyć oczy.

Nie licząc pobojuwiska w przedpokoju, w całym domu panował nienaturalny porządek. Podłogi lśniły czystością, w kuchni, którą właśnie mijał, nie sposób było znaleźć choć kłębka kurzu. Cicho, niemal sterylne czysto.

Wiedział, że nie powinien się rozpraszać, mimo to wciąż szukał związku między Michałem Hajdukiem i człowiekiem, o którym wspominał Kreft.

Jeśli kierował się zemstą za śmierć ojca, mógł ukarać nie tylko Szulca, lecz także inne osoby związane z tą tragedią. Smuga zamknął sprawę, uznał, że mężczyzna popełnił samobójstwo, a Breguła wszystko zapoczątkował. To miało sens.

Potrafił sobie wyobrazić, że najgorszą karą była dla nich śmierć dziecka.

Co w tej układance robił Hajduk? Jaki był jego udział w tym zamieszaniu?

Żółtawe światło tliło się w szparze pod drzwiami. Wyciągało patykowate łapska i zapraszało go do siebie. Słyszał szelest dochodzący z dołu, jednak nie potrafił powiedzieć, co mu przypominał. Wnętrze piwnicy tonęło w ciemności. Resztki światła na schodach pozwoliły wymacać ścianę z karton-gipsu i utrzymać równowagę, gdy schodził stopień po stopniu. Jego rozciągnięty cień przesuwiał się w odwrotną stronę.

Wydawało mu się, że słyszy czyjeś kroki. „Postaraj się zachować czujność”.

Zszedł na dół i poczuł stęchliznę uderzającą w nozdrza.

Szukał włącznika światła na ścianie pod schodami. „Zejsście do piwnicy było złym pomysłem”, wyrzucał sobie do czasu, aż usłyszał za



ścianą czyjś głos. Zrobił dwa długie kroki w stronę źródła hałasu. Przystawił ucho do ściany i wsłuchiwał się w echo dochodzących stamtąd dźwięków.

Wyciągnął rękę przed siebie i sięgnął najbliższej ściany, zamiast tego natrafił opuszkami palców na coś sztywnego i zimnego. Wzrok nie przyzwyczyił się jeszcze do panującej wewnątrz pomieszczenia ciemności. Uryga sięgnął do kieszeni i włączył latarkę w telefonie, oświetlając wnętrze.

Widział przed sobą bladą, umazaną stężoną krwią twarz starego człowieka.

Starzec zerkał na niego martwymi oczami, przypominającymi szklane kule wypełnione mętnym płynem. Błazej odruchowo odskoczył do tyłu, zawadzając nogą o jakieś metalowe naczynie, które najpierw zadźwięczało donośnie, a następnie potoczyło się po podłodze, wydając z siebie głośny jazgot.

Uryga potknął się i upadł, z trudem łapiąc oddech. Głos za ścianą ucichł. Błazej starał się podnieść i złapał dłoń za krawędź metalowego regału. Wiedział, że nie zostało mu wiele czasu. Musiał coś wymyślić...

## Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Marek Bursa się nie przesłyszał. W pobliżu rozległ się dźwięk przypominający tłuczone szkło lub odgłos przedmiotu spadającego na podłogę. Ktoś był w piwnicy. W jego twierdzy. Tu i teraz.

Przystawił palec do ust i skinął w stronę Hajduka, by nie pisał słowa. Stał przy metalowym regale pełnym kartonów i bezużytecznych rupieci.

Nagle zerwał się i podbiegł do związanego mężczyzny, jakby uświadomił sobie, co się właśnie stało. „To bez znaczenia”, uznał. Wciąż kontrolował sytuację.

Hajduk poczuł silne uderzenie kolanem w klatkę piersiową. Nie mógł złapać oddechu. Mimowolnie próbował się skulić i odruchowo sięgnąć dłońmi mostka, lecz uniemożliwił mu to zapleciony wokół nich węzeł. Mężczyzna wyciągnął nóż i przeciął sznur za jego plecami, popychając go na ziemię. Docisnął mu twarz do betonowej posadzki i rozciął sznur krępujący kostki.

– Stul pysk – powiedział szeptem, nachylając mu się do ucha.

Złapał go za włosy i pociągnął za sobą w kierunku pomieszczenia za zamkniętymi drzwiami. Hajduk nie czuł bólu; jedynie kurz i piach, które wpadały do ust i nosa, utrudniając oddychanie. Ostatkiem sił zdołał przewrócić się na plecy. W tej pozycji ból spowodowany wleczeniem po ziemi wydawał się mniejszy.

Napastnik sięgnął po broń i przystawił ją do twarzy agenta nieruchomości.

– Nawet nie waż się ruszyć – upomniał go i rozsunał zasuwę drzwi.

Marek Bursa zatrzymał się i nasłuchiwał odgłosów dochodzących zza drzwi. Włączył światło. Naga żarówka zasyczała, zaiskrzyła się i oblała pomieszczenie światłem w kolorze uryny. Rozgrzewała się

powoli, zapalając się i gasnąc.

Hajduk z trudem otworzył oczy. Wciąż czuł zaciśniętą na włosach dłoń, do tego zimną lufę pistoletu przystawioną do skroni. Dostrzegł zarys potężnej sylwetki martwego mężczyzny. Jego ciało było wciśnięte w szparę między regałami, tak ciasną, że wydawało się, że zwłoki starca podpierają ścianę. Bursa zostawił go i wszedł do środka.

W piwnicy nikogo nie było. Żarówka migotała.

Uryga wstrzymywał oddech. Czekał spokojnie, aż nieznajomy odwróci wzrok, a kiedy spojrzał na schody prowadzące na górę, wypchnął zwłoki, za którymi się schował, z taką siłą, że spadły na mężczyznę i prawie go przewróciły.

Bursa odepchnął je od siebie i oddał strzał. Szybko się zorientował, że w magazynku pistoletu, który zabrał Hajdukowi, nie ma ostrej amunicji. Uryga zyskał czas, by wydostać się zza ciała Biernata i także sięgnąć po broń. Strzelił, a kula ugrzęzła tuż pod szyją Bursy. Ten przycisnął palce do rany, lecz wpływ krwi był trudny do zatamowania.

– To koniec – odparł policjant, trzymając go na muszce. – Było warto?

Mężczyzna słaniał się na nogach. Ostatkiem sił popchnął Hajduka na bok.

– Źle postawione pytanie. – Skulił się i splunął krwią, jakby ból wypalał mu dziurę od środka. Gasł z każdą sekundą, a mimo to kpiący uśmieszek nie schodził mu z ust. Wreszcie zebrał się w sobie. – Wierzę, że podobała się wam taśma, którą wam zostawiłem.

Uryga nie wdawał się w zbędne dyskusje. Wiedział, że to nic nie zmieni.

– Wiele lat zajęło mi zrozumienie jej przesłania – wycharczał, a spod jego palców wylewała się krew. Przycisnął je mocniej. – Odpłaciłem im za to, co mi zrobili, za to, jakim uczynili mnie człowiekiem. – Nie przestawał się krztusić. – Cierpią, podobnie jak ja cierpiałem, i będą żyć z piętnem winy, zasłużyli na to. Zasłużyli.

Uryga opuszczał pistolet w dół, milimetr po milimetrze, a gdy Bursa uniósł broń i zaśmiał się przez zakrwawione zęby, oddał ostatni

strzał.

Hajduk przyglądał się całej sytuacji, leżąc na wznak na zimnej podłodze. Wciąż nie docierało do niego, co tak naprawdę się przed chwilą wydarzyło.

Błażej Uryga podszedł bliżej i upewnił się, że Marek Bursa nie żyje. Usiadł na ziemi i długo milczał, jakby wciąż dochodził do siebie. Wreszcie powiedział:

– Naprawdę wierzyłeś, że dam ci służbowego gnata? – Schylił się i wyciągnął broń z dłoni martwego mężczyzny. – Zapomniałeś sprawdzić naboje.

W tle rozległo się ujadanie policyjnych syren i z każdą sekundą gęstniało pod sklepieniem. Uryga schował pistolet, opadł na ziemię i zamknął oczy. Odpłynął.

## Kreft, Hof, grudzień 2017 roku

Podróż do niemieckiego miasteczka Hof leżącego nad Soławą, niedaleko granicy z Czechami, zajęła Kreftowi ponad sześć godzin, z przymusową przerwą na rozprostowanie kości i postój na stacji na autostradzie A4. Lubił dalekie wyprawy i takie miejsca: odcięte od cywilizacji wyspy wyciszenia i anonimowości. Siedział pod oknem na stacji, spoglądał na ruchliwą autostradę i przyglądał się ludziom, którzy z różnych względów przerywali swą podróż i spędzali czas w gronie przypadkowych osób. Był jednym z nich.

Wyruszył o piątej rano, dbając o niezbędny zapas czasu. Na miejscu wbił w nawigację ulicę Alexandra Humboldta. Nazwisko coś mu mówiło, jednak nie potrafił skojarzyć słynnego przyrodnika z jego osiągnięciami. Był na tyle wszechstronny, że niełatwo się było skupić na konkretnym dokonaniu.

Zatrzymał się przed sznurem domów ustawionych ciasno od strony jezdni. Na wszelki wypadek sprawdził, czy adres się zgadza, a kiedy nie miał już wątpliwości, wysiadł i ruszył w stronę bramki prowadzącej na teren posesji.

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Przypominał pomalowany na szaro, nudny, piętrowy klocek z opadającym łagodnie dachem. Działkę od strony ulicy obsadzono trawnikiem, przykrytym o tej porze roku topniejącą warstwą śniegu. Na drzwiach wisiał świąteczny wieniec z igliwia i tandetnych bożonarodzeniowych dekoracji. Sam nigdy nie dbał o takie drobiazgi.

Kreft rozciągnął się, usiłując przywrócić krążenie w zastanych mięśniach, i nacisnął dzwonek do drzwi. Rozległ się elektroniczny dźwięk, przypominający świąteczny szlagier Wham! zagrany przez syntezytor mowy.

Usłyszał szmer przekręcanego zamka. W progu stanął mężczyzna starszy od komisarza o kilkanaście lat, jakkolwiek przypominający go posturą i wzrostem. Lustrował gościa spod opuszczonych nisko okularów, jakby usiłował sobie przypomnieć, czy się przypadkiem nie spotkali. To niemożliwe.

– Dzień dobry. Aleksander Broll? – Policjant uprzedził pytanie gospodarza.

Mężczyzna nie rozumiał, dlaczego ktoś zwraca się do niego po polsku.

– Zgadza się – odparł ostrożnie, starając się rozszyfrować intencje gościa.

– Proszę wybaczyć, że się nie przedstawiłem. Robert Kreft, jestem komisarzem policji i chciałbym z panem pomówić o zaginięciu Sylwii Nowickiej.

Broll wydawał się zaskoczony, jednak robił, co mógł, żeby tego nie okazać. Dochodziła dwunasta. Chmury szczelnie otuliły niebo i na zewnątrz zrobiło się chłodno. Uznał, że wypada zaprosić nieproszonego gościa do środka.

– Chciało się panu jechać taki kawał drogi, komisarzu, żeby porozmawiać o sprawie sprzed lat? – spytał przezornie, proponując, by usiedli w salonie.

– Mam ostatnio dużo wolnego czasu. – Kreft zaśmiał się szczerze, ściągnął sportową kurtkę i zajął miejsce na wygodnej, skórzanej sofie.

– Aha. Napije się pan czegoś? Kawy, herbaty? Może chociaż wody?

– Czegoś z bąbelkami, jeśli to nie kłopot.

Minimalizm – to słowo idealnie określało styl, w jakim urządzono wnętrze. Oprócz narożnej sofy i fotela w pokoju mieścił się duży regał na książki i elegancki, przeszklony stolik. Leżał na nim plik gazet i futerał na okulary.

Kreft czuł się komfortowo w takich wnętrzach, nie przepadał za zbędnym przepychem. W pierwszej kolejności zwrócił uwagę na grzbiety stojących na półkach książek. Trochę klasyki w niemieckim przekładzie, do tego pozycje popularnych autorów: von Schirach, Fitzek i Markus Heitz. Między książkami stały zdjęcia w ładnych drewnianych ramkach.

– Zimą nie piję gazowanej, proszę wybaczyć. – Broll podał mu butelkę wody mineralnej i postawił szklankę. – Przepraszam za moje zachowanie, rzadko mam okazję rozmawiać po polsku. Ostatni raz byłem tam w latach dziewięćdziesiątych, kontakt z językiem utrzymuję tylko przez internet – odparł zafrapowany. Mówił prawdę, dało się to usłyszeć w jego akcencie.

Więcej zdradzały mowa jego ciała, gestykulacja, sposób, w jaki się poruszał. Kreft wahał się, czy jechać tu tylko po to, by zweryfikować swoje podejrzenia. Gdyby nie przymusowy urlop, odpuściłby sobie ten pomysł.

Wiedział, że dobrze zrobił, wsiadając do auta i wykręcając tyle kilometrów.

– Proszę wybaczyć, że bez uprzedzenia. – Komisarz rozłożył bezradnie ręce. Obaj zdawali sobie sprawę, że to było jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Udało się panu mnie zaskoczyć, przyznaję. Nie sądziłem, że ktoś będzie chciał rozmawiać o Sylwii... – zaciął się, udając, że rachuje w myślach – ...prawie dwadzieścia pięć lat po tym, co się stało.

– Życie bywa przewrotne.

– Tego nie musi mi pan akurat tłumaczyć.

W salonie panowała niezręczna cisza, obaj badali się nawzajem, odsuwając na bok prawdziwe intencje. W tle słychać było miarowe tykanie zegara.

– Ma pan bardzo ładną córkę. – Komisarz wskazał na jedno ze zdjęć. Na większości z nich dziewczyna była sama. Ramki stały blisko siebie i dało się na tej podstawie prześledzić, jak zmieniała się przez lata. Na kilku starych fotografiach znalazł inną kobietę. – Bardzo przypomina matkę.

Broll kiwnął głową i nic nie powiedział. Złożył dłonie jak do modlitwy i wypuścił nadmiar zalegającego w płucach powietrza. Wreszcie powiedział:

– To prawda. Z roku na rok podobieństwo jest bardziej widoczne – odparł spokojnie. – Proszę sobie wyobrazić, że te zdjęcia przeleżały w piwnicy kilka lat. Bałem się wystawiać je na widok publiczny, mimo że rzadko zapraszaliśmy gości, i to tych naprawdę sprawdzonych –

zaśmiał się cicho. – Żyliśmy skromnie, nie mogliśmy się rzucać w oczy, wiadomo, trafiłby się życzliwy sąsiad – zrobił palcami cudzysłów przy słowie „życzliwy” – i doniósłby, że przebywała tu nielegalnie. Kiedy umarła, uznałem, że zasługuje na to, by choć w ten sposób była z nami. Z czasem przestałem się bać. Nie mam wpływu na przeszłość, a przyszłość jest dla mnie nieistotna.

Kreft świetnie go rozumiał. Wciąż łudził się, że w końcu się z nią oswoi.

– Jak to się stało? – dociekał komisarz.

– Pyta pan o to, jak umarła? Wciąż staram się to zrozumieć. Gdy wyjechaliśmy z Polski, Sylwia była w ciąży. Zwlekała do końca, mimo że prosiłem ją, żeby wezwała karetkę, gdy tylko poczuje, że zbliża się poród. Może się wystraszyła? Albo czuła się na tyle źle, że nie zdołała tego zrobić? Nie potrafię tego wyjaśnić – dodał spokojnie, jakby przetrwał tę informację, a ta wypłukała go z wszelkich emocji. – Zmarła przy porodzie. Lekarze długo walczyli o życie córki. Na szczęście się udało. Medyczne terminy nic mi nie mówiły.

Robert Kreft nie naciskał. Sięgnął do plecaka i wyjął kasetę wideo.

– Wytłumaczy mi pan, o co w tym wszystkim chodzi? – Wręczył mu taśmę VHS, chociaż większość odpowiedzi zdążył już ułożyć w głowie.

Broll przekładał kasetę w dłoniach, prześwietlał dotykiem jej zawartość.

– To była zemsta za to, co jej zrobili. Wieczorem, dzień po studniówce, rozeszła się wieść, że Sylwia zaginęła, ale ja wiedziałem o tym wcześniej. Tę noc mieliśmy spędzić razem, u mnie. Sylwia miała zamówić taksówkę i przyjechać. Martwiłem się, że długo jej nie ma. Wsiadłem do samochodu i zacząłem jej szukać na własną rękę, nim ten cyrk na dobre się rozkręcił. – Kreft widział, ile kosztuje go ta spowiedź. – Byliśmy ze sobą od pół roku, nieoficjalnie, wie pan, jak na relacje między nauczycielem i uczennicą reaguje środowisko? Długo kręciłem się bez sensu, w końcu przypomniałem sobie jedną z naszych rozmów i skojarzyłem miejsce, w którym na mnie czekała. Była zziębnięta i zła, jednak miała w sobie jakąś siłę i determinację, żeby zemścić się na tych kanaliach. O niczym innym nie marzyła.

– Gdybyście zgłosili porwanie, próbę gwałtu i przemoc fizyczną, i tak



trafiliby do więzienia. Dlaczego postanowiliście sami wymierzyć im karę? – spytał dla formalności, ale tak naprawdę domyślał się, jaka będzie odpowiedź.

– Chcieliśmy ich ukarać, ale szybko wyczuliśmy okazję, żeby zrobić to, co planowaliśmy od dawna. Zamierzaliśmy wyjechać do Niemiec. Moi rodzice mieszkali tu od lat, mogłem bez przeszkód przekroczyć granicę, byłem po słowie z pracodawcą. Skorzystaliśmy z okazji, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. To było szczeniackie i głupie, jednak wszystko potoczyło się tak szybko, że nie było odwrotu – wyjaśnił, nie przestając kiwać głową.

– Matka Sylwii o niczym nie wiedziała. Nawet dzisiaj bardzo to przeżywa.

– Pan żartuje? Ojciec Sylwii był alkoholikiem, od lat bił i ją, i matkę, zaczął się do niej dobierać, a matka udawała, że tego nie widzi. Na początku emocje były tak silne, że Sylwia nie chciała z nimi rozmawiać, zostawiła list, tłumacząc swoją decyzję. Pomogłem jej go napisać. Z czasem zaczęła tęsknić, wspominała, że chce rozwiązać tę sprawę, nawiązać kontakt. Jej śmierć wszystko zmieniła, a ja odpuściłem. Dziś nie ma to żadnego sensu.

Kreft przyglądał mu się uważnie. Jego wzrok sięgał gdzieś dalej, jakby to, co widział przed sobą, stanowiło przeszkodę w drodze do lepszego świata.

– W jaki sposób udało się wam przekroczyć granicę?

– Rodzice wyjechali do Niemiec w latach osiemdziesiątych. Uparłem się, że skończę germanistykę, popracuję w szkole i zdobędę doświadczenie. Mogłem się tu osiedlić, ale chciałem postawić na swoim. Sylwia przekroczyła granicę legalnie, planowaliśmy wymianę uczniowską i połowie klasy udało się wyrobić paszporty. – Uśmiechnął się, jakby to wspomnienie wciąż było żywe. – Wyjechaliśmy przed południem, zanim ktoś zaczął jej szukać. Wiedziałem, że to ryzykowne, ale wbrew obawom wszystko zagrało. Nikt na to nie wpadł. Znałem język, miałem papiery, nie trzepali nas na granicy.

– A co z jej śmiercią?

– Nie wzięliśmy ślubu. Załatwienie formalności z wiadomych

powodów było nierealne. Sylwia nie była zameldowana, baliśmy się, że ktoś zacznie jej szukać. W szpitalu podała fałszywe dane. Tłumaczyła, że skradziono jej paszport, i nikt nie zamierzał transportować rodzącej kobiety do Polski tylko dlatego, że go nie miała. Jej stan się pogorszył, wdało się zakażenie. Gdy zmarła, opłaciłem pobyt w szpitalu i zorganizowałem pogrzeb, co wymagało uruchomienia znajomości. – Zamilkł na chwilę. – Spoczywa w grobie pod fałszywym nazwiskiem, została skremowana i to boli mnie najbardziej. Popełniliśmy błąd i nie mieliśmy szans się z niego wycofać. – Głos mu zadrżał.

– Córka nosi pana nazwisko... – bardziej stwierdził, niż dopytał Kreft.

– Tak. Jest dla mnie wszystkim. Wszystkim, co mi po niej pozostało...

Długo milczeli. Broll powoli dochodził do siebie, chyba sam nie zdawał sobie sprawy, ile bólu wciąż w sobie nosi ani jak głęboko ta drzazga w nim tkwi.

– Możemy wrócić na chwilę do taśmy? – zaproponował nieśmiało Kreft.

– Oczywiście. Proszę zaczekać... – Broll podniósł się leniwie i wyszedł z pokoju. Kilka minut później wrócił z taśmą i odtwarzaczem. Wytarł go, podłączył kable do telewizora i uruchomił film.

– Często puszczałem sobie to nagranie. Chciałem ją zobaczyć, posłuchać jej głosu, od lat tego nie robiłem. Przegrałem nawet oryginalną taśmę. Mam nadzieję, że... o, udało się.

Nagranie zaczynało się identycznie jak to, które komisarz widział dziesiątki razy. Gdy mężczyzna w kombinezonie wyłączył nagrywanie, obraz zaczął śnieżyć. Przerwa trwała minutę, może trochę dłużej. Broll nie ruszał się z miejsca. Na ekranie mignęła mu twarz w kominiarce i Kreft się przysunął.

Broll ściągnął kominiarkę i podszedł do siedzącej na krześle dziewczyny, która zaczęła się nerwowo śmiać. Rozwiązał węzeł za jej plecami, to samo zrobił z supłem krępującym nogi. Sylwia była umazana czymś przypominającym krew. Z tej perspektywy i w tej

jakości nie sposób stwierdzić, czym była ta maź. Chwilę ze sobą rozmawiali, potem dziewczyna wykrzyczała coś do kamery. Wstała i zaczęła doprowadzać się do porządku.

– Jak się pan domyśla, tej części nie zostawiliśmy w kamerze. W garażu był cały sprzęt: odtwarzacz, magnetowid, a ja sam nie raz przegrywałem filmy, dlatego wiedziałem, jak to się robi. Taśma, którą ma pan ze sobą, też jest kopią. Wyjechaliśmy natychmiast i nie pamiętam, w jaki sposób się dowiedzieliśmy, że jeden z mężczyzn popełnił samobójstwo. Chcieliśmy ich tylko nastraszyć, a skończyło się tragedią.

– To nie było samobójstwo. Drugi z mężczyzn zmusił go do tego lub sam go zabił.

Broll nic nie odpowiedział. Widać, że przyjął to z ulgą, jednak nie dał tego po sobie poznać. Kreft oszczędził mu opowieści o lawinie, jaką ich młodzińczy wybryk wywołał po latach. Ten człowiek poniósł największą karę.

– Czy coś mi grozi? – zapytał wreszcie, jakby przeczuwał, co będzie dalej.

– Stracił pan najbliższą osobę. Nic gorszego nie może pana spotkać.

Kreft wiedział, o czym mówi, sam przerabiał podobny scenariusz. Pewne decyzje dojrzewają z nami, karmią się na błędach, z czasem spoglądamy na nie z innej perspektywy. Kształtują nas, są sumą błędów, z których się składamy. Podniósł się i zmierzał powoli w stronę korytarza.

Broll wbił wzrok w podłogę. W końcu spytał, nie patrząc na komisarza:

– Skąd pan wiedział. Jak... – Nie zdążył dokończyć.

– Zdradził pana zegarek i zamiłowanie do detali pewnej starszej pani. Wanda Stec wciąż pana mile wspomina, a pamięć ma znakomitą. – Nie oglądał się na pogrążonego w myślach Brolla. Czekała go długa podróż.



Nie sposób zliczyć, ile razy Maria Nowicka wpatrywała się w kuchenne okno. Czyniła to świadomie, czasem odruchowo, gdy zmywała naczynia, piła bawarkę przy odrapanym stoliku, wykonanym lata temu przez, świeć Panie nad jego duszą, małżonka, jakby podświadomie czekała na coś, co nigdy nie nastąpi.

Wiedziała o tym, mimo to pokusa była silniejsza. Nadzieja, że ujrzy za oknem ukochaną postać, wypalała się z każdym dniem, potęgując bolesne klucie w sercu. To dawno zmieniło się w bryłę, którą nosiła pod piersią. Sylwia zginęła prawie dwadzieścia pięć lat temu i Maria w końcu pogodziła się z tym, że ostatnie lata przeżyje ze świadomością tego, co przeczuwała od początku. Nic więcej nie mogła zrobić.

Usłyszała pukanie do drzwi. Wahała się, czy wstać z fotela i sprawdzić, kogo przywiał. Rzadko ktoś ją odwiedzał. Zwykle starzy znajomi, którzy wykruszali się z roku na rok, seniorzy z kółka różańcowego, usiłujący za namową proboszcza wyciągnąć ją z domu, i domokrażcy, wciskający internet, z którego nie korzystała, oraz telefon, nawet jeśli nie miała do kogo zadzwonić.

Ciekawość wzięła górę. Zwlekła się z fotela, zarzuciła na ramiona ciepły pled i poszła w stronę drzwi, utykając na lewą nogę.

– Kto tam? – zapytała już w korytarzu, nie unosząc nawet klapki wizjera.

Cisza. Powtórzyła pytanie, jednak i tym razem nie doczekała się odpowiedzi. Ktoś stał pod drzwiami, czuła to i biła się z myślami, czy je otworzyć. Tyle nasłuchiwała się o atakach na samotnych ludzi, nawet w ich domach. Różnili się od niej wyłącznie tym, że mieli coś do stracenia, dlatego przekręciła zamek i wsunęła siwą głowę pomiędzy drzwi a odrapaną futrynę.

Na schodach czekała młoda kobieta. Nic nie mówiły, badały się wzrokiem. „To niemożliwe”, uznała Maria, ale było za późno na rozterki. Emocje wzięły górę.

Pierwsze spojrzenie w oczy wystarczyło, by wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Po twarzy staruszki spłynęła łza, kreśląc drogę od pulchnych policzków przez podwójny podbródek po unoszący się nerwowo dekolt. Podobieństwo było uderzające.

To się po prostu czuje. Wie.

Młoda kobieta chciała coś powiedzieć, jednak nie wydusiła z siebie słowa. Jakby coś utknęło jej w gardle i blokowało je od środka. Oczy szklily się, zawahała się, czy zrobić krok do przodu, czy jednak się wycofać.

Maria Nowicka przekroczyła próg, podeszła bliżej i wzięła ją w ramiona.

## Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Zanim wysiadł, wziął głęboki oddech. Przed centrum handlowym kręciło się mnóstwo ludzi, musiał trzymać nerwy na wodzy. Świąteczna gorączka udzieliła się wszystkim. Ludzie wpadali zdyszani do sklepu, w biegu pozbywali się kilku warstw odzieży albo wracali na parking i szukali zostawionych byle gdzie aut. Uryga zobaczył ją od razu. Spokojnie. Musiał ochłonać.

Stała przed wejściem, obok stoiska z choinkami i ozdobami świątecznymi, i przebierała nogami z zimna. Nie chciał jej widzieć, jednak dotrzymał słowa. Wysiadł z samochodu, wsunął ręce do kieszeni i podszedł do Natalii.

– Myślałam, że nie przyjedziesz.  
– Powiedziałem, że przyjadę, więc jestem. Wybrałaś już coś?  
– Nie. Nie znam się na choinkach. – Potrafiła zagrać naiwną kobietkę.

Młody chłopak w naciągniętej na uszy czapce i z nosem czerwonym od mrozu poderwał się z krzesła i poprawił rękawice.

– Szukamy fajnego, kompaktowego drzewka do mieszkania w bloku.  
– Jasne. Proponuję takie w doniczce, ostatnio sprzedają się najlepiej.

– Czemu nie – odparł Uryga, spoglądając na Natalię, jakby chciał się upewnić, że o to jej chodziło. Skinęła głową. – Myśleliśmy o świerku.

– To dobry wybór. Przepraszam, że o to zapytam, mają państwo dzieci?

Spojrzeli po sobie, z trudem kryjąc zakłopotanie. Sprzedawca to zauważył i nie czekał na odpowiedź, kontynuując urwany wątek:

– Zawsze w takim wypadku sugeruję jodłę. Jej igły nie są takie kłujące, a wiadomo, że dzieci wpadają na szalone pomysły – zaśmiał

się szczerze.

– Nie. To znaczy, nie mamy dzieci – uściślił Uryga.

– W takim razie świerk będzie idealny. Mamy świerki pospolite, srebrne, te wydzielają intensywny zapach, a nawet drzewka formowane. Na plantacji specjalnie się je przycina, przez co są gęstsze. – Mężczyzna wskazał na drzewko obok.

– Możemy je obejrzyć?

– Proszę sobie wybrać, które się państwu podoba. Stoją w pierwszym rzędzie od strony chodnika. – Uśmiechnął się i podszedł do następnej klientki.

Drzewka wyglądały podobnie, jakby ściągnięto je z taśmy produkcyjnej. A mimo to Natalia nie mogła się zdecydować. Rozchylała gałęzie i przyglądała się doniczkom, wreszcie wskazała na stojące najbliżej drzewko.

– To może to?

– Na pewno? – zapytał Błażej, a kiedy potwierdziła, schylił się i podniósł doniczkę. Całość trochę ważyła. – Zapłać, a ja zaniosę ją do samochodu.

Specjalnie w tym celu złożył tylną kanapę. Rozciągnął koc w bagażniku i ułożył drzewko na skos, tak by swobodnie go zamknąć i nie złamać gałęzi.

Wsiadł do samochodu. Włączył ogrzewanie i czekał, manewrując z nudów pokrętem od radia. Przysięgał, że jeśli znowu usłyszy jeden ze świątecznych hitów, wymontuje odtwarzacz i wypcha otwór anielskim włosiem.

– Możemy jechać. – Usiadła obok.

Nie wiedział, od czego zacząć.

– Tak – odparł i włączył silnik. Wyjechali z parkingu i na światłach skręcili w prawo, w ulicę Lenartowicza. – Od dwóch dni próbuję się do ciebie dodzwonić – wyrzucił to z siebie. – Zamierzałaś łaskawie odebrać telefon?

– Przepraszam. Miałam urwanie głowy w redakcji. – Położyła mu dłoń na udzie. Ściągnął ją. Wciąż walczył ze sobą, żeby nie wybuchnąć. Nie teraz.

Uryga podjechał pod blok bez słowa i wysiadł, otwierając bagażnik.

Natalia szła przodem i otworzyła mu drzwi do klatki. Wtaszczenie drzewka na trzecie piętro niskiego bloku bez windy kosztowało go trochę zdrowia. Postawił doniczkę w salonie pod oknem, potrzebował czasu, by złapać oddech.

– Dziękuję. – Podeszła i chciała pocałować go w policzek, ale się uchylił.

Wrócił na korytarz. Rozsunął drzwi szafy i wyjął sportową torbę, z którą chodził na siłownię. Upychał do niej ciuchy zalegające na półkach i wieszakach.

– Co robisz? – spytała zaniepokojona. – Dlaczego się pakujesz?

– Nie chciałem zostawić cię z tą pieprzoną choinką na chodniku, ale wiem, czemu się ze mną spotykasz – odparł, nie patrząc na nią, tylko wciskając ubrania do torby. Przeszedł do łazienki i spakował swoje kosmetyki.

– Smuga ci coś nagadał?

– A jakie to ma znaczenie?

– Takie, że to kłamstwo. Zasugerował, żebym zwróciła na ciebie uwagę, chciał przez to trzymać łapę na wydziale kryminalnym. Uznałam, że spróbuję. Kiedy cię poznałam, powiedziałam mu, żeby się walił. Nie sprzedałam mu żadnej informacji na temat tego, czym się zajmujecie. Chciałam ci o tym powiedzieć, ale...

– Ale co? – przerwał jej. – Zawsze jest jakieś cholerne ale. Bałaś się, że nie dostaniesz żadnych kwitów z prokuratury i będzie robił ci pod górkę?

– Nie. Bałam się, że odejdiesz.

Błażej Uryga stanął jak wryty z rozsuniętą torbą i bluzą w ręku. Spojrzał na jej twarz i po pierwszy raz zobaczył, jak płyną po niej łzy. Wyszedł bez słowa.



## EPILOG

### 31 grudnia 2017 roku

Wrzucił jedynekę, jadąc wzdłuż bezludnej drogi, w pobliżu martwych o tej porze roku i nocy pół.

Wsluchiwał się w szum wpadającego przez szybę wiatru i głos wokalisty Iron Maiden w radiu. Nie bał się ciemności. Znacznie bardziej przerażała go wizja utraty tego, co zaniedbał i co stanowiło jedyną wartość w życiu.

Miał gdzieś te pieprzone brednie, które wygłasza się w sylwestra nad kieliszkiem wódki. Nadejście nowego roku niczego nie zmieni, jedyne, o czym marzył, to zaszyć się w domku na wsi, który odziedziczył kilka lat temu po wujku i który sypał się szybciej niż jego marzenia o stabilizacji, a potem walnąć się do łóżka i zapomnieć o wszystkim, co zdążył tak spektakularnie spieprzyć.

Związek z Natalią okazał się błędem. Może coś do niego czuła, widział to w jej załzawionych oczach, gdy zabierał swoje rzeczy, wciskał je do torby i bez słowa zniknął z jej życia. Smuga rozegrał to koncertowo: nie dogadywał się z Kreftem i chciał mieć wtyczkę w wydziale kryminalnym, by móc na bieżąco kontrolować postępy prowadzonych spraw. A on mu to zapewnił.

Sięgnął po puszkę leżącą na fotelu pasażera, otworzył energetyka i pociągnął solidny łyk, spoglądając w niebo w chwili, kiedy wybuchły pierwsze salwy. Kolorowe eksplozje rozrywały tkanę bezchmurnego nieba, znacząc ją paletą barw i kształtów. Wypuścił z rąk wszystko, co miało dla niego wartość.

Zasłużył na to. Wiedział, że trudno zbudować coś trwałego na zgliszczach, mimo to łudził się, że dostanie drugą szansę. O niczym innym nie marzył.

Uspiona w ramionach mroku szosa ciągnęła się wzdłuż lasu, wijąc się niczym betonowy wąż, draśnięty tu i ówdzie pazurem mrozu. Konfetti świąteł strzelało w górę coraz rzadziej, zapał gasł i gdzieś na horyzoncie dostrzegł szkielety pierwszych zabudowań. Z każdym

kilometrem był bardziej zmęczony. Światła jadącej z przeciwka ciężarówki oślepiły go. Nic nie widział.

W ostatniej chwili zobaczył wypadający z za zakrętu samochód. Uryga nie miał czasu na reakcję. Zacisnął dłonie na kierownicy i zamknął oczy. Gdyby wierzył w Boga, pewnie by się pomodlił. W głowie zagościła ciemność.



Przyglądał im się. Mimo różnicy wieku świetnie się dogadywali. Uśmiech na twarzy ojca świadczył o tym, że ma jego wsparcie. Kreft niczego tak bardzo się nie obawiał, jak jego reakcji na związek, który zrodził się tak naturalnie.

Przegapił ten moment, w którym mógł się wycofać albo wszystko zepsuć.

Śnił tej nocy, że jest na pogrzebie matki. Stał w cieniu i przyjmował kondolencje od rodziny i znajomych. Nie słyszał ich słów, wpatrzony w trumnę, opuszczaną na paskach w głąb ziemi. Znał ten obraz na wrywki.

Nie obwinał się. Nie skupiał wyłącznie na sobie ani nie wypatrywał jej wśród uczestników pogrzebu, jak za pierwszym razem, gdy nie dopuszczał do siebie myśli, że to się dzieje naprawdę. Pogodził się z tym, co nieuchronne.

Czas nie leczy ran. Tłumi emocje, znieczula na ból i rozmywa tkwiące pod powiekami obrazy. Śmierć najbliższych odciska trwałe piętno na naszym życiu.

– Nie wzięłam zakupów z samochodu – powiedziała Iga, dźwigając się z kanapy. – Zrobimy sobie grzanki, napijemy się wina, co? Za godzinę będziemy starsi o rok. Swoją drogą, to takie niesprawiedliwe.

– Pójdę po nie. I tak chciałem się przewietrzyć – odparł Kreft i zagroził jej drogę. Nie protestowała, uśmiechnęła się i wróciła do rozmowy z jego ojcem. Pierwszy raz spędzili wspólnie święta. Stary Kreft długo się upierał, twierdząc, że w sylwestrową noc nie chce zawracać im głowy, ale Iga przekonała go, że nikt nie powinien być

sam w ten wieczór, i o dziwo, przystał na jej ofertę.

– Jesteś kochany.

– Wiem. Dlatego ze mną jesteś.

Nie musiała odpowiadać. Wiedział, że los się do niego uśmiechnął.

Nie przepadał za świętowaniem nowego roku, z wielu powodów. Obecność Igi w jego życiu sprawiła, że zaczął dostrzegać przyszłość w mniej ponurych barwach. Temperatura na zewnątrz nie zachęcała do spacerów, ale samochód stał na podjeździe, dlatego Kreft wyszedł przed dom w sylwestrowej kreacji: tenisówkach do kostek i koszulce z logo Foo Fighters.

Wokół osiedla rozlała się pajęczyna mgły, rozrzedzana przez światła latarni pochylonej nad płotem i przypominającej mu znudzonego starca, który nie wie, gdzie powinien się udać. Ulice wymarły, a czas dreptał w miejscu.

Uniósł klapę bagażnika i wyjął papierowe torby z zakupami na chodnik, ostrożnie, by niczego nie potłuc. Poczł wibrację telefonu w kieszeni. Dzwoniła Marta Rybicka. Zaklął w myślach, spodziewając się najgorszego. Jeszcze rok temu przyjąłby dyżur w sylwestrową noc z pocałowaniem ręki. Nie teraz.

– Mam nadzieję, że dzwoniś złożyć mi noworoczne życzenia – zaczął.

– Chciałabym, naprawdę, szefie...

Przełknął ślinę. Przyłgnęła do podniebienia niczym tłusta maź. I słuchał.

– Pamiętasz przesyłkę, którą otrzymała studentka z Sobieskiego? Ta, u której znaleźliśmy tę nieszczęsną taśmę VHS?

– Tak. Kurier zgłosił uszkodzony zamek w mieszkaniu – odparł spokojnie.

– Dopiero teraz odebrała paczkę z poczty i od razu zadzwoniła do nas.

– Powiesz, o co chodzi, czy mam zgadywać? – zaczynał się niecierpliwie.

– W środku znajdował się worek z wycinkiem ludzkiej skóry. I twoje dane.

Nic nie mówił. Strach przetoczył się przez jego wnętrze niczym

walec, zmiażdżył każdy fragment ciała i sprasował go w bezkształtną masę.

Czyżby wyczerpał już limit szczęścia?

# SPIS TREŚCI

## PROLOG

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku

Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Szulc, Sosnowiec, kilka dni wcześniej

Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku

[Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Breguła, Sosnowiec, kilka dni wcześniej](#)  
[Krynicka, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku](#)  
[Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Bursa, Sosnowiec, 6 lutego 1993 roku](#)  
[Uryga i Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Biernat, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Kreft, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Hajduk, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[Kreft, Hof, grudzień 2017 roku](#)  
[Uryga, Sosnowiec, grudzień 2017 roku](#)  
[EPILOG](#)